TRAGEDYA w GLINIANACH

Tragedya w Glinianach

JAN OGIŃSKI KONTRYMOWICZ

TRAGEDYA W GLINIANACH

LEGENDA HISTORYCZNA

Z XIV WIEKU

NA STARYCH SZPARGAŁACH OPARTA

SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA W KRAKOWIE

1908.

Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

Rozdział I.

Sieroty królewskie.

Kto go zastąpi? Kto zastąpi naszego orła, opiekuna, ojca? — odzywały się głosy ludu wśród jęków, ze wszystkich ziem, powiatów, województw.

Kto ma równie silną rękę do władania tą niesforną gromadą, która zamieszkała ziemie od podnóża Karpat, aż po brzegi Baltyku bursztyn wydającego?

Gdzie jest ten mąż z tak silnie bijącem sercem dla niedoli, że wszystkich upośledzonych przygarnie do siebie, bez względu na stan, religię, pochodzenie, i roztaczając skrzydła opieki nad nimi, w prawicy swojej utrzyma groźny miecz sprawiedliwości i śmiało uderzy nim w potężnych, samowładnych potentatów, chociażby oni nazywali się Borkowiczami lub Swięcami?

Kto ma dziś tak potężny umysł, iż obejmie wszystkie różnorodne interesa prowincyi słabo jeszcze spojonych, niezgodnych, rywalizujących, prowadzących skrytą z sobą walkę i spoi je cementem jedności państwowej?

Wielkopolanie zawsze z góry spoglądali na Małopolskie ziemie. Książęta śląscy, mazowieccy, szczecińscy darli się między sobą i niejednokrotnie łączyli się z Niemcami, Litwą lub Krzyżakami przeciwko swoim.

Ziemie ruskie, od niedawna wcielone do Polski, jeszcze w sobie nie poczuły pociągu do zespolenia się

z Rzecząpospolitą; dawne sympatye ciągnęły je ku Rusi, a obawą przerażała Litwa, na której tronie wielkoksiążęcym zasiadało wówczas dwóch niepospolitych ludzi: Olgierd i Kiejstut, głowa i serce narodu, rozum i miecz.

W Polsce zeszedł do grobu ukochany król, ojciec ludu, który z pomiędzy wielu władców, zaszczyconych przez historyę nazwą Wielkiego, ma niezaprzeczone do niej prawo.

Nie szukał on sławy w nabytkach orężem, wystawiając na rzeź tłumy... chwała orężna nie nęciła go. Polska odziedziczyła jej dosyć po Bolesławach i po ojcu jego, który nie żałował krwi swojej dla sprawy połączenia narodu w silną jedność.

Poglądy Kazimierza prześcigały nietylko wiek, w którym żył, ale i następne.

Pragnął on zostać dobroczyńcą swojego ludu, równouprawniając jego sprawy społeczne i religijne. Pragnął on wsławić się jako znakomity administrator, gospodarz, prawodawca; pragnął być rzeczywistym królem, potężnym władcą, patryarchą Republiki, która od dawna przyswoiła sobie ten tytuł, wcielając zwolna zasady republikańsko-szlacheckie w krew swoją.

Jeżeli obejrzymy się naokoło i porównamy prawa, jakie wówczas istniały w Europie, ze statutem Wiślickim, nie zapłonimy niezawodnie rumieńcem wstydu... jeżeli spojrzymy na administracyę Polski, jej wspaniałe budowle, mury miast, zamki, kościoły, a nadewszystko wzrastający dobrobyt ludu, to bez zarozumiałości powiedzieć możemy, że pod rządami Kazimierza Polska była ozdobą Europy i podziwem sąsiadów, a jedna tylko Hiszpania pod Maurami stała obok niej.

Gospodarstwo rolne przybrało rozmiary imponujące, okręty ładowne naszem zbożem pod banderą polską nawiedzały nietylko brzegi Danii, Francyi, Anglii, ale i oddalonej Hiszpanii.

Handel zakwitnął w całej potędze, a jeden z kupców krakowskich przyjmował czterech królów na uczcie u siebie tak wspaniale, że wątpliwość jest, czy każdy z tych panów mógłby się zdobyć na podobną gościnność u siebie, bez krzywdy swoich poddanych.

I oto uderza grom i kraj cały zostaje pogrążony w żałobie, uciśnieni czują, że im zabraknie tej potężnej opieki, przed której majestatem wszystko się dotąd uginało... ptaki ciemności zaczynają znowu swobodnie wylatywać z jaskiń swoich, bo zaszło słońce, które ich wzrok raziło; wampiry czują, że będą mogły znowu wyssysać krew ludu... tygrysy, lisy, wilkołaki w ludzkiej postaci prostują swoje członki i otrząsnąwszy się z bojaźni przed martwym olbrzymem, gotują się do nowych rozbojów.

Nie uszanowano nawet testamentu króla szlachetnego, wszystkich tych, których kochał, skrzywdzono, obdarto, wydziedziczono... unieważniono jego wolę, jak zwykłego filistra, i roje szerszeni wysypały się na pole walki brzęcząc, kłując, gryząc się między sobą i napełniając kraj cały okrzykami grozy, od których odwykł od dawna.

Rozpoczęły się najazdy dworów, jak za dawnych czasów, krew i płomienie buchały dwoma strugami, podsycając się wzajemnie.

Łatwiej jest dać narodowi dobrobyt, niż utrwalić w nim miłość cnoty.

Lud wkrótce uczuł żelazną rękę ciemiężców swoich jednoplemiennych.

Teraz cudzoziemiec ze strachem udawał się w podróż do Polski prowadząc towary, które za czasów starego króla swobodnie sprzedawał.

Ponury widok przedstawiał kraj, który niedawno brzmiał weselem i dostakami imponował wszystkim niemal cudzoziemcom.

Mury wprawdzie warownych miast jeszcze się nie obaliły, ale na grodach już siedzieli inni starostowie, którzy, ciągnąc zyski z ludu, używali siły im nadanej dla prywaty tylko i własnej korzyści, robiąc najazdy, lub je odpierając.

Cała Wielkopolska wrzała wojną, możne rodziny darły się między sobą. Bartosz z Odolanowa wiódł wojnę z Władysławem Opolskim, a gdzie przeszły jego bandy, tam zostawały tylko zgliszcza i popioły, krew ludu płynęła całemi strugami, który nie wiedział nawet o co się biją pomiędzy sobą panowie.

Na Pomorzu, Borkowicze, pijani zemstą za śmierć Maćka, wiedząc, że w grobie już spoczywa martwa ręka tego, przed którym drżeli, wiedli uparte boje z generałem wielkopolskim Domoratem; całe okolice Wełcza przedstawiały tylko gruzy.

Jan Czarnkowski, sędzia poznański, uganiał się ze swoimi stronnikami po posiadłościach Swetybora, księcia na Starym Szczecinie, i niszczył je bez miłosierdzia.

Hołdowni panowie Drdzenia niszczyli i łupili dobra arcybiskupie.

Ziemowit Mazowiecki zagarnął Płock, Rawę, Sochaczew, Wyszogród, Gostyń, nie chcąc złożyć hołdu Ludwikowi; a gdy tylko umarł arcybiskup, Ziemowit obległ Łowicz, którego bronił Dersław, kanonik gnieźnieński, synowiec prymasa.

Zaczynało się w Polsce panowanie królewiąt, które następnie przywarowawszy pod Jagiellonami, miało z całą siłą rozpanoszyć się za Sobieskiego, ubezwładnić za Sasów Rzeczpospolitę, a zadać jej cios śmiertelny za Stanisława Augusta i położyć ją na łożu niemocy.

Któż jednak wtenczas ze współczesnych mógł przewidzieć następstwa tego wzrostu królewiąt, którzy tak zdawali się pełnymi dobrych chęci i patryotyzmu, gotowego do ofiar ze wszystkich swoich skarbów, z życia

nawet... oprócz z swojej samowoli, którą nazywali »złotą wolnością«.

Kraj zniszczony był wzajemnymi najazdami; ludność wiejska, nie uprawiając pól, które za czasów króla Kazimierza tak obfite przynosiły plony, popadła w nędzę, apatyę i chroniąc się po samotnych ustroniach i lasach, dziesiątkowana była strasznemi chorobami.

Morowa dziewica wionęła swoją krwawą chustą, jak mówi wielki wieszcz, na grody, sioła i bogate miasta, a kędy tylko powiew wiatru zaniósł jej tchnienie, ludzie padali jak muchy pod działaniem trucizny; trupy leżały niepogrzebane przy drogach, a dzikie zwierzęta i zgłodniałe psy karmiły się ich ostatkami.

Klęski te ówcześni mędrcy przypisywali zbiegowi gwiazd, a prawie cała Europa została niemi dotknięta, ale mór szczególniej rozpanoszył się w Polsce i wzrósł do takiej potęgi, że, jak utrzymuje Długosz, większa połowa ludności wyginęła.

W Krakowie padło 20.000 ludzi.

Najpierw pojawiała się gorączka, robiły się wrzody, bolaki, dymnice i wśród strasznych cierpień konali ludzie, napełniając powietrze jękami i smrodem niemożliwym do zniesienia; najbliżsi uciekali od swoich ukochanych, roznosząc po okolicznych wsiach i lasach zarazę, a sami stając się pastwą wilków, niedźwiedzi i innych drapieżnych zwierząt.

Biedny lud, ogłupiały od bólu i strachu, szukał przyczyn choroby około siebie, sąsiad podejrzywał sąsiada bezmyślnie o czary rzucające śmierć, ale najnieszczęśliwszą ofiarą przesądu stawali się żydzi. Lud ten, inaczej ubrany jak tubylcy, mówiący nieznanym językiem, zachowujący nieznane obrzędy, niedawno przygarniony przez Kazimierza, a publicznie z ambon potępiany przez kaznodziei za swoją niewiarę, znajdował się w straszliwem położeniu.

Już w roku 1361 we Wrocławiu lud rzucił się na nich z wściekłością, pomordował, rozszarpał ich majątki i nie wielu tylko uciekło z miasta, unosząc jedynie łachmany na grzbiecie. Ale teraz, klęska moru przybrała takie rozmiary w Polsce, kiedy lud, pijany rozpaczą, po omacku wyciągał ręce, szukając winnego około siebie, dosyć było wówczas jednego słowa nierozważnego, jednego faktu niedość jasnego, aby chmura nienawiści oberwała się, wylała potokami krwi i rozległa się jękami mordu. Nikt nie zwracał uwagi na to, że ci, którym przypisywano sprowadzenie klęski, sami jej zupełnie nie w mniejszych rozmiarach ulegali i tysiącami padali trupem.

Rzadko który żyd odważył się teraz wyjść jawnie z domu, a jeżeli go konieczność do tego zmusiła, to przemykał się chyłkiem pod ścianami, drżąc z obawy spotkania się z kimkolwiek, będąc pewnym, że jeżeli nie spadłby nań rzucony kamień, to przynajmniej usłyszałby wołanie jak na wilka: Oha! oha! i słowa złorzeczenia.

Nieszczęśliwa ofiara przesądów nic nie odpowiadała, nie zawsze rozumiała słowa, ale pojmowała gesta i czuła razy, które się hojnie sypały na jej plecy.

Nic nie wyrówna grozie, którą sieje lud podniecony fanatyzmem, kiedy szuka winnych około siebie; wówczas tłum cały, jakby ulepiony z dynamitu wre, chowa w łonie swojem straszne wybuchy i dosyć wtenczas jednej iskry, żeby nastąpił wybuch, który pochłania wszystko, nikomu nie przebacza, nad nikim się nie użali.

* * *

W przepyszny dzień czerwcowy, drogą wijącą się po nad Nidą od strony Chęcin ku Wiślicy, posuwał się orszak złożony z kilkunastu jeźdźców zbrojnych. W środku niego wlokła się duża kolasa, zaprzężona w sześć

koni, a za nią potężny wóz, na którym mieściły się sprzęty kuchenne i inne artykuły potrzebne do życia w podróży, bo w czasach tych, w których się rozpoczyna nasza powieść, nikt jeszcze nie odczuwał potrzeby zakładania restauracyj lub hoteli dla wygody podróżnych.

Rycerz, prowadzący orszak, przybrany był w lekki półpancerz z weneckiej stali, który okrywał mu tylko piersi i plecy, pod nim miał kaftan łosiowy, którego tylko rękawy widać było z pod żelaza, na głowie aksamitną, okrągłą, czarną czapeczkę z czaplem piórem; szyszak zaś dla gorąca zdjęty z głowy wisiał zawieszony na łęku siodła, jak również potężny, prosty miecz upięty przy lewym boku; na prawej stronie siodła błyszczał przytroczony topór, osadzony na krótkiem, dębowem stelisku, okutem z obydwóch stron miedzianymi prętami; koń rycerza silnie spocony grzązł po pęciny w litych piaskach, jakie potrzeba było przebyć około wsi Hohół, które w niedalekiej przeszłości utworzyły wylewy Nidy, niecierpliwie jednak żuł wędzidło i tylko hamowany ręką rycerza stąpał wolno.

Dziesięciu jeźdźców, towarzyszących dowódcy, rozdzieliło się na dwa oddziały, tak, że za rycerzem postępującym na czele jechało pięciu, drugich zaś pięciu wlokło się za ostatnim wozem, stanowiąc tylną straż.

Wszyscy uzbrojeni byli w miecze wiszące im u boków, na plecach zaś mieli zawieszone potężne łuki i kołczany pełne strzał; ubiór ich bardzo skromny składał się z niebieskich kaftanów sukiennych, ściągniętych rzemiennym, szerokim pasem, spodnie z bawolej skóry i buty z dużemi ostrogami dopełniały ubrania. Na głowach mieli szerokie kapelusze otoczone czarną wstęgą, po za którą zatknięte były malowane na blasze wizerunki świętych.

Z czterech kobiet mieszczących się w kolasie, siedzące na przodzie widocznie stanowiły służbę dwóch dziewic zajmujących honorowe miejsca; obiedwie panie

ubrane w lniane sukienki, przepasane tylko zielonemi wstęgami, bez żadnych ozdób, w tej chwili pozdejmowały dla gorąca białe kapelusze perkalowe z szerokiemi falbanami, jakich dziś jeszcze używają zakonnice, podały je służebnym, a te przyczepiły je na bokach kolasy. U obydwóch dziewic błyszczały zawieszone na szyjach duże, ze słoniowej kości, oprawne w złoto, krzyże. Cały ten, zbyt poważny ubiór, zdawałby się mówić, że należą do Zgromadzenia jakiegoś zakonu. Nic jaskrawego nie można było dopatrzeć w ich strojach, żadnych świecideł, żadnych bogactw wpadających w oczy.

Starsza, mogąca mieć lat ośmnaście, imponowała swoją postawą wyniosłą jak topola, gibką jak trzcina, która za każdym podmuchem wiatru pochyla się; rysy twarzy klasyczne mogłyby służyć za wzór Fidjaszowi, rysowała się w nich nieugięta siła woli i zarazem jakaś miękkość kobiety.

Płeć obydwóch była śnieżnej białości; ale gdy starsza z czarnemi, wielkiemi oczyma, z kruczymi zwojami przepysznych włosów, teraz rozpuszczonych swobodnie na ramiona, zdawała się spoczywającą boginią... druga, o rok młodsza, jak przepyszny, rozwijający się dopiero pączek róży, przyciągała pomimowolnie do siebie każdego słodyczą wyrazu twarzy, łagodnością uśmiechu, okiem niebieskiem, rozmarzonem, które Rafael nadawał swoim Madonnom.

Włosy jej jasne z odbłyskiem złota okrywały bujnie piękną głowę i nadawały jej taki wdzięk uroczy, iż zdawało się, że istota ta zstąpiła dopiero z niebios, że nie oprószył jej jeszcze pył ziemi i że lada chwila rozwinie skrzydła cherubina i uleci do swojej ojczyzny niebieskiej.

Z dwóch służebnych umieszczonych na przedniem siedzeniu, jedna trzymała książkę do nabożeństwa, pisaną na pergaminie z przepysznemi malowidłami na każ-

dej stronicy, bogato oprawną w srebrne okucia; druga zaś podawała w tej chwili pyszny bukiet z białych nenufarów młodszej dziewicy, która przyjąwszy go, z lubością nim się rozkoszowała.

Cały orszak wydobył się nareszcie z piasków, ciągnących się od Hohoła aż po Nidę.

Tu już zaczynała się ziemia czarna, jakby ubita z kamiennego węgla, błyszcząca od śladów wyjeżdżonych kół; pola jednak, których żyźność nie ustępowała niezawodnie delcie egipskiej, nędznie były obsiane, całe półłanki pokryte bujnymi chwastami, w niektórych miejscach tak bujnymi, że dorosły człowiek, zagłębiwszy się w nie, ginął niewidzialny; gdzieniegdzie tylko złocił się działek jęczmienia bujnie wyrosłego, jakby pragnący świadczyć, że ludzie tu jeszcze żyją i ziemia zdolna rodzić obfite plony; gdzieniegdzie kwitnął biało-czerwono-niebieski groch, sięgając swojemi łodygami na czwarty zagon, tworząc plątaninę nieprzebytą nawet dla polnego zająca; gdzieniegdzie srebrzyła się blado-różowa gryka, a w niej odzywały się głosy przepiórek i chruścieli.

Wszystko to wskazywało, że jeżeli ziemia teraz nie składa w dani plonów bogatych, nie jej w tem wina, lecz człowieka, który ją zaniedbał i pozostawił na wiosnę bez uprawy.

Konie poczuwszy pod kopytami grunt twardy otrząsnęły się ze znużenia, zaczęły raźno postępować, wciągając nozdrzami wilgoć wody parującą z blizko płynącej Nidy. Rycerz, jadący dotąd na czele orszaku, przepuściwszy eskortę naprzód, zbliżył się do kolasy dziewic i z uszanowaniem uniósł czapkę do góry.

Był to mąż nie młody już, okazałej postaci, z białym jak mleko wąsem, z twarzą w kilku miejscach naznaczoną bliznami, zawiędły, ale jeszcze silnej ręki, z siwem błyszczącem okiem, pełnem energii, odwagi i żołnierskiego zapału.

— Czy miłościwe panie pozwolą zatrzymać się orszakowi w samej Wiślicy, czy też rozkażą dopiero po przejechaniu Nidy rozbić namiot w cieniu drzew, na zielonej łące i tam wypocząć koniom?

— Miłościwy rycerzu Jaśku — odrzekła starsza — wy jesteście jedynym naszym opiekunem, róbcie więc, jak uważacie za właściwe, nam już wszystko jedno, gdzie się zatrzymamy na chwilę, kiedy nam przychodzi tę piękną ziemię opuszczać, która była naszą kolebką, w której wychowałyśmy się i miały nadzieję kiedyś w niej spocząć na wieki.

— O! nie, moja Anusiu — odrzekła młodsza. — Wiślica to pomnik sławy naszego domu nigdy niezgasłej; dopokąd ziemia istnieć będzie, dopokąd ludzie mówić będą polskim językiem, dotąd imię ojca naszego Kazimierza i Wiślica zawsze wspólnie wspominane będą. Tu stało się zadość sprawiedliwości bożej, tu nieśmiertelny król postanowił prawa, obdarzył niemi swój lud ukochany, zabezpieczył od przemocy potężnych panów. Wiślica jest dla nas uświęconem miejscem, uczcijmy ją pożegnaniem, opuszczając ziemię polską, do której, Bogu tylko wiadomo, czy powrócimy kiedy.

— Cóż za smutne myśli krążą po głowie waszej, miłościwa księżniczko Jadwigo — odezwał się rycerz — czyliżbyście nie pragnęły powrócić do naszej ukochanej, pięknej ziemi?

— Ach! szlachetny rycerzu Jaśku — odparła z uniesieniem księżniczka Jadwiga — czyż na chwilę nawet może podobna myśl zagościć w waszym umyśle? Czyż wy nie znacie serc naszych, czyż możecie przypuszczać, iż z radością opuszczamy tę szlachetną krainę, która dla nas od wieków, tak po kądzieli jak i po mieczu, jest ziemią rodzinną, w której krew Piastów od tak dawna z taką sławą i pożytkiem włada? Wyjeżdżamy jako bezdomne wygnanki, jako ulegające przemocy.

— Na Boga żywego! — zawołał rycerz, a oczy jego zaiskrzyły się wspaniałym ogniem — gdybym tak myślał, gdybym na chwilę powątpiewał, że wywożę was, najszlachetniejsze odrośle naszych królów, pomimo waszej woli, czyż przyłożyłbym do tego rękę i ekskortował was! ja, który ze świętej pamięci dziadem waszym, Władysławem, walczyłem na tylu polach bitew przeciw rozlicznym nieprzyjaciołom, który tyle razy hazardowałem życie w obronie krwi Piastów, jabym miał być waszym stróżem, dozorcą, gdybym nie był przekonany, że właśnie, kiedy staniecie przed obliczem waszej dostojnej ciotki, królowej Elżbiety, i jej wspaniałego syna Ludwika, króla tylu narodów, sprawiedliwość będzie wam wymierzona.

Obiedwie królewny z największą uwagą słuchały słów rycerza, ale kiedy Anna z groźnie namarszczoną brwią, zdawała się uzbrajać w cierpliwość, żeby nie wybuchnąć, młodsza, księżniczka Jadwiga, odezwała się łagodnie:

— Nie, mój dobry rycerzu, wszystko się składa na to, że nie możemy łudzić się nadziejami sprawiedliwości. Matkę naszą wysłano do Głogowa, a nas pod pozorem panującej zarazy trzymano dotąd w zamku chęcińskim, w zamku pustym, bez dostatecznej służby, nie powiem już bez okazałości przynależnej córkom królewskim, ale nawet bez najprostszych wygód, do których przywykłyśmy i do których ma prawo każda kobieta wyższego rodu; unieważniono testament naszego zacnego ojca i nam obydwom wyznaczono posagi po 300 grzywien srebra i po tysiącu grzywien szerokich groszy; posagi, jakie najbiedniejszy z wojewodów tej przezacnej Rzeczypospolitej wstydziłby się dać swojej córce; czyż to są wskazówki, że ktokolwiek myśli o naszym losie, że ktokolwiek odważy się sprzeciwić tym niesprawiedliwym postanowieniom?

Jaśko z Żarnowa ze smutkiem słuchał tych słów, tak pełnych goryczy, wychodzących z ust niebiańskiego dziewczęcia. Coś jakby łza zabłysła w jego oku, otrząsnął się jednak z tego i odrzekł stanowczym głosem:

— Prawda, że niesprawiedliwość została popełniona, że nie uszanowano testamentu wielkiego króla, ale to zrobili źli ludzie nienależący do familii, a król Ludwik nieobeznany z prawami miejscowemi, dał się tylko pokierować ich radami.

— Tak, i tem boleśniejsze to jest, że właśnie ten, w którym ojciec nasz pokładał całe zaufanie, Jan Suchy Wilk ze Strzelec, nietylko nie odpowiedział jego przekonaniom objawionym w testamencie, ale zaprzedał nas jak Judasz naszym wrogom.

— Mój Boże! ktoby się tego mógł spodziewać — powiedział rycerz. — Człowiek ten takich surowych obyczajów za panowania świętej pamięci Kazimierza, teraz rozpuścił się na wszelkie zbytki.

— Tem bardziej to zastanawia — odezwała się dotąd milcząca Anna — że ojciec nasz mienił go być człowiekiem bardzo rozumnym i kochającym nauki.

— Ale niekochającym cnoty, nieposiadającym prawdziwego ducha chrześcijańskiego kapłana — odrzekł Jaśko — teraz stał się drapieżny i chciwy jak wilk i wilkiem go teraz nazywają. Gromadzi skarby wszelkimi sposobami i patrzy przez szpary na spełniane gwałty, byle mu się opłacały, a was, biedne sieroty, poświęcił swoim widokom; ale kiedy się dostaniemy do króla, to mam nadzieję, że z Bożą pomocą wszystko się obróci na lepsze, a ciotka waszych książęcych mości nie może zostać obojętną na srogi los córek swojego najukochańszego brata.

— Jeżeli tylko pozostanie jej tyle czasu od zabaw, żeby go nam jakąś cząstkę mogła poświęcić — odrzekła z goryczą księżniczka Anna.

— To prawda — wyszeptał Jaśko, spuszczając głowę na piersi. — Pani ta tak leciwa, bez względu na swój wiek, lubi namiętnie zabawy; ale zawsze płynie w jej żyłach krew starych Piastów i ich dobre serce bije nawet w lekkomyślnej piersi.

Tak rozmawiając wydostano się na wzgórze, z którego dziwnie zagadkowy przedstawił się widok.

— Co to jest za obóz? — zapytała się niespodzianie królewna Jadwiga, wskazując ręką na rozciągnięte namioty, budy lepione z gliny i desek, szałasy uplecione z gałęzi, pomiędzy którymi widać było przesuwające się postacie ciemne, obdarte.

— To zapewne będą koczujący cyganie — odpowiedział Jaśko. — Ale za wiele ich się tu porusza w tem mrowisku, coś to jest niezwykłego, trzeba nam się naocznie przekonać.

— Stać! — zawołał donośnym głosem, a gdy cały orszak zatrzymał się w miejscu, obracając się do jednego z jeźdźców, dodał:

— Ty Kaczora dotrzyj mi duchem do tego obozowiska i rozpatrz się, co to za ludzie i czego się tak nagromadzili w tem miejscu?

Tłumy wynędzniałych kobiet, dzieci i mężczyzn wszelkiego wieku, okrytych łachmanami, straszny przedstawiały widok; ubiory ich nie miały nic wspólnego z ubiorami miejscowych włościan; wszystkie łachmany, okrywające ich grzbiety, były koloru ciemnego, gdy lud w okolicach Wiślicy kocha się w białych sukmanach i jasnych barwach; po większej części boso, ci jednakże mężczyźni, którzy mieli obuwie na nogach, w miejsce butów nosili trzewiki.

Od pierwszego spojrzenia Kaczora rozpoznał lud, tak protegowany niedawno przez króla Kazimierza, lud, który gdziekolwiek się znajduje, nie zatraca swojej narodowości, swojego języka, swoich zwyczajów, obycza-

jów, religii, przesądów, i dlatego oprze się zawsze wszelkiemu naciskowi.

— Ach! to wy, smrodliwe żydy! — zawołał Kaczora, zatrzymując się wpośród skleconych nędznie szałasów. — Co wy tu porabiacie?

Żydzi, na widok jeźdźca, wpadającego niespodzianie do ich obozu, zdawali się mocno przerażeni; wielu z nich uciekało bezmyślnie, inni ze strachu chronili się do nędznych bud; nikt nie odpowiadał.

— Pytam was się jeszcze raz — zawołał Kaczora — skąd jesteście i co tu porabiacie?

Wówczas, ośmielając się, wystąpiła jakaś białogłowa i nizko, obyczajem wschodnim, pokłoniwszy się przed koniem jeźdźca, rękami dotykając ziemi, odrzekła rozpaczliwie:

— Szlachetny panie, my jesteśmy biedne żydy z Wiślicy, domy nasze popalono, majątki zabrano, wielu wymordowano, a my, cośmy potrafili ujść z życiem, siedzimy tu o głodzie i czekamy zmiłowania Wielkiego Jehowy.

Żołnierz nie czekał dalszych objaśnień. Fakt podobny w tych czasach nie był odosobniony, na całej przestrzeni Rzeczypospolitej rozlegały się jęki nieszczęśliwych dzieci Izraela, prześladowanych, mordowanych, obwinionych o sprowadzenie moru, zatruwanie studzien, rzucanie uroków i prowadzenie czarów.

Wróciwszy do oczekującego orszaku, Kaczora zdał raport dowódzcy, któremu pilnie przysłuchiwały się obiedwie księżniczki.

Po wysłuchaniu raportu, Jaśko obrócił się do siedzących dziewic i rzekł:

— Jedna to ze zwykłych scen, jakie się teraz odgrywają po całej Polsce; lud przyciśnięty rozpaczą, szuka winnych klęsk, jakie go dotykają i dopuszcza się nad niewinnymi gwałtów; trzeba nam, nie zatrzymując się, przebyć to zbiorowisko nędzarzy, żeby zaraza, która za-

pewne pomiędzy nimi grasuje, nie miała sposobności przyczepić się do nas.

— Jazda! — zakomenderował — i cały orszak puścił się kłusem.

Im więcej jednak przybliżano się do zbiorowiska tylu nędz, tem wzrok księżniczek stawał się smutniejszy; w prześladowaniu ludu, który tak protegował ich ojciec, dopatrywały i dla siebie zniewagi i lekceważenia zamiarów nieśmiertelnego prawodawcy, który pragnął jedną potęgę więcej przysporzyć swemu krajowi.

— Na bok! na bok! — zaczęli wołać jeźdźcy, poprzedzający kolasę — na bok szubrawcy! zrobić miejsce dla najjaśniejszych królewien.

Nędzarze, którzy dosyć pomału usuwali się z drogi i apatycznie patrzyli na zbliżający się orszak, usłyszawszy, że zbliżające się panie są królewny, córki ubóstwionego ich opiekuna, o których losie straszne wieści chodziły wówczas po kraju, a które wśród prostego ludu posiadały miłość i sympatye należne nieszczęściu, na wieść tę, cały ten tłum przyciśnięty, obdarty, głodny, wydał jeden okrzyk radości i tłumnie wysypał się na drogę; starcy popadali na kolana, kobiety biły czołem o ziemię, a wszyscy jednym wielkim jękiem witali nowo przybyłe i wyciągali do nich ręce.

Kolasa mimowoli musiała się zatrzymać. Wówczas kobiety i dzieci rzuciły się do kół, do koni; zaczęły całować uprząż, podnosić ręce do nieba i zalewając się łzami, wołać:

— Córki wielkiego monarchy! Córki dobroczyńcy biednych! witajcie nam i zlitujcie się nad nami!

Jakaś kobieta z dziecięciem na ręku przyczepiła się do drzwiczek kolasy, blada, a tak chuda, że zdawało się, iż kości na policzkach przebiją skórę i wydostaną się na wierzch; dziecko na ręku, mały czarnooki chłopczyna z chciwością ssał pierś wysuszoną; kobieta chwiała

się na nogach, a łzy duże spadały po wyschniętej jak pergamin twarzy.

— Ach, Anusiu! Anusiu! — powtarzała księżniczka Jadwiga ze łzami płynącemi po pięknem obliczu — co za straszny widok przedstawiają ci biedacy! Patrz, ta biedna matka chwiejąca się od głodu, niema czem posilić swego dziecięcia; ten starzec, ot tam siedzący pod tem drzewem prawie nagi, poraniony, zdaje się nic nie widzieć i nic nie czuć z rozpaczy... trudno wyrzec, trup to, czy człowiek. Ratujmy tę nędzę, czem możemy.

I obracając się do Jaśka z Żarnowa, dodała:

— Chciejcie, dobry rycerzu Jaśku, kazać się zatrzymać orszakowi, musimy poratować tych biedaków naszymi zapasami podróżnymi.

— Stanie się wedle woli waszych książęcych mości — odrzekł niechętnie rycerz, ale jednocześnie rozkazał zatrzymać się swoim jeźdźcom.

Księżniczka Anna siedziała tymczasem milcząca z groźnie zasępioną twarzą. W jej czarnem oku przesuwały się płomienie gniewu i teraz twarz ta, majestatem swego oburzenia, stawała się tak podobną do rysów nieśmiertelnego króla, kiedy zmuszony był do walki z bezprawiem, że Jaśko, który go znał w czasach młodości, patrząc teraz na Annę, pomimowoli przypomniał sobie jej ojca. Stary rycerz z uwielbieniem wpatrywał się w te groźne, a tak majestatycznie piękne lica i w duchu powtarzał sobie:

— Czemuż niestety, nie ty wspaniała latoroślo wielkiego szczepu zasiadać będziesz na tronie Piastów... czemuż nie ty!

I zbliżywszy się do kolasy, z uszanowaniem odkrył głowę i rzekł:

— Morowa zaraza zaledwie niedawno zaprzestała szerzyć się w tych stronach, może lepiej byłoby, żeby wasze książęce moście rozkazały tylko rozdać zbyteczną

żywność, a same nie miały żadnego z tymi nieszczęśliwymi ludźmi zetknięcia.

— Bez woli Bożej, wiecie to dobrze rycerzu, włos z głowy człowieka nie spadnie, nie obawiamy się więc zarazy, przed którą nas wywieziono do Chęcin — odpowiedziała Anna. — Chcemy przypatrzyć się temu widokowi niedoli i opowiedzieć królowi, jak się tutaj opiekują ludem ci, którym powierzył rządy kraju.

Tymczasem księżniczka Jadwiga kazała spiesznie powyjmować służebnym rozmaite zapasy żywności i zabrała się do rozdawania ich biedakom.

Tłum otaczał kolasę naokoło, wznosząc błagalnie ręce do nieba.

Jadwiga podała najpierw małemu chłopcu, trzymającemu się za spódnicę matki, kawałek ukrojonej szynki z jelenia; dziecko chciwie porwało podany sobie kęsek, ale zaledwie przyłożyło go do ust, gdy matka rzuciła się nań i wydrzeć mu go usiłowała; chłopak nie puścił jednak otrzymanej zdobyczy, raźno uskoczył na stronę i żarłocznie pożerał mięsiwo.

— To trefne! — wołała zdaleka matka. — To trefne, tego się jeść nie godzi.

Wygłodzony jednak dzieciak nie zwracał na to żadnej uwagi.

Pokazało się, że z zapasów żywności, które wydobyto z wozów, jeden tylko chleb był wolny do użycia, inne artykuły, jako to: wędzone mięsa jeleni, dzików i wołów zabronione były przez religijne przepisy biednym fanatykom.

Nic nie pomogły usilne zachęcania księżniczek; starsi pilnowali młodzież i surowo karcili wzrokiem i słowem tych, którzy okazywali pochopność uledz pokusie; jedna tylko matka ukradkiem przyjęła mięso i to oddała dorastającemu dziewczęciu, chudemu jak szkielet, pokryty skórą. Dziewczę chwiejącym krokiem oddaliło się

na stronę i ukrywszy się za krzakiem berberysu, chciwie zaczęło spożywać trefną potrawę; głód zwyciężył fanatyzm.

Lud Izraela otoczył księżniczki naokoło, a one hojnie wszystkim chleb rozdawały.

— Kto was przymusił opuścić wasze domy i uciekać w pola bez odzieży i pokarmu? — zapytała Anna.

— Córko wielkiego monarchy — odpowiedział, zbliżając się i przyklękając na jedno kolano, starzec — myśmy od wieków przeznaczeni już na to, żeby się pastwiły nad nami i naigrawały z nas ludy ziemi. Za to, że stoimy przy wierze jednego Boga, gonią nas z kraju do kraju, obdzierają z krwawo zapracowanego dorobku i rzucają na nas potwarze, iż używamy krwi chrześcijańskiej do naszych macy, że oddajemy się czarom, że zatruwamy studnie, i to wszystko mówią ci, którzy nas nie znają. Wasz wielki ojciec, którego pamięć nigdy nie zaginie wpośród naszego ludu, którego imię ze czcią wspominać będą najdalsze pokolenia, pozwolił nam zamieszkiwać w granicach swojego państwa, otoczył nas opieką i wymierzał nam jednakową szalę sprawiedliwości; ale kiedy Bóg powołał do siebie swojego pracownika, ze wszystkich zakątków ziemi powypełzały ptaki ciemności i zmory te rzuciły się na lud boży, ażeby wyssać krew jego, i na lud wiejski, żeby go obdzierać i ciemiężyć.

— Na lud mówicie — odezwała się królewna Jadzia — któż to więc nad wami dopuścił się tej krzywdy, jeżeli nie lud?

— Ci, co nie wahali się zarówno skrzywdzić najszlachetniejsze córki swojego dobroczyńcy, co nie wahali się wyrzec wyrok niesprawiedliwości nad niemi, usuwając je nietylko od tronu, ale i od rodzicielskiego majątku: panowie polscy.

Słowa te, wygłoszone przez starca, zrobiły silne wrażenie na obydwóch sierotach.

— Więc i ten lud biedny zna ich krzywdy i wraz z niemi cierpi? Na czem się to skończy, jeżeli nikt silną ręką nie położy tamy tym zbrodniczym nadużyciom?

Tymczasem starzec mówił dalej:

— Bardzo jesteśmy biedni od chwili, gdy ustały rządy Wielkiego Kazimierza nad Polską, ale i cała ta kraina pogrążona jest w niedoli; nie lud to dopuszcza się zbrodniczych napadów na nas, ale panowie potężni; przed kilku tygodniami, ja, Salomon Wiślicki, rabin tutejszej gminy Izraela, jeszcze byłem człowiekiem bogatym, spokojnym o swoją przyszłość, otoczony dziećmi i wnukami, i oto podobało się wielkiemu panu Dobiesławowi z Kurozwęk dmuchnąć tylko i pomyślność moja i moich wyznawców zgasła jak płomyk słomiany.

— Jakto!? — zawołały jednocześnie obiedwie księżniczki zdziwione — Dobiesław z Kurozwęk, wojewoda krakowski, ojciec kanclerza, doradca króla i przyjaciel królowej matki, zarządzającej teraz tą krainą, mógłby się tego dopuścić!? To niepodobna!

— Jego tu nie było wprawdzie, ale jego ludzie to sprawili — odpowiedział rabin. — Gdyby tego nie pochwalał, mogliby uciśnieni zanieść do niego skargę, ale ci, którzy się tam udali, nie powrócili do domów.

— Cóż się z nimi stało, uwięziono ich?

— Nie, ale zabiczowano za to, że się ośmielają trudzić potężnego pana swojemi głupiemi skargami i potwarzami na jego służbę.

— Opowiedźcie, jak się to wszystko stało — rzekła Anna, ściągając groźnie brwi.

— Przybył do nas oddział żołnierzy Dobiesława, powracający z Krakowa, rozłożył się w naszych domach, brał wszelkie dobro nasze, jakie mu się podobało dla pożywienia ludzi i koni. Nie sprzeciwialiśmy się, kiedy zabierano nam szaty i srebrne świeczniki, ze łzami tylko błagaliśmy o litość; ale kiedy rozpasane żołdactwo rzu-

ciło się na nasze żony i córki, cierpliwość wyczerpała się, zaczęła się bijatyka; zraniono jednego żołnierza, wówczas inni zaczęli nas mordować bez miłosierdzia; domy nasze nietylko zrabowano, ale większą ich część spalono, a ktokolwiek stawiał opór, został zamordowany. Kobiety i dzieci batami wypędzono na puste pola ze swoich siedzib... pastwiono się nad nami, jak nie nad ludźmi. Kilkanaście trupów poniewierało się niepochowanych po ulicach Wiślicy, a my, cośmy ocaleli, ratując się ucieczką, z głodu umieramy teraz.

— Biedni wy ludzie! — zawołała księżniczka Jadwiga — biedni wy bardzo, ale niesprawiedliwości względem was popełnione dojdą do uszu króla; opowiemy mu wszystko, a on wymierzy wam sprawiedliwość.

Rabbi smutnie pochylił głowę i wyszeptał cicho:

— Król ma karać nadużycia swojej matki rodzonej? Boć to pod jej zarządem dzieją się te bezprawia.

Na twarzyczce królewny rozlał się wyraz smutku i pognębienia.

— No, moja Jadziu — rzekła Anna, obracając się do młodszej siostry — nie wiele pomogą słowa nasze tym biedakom, a te kilkadziesiąt bochenków chleba rozdanych pomiędzy nich, zaledwie na krótko głód zaspokoją.

— Ojciec nasz nie poprzestałby na tem — odpowiedziała Jadzia — a nam trzeba działać jak przystoi jego córkom. Wiesz, jaka mi myśl przyszła do głowy, kochana siostro?

Anna spojrzała na twarz pięknego dziewczęcia i potrząsnęła głową.

— Mamy szkatuły napełnione naszymi wspaniałymi posagami; oddajmy im to, co nam tak bezczelnie śmiano rzucić na odczepne. Czy każda z nas będzie miała 300 kóp groszy czy nie, wszystko nam jedno; a ta nędza nie będzie na próżno wyciągać rąk do córek Kazimierza, króla biednych.

Anna pochyliła się nad siostrą, przez chwilę z rozrzewnieniem wpatrywała się w jej rozanielone oblicze, ucałowała jej policzki i rzekła:

— Ty przeznaczona jesteś na świętą; wzniosła to myśl, ale musimy ją troszkę zmienioną w czyn wprowadzić; bo nie ostatni to są zapewne nędzarze, których jeszcze spotkamy na naszej drodze; serca pękłyby nam z żalu, gdybyśmy nic dla innych uczynić nie mogły. Rozdzielmy te skarby nasze na kilka części i niemi kolejno obdarzać będziemy napotkaną niedolę.

Jadzia spuściła smutnie główkę na piersi i wyszeptała:

— Ty jesteś starsza, moja siostrzyczko, i mądrzejsza odemnie, rozporządzaj jak uważasz za najlepsze.

— Zacny rycerzu — rzekła wówczas Anna, obracając się do Jaśka — rozkażcie wydobyć z wozu skrzynkę zawierającą nasze pieniądze, odliczcie z niej 100 kóp groszy i rozdajcie tym nieszczęśliwym w imieniu naszego nieodżałowanego rodzica. Albo lepiej złóżcie je do podziału na ręce tego starca, który z nami rozmawiał przed chwilą.

Jaśko milcząc dopełnił rozkazu, odliczył 100 kóp groszy i wręczył je Salomonowi. Księżniczki pragnąc uniknąć podziękowań, rozkazały ruszyć orszakowi w dalszą drogę. Wszystkie ręce podniosły się do nieba, ze wszystkich piersi rozległ się okrzyk uwielbienia, gdy orszak wyruszał z zacieśnionego obozu i zbliżał się do przedmieścia Wiślicy, rozciągającego się na gipsowem wzgórzu, spadającem pochyło do brzegów rzeki.

Na samym szczycie tej gipsowej opoki, sterczał starożytny, niewielki kościółek, leżący już po za murami miasta, którymi niedawno Kazimierz otoczył naokoło Wiślicę; z dala widać było w dolinie, wśród pysznych łąk zamek wiślicki w trójkąt zbudowany, z którego obecnie nie pozostały nawet fundamenta.

Wśród rynku wznosił się wspaniały kościół w stylu gotycko-romańskim, zbudowany także przez zmarłego króla na pamiątkę ukrywania się tutaj ojca, którego postać z kamienia wykuta dotąd ozdabia ścianę zewnętrzną. Przy kościele, na tle błękitnego nieba, rysowała się okazała kwadratowa dzwonnica, od dołu z ciosu, a w drugiej połowie z drobnych czerwonych cegiełek zbudowana, obramowana u wierzchu naokoło wykutymi herbami w kamieniu, na wieczną pamiątkę rodzin, które swój grosz złożyły na jej budowę. Całe przedmieście, aż do wspaniałej bramy, strzegącej murów miasta, przedstawiało kupy zgliszcz, gdyż cała ta część warownego grodu, zamieszkała przez żydów, była świeżo spalona.

Gdzieniegdzie po rumowiskach włóczyły się głodne psy i grzebiąc w popiołach, wyciągały opalone kości, Bóg wie do kogo należące; gdzieniegdzie jakieś utajone iskry tliły się jeszcze w przyciesiach domów, a wiatr dym roznosił wokoło wraz z obrzydliwemi woniami ciał.

Nigdzie nie pokazywało się życie, nigdzie postać ludzka nie zamajaczyła wśród tego strasznego i wstrętnego pobojowiska.

Rycerz Jaśko, chcąc skrócić królewnom, o ile można, przykre wrażenie tego widoku, rozkazał wozom i kolasie jechać wyciągniętym kłusem. Twarda, gipsowa opoka doskonałą stanowiła podłogę, i wozy, raz dostawszy się na nią, nie znajdując żadnych przeszkód, staczały się z góry z nadzwyczajnym pośpiechem.

Przebyto nareszcie to straszne pole rozpanoszonej śmierci i cały orszak znalazł się wkrótce u otwartej bramy kamiennej miasta, wznoszącej się pośród dwóch wysokich wieżyc, sterczących w murach otaczających Wiślicę. Brama była na rozcież otwarta, nikogo nie było, aby strzegł wejścia.

Przebyto długą, krętą ulicę, zabudowaną murowanymi domami i wydobyto się na rynek, którego bok

południowy zajmowała wspaniała kolegiata; ulice były prawie puste, a jeżeli gdzieś pokazał się jakiś przechodzień, to twarz jego ponura, wzrok spuszczony do ziemi, pokazywały, że ludność miasta przygnębiona jest wielce klęskami.

Niespodziewanie, na skręcie ulicy, pokazał się jeździec na dzielnym koniu. Był to człowiek nie pierwszej już młodości, a stary, wyszarzany kubrak, opasany rzemiennym pasem, u którego wisiała karabela, pokazywały chudzinę jakąś. Bynajmniej jednak pokora nie przebijała się z oblicza jeźdźca. Wąs jego już szpakowaty, podkręcony do góry z węgierska, nadawał mu junacką minę, a głęboka szrama przez środek twarzy zdradzała człowieka, który nie da sobie w kaszę dmuchać bezkarnie.

Jeździec zwolna zbliżał się do orszaku królewien. Orszak ten w czasach, w których okazałość w podróżach była na porządku dziennym, przedstawiał się więcej jak skromnie i szlachcic spojrzawszy nań lekceważąco, jadąc samym środkiem ulicy, nie myślał mu wcale ustąpić z drogi.

— Na bok! — zawołał potężnym głosem Kaczora, ostrzegając zbliżającego się jeźdźca.

— Dla wszystkich równa droga — odparł zuchwale szlachcic, opierając rękę na szabli.

— Ale nie wszyscy są sobie równi — odparł rozgniewany Kaczora — i nie wszystkim służą jednakowe przywileje.

— Polska szlachta wszystka sobie jest równa — odrzekł wyniośle szlachcic. — I kogóż to tak eskortujecie, że dworzanowi biskupa wrocławskiego każecie się usuwać z drogi?

Jaśko usłyszawszy te słowa, popuścił cugle koniowi i wyprzedziwszy cały orszak, dotarł do zawadyaka i zaglądając mu surowo w twarz, zawołał:

— Ustąp z drogi waszmość przed zbliżającemi się królewnami, sierotami naszego dobrego Kazimierza, bo jeżeli nie usłuchasz natychmiast, biada ci!

Tymczasem szlachcic przyglądał się rycerzowi.

— Ależ, jeżeli mnie pamięć nie myli — zawołał — mam przed sobą walecznego rycerza Jaśka z Żarnowa, z którym razem odpieraliśmy Jadźwingów z pod świętego Krzyża przed dwudziestu laty.

— Ach, toś to ty zawadyako! — zawołał Jaśko, wyciągając rękę. — Ty, dzielny chorąży Lubrańskiego, Wojciech Chmura!

— Gradowa Chmura, jak mnie nazywają nieprzyjaciele — odrzekł szlachcic, spiesznie usuwając się na bok i jednocześnie zdejmując czapkę przed nadjeżdżającemi królewnami.

Jaśko wyciągnął rękę, którą Chmura serdecznie uścisnął.

— Gdzież myślicie popasać, bo szkapy macie pomęczone? — zapytał poufale.

— Gdzieżby wypadało odpocząć sierotom wielkiego króla, jak nie w zamku wiślickim, wystawionym przez niego?

Chmura zamyślił się na chwilę, na twarzy jego odmalowało się pewne zadziwienie, następnie jeszcze więcej przybliżył się do rycerza, i nachyliwszy się aż do ucha, rzekł:

— Po starej znajomości, życząc wam dobrze, szlachetny panie, i szanując szczerze krew płynącą w żyłach sierot ukochanego króla, nie radziłbym wam tam zajeżdżać.

— Dlaczego?

— Bo zamek zajęty jest przez biskupa krakowskiego Zawiszę.

— Czyliż zamek jest tak mały, że już nie pomieści na parę godzin naszego skromnego orszaku?

— Nie jest ci on mały, ale orszak Zawiszy składa się przeszło ze stu koni, a gdy do tego dodacie orszaki panów Szafrańców, Kmitów i wielu innych towarzyszących mu, to się łatwo przekonacie, że pomieszczenie tam królewien jest niepodobne.

— Mój Ty Mocny Boże! do czegóż to już przyszło w tej naszej ziemi, że dwie ostatnie odrośle królewskiego rodu nie mogą znaleźć strzechy gościnnej dla odpoczynku w podróży! Aleć widzicie, mości Chmuro, że cała parada nasza składa się zaledwie z kilkunastu ludzi, myślę więc, że trochę miejsca się tam jeszcze dla nas znaleźć powinno.

— Ależ dziesięć takich oddziałków pomieściłoby się jeszcze w zamku wiślickim — zawołał Chmura — tylko, że tam już pijatyka trwa od trzech dni, rozmaite kapele cudzoziemskie gwarem napełniają powietrze; jakieś tam wędrowne minstrele, czy jak się tam nazywają, wygrywają na lutniach i śpiewają pieśni, a tłumy spędzonego ludu, to jest właściwie młodych kobiet, napełniają dziedzińce. Otóż widzicie, mój Jaśku, wszystko to nie zdaje mi się być stosowne dla oczów tych niewinnych białogłów, które może lekceważąco przyjęłaby pijana drużyna i dlatego wam odradzam tam się kierować.

Królewny tymczasem, oczekując w kolasie końca rozmowy, zaczęły się niecierpliwić, co widząc Jaśko, skierował konia ku nim i odkrywszy głowę, rzekł:

— Najmiłościwsze panie moje, odebrałem wiadomość, że na zamek udać się nie będziemy mogli, musimy więc rozbić namioty na błoniach Nidy, lub udać się o ćwierć mili dalej do zamku pełczyskiego.

— Czy i w zamku wiślickim mór zapanował? — zapytała księżniczka Anna.

— Gorzej jak zaraza morowa, miłościwa pani, tam rozpasani na zbytki panowie ucztują z Zawiszą na czele.

Na twarzy królewnej Anny błysnął wyraz oburzenia, księżniczka Jadzia gorzko się uśmiechnęła.

Tak młode obiedwie, a wszystkie męty życia musiały już spotkać na swojej drodze.

— Przeprawmy się więc przez Nidę i rozbijmy namioty wśród tych przepysznych trawników zaścielających prawy brzeg rzeki, wśród zielonych wierzb płaczących — rzekła królewna Jadzia — myślę, że piękniejszych salonów i pan Zawisza w swoich Kurozwękach nie posiada.

Starsza siostra, nic nie mówiąc, pochyliła głowę na znak zgody.

Rzeczywiście nadbrzeża Nidy należą do najpiękniejszych okolic naszej rozkosznej ziemi; nie zbyt wielka rzeka wije się wśród bogatych kobierców łąk równych, jak rozpostarte kosztowne dywany, na których bukiety liściastych drzew, malowniczo rozrzucone ręką niezrównanego artysty, ugrupowane w cudowne parki, co chwila przyciągają oko, a złote, płaczące wierzby, kąpiąc swoje rozpuszczone warkocze w nurtach srebrnej Nidy, odbijając się w jej zwierciadłach, przedstawiają cały świat zaczarowany.

Chmura żegnał się właśnie z rycerzem Jaśkiem i cały orszak miał ruszyć dalej, gdy w powietrzu rozległa się hucząca muzyka i dostrzedz można było, jak z bramy zamku wiślickiego wyjeżdżała liczna kawalkata jeźdźców.

— Ach! — zawołał, uderzając się w czoło Chmura — widzę, że wyjazd do Kurozwęk do wojewody Dobiesława, ojca Zawiszy, przyspieszono niespodzianie, jutro to dopiero miało nastąpić, ale gdym wyjeżdżał, przybył jakiś goniec z Węgier i oddał pilne listy biskupowi, te widać przyspieszyły wyjazd. Jakaś tam tajemnicza robota jest na stole, coś się tam warzy niezdrowego w tym kotle, daj Boże, żeby nie trucizna dla Rzeczypospolitej.

— I cóżby to być miało? — zapytał zaciekawiony rycerz — przecież drugi raz już testamentu obalać nie będą, a rządy całego kraju spoczywają w ich rękach.

Chmura spojrzał tylko na mówiącego i wyciągając rękę na pożegnanie, rzekł:

— Daj Boże, żeby nie co gorszego, daj Boże; ale mnie się spieszy ze zleceniem mojego pana. Żegnam was, szlachetny panie. — To mówiąc, podciął konia rzemiennym batożkiem i puścił się pełnym kłusem.

Orszak księżniczek ruszył dalej, ale widoczne było, iż zaczem dojdzie do pierwszego mostu spotkać się musi z pocztami wychodzącymi z zamku, które zbliżały się nadrzeczną drogą, wijącą się po nad Nidą, dążąc do głównego gościńca.

Rozdział II.

Z a w i s z a.

Rzeczywiście, kiedy rycerz Jaśko, jadący na czele orszaku, przejechawszy rynek obok kościoła, spuszczał się wązką uliczką ze wzgórza ku mostom, kawalkata, która wyjechała z zamku, już się wydostawała na drogę główną i całą jej szerokość zajmowała.

Na przodzie postępował oddział pięćdziesięciu jeźdźców, ubranych w czerwone, aksamitne żupany, w żółte łosiowe spodnie, z łukami na plecach i szerokiemi szablami przy boku; chorąży, jadący na czele oddziału, piastował rozwinięty sztandar, na którym błyszczał herb Poraj [1]), godło starego domu Zawiszów, a teraz godło kanclerza, przed którym wszystko w Polsce korzyło się, a najmożniejsi mieli sobie za zaszczyt, jeżeli obrócił na nich swoje względy.

Za oddziałem jeźdźców postępowało grono pieszych śpiewaków z cudzoziemska ubranych w jaskrawe, bogate

[1]) Herb Poraj, jak go litewski dom Chomińskich używał, zamieszczony w herbarzu Kojałowicza, przedstawia się w ten sposób: W złotem polu róża, a na niej dwie stannice runiczne, których, jako dowodu adoptacyi herbu czeskiego Róża, używali Kościeszowie, szlachta starożytna polska. Za czasów Bolesława Chrobrego, ród książęcy świętego Wojciecha, prześladowany w ojczyźnie swej Czechach, używający go, szukał schronienia w Polsce i tu się osiedliwszy, dał początek szlacheckiemu rodowi Porajów, do których należał Zawisza.

szaty; dalej na rosłych, białych koniach, jechało trzydziestu trębaczy z ogromnemi mosiężnemi trąbami, waltorniami, klarnetami, bębnami, piszczałkami; ubiory ich lśniły od złota i srebra, a kolorowe pióra ozdabiały turbany, które, na modę turecką, mieli na głowach; za nimi dopiero, na pysznym hiszpańskim tarantowym ogierze, okrytym jedwabnym białym czaprakiem, na purpurowem siodle, nabijanem turkusami i perłami, z nogą w złotem strzemieniu, kierując również złotym munsztukiem rumaka z gwiazdą turkusową na czole, jechał jeździec pięknego wzrostu, w sile młodości; ubiór jego kusy, na modę węgierską sporządzony, cały z szkarłatu, gęsto haftowany złotem i perłami, z obszerną koronkową kryzą, zdaleka olśniewał swoim przepychem. Kosztowny pas kaszmirowy, przy którym wisiała szabla, otaczał wysmukłe biodra. Na głowie, przy hiszpańskim kapeluszu drżało strusie białe pióro, przypięte ogromnej wielkości rubinem w misternej srebrnej oprawie, za niem jednak zatknięty był obrazek blaszany świętego Stanisława.

Oko dumnie spoglądało po obecnych, a ręka spoczywająca na szabli więcej była przyzwyczajona do władania nią, niż do podnoszenia się z błogosławieństwem kościelnem.

Któżby z ówczesnych, spojrzawszy na tę okazałą postać, pełną grozy i dumy, nie poznał w niej Zawiszy biskupa, kanclerza państwa?

Niech nie zadziwia Czytelników ten tak niestosowny dla duchownej osoby ubiór, przecież kardynał De Nogaret de la Valette miewał pojedynki na cześć swoich kochanek i dwóch swoich przeciwników wyprawił do lepszych światów, a kardynał Richelieu bardzo często przywdziewał zbroję i sam dowodził wojskiem przy oblężeniu Rochelli; o zbytkach Zawiszy mówi Długosz.

Grono liczne panów, również bogato postrojonych, jechało po obydwóch stronach kanclerza. A więc jechał

obok: Szczęsny Sieciech, wojewoda lubelski, mąż pełen powagi, ze wzrokiem jakby zamglonym, ponuro spoglądający przed siebie... śniady, zawiędły; człowieka tego nawet wino nie potrafiło nigdy rozweselić, im więcej pił, tem stawał się posępniejszym. Wielkie nieszczęście, czy wielka zbrodnia, stały mu zawsze na pamięci, jedna tylko duma zdolna była poruszyć głębie tajemnic jego nieczułej duszy.

Zupełny kontrast ze swoim ponurym sąsiadem przedstawiał Lasota, wojewoda bełzki. Potężny wzrostem, rozrosły w plecach, twarz wesoła, krotofilna, pociągająca wyrazem swojej rubaszności, wyglądał przy swojej polskiej twarzy na cudzoziemca raczej wypolerowanego na wzorach zagranicznych, jak na magnata polskiego; czuć w nim można było człowieka, dla którego zarówno łatwo było zdobywać tryumfy w szrankach rycerskich, jak i w buduarach dam; tu także na pozór duma zaciemniała oblicze, ale była to tylko pycha gotowa do ustępstw z sumieniem i zarówno zdolna bawić się w powodzeniu, jak czołgać się przed mocniejszymi niby wyżeł.

Na zarumienionej jego twarzy znać było spełnione już liczne kielichy. Prowadził wesołą rozmowę z Zawiszą, czasami pozwalał koniowi sadzić w szczupakach, ale rzuty te, umiejętnie za każdym razem umiał powściągnąć wprawną ręką.

Po prawej stronie kanclerza jechał pan po staropolsku ubrany; wąs zawiesisty, złoty, czapka z białego aksamitu z brylantową kitą; koń pod nim rozrosły z szeroką piersią, z rozwartemi chrapami, czystej polskiej rasy, pokazywały magnata, pana na Biecku, kasztelana bieckiego, Hieronima Szpisko. Zelant to nieograniczonej wolności, zrozumianej po swojemu... zarówno dumny, jak głupi. Tuż za nimi postępowali panowie: Römer, kasztelan sieradzki; Szafraniec, Kmita, Swetecki Wojciech, podskarbi koronny, Służewski Jaśko, wojewoda sieradzki,

Krzepicki Stanisław, kasztelan sandomierski i wielu innych, a wszyscy błyszczeli od złota i jedwabiu, aksamitów i drogich kamieni.

Teraz dopiero pokazała się olbrzymia karoca, złocona, z rozpiętym dachem z makatów, oszklona kosztownemi wówczas szybami, sprowadzonemi z Wenecyi, a zaprzężona w sześć czarnych jak kruki koni, w uprzęży ozdobionej pozłacanemi kleszczynami. Foryś w jedwabnej delii, siedząc na licowym koniu pierwszej pary, kierował ekwipażem. Na wysokim koźle hajduk w bogatym kołpaku, trzymał lejce nabijane pozłacanemi mosiądzami; z tyłu karocy stało dwóch drabantów, po węgiersku ubranych, w bogatych, aksamitnych dołmanach.

W karocy na poduszkach wybitych jedwabną, blado-niebieską materyą, spoczywały dwie kobiety, obiedwie w poranku życia, uderzały wzrok swoją krasą i olśniewały ubiorem głów, na których błyszczały bogate ozdoby. Obiedwie miały tuniki z lekkiego jak pajęczyna, tureckiego muszlinu, koloru blado-różowego, przez który przebijało się ciało pełne rozkosznej woni. Zalotne pozy, jakie przybrały na pół leżąc, nadawały im postacie nimf czarownych. Były to ubogie krewne Zawiszy: Helena i Róża, zostające na jego opiece.

Helena, czarno-śniada bruneta, rozpuściła włosy swobodnie z pod wieńca, który okrywał jej głowę. W tym udanym nieładzie pozaczepiane w splotach włosów białe perły, pysznie się odbijały na czarnem tle. Na kolanach jej spoczywała lutnia, a u nóg bawiła się mała małpka, uwięziona na srebrnym łańcuszku, sprowadzona z murzyńskich krajów. Wyprawiała ona rozliczne skoki i wykrzywiała się potwornie.

Róża stanowiła zupełny kontrast ze swoją towarzyszką. Płeć jaśminowej białości, włosy jasno-popielate, obfite, lśniące, związane w węzeł grecki, przekłute ogromną złotą szpilką z dużym soliterem, który jak gwiazda

rzucał promienie naokoło; ciało pulchne, gorące, białe, karminowane drobnemi żyłkami, wabiło, przynęcało oko.

Róża zdawała się zupełnie zajętą dużą żółto-zieloną papugą, której klatka stała u jej nóg. Przekomarzała się z nią, podając jej i usuwając jakieś łakocie; to jednakże nie przeszkadzało obydwom damom prowadzić ożywionej rozmowy z panami jadącymi po bokach karocy; głośny, metaliczny śmiech często rozlegał się w powietrzu, na dźwięk którego Zawisza zwracał się i czasem mieszał się do rozmowy.

Dalej szło parę powozów napełnionych służbą kobiecą; za nimi postępował oddział Węgrów w sto koni, w narodowych strojach, stanowiący eskortę Zawiszy, poczem ciągnęły się orszaki bogato okryte, należące do różnych panów, a sztandary z godłami Porajów, Toporów, Leliwitów, Grzymałów, Łodziów, jasno pokazywały, do kogo należą i na czyje skinienie te bogato okryte kupy gotowe są rzucić się do walki lub rozboju. Szeregi postępowały jedne za drugimi, zdawały się bez końca, a gdy jeszcze do tego dołączyły się furgony z żywnością, kuchenną służbą, z dywanami, namiotami, winami, zdawało się, że to cała armia idąca na jakąś wyprawę.

Kiedy czoło tej kawalkaty już wychodziło na gościniec, koniec jej zaledwie opuszczał bramę zamkową.

Zetknięcie obydwóch orszaków ze sobą stało się nieuniknionem; łucznicy Zawiszy, postępujący na czele, już wydostali się na główny gościniec, prowadzący do mostów na Nidzie, przez które właśnie orszak królewskich sierot musiał się przedostać, chcąc swobodnie posuwać się dalej.

Butne miny służalców najpotężniejszego wówczas magnata wyraźnie pokazywały, że bynajmniej nie myślą usunąć się z drogi. Dowódca łuczników, jakby właśnie dla okazania lekceważenia zbliżającemu się orszakowi, jakiegoś, jak mniemał, »pidpanka«, uformował swoich

łuczników w szeregi po dziesięciu w rzędzie i zajął całą szerokość drogi, a sam jadąc na czele przy chorążym, niosącym »Poraja«, donośnie zawołał:

— Na bok szaraki! czapki z głowy i czekać aż przejdzie orszak Jego Ekscelencyi biskupa krakowskiego, kanclerza króla.

Jaśko z Żarnowa zadrżał z oburzenia na te ubliżające słowa; skinieniem uszykował swoich dziesięciu jeźdźców również w jeden szereg i sam wyjechawszy na czoło jego zakomenderował potężnym głosem:

— Na jeden cal nie ustępować mi z gościńca, rozwinąć sztandar Piastów, naciągnąć łuki i stać!

W jednej chwili komenda starego rycerza została wykonana; szeregowi rozsunęli się, zajmując całą drogę, naciągnęli łuki, a sztandar z orłem białym rozwinięty w tej chwili na froncie wspaniale zaczął igrać z wiatrem.

— Czapki z głowy — zawołał teraz jeszcze głośniej Jaśko — przed sztandarem Piastów, przed krwią królewską!

Potężny głos rycerza i groźne słowa zrobiły silne wrażenie. Cichy szmer rozszedł się w szeregach biskupich żołnierzy, nikt jednakże nie posłuchał rozkazu, nikt nie powitał sztandaru królewskiego odkryciem głowy i szeregi, zajmujące gościniec, ani na krok nie ustąpiły na bok.

— Kto jedzie? — zapytał się dowódca łuczników biskupich. — Kto śmie rozwijać sztandar białego orła w nieobecność pana naszego króla Ludwika?

— Czyż nie widzisz — zawołał Jaśko, zbliżając się z podniesioną szablą do dowodcy — czyliż ślepy jesteś, że zbliża się krew Piastów, najjaśniejsze królewny: Anna i Jawiga, córki nieboszczyka króla. Na bok! bo na rany żywego Boga, tą szablą roztrzaskam ci łeb na dwoje!

— Rycerzu Jaśku ze Żarnowa — odezwał się z kolasy przyciszony głos królewnej Anny — proszę was tu na chwilę.

Rycerz pohamował swój pierwszy zapęd gniewu, ściągnął cugle konia i w kilku rzutach znalazł się przy drzwiczkach kolasy.

Królewna Anna, blada jak marmurowa statua, ciskając z oczów gniewu błyskawice, zapytała drżącym głosem:

— Co znaczy to zajście na gościńcu? Komu grozicie i co to są za ludzie, co śmią nie szanować krwi swoich panów?

— To orszak Zawiszy, miłościwa królewno, nie chce wam ustąpić z drogi.

— Zuchwalec! — zawołała Anna. — Och, czemuż nie jestem mężczyzną! Nie ustępować ani na krok, chociażby nas wszystkich mieli stratować kopytami koni.

— Takie właśnie wydałem rozkazy, miłościwa pani, po trupach tylko moich ludzi i moim przejdą pyszałki.

Tymczasem Zawisza i jego otoczenie, zdaleka spostrzegłszy, iż jakiś orszak chudopacholski śmie zatrzymywać ich pochód, zdziwienie swoje okazywali w głośnych słowach oburzenia.

— Rozpędzić tę hałastrę na cztery wiatry — zawołał kanclerz. — Tam jakieś czeczotki muszą jechać w tej kolasie, przyprowadzić mi je tu, damy im na drogę błogosławieństwo.

Janczy, dowódca łuczników, Węgier z rodu, ale rozumiejący doskonale po polsku, rad bardzo był spróbować swojej szabli przeciw nienawistnym mu Polakom; nie tak dawno jeszcze na ulicach Krakowa krew węgierska obficie została przelana z błahego na pozór powodu; Węgrzy napadli na służbę szlachcica Przedbora z Brzezia, chcąc przyswoić sobie przemocą siano, przywiezione dla jego koni, wszczęła się bójka, w której Jaśko Kmita, starosta krakowski, starając się uśmierzyć walczących, poległ. Zgon gwałtowny tak wielkiego pana, zrobił silne wrażenie i oburzył na Węgrów wszystkich

mieszkańców Krakowa, w jednej chwili całe miasto się uzbroiło; Polacy napadli na Węgrów i sprawili wielką rzeź pomiędzy nimi. Przerażona królowa Elżbieta uciekła do Węgier; z pogromu tego ocalał Janczy, schroniwszy się pod opiekę klasztoru. Teraz, pozostając w służbie biskupa Zawiszy, pałał wściekłym gniewem i zemstą za krew swoich braci; teraz nadarzała mu się sposobność odwetu, z jakąż lubością pławiłby się we krwi swoich zaciętych wrogów.

Kiedy Zawisza wydał rozkaz rozpędzenia tej, jak nazywał »hałastry« i przyprowadzenia do siebie czeczotek, Janczy, nie czekając dłużej, rozkazał naciągnąć łuki swoim łucznikom, a sam z podniesioną szablą, dawszy koniowi ostrogę, rzucił się do kolasy, chcąc spełnić rozkaz swojego pana. Nie zdążył jednak jeszcze dotrzeć, kiedy Jaśko wysunął się naprzeciw niego; w jednej chwili odczepił swój straszny topór od łęku siodła i zaczem Węgier miał czas się opamiętać, ostrze topora świsnęło w powietrzu i z takim zamachem uderzyło w łeb konia węgierskiego, że ten jak pomarańcza na dwoje się rozczepił, a mózg biednego zwierzęcia, jak płat śniegu biały, zafarbował się krwią; trup ten z rozłupanym łbem przez chwilę stał nieruchomy, raptem drżenie konwulsyjne zatrzęsło jego ciałem i runął na ziemię, przywalając swoim ciężarem jeźdźca.

Teraz stary rycerz szybko zeskoczył z konia, uchwycił za kark zbladłego ze strachu żołdaka i wyciągnąwszy go z pod konia, przyprowadził do samych drzwiczek kolasy królewien.

— Na kolanach błagaj łotrze przebaczenia królewien — zawołał, podnosząc topór nad głową.

Węgier ogłuszony jeszcze gwałtownym upadkiem, błędnem okiem spoglądał naokoło, spodziewając się zapewne pomocy od swoich, ale kiedy wzrok podniósł do góry i spotkał się ze wzrokiem starego rycerza, zrozu-

miał, że jedna chwila wahania, a śmierć jego nastąpi prędzej, zaczem ktokolwiek będzie mógł pospieszyć z pomocą; nie wahając się więc, przyklęknął na drodze i podnosząc rękę do góry, rzekł:

— Nie miałem złych zamiarów względem was, dostojne panie; chciałem tylko wypełnić rozkaz mojego pana i zawezwać was przed jego oblicze.

— Nas zawezwać przed oblicze poddanego naszego ojca! nas, córki królewskie przed pana Zawiszę! który za życia króla Kazimierza nie śmiałby się zbliżyć do nas, bez naszego pozwolenia! zuchwalec! — zawołała oburzona Anna.

— Powstań człowiecze — odezwała się Jadzia — udaj się do swojego pana i powiedz mu, że w Budzyniu przed królem Ludwikiem sprawić się będzie musiał ze swojego zuchwalstwa.

Tymczasem Zawisza, zdala patrząc na scenę odgrywającą przed jego oczami, a nie wiedząc jeszcze z kim ma do czynienia, zawrzał straszliwym gniewem; ubódł konia ostrogą i chciał przedostać się na czoło orszaku. W tej jednak chwili wojewoda bełzki Lasota podniósł rękę do góry, powstrzymując go, i rzekł, wskazując na sztandar rozwinięty przed frontem:

— Czy widzi Wasza Ekscelencya, jakie tam godło powiewa? Tam orzeł biały się unosi! Tam jest ktoś z familii królewskiej.

Zawisza powstrzymał konia i wzrok swój zwrócił na furkoczący w powietrzu sztandar.

Rzeczywiście, orzeł biały w purpurowem polu, godło Piastów.

Czyżby to był dwór Władysława Opolczyka? Ale korona królewska nad nim się unosi. Któżby to więc mógł być?

W tej chwili jeden z dworzan przybliżył się, i odpowiadając na pytanie biskupa, rzekł:

— To są królewny Anna i Jadwiga, jadące z chęcińskiego zamku do Węgier; poznałem zdaleka rycerza Jaśka z Żarnowa, który Janczego tak łatwo rzucił o ziemię, jak chłop z wozu wiązkę siana.

Zawisza podniósł wzrok do góry, jakby się nad czemś namyślał; panowie towarzyszący mu w milczeniu spoglądali po sobie.

— Ach! teraz przypominam sobie — odezwał się nareszcie — królowa Elżbieta, matka, wezwała je do przybycia na swój dwór do Budzynia. Dumne to bardzo dziewki, ale tam, na dworze króla Ludwika, duma ich zostanie trochę przytarta.

— Trzeba jednak, żebyś Wasza Ekscelencya rozkazał przepuścić ich orszak i okazał im honory należne — rzekł Römer, kasztelan sieradzki. — To przecież krew królewska.

— A ja, *Vice rex!* — zawołał biskup, dumnie podnosząc głowę. — Ja, osoba duchowna, mam ustępować przed dwiema białogłowami z podejrzanego związku zrodzonemi? Nigdy!

— Więc przyjdzie do rozlewu krwi — rzekł Römer. — Znam Jaśka z Żarnowa; mężniejszego rycerza niema może w Polsce, a głęboki szacunek, jaki żywi dla krwi Piastów, nie pozwoli mu na żadne ustępstwo; krew się poleje, a ja, oświadczam to Waszej Ekscelencyi, z moim hufcem, stanę po stronie królewien.

Wyrzekłszy to, nie czekając odpowiedzi, zwrócił konia, udał się do swoich ludzi i wydał rozkazy odpowiednie.

Oddział Römera natychmiast uszykował się, a składało go pięćdziesiąt koni.

Tymczasem i pozostali przy kanclerzu panowie widocznie nie podzielali zapatrywań swojego przywódcy, bo zaczęli półgłosem wymieniać rozmaite uwagi pomiędzy sobą.

— Jużcić, z kobietami nie będziemy przecież wojować — wyrzekł ponuro Szczęsny, wojewoda lubelski.

— Wojna sutanny ze spódnicą, to odpowiednie sobie — śmiejąc się, powiedział wojewoda bełzki. — Nasz kanclerz lubi takie boje i nierzadko podobno zostaje zwycięzcą. My usuniemy ręce od tego kazusa.

Zawisza jednak zanadto był człowiekiem rozsądnym i wykształconym na dworach zagranicznych, żeby pomimo swego pyszałkowatego charakteru, chciał rzeczy przyprowadzić do ostateczności, chociaż tytułował się *Vice rexem* i rzeczywiście posiadał jego władzę, ale spotkane kobiety były to córki królewskie, a w krwi Polaków tkwiło zawsze uszanowanie dla swoich panów. Chociaż ze śmiercią ojca królewny zeszły na drugi plan, ale losy ich nie były jeszcze stanowczo zdecydowane i Zawisza dyplomata, widząc niechęć panów do burdy, w jednej chwili zmienił swoje postępowanie.

— Biegnij mi duchem do Janczy — rzekł do jednego z dworzan. — Powiedz mu, niech rozkaże swojemu oddziałowi ustąpić na bok i niech przepuści ten orszak. Jużcić z kobietami nie będziemy się bić, jak słusznie mówi wojewoda.

Jancza, wypuszczony właśnie ze szponów rycerza Jaśka, kulejąc na jedną nogę, piechotą, ze wstydem, zbliżał się do swojego oddziału; podano mu jakiegoś luźnego konia. Nie bez trudności dosiadł go, a wysłuchawszy rozkazu swego pana, zgrzytnął zębami ze złości, złowrogo spojrzał na zwycięskiego przeciwnika, który powrócił do swojego oddziału i spokojnie teraz stał na jego czele.

— *Basem terem tetem!* Na prawo junaki, uczynić wolną drogę dla tych pań, co podróżują z orszakiem godnym jakiego kwestarza Bernardynów.

Łucznicy w milczeniu dopełnili rozkazu swego dowódcy. Muzykanci, grający dotąd skoczne jakieś melo-

dye, ucichli i zeszli na bok, szyderczo spoglądając na zbliżający się oddział.

Zawisza ze swoimi towarzyszami, stojąc na boku, nie pospieszył na przywitanie królewien, ale nie tak postąpił Römer, kasztelan sieradzki. On, na czele swego oddziału, pomału przesunął się przez szeregi biskupa i stanąwszy na kilkadziesiąt kroków od orszaku pań, zeskoczył z konia i z odkrytą głową zbliżywszy się do ich kolasy, rzekł:

— Czołem biję waszym książęcym mościom, przyprowadzam mój oddział na ich rozkazy i sam staję w szeregu ich wiernych sług, gotowych wypełnić każde ich zlecenie.

Oddział pięćdziesięciu jeźdźców kasztelana nie odznaczał się wytwornym strojem jak innych panów, nie widać tu było aksamitów i jedwabi, na głowach nie powiewały kosztowne pióra, ale pierś każdego z żołnierzy okryta była zbroją żelazną, na głowach ich błyszczały w świetle słonecznem misiurki, każdy z nich oprócz ciężkiej szabli u boku, koncyrza, miał przy lewem strzemieniu zawieszoną długą kopię z potężnem żelaznem ostrzem na końcu; konie jednej więzi z własnego stada kasztelana, przywykłe do mustry, stały spokojnie we wzorowym porządku.

Sam kasztelan podobnież był przyodziany, ale półzbroja jego lśniła się wypolerowana jak zwierciadło, a na szyszaku on jeden miał zatknięte strusie pióro.

Był to mąż, mający nie więcej jak lat trzydzieści, dorodny i tak swobodny w żelaznej zbroi, jak gdyby w miejsce łuszczek stalowych, okrywały go jedwabie; zdawał się nie czuć jej ciężaru, a jednak grubość tej zbroi niejednokrotnie już odparła strzały Tatarów i potężne ciosy litewskich szabli; podniesiony szyszak dawał widzieć rysy twarzy łagodne, ale nieugięte; niebieskie oko przy płowych włosach, usta rumiane, ocienione jasnym

wąsem, przedstawiały młodzieńca w całej pełni krasy. To też zjawienie się jego miłe bardzo na siostrach zrobiło wrażenie, tembardziej, że stało się w chwili, kiedy im się zdawało, że są opuszczone od wszystkich dawnych przyjaciół królewskiego rodu.

— Wdzięczne wam jesteśmy, panie kasztelanie — odpowiedziała Anna — za wasze słowa szacunku i obietnicę pomocy; aleć jeszcze jesteśmy w ziemiach naszego świętej pamięci ojca i nie sądzimy, żeby nam tu cokolwiek zagrażać miało; a ten napad szalony jednego z dworzan Zawiszy, poczytujemy tylko za skutek pijaństwa.

Tymczasem młody kasztelan utkwił swój wzrok w licu królewnej Jadzi. Zdawało się, że nie jest w stanie od niego się oderwać, że jakaś siła nadprzyrodzona przykuwa go do miejsca i nie pozwala mu nic więcej widzieć, ani słyszeć, jak tylko twarz księżniczki i szmer oddechu jej różanych ust.

Królewna Jadzia z całą swobodą niewinności dziecięcej przypatrywała się rycerzowi, nie spuszczając bynajmniej wzroku przed jego ognistem spojrzeniem; dorodna postać, chód wspaniały i głos pełen brzmień metalicznych, miłe na dziewczęciu zrobiły wrażenie. Kasztelan spostrzegł to i oczy jego zajaśniały niezwykłym blaskiem, z uszanowaniem skłoniwszy głowę, odpowiedział:

— Bezwątpienia, czyn dworzanina Zawiszy jest szaleństwem, zmniejszyć tylko jego winę może niewiadomość, z kim się spotkał orszak jego pana.

— Czyliż już w Polsce nastały czasy, że ten ptak biały z koroną, tak wspaniale unoszący się na naszym sztandarze, przestał już być znajomym jej obywatelom?

— O, nie! najmiłościwsze panie — zawołał z zapałem Römer — na ziemiach tych nigdy nie nastanie taka chwila, w którejby się znalazł Polak niegodny, nie umiejący uczcić godła wsławionego tylu zwycięstwami. Była to tylko omyłka, którą raczcie przebaczyć.

— Znamy pana kanclerza — odpowiedziała wyniośle Anna — i wiemy jak daleko pycha prowadzić go może, ale sądziłyśmy, że świetny wychowaniec dworów zagranicznych, nieodstępny towarzysz zabaw naszej ciotki, będzie umiał zachować przynależne względy krwi swoich panów; tobie zaś, panie kasztelanie, dziękujemy za wyrazy współczucia i nie zapomnimy tego nigdy. A teraz — rzekła, zwracając się do Jaśka — kiedy drogę mamy już wolną, ruszajmy dalej.

— Pozwólcie jednak, miłościwe panie, przeprowadzić się po za Nidę z moim orszakiem, na znak czci, jaką mam dla córek nieśmiertelnego króla.

I Römer, nie czekając odpowiedzi, stanął na czele swojego oddziału, dumnie wzniósł głowę i z wydobytą szablą wyprowadził go na czoło pochodu.

Jaśko z Żarnowa ludźmi swoimi otoczył kolasę i ruszono w dalszą drogę.

Na skręcie drożyny, prowadzącej od zamku do głównego gościńca, którym postępował orszak księżniczek, stał *Vice rex*, dumnie opierając rękę na złocistej szabli, przy nim grono magnatów, jego przyjaciół i towarzyszy.

Kiedy Römer zbliżył się na czele swego oddziału do mostu, a za nim postępował Jaśko, mając przy sobie chorążego z rozwiniętym sztandarem Piastów, wszyscy panowie spoglądali na kanclerza, czekając znaku, jak im wypadnie uczcić godła królewskie. Ale Zawisza stał milczący, dumny, bacznie wpatrując się w twarze uroczych księżniczek.

Römer, jadący na czele swego hufca, zawrzał gniewem na widok tego lekceważenia, okazywanego umyślnie.

— Szable w górę! — zakomenderował swym donośnym głosem.

Chrzęst żelaza rozległ się w powietrzu i pięćdziesiąt szabli doświadczonych żołnierzy błysnęło, gotowych na skinienie wodza napoić się krwią.

Kasztelan sieradzki wysunął się koniem na sam front i podnosząc rękę uzbrojoną szablą do góry, groźnie zawołał:

— Orzeł królewski! Królewny zbliżają się. Okrzyk na ich cześć, panowie szlachta!

Słowa te poparte były tak surowym giestem, powtórzonym przez pięćdziesięciu jeźdźców, gotowych rzucić się jak tygrysy, że wszyscy panowie jednocześnie odkryli głowy i wydali okrzyk:

— Cześć sztandarowi Rzeczypospolitej! Cześć miłościwym królewnom! Cześć krwi Piastów!

I wszystkie chorągwie magnatów pochyliły się w jednej chwili ku ziemi.

Jeden tylko Zawisza nie uchylił kapelusza, nie wydał głosu, stał milczączy, zapatrzony w piękne oblicze królewnej Jadzi, a sztandar z Porajem swobodnie unosił się w powietrzu.

Królewny lekko pochyliły głowy na znak podziękowania panom.

Jaśko z Żarnowa, nadjeżdżając ze swoim nielicznym orszakiem, groźnie spojrzał na dumnego magnata, a widząc, że ten zapatrzony w królewny, nie zwraca na niego uwagi, krzyknął:

— Poraj! pokłon krwi królewskiej!

Lecz sztandar Zawiszów ani drgnął. Wówczas stary rycerz, nie namyślając się ani chwili, natarł koniem na stojącego chorążego. Szabla jak błyskawica zaświeciła w powietrzu, przecięła drzewce podtrzymujące chorągiew Poraja i ta pokornie upadła na ziemię u stóp jego konia. Jaśko stratował ją podkowami rumaka i z głową dumnie podniesioną powrócił na czoło swego oddziału.

Zawisza zbladł, widząc sromotną obelgę wyrządzoną swemu godłu.

Ręka, spoczywająca na szabli, bezwiednym ruchem, wydobyła ją do połowy i już na ustach wisiał rozkaz

rozsiekania dumnego szlachcica, gdy Szczęsny, wojewoda lubelski, stojący najbliżej *Vice rexa* zlekka dotknął się jego ramienia, mówiąc:

— Nadejdzie pora na zapłatę... cierpliwości, szlachetny panie! Ostatnie to drgania upadającej potęgi.

— Cóż znowu — prawie jednocześnie odezwał się kasztelan biecki Szpisko — co jegomość myślisz dokazywać, rozpoczynać wojnę z babami?

— Czyż nie widzisz, że Poraj leży na ziemi, podeptany kopytami konia tego szlachetki i ja to mam darować, puścić płazem bezkarnie?

— Mości kanclerzu, miłościwy nasz panie — odezwał się, śmiejąc Lasota, wojewoda bełzki — miałżebyś ty serce rozlewać krew w oczach tak pięknych dziewek, lepiej podnieś swą rękę ozdobioną pierścieniem i daj im błogosławieństwo na drogę.

Zawisza zawahał się. Z jednej strony obrażona duma magnata, gniew straszny, popychały go do gwałtownego czynu, bez względu na skutki, jakieby za sobą mógł pociągnąć; z drugiej wrodzona rozwaga, chociaż przyćmiona licznymi kielichami, mówiła mu: że na pomoc panów teraz mało rachować może, gdyż ci widocznie nie brali do serca wyrządzonej mu tak strasznej zniewagi.

Tymczasem Römer jednym rzutem oka ocenił całe położenie. Widział zuchwały czyn, popełniony przez Jaśka z Żarnowa, widział, jak twarz Zawiszy zbladła z oburzenia i rozumiał to dobrze, że jeżeli przyjdzie do starcia, to oddziały kanclerza nawet bez pomocy panów zgniotą dziesięciu ludzi, którymi mógł rozporządzać stary rycerz; przezornie więc zakrył swoim oddziałem bok gościńca, przepuścił najpierw kolasę królewien z oddziałem Jaśka, a sam teraz ze swoimi pięćdziesięcioma w stal zakutymi wojakami, zajął cały środek drogi, stanowiąc nieprzebytą żelazną ścianę.

Spostrzegł Zawisza, że teraz przedewszystkiem trzebaby się zmierzyć z Römerem i jego oddziałem; zadanie to nie było łatwe do rozwiązania, bo kiedy orszaki Zawiszy i towarzyszących mu panów pokryte były jedwabiami, aksamitami, lekko uzbrojone; kasztelan sieradzki i hufiec jego mieli na sobie zbroje i stanowili jakby ruchomą fortecę. Przygryzł więc wargi sine od gniewu, i obracając się do otaczających go panów, rzekł wielce wzburzony:

— Widzieliście obrazę wymierzoną godłom mojego rodu, widzicie przewagę, jaka jest po mojej stronie; mógłbym zgnieść w mgnieniu oka tę garstkę awanturników, nie wątpicie więc, że jeżeli się powstrzymuję od wymierzenia sobie natychmiast sprawiedliwości, to skłania mnie do tego raz godność biskupa, sługi pokoju, a drugi raz godność kanclerza, obrońcy praw krajowych. Sądzę więc, że nikt nie ośmieli się powątpiewać, że nie bojaźń powstrzymała rękę mojej sprawiedliwości.

— I zapewne nie oddział pięćdziesięciu zbrojnych Römera — szepnął, dwuznacznie się uśmiechając, wojewoda bełzki.

— Ale któżby chciał wymierzać ciosy przeciwko strzałom kupidyna, któremi uzbrojono te dziewoje — dorzucił Lasota.

— Jednakże zastanawia mnie bardzo postępek Römera — mówił sam do siebie Zawisza. — W jednej chwili przerzucił się odemnie w służbę tych dumnych pań... Zakarbuję ja to sobie w pamięci i kiedy przyjdą obrachunki wprowadzę w rejestr.

— Jednak przyzna wasza miłość, że obiedwie te dziewki godne są królewskiej ręki — dorzucił Lasota.

Zawisza nic nie odpowiadając, wydał rozkaz, żeby oddziały postępowały naprzód, a muzyka, która ucichła, odezwała się teraz piekielną wrzawą. Zdeptaną chorągiew rozkazał podnieść i starannie zachować.

— Sztandar ten, podeptany tak zuchwale, przedstawię królowi Ludwikowi. Łatwo on oceni, jakie myśli buntownicze krążą po głowach tych kobiet; im się marzy jeszcze, że na głowach ich może kiedyś spocząć korona królewska.

— Dlaczegóżby nie — odezwał się Szczęsny. — Król niema syna, a same dziewki. Po najdłuższem jego życiu, córki Kazimierza mogą się upomnieć o swoje prawa do tronu.

— Zwłaszcza, jeżeli wyjdą za mąż za monarchów panujących — dorzucił Lasota.

Biskup słuchał tych uwag w milczeniu, ale gdy wojewoda bełzki rzucił te ostatnie słowa, potrząsnął głową i odrzekł:

— To nigdy nie nastąpi.

— Dlaczegoby nie? Naród kocha krew Kazimierza i gotów ją poprzeć całemi siłami — rzekł kasztelan biecki.

— Czy i potomstwo Estery cieszy się równymi względami u narodu? — zapytał szyderczo Zawisza.

— To co innego zupełnie — odparł Lasota. — To dzieci w nieprawym związku zrodzone, a to sieroty, w których i po matce płynie krew Piastów.

— Nie uświęcona jednak sakramentem małżeństwa — odrzekł poważnie biskup.

— Jak to? — zapytał się żywo Szczęsny. — Przecież matka ich, księżniczka Głogowska, była zaślubiona uroczyście przez króla.

— I Rokiczana była także uroczyście zaślubiona — odparł Zawisza — a związek ten nie miał żadnego znaczenia. Małżeństwo króla nieboszczyka z księżniczką Głogowską jest także nieważne z przyczyn kanonicznych.

— Pierwszy raz o tem słyszymy! — zawołał wojewoda bełzki. — Jak się to ma rozumieć, raczcie nam objaśnić, szanowny panie.

— Bo Adelajda, prawa małżonka króla, żyła jeszcze wówczas, gdy król zawierał śluby z Jadwigą; związek taki nie może mieć sakramentalnego znaczenia.

— Ależ przecież król już uzyskał rozwód — rzekł Lasota bardzo poważnie — a nawet już podobno nie żyła Adelajda.

— Czyż nie wiecie, panie wojewodo, że w Kościele katolickim rozwód daje tylko śmierć — odparł poważnie Zawisza. — Jest tylko unieważnienie małżeństwa w pewnych wypadkach, a tutaj nie było tak ważnych powodów.

— Nikt się nie odważy wystąpić z takimi zarzutami — zawołał Szpisko — niktby je nie poparł i upadłyby natychmiast.

— Znajdą się ludzie śmiali, wojewodo — odparł, uśmiechając się Zawisza — którzy twardo staną przy dopełnieniu swoich obowiąków i nie zawahają się wypowiedzieć prawdy wobec całego narodu.

Tymczasem oddziały magnatów podniosły się już na wzgórze gipsowe po za Wiślicą i zbliżyły się do Zielonego Hotelu, który z białym swoim kościółkiem, wystawionym na gipsowej górze, zdaleka wspaniały przedstawiał widok.

— Smutne losy czekają tę piękną naszą krainę — mówił zadumany Szczęsny — korona przeszła na cudzoziemca, nieumiejącego nawet po polsku. Wprawdzie w nim płynie krew Piastów, ale zrodzonego na obcym tronie, poświęconego interesom Węgier, a mało dbającego o losy naszej ziemi.

— A do tego nie mającego potomstwa płci męskiej i chcącego nam narzucić na swoje następstwo jednę ze swoich dziewek, Węgierkę — powiedział bardzo żałośnie Szpisko.

— Nie obejdzie się bez wojny, naród nie zgodzi się na to — dodał Lasota.

— Na wszystko znajdą się sposoby — odpowiedział, uśmiechając się kanclerz. — Król Ludwik jest potężnym panem i nie lubi żartować.

— Przecież nas za kark nie weźmie i nie przymusi do zaprzysiężenia wierności swojej córce, jeżeli nam się to nie podoba.

— Na sejmie w Budzyniu będziemy rozbierali te kwestye, mości panowie — przerwał Zawisza. — Teraz wam tylko powiem, że król myśli postanowić nowy podatek »poradlne« na szlachtę i duchowieństwo.

— Pierwej się damy rozrąbać na kawałki, pierwej obrócimy w perzynę wsie i zamki, niż przystaniemy na taką nowacyę i pozwolimy obciążyć stan szlachecki podatkami; od tego są chłopi, żeby płacili, my podatek uiszczamy krwią naszą, zasłaniając swemi piersiami cały kraj — zawołał, targając gwałtownie konia Szpisko.

— Czy duchowieństwo zgodzi się na udział w podatku, który się ma narodzić tak niespodzianie? — zapytał Szczęsny, ironicznie się uśmiechając.

— Duchowieństwo nasze nigdy na zgubę kraju nie działało, sądzę więc, że się z ochotą zgodzi na zapłacenie ze swoich dóbr, co na nie przypadnie.

— A jak stanie okoniem względem tego nowego postanowienia?

— Damy i jemu radę — odparł, uśmiechając się kanclerz.

A zmieniając rozmowę, dodał:

— Dziś już nie zdążymy do Kurozwęk, zajedziemy więc po drodze do Strzelec, rezydencyi Suchego Wilka i tam przenocujemy; ale że gospodarza niema w domu, bo bawi w Budzyniu przy królu, nie szczególna czeka nas tam wieczerza. Za to jutro panowie, w Kotuszowie, moim zameczku, powetujecie trudy i niewygody podróży.

Przebyto Dobrowodę, wieś należącą do Zawiszy, z nowo wystawionym kościółkiem przez króla Kazi-

mierza, w której kiedyś Zawisza miał zakończyć swój żywot; wokoło niej ciągnęły się dobra biskupie zasiane licznemi wsiami; z lewej strony gościńca widać było kościół świeżo wzniesiony w Busku, dalej na górze majaczył szaniec; a na prawej stronie bieliły się »Piaski Wielkie« z zamkiem należącym do Toporów domu. Muzyka przestała wygrywać skoczne melodye i całe oddziały postępowały dalej w milczeniu drogą prowadzącą do Stopnicy.

Rozdział III.

R ö m e r.

Tymczasem królewny, przedostawszy się przez liczne mosty na Nidzie, po szerokiej, kamienistej drodze wyjechały na przepiękne zielone błonia, rozciągające się po stronie Pełczysk.

Zamek pełczyski sterczał zdaleka, osłonięty staremi lipami jak gniazdo ptaszka. Morze kwiecistych łąk, falowane wiatrem, rozlewało się naokoło, a po niem wiła się srebrna wstęga Nidy.

Pełczyska, zamek niegdyś Muszkaty sprzymierzonego z wrogami bohaterskiego ich dziada, nieśmiertelnego Władysława Łokietka, ileż on wspaniałych wspomnień przywodził teraz sierotom. Tu wielki ich przodek, zdobywszy go z garstką wiernych przyjaciół i usadowiwszy się w nim, założył pierwszy kamień węgielny jedności państwa, połączenia rozszarpanych cząstek Rzeczypospolitej i utworzenia z niej potęgi, którą ich ojciec rozwinął tak wspaniale i otoczył takim majestatem dobroczynnego spokoju.

Miejscowość była tak urocza, że królewny rozkazały rozbić namioty na szmaragdowych dywanach, utkanych przez niezrównaną mistrzynię... naturę, rozścielonych na prawym brzegu Nidy, i tu postanowiły dać wypoczynek strudzonemu swemu orszakowi.

Römer ustawił swój oddział na boku, jeźdźcom jednak nie kazał zsiadać z koni, sam tylko zeskoczywszy ze swojego i oddawszy go luzakowi do potrzymania, stawił się przed namiotem sióstr.

Młody, bogaty, a namiętny kasztelan był oczarowany od chwili, kiedy ujrzał królewnę Jadzię, którą przed kilku laty widywał na Wawelu dzieckiem, na które wówczas nie zwracał prawie uwagi, chociaż była to ulubiona córka zmarłego króla, »rozkoszna jaskółeczka«, jak ją nazywał ojciec; teraz ta ptaszynka przedstawiła mu się w całym blasku dziewiczej krasy, a lubo wesoły dwór królewnej Elżbiety roił się od piękności obydwóch narodów, rywalizujących zawsze z sobą w waleczności mężczyzn i piękności kobiet, podobnej jednak do tej gwiazdy, nie zdarzyło mu się napotkać.

— To bogini! — powtarzał w duchu — to nie kobieta, to bóstwo!

Do tej pory Römer, lubo znane mu było unieważnienie testamentu króla, pokrzywdzenie sierót i wyzucie ich z majątków ojczystych, lubo niejednokrotnie słyszał głuche wieści, iż zamierzono dalej się jeszcze posunąć w samowoli rozporządzania ich losem, że je uprowadzano do Węgier, ażeby tam zamknąć w klasztorze, iżby z czasem nie rościły sobie pretensyi do tronu, mało jednak na to zwracał uwagi. Ale teraz, kiedy spotkał się oko w oko z pokrzywdzonemi sierotami, kiedy w oczach jego starano się wyrządzić im zniewagę, serce szlachetnego człowieka silnem zabiło uczuciem dla nieszczęśliwych i oburzeniem przeciw srogości ich nieprzyjaciół.

Decyzye u niego były zawsze prędkie i stanowcze. Teraz więc, nie namyślając się długo, ślubował ofiarować im swoje usługi i opiekę. Nagłe to postanowienie było zgodne z jego charakterem; ludzie czynu decydują się prędko, a decyzye zamieniają w bardzo doniosłe fakta spełnione.

Towarzyszył wprawdzie kanclerzowi w jego podróży do Kurozwęk i brał udział w uczcie, jaka wyprawiona była na zamku wiślickim, ale jedynie tylko dla tego, iż pragnął zbadać, jakie narady odbywać się będą w Kurozwękach u ojca Zawiszy, narady, które stanowić miały o losach kraju; teraz jednakże, kiedy spotkał na drodze swojej królewny, zaniechał myśli jechania do Kurozwęk, a postanowił odprowadzić je do Węgier i czuwać nad ich bezpieczeństwem.

Kiedy zbliżył się do namiotu, który zajmowały królewny, zawahał się podnieść zasłonę, zakrywającą wejście, przy której stał tylko jeden żołnierz na służbie.

Wkrótce jednak kotara, stanowiąca drzwi, podniosła się do góry ręką służebnej, a kasztelan zobaczył obydwie siostry siedzące na dywanie rozesłanym na murawie.

— Prosimy was, rycerzu, do środka — odezwała się uprzejmie Anna. — Raczcie podzielić z nami skromny nasz posiłek, przyjąć podziękowanie za rycerskie znalezienie się i zarazem pożegnać się, bo zapewne spieszno wam jest dognać kawalkatę Jego Excellencyi.

Kasztelan przestąpił próg namiotu; oczy jego spotkały się z oczami Jadwigi, na której twarzy wykwitnął płomienny rumieniec. Chcąc go ukryć, spiesznie nachyliła się ku ziemi, długo podnosząc kwiatek, który jej wypadł niespodziewanie z ręki.

— Miłościwe królewny — odrzekł kłaniając się rycerz — wdzięczny jestem za zaszczyt, jaki mnie spotyka w zaproszeniu do spożycia z wami posiłku. Zaszczyt ten przewyższa najśmielsze moje pragnienia, a na podziękowanie zupełnie nie zasłużyłem, bo nie zrobiłem dotąd nic takiego, coby mnie do tego zaszczytu podnosiło. Co zaś do pożegnania, to raczcie darować miłościwe panie moją śmiałość, że proszę was pokornie o pozwolenie powiększenia waszej eskorty i odprowadzenia na miejsce, do którego dążycie.

— Ależ kasztelanie! — zawołała Anna. — Czyż nie wiecie, że my opuszczamy Polskę, że udajemy się nie do Krakowa, ale do Węgier, na dwór króla Ludwika, który nas przyzywa do siebie, że to bardzo daleka podróż, a wy nie jesteście zapewne do niej przygotowani.

— Kiedy mam konia mojego pod sobą, szablę moją przy boku i ten oddział wypróbowanych towarzyszy, cóż mi więcej może być potrzebne do podróży? Byłem z nim na Rusi przeciw Tatarom i nad Narwią przeciw Krzyżakom; toć przy pomocy Bożej i do Węgier zajść potrafię.

— Aleć my nie widzimy żadnego niebezpieczeństwa, któreby nam mogło grozić w podróży... nie słychać przecież o napadach Tatarów.

— Miłościwa pani — odparł Römer — my o napadach dziczy wtenczas dopiero usłyszymy, kiedy łuna palących się wiosek już zaświeci na niebie, a wiatr przyniesie nam kłęby dymu i jęki ofiar mordowanych; oni uderzają niespodzianie jak strzała wypuszczona z zasadzki, która pierwej utkwi w piersi, zaczem ją oko spostrzeże; ale nie sami tylko Tatarzy mogą zaniepokoić tak mały oddział, jaki prowadzi Jaśko z Żarnowa. Chłopstwo przerażone morową zarazą, przyciśnięte głodem, włóczy się po opustoszałych drogach i nierzadko napada na podróżnych; pragnąłbym więc, o ile sił moich na to starczy, stać się pożytecznym waszym królewskim mościom i szczęśliwie je doprowadzić do samego Budzynia.

Królewna Anna wdzięcznie spojrzała na kasztelana, z którego twarzy otwartej jaśniała szczerość; Jadzia, płonąc się, słuchała słów rycerza.

— Panie kasztelanie, zdaje się, że przesadzacie niebezpieczeństwa mogące nas spotkać — odparła Anna. — Stan kraju dostatecznie powinien być znany *Vicerexowi* i obowiązkiem jego było zabezpieczyć nasze osoby. Je-

żeli tego nie uczynił, musi być pewnym naszego bezpieczeństwa.

Römer na te słowa smutnie się uśmiechnął i odrzekł:

— Jego Excelencya zanadto jest zajęta dalekimi projektami i blizkiemi zabawami, ażeby mógł przewidzieć wszystko; a samo jego zachowanie się przy spotkaniu w dniu dzisiejszym jasno dowodzi, że nie ma dostatecznych względów należnych krwi waszej. Nie sprzeciwiajcie się więc Miłościwe Panie i pozwólcie mi sobie towarzyszyć.

W tej chwili Jaśko z Żarnowa wszedł do namiotu.

— Otóż przybywa nasz dzielny opiekun w podróży — rzekła Anna — jemu przedstawcie panie kasztelanie swoje żądanie, a jak on wyrzecze, pójdziemy za jego zdaniem.

Stary rycerz był jeszcze silnie wzburzony wspomnieniem nieuszanowania, jakie okazał Zawisza i otaczający go magnaci krwi Piastów. Napad Janczy i ostatni akt porąbania Poraja nie dawały mu się uspokoić; zbliżając się więc do kasztelana i wyciągając jednocześnie do niego rękę, rzekł:

— Koniec świata, miłościwy kasztelanie! Do czego to już przyszła ta butna krew Porajów. Temu pysznemu pankowi zdaje się, że jest nietylko zarządcą Rzeczypospolitej, ale jej władzcą, że już korona królewska unosi się nad jego głową, gdy tymczasem jest tam tylko kaptur mnicha.

— Który dziś jednak tutaj więcej znaczy, niż korona nieobecnego króla — odrzekł Römer.

— To królowa matka wbiła w taką dumę tego pysznego biskupa, przelawszy na niego swoją zwierzchnią władzę, powierzoną jej przez Ludwika — powiedział chmurnie brwi nasuwając Jaśko. — Ale w Polsce znajdą się jeszcze szable, które staną w obronie praw krajowych, i serca, na które nie działa złoto węgierskie.

— Nie mylicie się rycerzu, ludzi, broniących dobrej sprawy, nigdy nie braknie w Polsce i ja pierwszy ze swoim oddziałem chcę stanąć pod waszemi rozkazami, ażebyśmy tymczasem szczęśliwie doprowadzili królewny do Budzynia i niedopuścili wyrządzenia nowej krzywdy, a potem da Bóg doczekać, upomnieli się o podeptane prawa.

Jaśko bystro wpatrywał się w ożywioną twarz mówiącego, która tchnęła taką prawością, że niepodobna było na chwilę nawet przypuszczać nieszczerości.

— Nie wiem, czy was dokładnie zrozumiałem, dostojny panie, ale zdaje mi się, że ofiarujecie Najjaśniejszym królewnom swoje ramię i opiekę w podróży?

— Nie mylicie się panie, przed chwilą właśnie zaniosłem prośbę o pozwolenie towarzyszenia wam z moim oddziałem do Węgier, lecz Najjaśniejsze królewny odesłały mnie do was, jako do swojego opiekuna w podróży.

— Nie tęgi ze mnie opiekun, panie kasztelanie, bardzo nie tęgi, cóż ja zrobić mogę z takim nielicznym oddziałem, w razie gdyby na prawdę zagroziło jakieś poważne niebezpieczeństwo?

— Zaprawdę zdziwiony jestem, iż wy, szlachetny rycerzu, znani ze swoich wzorowych hufców, puściliście się w drogę w kilkanaście koni zaledwie; nie z takiemi małemi pocztami przyzwyczajeni jesteśmy widywać Jaśka z Żarnowa.

— Stało się to wszystko niespodziewanie. Poczty moje zbrojne wyprawiłem do Wielko-Polski przeciwko panom Borkowiczom, plądrującym ościenne miasteczka i wsie, pod dowództwem mego siostrzana. Sam jeszcze zatrzymałem się w Żarnowie parę dni, mając podążyć za nim, gdy odebrałem niespodzianie wiadomość, iż królewny z Chęcin wezwane zostały do Węgier na dwór królewski. Doniesiono mi, że już wyjechały bez żadnej

straży w tych niebezpiecznych czasach. Serce mi się ścisnęło na te wieści; nie mogłem dozwolić, żeby córki ukochanego króla naszego narażone były na niebezpieczeństwa. Nie namyślając się więc ani chwili, wsiadłem na koń, zebrałem jaki mogłem zgromadzić na prędce oddziałek i upaliwszy jednego dnia czternaście mil, dognałem kolasę królewien, którą dwóch tylko eskortowało ciurów. Oddałem siebie i moich ludzi na ich rozkazy i tak przybyliśmy aż do Wiślicy, gdzieśmy się z sobą zetknęli.

— I gdzie byłem świadkiem, jakeście dzielnie sobie poczęli z Janczym i ze sztandarem Porajów.

— Tak mi nakazywała postąpić godność rycerska.

— Nic słuszniejszego, szlachetny panie — rzekł Römer, ściskając starca za rękę — pozwólcie i mnie was naśladować, towarzyszu bojów nieśmiertelnego Władysława.

— Co przez to rozumiecie miłościwy panie?

— Proszę was jeszcze raz, żebyście mnie z moim oddziałem przyjęli pod swoją komendę, chcę wam towarzyszyć aż do Budzynia.

Jaśko spojrzał uważnie na kasztelana, lecz nie zawahał się ani chwili, wyciągnął swoją prawicę do młodzieńca i rzekł:

— Bóg was zsyła na naszą drogę, miałem posłać wiadomość do Zawiszy, wzywając go, żeby przysłał przyzwoity oddział do eskorty, ale po dzisiejszem spotkaniu przekonałem się, że to na nic nie zdałoby się, a sama prośba do kanclerza jużby mocno zabolała te biedne sieroty. Przyjmuję więc z serca waszą prośbę, jeżeli się to zgadza z wolą moich miłościwych pań, i dziękuję wam — dokończył obracając się do słuchających tej rozmowy dziewic.

— A więc panie kasztelanie przyjmujemy was za naszego rycerza — odezwała się Anna — jeżeli was cze-

kają trudy i niewygody, to samiście temu winni; a całą nagrodą, jaką wam mogą udzielić biedne sieroty, będzie tylko wdzięczność serca; na nic nas innego nie stać.

— Ależ to więcej, aniżeli najdumniejszy rycerz żądać może. Daj Boże, żebym miał sposobność być rzeczywiście użytecznym — odrzekł Römer nizko się kłaniając.

— Zgoda więc, szlachetny rycerzu, siadajcie teraz z nami i podzielcie skromne zapasy nasze podróżne.

Królewna Jadwiga dotąd milcząca, podniosła swoje oczy na twarz młodego kasztelana i łagodnie się weń wpatrując, zdawała się wzrokiem dziękować za okazaną przysługę.

Posiłek był bardzo skromny, składał się z wędzonego mięsa, jaj na twardo gotowanych i jedynego bochenka chleba, który służba ocaliła od szczodrobliwości pań swoich, rozdających wszystko nędzarzom.

Römer, który niedawno powstał od uczty, jaką Zawisza wyprawiał na zamku, gdzie zarówno wykwintne potrawy, jak i doborowe gatunki wina spożywano obficie, zawstydzony był tym niedostatkiem, jaki dawał się czuć na dworze królewien.

Jaśko w dniu tym chciał się koniecznie przeprawić przez Wisłę pod Nowem Miastem, obawiając się zetknięcia z zarazą, która w tych stronach jeszcze niezupełnie wygasła; za Wisłą zaś miało już być nierównie lepiej.

Przy skromnej bardzo uczcie na murawie, biedne sieroty siedziały zamyślone. Dotąd w niewinności swojego serca ufały wszystkim, ale dziś ta brutalna obraza, wyrządzona im przez najpierwszą osobistość w kraju, mocno ich trapiła i naprowadzała na domysły, że w Węgrzech niekoniecznie czekają je serdeczne dłonie z powitaniem. Cicho westchnęły do Boga i wyszeptały:

— Bądź wola Twoja.

Nie długo popasając, obydwa teraz połączone orszaki puściły się w dalszą drogę, gdzie ich wiodło przeznaczenie królewien. My opuścimy je na chwilę, bo sądzimy, że opieka Römera będzie dla nich wystarczającą; udamy się do innej miejscowości, idąc w ślady pana Zawiszy i towarzyszących mu magnatów.

Rozdział IV.

Strzelce. — Kurozwęki. — Kotuszów.

Chociaż Jan Suchy Wilk, arcybiskup, nie znajdował się w swojej wsi rodzinnej Strzelcach i chociaż Zawisza zapowiadał swoim towarzyszom podróży, że nieszczególna ich w nieobecności gospodarza czeka kolacya, przewidywania jednak jego się nie sprawdziły.

Marszałek dworu Suchego Wilka, Marcin Pełka, posesyonat, pełniący ten obowiązek na dworze magnata spokrewnionego z sobą, nie mógł pozwolić, ażeby dom jego pana doznał chociażby najmniejszego przyćmienia, nie otworzywszy dostojnym gościom na rozścież piwnic swoich, napełnionych staremi okseftami węgrzyna i win z własnych winnic arcybiskupa.

Kiedy na schyłku dnia, tak liczna kawalkata gości, mających na swoim czele Zawiszę, zajechała przed dworzec w Strzelcach, ogromna dębowa brama na skrzypiących zawiasach otworzyła się natychmiast, zapałały płomieniami beczki smoły, ustawione naokoło dziedzińca i kilkunastu hajduków, pochodniami trzymanemi w rękach, oświetliło zmroki. Na czele licznego grona służących stał w bramie sam marszałek dworu, Marcin Pełka, mąż już dojrzały w lata.

Za ukazaniem się Zawiszy, stojąc na progu, odkrył głowę, a dotykając czapką ziemi przed koniem kancle-

rza, wydobył z za pasa pergamin i głosem podniesionym zaczął czytać mowę powitalną. Zaczynała się ona od chwili, kiedy Noe, wsiadając do korabia i uwożąc z sobą wszelkie stworzenie ziemskie, ażeby je ocalić od zatraty, nie zapomniał zabrać z sobą dyplomów herbowych Porajów i tym sposobem podał do wiadomości potomnych wielkie zasługi cnych protoplastów Zawiszy. Tysiące razy odznaczali się oni męstwem, mądrością, cnotami niebieskiemi, ale to wszystko było dopiero podstawą, na której miał wykwitnąć kwiat niezrównanej piękności, roztaczający swoje blaski i wonie od słupów Herkulesa do mórz Północy, biskup Zawisza, kanclerz państwa, *Vice rex*, mąż, którego ludy sławić będą do końca świata, a który teraz w swojej własnej osobie zaszczyca Strzelce swoją obecnością.

— Wszystko więc co tutaj żywi ziemia, woda, powietrze, jest twoje — kończył mowę Pełka — najmiłościwszy panie nasz. Rozporządzaj wszystkiem jak swoją własnością; rozkazuj, a każdy rozkaz twój wykonany będzie natychmiast, każde pragnienie spełnione, a Najprzewielebniejszy arcybiskup Jan cieszyć się będzie, jeżeli dom jego zechcesz uważać za swój i w nim się rozporządzać.

Zawisza krótko podziękowawszy za splendory, jakiemi go pan Pełka tak hojnie obdarzyć raczył, nie zapomniał nadmienić, że i dom Toporów cieszy się równie starem pochodzeniem, że wydał z siebie równie wielką ilość bohaterów, mężów sławnych nauką i cnotami, ale nad wszystkimi nimi góruje jak słońce nad gwiazdami arcybiskup Jan.

Muzyka zagrała, brama rozwarła się na rozścież i orszak panów z Zawiszą na czele wjechał na ogromny dziedziniec, na którym setka młodych postrojonych kobiet, stojąc szpalerem, kwiatami zaścielała drogę wjeżdżającemu kanclerzowi.

Dworzec strzelecki nie stanowił bynajmniej zamku, był to olbrzymi dom drewniany, parterowy, cały z modrzewia, liczący kilkadziesiąt pokoi, w tej chwili oświetlonych jarzącem światłem świec woskowych w kosztownych srebrnych świecznikach pomieszczonych.

Kiedy Zawisza i otaczający go panowie pozsiadali z koni, które służba śpiesznie uprowadziła na oddzielne dziedzińce, magnaci zbliżyli się do drzwi domu.

Tu jeszcze raz musieli wysłuchać bogatych w cytaty oracyj Pełki i dopiero po przebyciu tej gorącej łaźni mogli próg przestąpić.

Miejscowa muzyka, złożona z cyganów, powitała ich fanfarą i przy dźwiękach jej weszli pod gościnną strzechę.

Wieczerza czekała już zastawiona; za skromność jej Pełka nieustannie przepraszał, schylając się aż do ziemi. Stoły gięły się pod ciężarem rozmaitego rodzaju mis srebrnych, pełnych mięsiw, ciast, owoców, a dwie beczki wina w srebro okute, stojące w rogach ogromnej sali, z szybkością wylewały z siebie zdroje błyszczącego napoju w srebrne roztruchany; niektóre były olbrzymiej wielkości.

Były to czasy wszechwładztwa namiętności rozbujałych, nie krępowane niczem więcej, jak tylko wolą jej szafarzy.... czasy, które na dworach południowych władzców rozrosły się w bujne chwasty i przesyłały nasiona swoje nawet w kraje północne.

Oddziały zbrojne kanclerza i panów mu towarzyszących, nie mogły pomieścić się w obszernych dziedzińcach dworu strzeleckiego, rozłożyły się więc dalej po nad rzeką, porozpalały ognie i przygotowały się do noclegu. Śpiewacy tylko i muzykanci Zawiszy przestąpili progi domu wraz z panami i uszykowali się w dwóch przeciwnych rogach sali, trzeci pozostawiając miejscowej cygańskiej kapeli. Naprzemian to huczały srebrne trą-

by, to odzywały się melodye cygańskie, to chór śpiewaków o dobranych głosach popisywał się pięknemi pieśniami.

Nie potrafilibyśmy sobie psychicznie wytłómaczyć takiej uczty rozpasanej ludzi owej epoki, gdybyśmy nie nadmienili, że panowie, przebywając na dworach europejskich władzców Hiszpanii, Francyi i Neapolitańskiej Joanny, zarazili się obyczajami tamtejszymi i przenieśli je na ziemię rodzinną, gdzie zastali dwór królowej Elżbiety również wesoły, od dawna przyzwyczajony na pokojach Karola Roberta do zabaw i swobody nieograniczonej.

Obyczaje zamków królewskich przeniosły się do komnat magnackich, ale szlachta wiejska nie przyswajała ich sobie.

Piękne krewniaczki Zawiszy brały żywy udział w zaimprowizowanej zabawie. Helenie podano cytrę, do której jej akompaniowała Róża, popisując się swoim śpiewem. Tymczasem kielichy nie próżnowały i całe towarzystwo wesoło naśladowało swojego dowódzcę, który naprzemian zachęcał do kielicha, do pląsów, lub śpiewów. Sam tylko Szczęsny, wojewoda lubelski, nie dzielił powszechnego ożywienia. Śniada twarz jego nietylko pod wpływem kielichów nie rozjaśniła się, ale przybrała wyraz jeszcze surowszy. Wzrok miał utkwiony w puhar, myśl jego krążyła gdzieś daleko.

Kanclerz niekiedy podchodził do niego, trącał się puharem, wnosząc zdrowie którego z panów, lub rzucając jaki dowcip. Szczęsny przyjmował puhar, spełniał go obojętnie i pogrążał się znowu w milczenie.

Za to wojewoda bełzki, Lasota, zdawał się być właśnie w swoim żywiole, pełen ochoty spełniał największe kielichy wina, które nie zdawało się wywierać na niego najmniejszego wpływu; rubaszne dwuznaczniki rzucał całemi garściami, a obracając się z pełnym pu-

harem do którego ze szlachty, trącał się z nim, ściskał siarczyście i przysięgał, że jest obrońcą wolności szlacheckiej, że dla niej żyje, i dla niej da się porąbać na ćwierci, gdyby ją widział zagrożoną. Już z trzecim czy czwartym ze szlachty przemienił swoją czapkę na znak równości i nie ustawał nucić piosnek.

Inaczej ucztował Szpisko, kasztelan biecki. Jego zdawały się razić te nowoświeckie bachanalie i pociągając z ogromnego puhara, który bezprzestannie wypełniał stojący za nim hajduk, za każdym razem niosąc go do ust, żegnał się i mruczał: *apage satanas*. Jego czupryna cała spływała od potu, długie włosy opadały w nieładzie na kark. Pas odpiął, ażeby mógł swobodnie trawić potrawy, które kazał sobie podawać i z zadziwiającą szybkością opróżniał ze srebrnych mis pieczenie jeleni, dzików lub ptastwa.

— *Apage satanas*, podajno mi ten pasztet, *apage satanas*, czy nie widzisz, że puhar wysechł aż do dna, nalewajże tam tej małmazyi.

Szafraniec, starosta, puścił się w pląsy około stołu, a zaś podskarbi koronny Swetecki, wojewoda sieradzki Jan Służewski i Stanisław Krzepicki, kasztelan sandomirski, siedząc na boku i trzymając pełne kielichy, mało zdawali się uważać na otoczenie, prowadząc przyciszoną rozmowę.

— Mydłek z tego kasztelana sieradzkiego — mówił Swetecki. — Zrejterował z naszej kompanii i z całym swoim oddziałem nas opuścił.

— Jak tylko piękna podwika wejdzie w drogę Römerowi, on zapomina o całym świecie, opuściłby i świętego Piotra przy otworzonej już bramie raju, gdyby ujrzał, że na niego kiwa jaka dziewka udała — odezwał się wojewoda sieradzki — znamy my go w naszym województwie od dawna. Zapalona to, bardzo zapalona głowa!

— Ale i żołnierz nieustraszony — rzekł kasztelan sandomirski — wytrwały na trudy, przezorny, a kiedy podniesie swoją straszną szablę i rzuci się w szeregi nieprzyjaciół ze swoimi żelaznymi towarzyszami, to nie ma siły, któraby mu się oparła.

— Kiej kaduk strzelił mu do łba — odezwał się wojewoda sieradzki. — Opuścił ze swoimi ludźmi kanclerza, nie pożegnawszy się i przyłączył się do tego chudopacholskiego orszaku córek nieboszczyka króla. Kanclerz nie zapomni jemu tego nigdy; namotał on sobie już węzełek na swoim wąsie, i może być pewny, że prędzej czy później porachunek nastąpi.

— Nic dziwnego, młody to jeszcze człowiek, a i te dwie dziewki siarczyście piękne... Ale dlaczego oni je wyprawiają do Węgier?

— Trzebaby się o to spytać królowej matki i *Vice rexa*. Sądzę, że boją się, żeby nie uformowały sobie partyi przychylnej i nie zakłóciły swojemi pretensyami do tronu spokojności państwa.

— Czyby to być mogło? — zapytał kasztelan sandomirski, Stanisław Krzepicki. — Ludwik, naznaczony testamentem i już od dawna panuje, co prawda nie wiele się troszcząc o nasze sprawy, ale zawsze to król, pomazaniec Boży.

— Nikt też nie zaprzecza mu praw do tronu — odezwał się podskarbi — ale i on ma tylko dziewki, a żadnego potomka krwi męskiej; toć Anusia i Jadzia bliższeby miały prawa zasiąść na tronie Piastów niż jego córki, na które jeszcze nie ma ogólnej zgody.

Zawisza na pozór zupełnie oddany zabawie, cicho zbliżył się do rozmawiających i posłyszawszy ostatnie wyrazy podskarbiego, odezwał się:

— Źle waszmość robicie przypuszczając i mówiąc to głośno, że córki Kazimierza mogą mieć jakie prawa do tronu.

— A przytem, *apage satanas* — zawołał kasztelan Biecki — czyż to koniecznie podwika ma panować nad nami, czy to w Polsce brakuje rodów godnych korony, czy nie możemy sobie wybrać, *apage satanas*, chociażby wojewodę lubelskiego?

Szczęsny opuścił oczy na swoje kolana, którym się zdawał pilnie przypatrywać; po twarzy jego jednak przebiegła jakby błyskawica zadowolonej dumy, lecz nie odezwał się ani słowa.

— Alboby to i wasza miłość, pan kasztelan biecki, źle wyglądał na tronie z koroną i berłem w ręku — wtrącił szyderczo Szafraniec, który przestawszy tańczyć, zbliżył się do rozmawiających.

— *Apage satanas*, cóż to waszmościowie myślicie — zawołał z całem przekonaniem o swojej kwalifikacyi kasztelan Szpisko. — Hieronim takby był dobrym królem, jak i sam Ludwik, cudzoziemiec; nie chciałem ja przystać na jego elekcyę, ale *apage satanas*, jak mnie zaczęła moja Baśka męczyć, dąsy stroić, przekładać, tak i dla świętej zgody przystałem. A teraz oto mówią, że sobie wymyślił w swojej węgierskiej głowie nałożyć za to jakiś podatek na szlachtę i duchowieństwo; *apage satanas*, gdzież tu wdzięczność?

— Jak świat światem, nigdy tego nie bywało!

— No, ale być może — przerwał kanclerz.

— Co to waszmościom w głowie się przewróciło, czy co? A to *apage satanas*, gdyby sobie ten Węgier pozwolił tak rządzić i szlachtę równał z naszymi poddanymi, roznieślibyśmy go na szablach, albo przepędzili raz na zawsze na jego paprykę i węgierską słoninę!

— A jednak poradlne po sześć groszy z łanu podobno już postanowione — odezwał się Szczęsny.

— Niech sobie będzie dziesięć razy postanowione, *apage satanas* — zawołał, uderzając srebrnym puharem o stół z taką siłą kasztelan Biecki, że puhar spłaszczył

się jakby pod uderzeniem młota. — Niech sobie tam pan kanclerz i król Jegomość co chcą postanawiają, a kiedy mojego podpisu nie będzie i nie wycisnę mojego klejnotu na pergaminie, będzie to tyle warte, co zwiędła ulęgałka.

— No, panowie, czyż teraz sejm zaprowadzacie? — zawołał Szafraniec. — Na co mamy sobie głowy łamać nad tem, co tam się kuje w Budzyniu. Lepiej szykujmy nogi do drabanta, bo muzyka rozlega się ochoczo i same nogi podskakują.

— *Apage satanas* — rzekł, uspokajając się i żegnając pobożnie kasztelan Biecki — trzeba spróbować czy człowiek nie zapomniał się jeszcze w tej ochocie.

I wkrótce wszyscy oddali się zabawie, zapominając o politykowaniu. Rozległy się śpiewy, przytupywania, oklaski, a puhary krążyły coraz gęściej.

Sam tylko Szczęsny nie rozchmurzył ani na chwilę swojej posępnej twarzy. Im więcej pił, tem twarz jego stawała się bledsza, mroczniejsza.

Wschód słońca zastał jeszcze wszystkich przy kielichach, a chociaż niejeden drzemał już, nikt się jednak tej nocy spać nie kładł.

Zawisza, pomimo spełnienia licznych puharów, zdawał się jednak najtrzeźwiejszym ze wszystkich; zaledwie spostrzegł odblaski purpurowo wschodzącego słońca, kiwnął na Janczę, który stał w rogu sali przy muzyce, oparłszy się o drzwi.

— Każ trąbić na pobudkę! Duchem wszystko przyprowadzić do porządku! Zaprzestać tej hecy i być gotowymi do podróży.

— Stanie się jak wasza excellencya rozkaże — rzekł złą polszczyzną Węgier.

Wówczas Zawisza obrócił się, skinął na muzykantów, a w jednej chwili ucichły zarówno brzękadła, smyczki, jak i trąby; znużone całonocną zabawą kobiety

w jednej chwili zniknęły, a szlachta zaczęła zbierać się i przypasywać szable.

Kasztelan Szpisko wyszedł na podwórze, zrzucił z siebie wszystko odzienie, a pachołek jego wylewał mu całą konewkę wody na łeb, z którego kurzyło się jak z komina.

— *Apage satanas* — bąknął, obracając się do swojego pachołka — a miska ogórków?

— Stoi gotowa.

To mówiąc, podał kasztelanowi ulubiony specyał.

Szpisko przeżegnał się swobodnie i przypuścił taki szturm do miski ogórków, jakby od trzech dni nic nie miał w ustach. Po przepiciu wypróbowana to potrawa.

Tymczasem i drudzy panowie porobili już około siebie porządki.

Odezwały się trąby i bębny, podprowadzono konie, rozwinięto sztandary.

Nareszcie wyszedł Zawisza, a za nim jego towarzysze podróży. Dano znak, wszyscy dosiedli konie i wyruszono ze Strzelec przy dźwiękach muzyki w tym samym ordynku co dnia poprzedniego.

Od Strzelec do Kurozwęk, rezydencyi ojca kanclerza, ciągnęły się nieprzerwane lasy lipowe. W miejscowości, gdzie dzisiaj leży wieś Niziny, stał wówczas dom myśliwski, należący do Suchego Wilka; tutaj zbierały się drużyny na polowania.

Dalej gościniec wił się pod sklepieniem drzew liściastych, gdzieniegdzie tylko obramowany staremi modrzewiami.

Gościniec ten wyjeżdżony, utrzymany w dobrym stanie, pokazywał, że zbliżano się do rezydencyi wielkiego pana.

O milę dalej, na małej wycince w lesie, wśród starych dębów, rozciągała się piękna wieś Grzybów z obszernym stawem, własność Zawiszy: tutaj gościniec roz-

chodził się na dwa ramiona; na prawo wiódł do Staszewa, rezydencyi Przedpełki malkontenta, przyjaciela Rytojańskich, złowrogo usposobionych dla domu Zawiszów; na lewo zaś kierował się ku Kurozwękom, na nowo zagłębiając się w lasy.

Te parę mil, jakie dzieliły Strzelce od Kurozwęk, można było nazwać olbrzymim parkiem, tak mało dawało się spostrzegać pól uprawnych. Wszędzie trawniki lub szumiące lasy, w których pasły się stada jeleni. Im jednak więcej zbliżano się do rezydencyi Dobiesława, wojewody krakowskiego, tem większy ruch widać było na gościńcu.

Wkrótce ukazały się wieże kurozwędzkiego klasztoru zakonnic, murowane domy mieszczan, na wzgórzu kamienistem ogromny gmach mennicy, w której Zawisza wybijał pieniądze; na dole zaś, na brzegach rzeki Czarnej, w tem samem prawie miejscu, gdzie dziś stoi skromny pałacyk Popielów, rozległ się zamek imponujący swoimi rozmiarami, otoczony wysokim, grubym murem, z którego dzisiaj nie ma ani śladu. Zamek ten, w przeciwieństwie do innych budowanych u nas, nie zajmował wzgórza; przeciwnie, położony był w miejscowości nizkiej, błotnistej, a głębokie fosy, naokoło otaczające go, nie bagatelną stanowiły przeszkodę dla nieprzyjaciół. Dębowa brama, grubo nabijana żelazem, zamykała most zwodzony.

Po za starym zamkiem, już po drugiej stronie rzeki Czarnej, rozciągały się niewielkie wzgórza, których spadzistości wystawione na południe, okryte były winnicami; wzgórza te, ciągnące się aż pod sam Kotuszow, o ćwierć mili oddalony, pokryte teraz były bujnym, ciemnym rozrostem winorośli, pomiędzy niemi widać było ludzi uwijających się i porządkujących winne krzewy.

Od samych Kurozwęk aż do Kotuszowa, po nad brzegiem rzeki ciągnęła się droga wysadzona staremi

lipami; dalej za kościołem, stojącym na wysokiem wzgórzu, wśród starych dębów, wznosił się zameczek mniejszy, ale okazalszy i nowszy, w którym sam kanclerz miał swoją rezydencyę, jeżeli przebywał na wsi. Liczne budowle zajmowane przez dworzan, stajnie, wozownie, lamusy, ciągnęły się nieprzerwanym prawie szeregiem, łącząc Kurozwęki z Kotuszowem.

Zawisza młody lubił swobodę, wystawił więc sobie zameczek w Kotuszowie i tu na ustroniu, niczem nie krępowany, mógł oddawać się zabawom ze swoimi stronnikami.

Im więcej kalwakata zbliżała się do Kurozwęk, tym większy ład zaprowadzał się w szeregach. Muzyki zaprzestały wygrywać skoczne melodye, śpiewacy ucichli i cały ten przed chwilą rojny obóz, zbliżał się w milczeniu do rezydencyi Dobiesława, ojca Zawiszy.

Poważna cisza zalegała okolicę, nie zakłócona żadnym odgłosem. Ludzie przesuwali się jak cienie, milczący, zdawało się, że nawet koła u wozów nie skrzypią, że wiatr, przelatując pomiędzy liśćmi drzew, stara się prześlizgnąć tylko, nie robiąc szelestu.

Na najwyższej baszcie zamkowej, wzniesiony sztandar Porajów smutno opuszczał się ku ziemi, a przy nim stojący łucznik z berdyszem w ręku, w milczeniu przypatrywał się nadciągającemu orszakowi.

Gościniec, przed samym zamkiem, pod kątem prostym zwracał się na lewo, pozostawiając miasteczko na prawej stronie, kierując się do Kotuszowa około okien zamkowych, z których można było widzieć dokładnie podróżnych.

Łucznik stojący na straży, uderzył w róg bawoli, dając znać o zbliżających się gościach. Kiedy orszaki Zawiszy i panów mu towarzyszących znalazły się na skręcie alei, prowadzącej do zamku, wszystkie na niedługą chwilę się zatrzymały.

Zawisza skinął ręką na pożegnanie swoim towarzyszom i sam tylko, mając przy sobie dwóch giermków, zagłębił się w zamkową aleję, kawalkata zaś cała zwróciła się na drogę prowadzącą do Kotuszowa; jeźdźcy Zawiszy wyciągnęli się w szpaler; całe ćwierć mili, dzielące Kurozwęki od Kotuszowa, zaroiło się jeźdźcami, kolasami i wozami towarzyszącymi obozowi.

Na znak dany przez strażnika stojącego na baszcie, zaskrzypiały łańcuchy i most zwodzony z łoskotem opadł przed koniem kanclerza; warty złożyły honory wojskowe i jeździec przebywszy najpierwej fosę, potem wązki, murowany korytarz bramy, wjechał na obszerny dziedziniec, rozciągający się przed zamkiem. Wązkie, dziwnie rzeźbione kamienne odrzwia, na których umocowane były żelazne drzwi, prowadziły do ogromnej sklepionej sieni, zawieszonej trofeami myśliwskiemi, łbami żubrów, dzików, rogami jeleniemi i wypchanem drapieżnem ptactwem. Zbroje i ciężkie stalowe miecze rozmieszczone około ścian na kamiennej posadzce, przypominały stare czasy.

Dwunastu hajduków ubranych po węgiersku w bogate dołmany, formowało dwa szeregi służby. Na czele ich stał starzec z sumiastymi wąsami, w czarnym żupanie, przy karabeli bogatej, marszałek dworu Dobiesława i towarzysz jego wypraw za młodu, Wilczek z Naborowa.

Pokłon jego, oddany wchodzącemu dygnitarzowi, jakkolwiek pełen uszanowania, nie był jednak uniżony.

Wilczek, sam posesyonat nie ubogi, służył magnatowi nie dla chleba, lecz łączyły go z nim wspomnienia młodości, przepędzonej wśród wojen; wspomnienia wspólnych niewygód, wspólnie wylanej krwi, a nadewszystko wspomnienie tych dni, kiedy Zawisza, będąc małem chłopięciem, pod okiem jego uczył się dosiadać konia i robić bronią; to wszystko upoważniało go do tej pe-

wnego rodzaju poufałości, z którą powitał teraz dostojnika państwa, *Vice rexa.*

I Zawisza wobec tego starca czuł się cokolwiek zakłopotany. Nieodstępny towarzysz jego ojca, mający swobodny przystęp do jego ucha, mógł bardzo wiele u wojewody, który patryarchalną władzę domu trzymał jeszcze w silnych rękach.

— Wasza excellencya — rzekł Wilczek — zastaje swojego rodzica nie w zupełnie dobrym stanie zdrowia.

— Czyby miało być co niebezpiecznego? — zapytał, zatrzymując się w sieni, Zawisza.

— Nie, tylko dawne rany zadane przez Litwina otworzyły się. Niemiec doktor przykładał jakieś tam specyfiki, zabraniał wojewodzie pić wina i miodu, powiadając, że to wytwarza gorączkę. Ale wojewoda rozgniewał się, wczoraj kazał powyrzucać za okno specyfiki, doktora zamknąć do karceresu; bo powiada, że mu powiększa gorączkę, zabraniając używać chłodzącego wina. A teraz, swobodny od nadzoru medyka, leczy się sam, przykładając na rany płatki płócienne, maczane w małmazyi, a chłodząc gorączkę licznemi kielichami dobrego wina.

Zawisza kiwnął głową potakująco, jakby mówił: »Znam to wszystko, tego się właśnie spodziewałem, nie pierwsza to taka kuracya mojego ojca«.

Następnie przeszedł przez kilka sklepionych komnat i znalazł się w pokoju z dwoma wązkiemi oknami, wybitym kosztownemi makatami wschodniego pochodzenia. Ciężkie meble z czarnego dębu nabijane perłową masą i ozdobione słoniową kością, nadawały wielką powagę miejscu.

Tuż przy oknie w obszernem, grubem, dębowem krześle, siedział wojewoda Dobiesław, starzec ośmdziesięciokilkoletni; biała jak mleko broda spływała na czarny aksamitny kaftan, na którym błyszczał złoty

łańcuch, kuty z grubych ogniw na przemian emaliowanych i nasadzanych kosztownymi kamieniami, a zakończony wizerunkiem św. Stanisława. Był to dar nieboszczyka króla.

Noga jedna starca spoczywała owinięta liściami winogradu, obandażowana białem płótnem na wyścielanej ławeczce, druga oparta na niedźwiedziej skórze, wsunięta była w czerwony but safianowy. Obok chorego stał dębowy stolik, na którym umieszczono dzbany z winem. Jedno pacholę opierało się nieruchomie o odrzwia, drugie właśnie napełniało puhar wonnym nektarem, gdy syn stanął przed ojcem, złożywszy we drzwiach nizki pokłon.

W postawie pełnej uszanowania stał, oczekując pozwolenia ucałowania ręki.

Dobiesław przez chwilę utkwił swoje przenikliwe oczy w twarzy nowoprzybyłego, wpatrując się weń pilnie, nareszcie wyciągnął doń swoją wyschłą rękę.... a biskup, kanclerz państwa, *Vice rex*, z pokorą ją ucałował.

— Smutno mi bardzo — rzekł czułym głosem Zawisza — iż waszą miłość zastaję nawiedzoną chorobą; gdzież to jest Ulmen doktor, że go nie widzę na swojem stanowisku przy osobie waszej miłości?

— Ot, powiedziałeś! tego rzeźnika wczoraj jeszcze kazałem wpakować do karceresu, zanieść mu dzbanek wody i jego specyfiki. Niech używa tych paskudztw, któremi mnie chciał paść.

— Cóż biedny Ulmen zrobił, że zasłużył na taką surową karę waszej miłości?

— Co zrobił ten potwór? Ot, powiedziałeś. Wyimaginuj sobie waszmość, że przekonałem się, iż to jest prosty oszust, który niegodziwie mnie okpiwał.

— Czy tak? Ależ, o ile mi wiadomo, on nie miał żadnego udziału w ważniejszych interesach.

— Ot, powiedziałeś; nie miał udziału w ważniejszych interesach! Przecież on miał pieczę nad mojem zdrowiem i niegodziwie mnie oszukiwał. Wyimaginuj sobie waszmość, targuje się ze mną o wino, jakby piwnice do niego należały; zabrania mi stanowczo pić. Mówię do tego szwaba: »Mój Ulmenku, wino, jest to dar Boży, nie wolno nim pogardzać; chociaż kilka kieliszków pozwól mi wypić«. Niemczysko uparło się: nie i nie. Ja swoje.... on swoje. Ot, powiedziałeś; przystaje nareszcie na trzy kieliszki. Cóż miałem biedny robić? Musiałem to ofiarować Bogu za moje grzechy. Kazałem więc wydobyć ten puhar, znasz go, w którym zaledwie trzy kwarty się mieszczą. Niemiec jak to zobaczył, łap za niego i mówi mi: *kleine! kleine!* Ja do niego: »Ulmenku, serce moje, miej miłosierdzie, ogień mnie w ranie pali, trzeba ochłody«. Niemczysko coś mruczy pod nosem i wychodzi. Wypiłem swój kieliszek po rannej polewce, lżej mi się zrobiło i mówię do niego: »A widzisz szołdro, że mi lżej!« Kiwnął tylko głową, uparty jak kozioł w kapuście. Ale imaginuj sobie waszmość, kiedy mi po obiedzie podano puhar, piję... coś nie ma smaku, cienkosz jakiś... Co u żywego Boga! Smakuję drugi raz... trucizna, jak Bóg żywy trucizna! Ta szołdra nalała mi połowę wody do wina pokryjomu i taką lurą chciał mnie poić; chciał mnie zagłodzić, jakiemiś kluseczkami z mlekiem karmiąc.

— Niech mu już wasza miłość raczy przebaczyć — odezwał się, bacznie wszystkiego wysłuchawszy Zawisza. — Niemczysko chciał dobrze zrobić, ale po swojemu; pokpił głową, ot i wszystko.

— Ot, powiedziałeś, niechże tak będzie, jak sobie życzysz waszmość; osobie duchownej, świętobliwemu biskupowi nie godzi się odmówić, niech go tam wypuszczą z karceru, ale dziesięć nahai niech mu pierwej wsypią, żeby zapamiętał, że oszukiwać się nie godzi,

że to grzech przed Bogiem. Wojtuś — rzekł obracając się do jednego z chłopiąt, stojących na usługach — leć mi duchem do Wilczka i powiedz mu odemnie, żeby Niemca wypuścił z karceresu, ale żeby mu dziesięć pletni kazał pierwej przyłożyć na grzbiet.... zrozumiałeś?

Chłopiec, dobrze wytresowany, kiwnął głową, obrócił się na pięcie i rad, że się wydobędzie na chwilę z niewoli, śpiesznie wybiegł z komnaty.

— No siadaj waszmość i opowiadaj mi, co tam się dzieje na królewskich pokojach.

Zawisza, który do tej pory stał z uszanowaniem, nie śmiejąc zasiąść bez pozwolenia ojca, siadł na wskazanym stołku i skrzyżowawszy ręce na piersiach, mówił:

— Przedewszystkiem król Jegomość pragnie podwyższyć poradlne do sześciu groszy z łanu.

— Dlaczego nie, jeżeli tylko chłopi będą w stanie tyle płacić?

— Podatek ten chce rozłożyć na szlachtę i duchowieństwo.

— Ot, powiedziałeś! Trudne rzeczy przedsiębierze król Jegomość, szlachta mu stanie okoniem, a wy, panowie duchowni, co na to powiecie?

— Ja, z mojej strony — mówił biskup nieznacznie się uśmiechając — nie mam nic przeciwko temu; potrzeby państwa są wielkie, z ludu nic się już więcej nie da wycisnąć, niech więc płaci szlachta i duchowieństwo, byle...

— Byle nie ty, miłościwy biskupie.

— Tak — odpowiedział śmiejąc się Zawisza — i byle nie wojewoda krakowski.

Teraz znowu na twarzy Dobiesława zaigrał uśmiech.

— Ot, powiedziałeś. Dobrze waszmość mówisz, panie Zawiszo, ale to nie obejdzie się bez wielkiego huczku; szlachta narobi krzyku, zakoguci się, a sutanny będą na nas rzucać anatema, bo twórcami tego prawa będą uważać ciebie i mnie.

— Pozwolimy piać tym kogutom na wszystkie głosy, im więccj się wykrzyczą, tem będą potem spokojniejsi. Zwołujemy sejm do Budzynia, a skoro szlachta znajdzie się tam w matni, to damy już sobie z nią radę.

— Ot, powiedziałeś, pozamykać bramy! Niezłe to w Węgrzech, ale u nas matnia pękłaby od naporu. A co król Jegomość myśli o sukcesyi tronu po śmierci swego synowca Jana, na którego miała przejść korona?

— Król Ludwik i królowa matka pragną, żeby jedna z córek Ludwika zasiadła na polskiej stolicy.

— Ot, powiedziałeś, to się sprzeciwia prawom krajowym, przecież jeszcze w r. 1355 ugodą w Budzie zawartą, zapewniono tron tylko potomkom męskim Ludwika, a w ich niedostatku synowcowi Janowi, który bezpotomnie zeszedł ze świata. Toć mamy jeszcze i Władysława Opolczyka, dzielnego człowieka, i Kazimierza Szczecińskiego, godnych nosić korony, a gdyby już na podwiki miała przechodzić, toć są Anusia i Jadzia, córki nieboszczyka króla, z Piastówny zrodzone.

— Wasza miłość zapomina, że to pokrewieństwo właśnie nie dopomaga im, bo związku zawartego z krewną, za życia jeszcze Adelajdy, prawej żony Kazimierza, Kościół nie może uważać za sakrament i dziewki te muszą być uznane za pochodzące z nieprawego stadła.

— A dlaczegoście dali ślub Kazimierzowi, kiedyście wiedzieli, że go brać nie ma prawa?

— To było ustępstwo, omyłka.

— Ot, powiedziałeś. Takiej omyłki całe wieki nie są w stanie naprawić, a córki Kazimierza nie są jeszcze uznane za nieprawe dzieci, bo fałszem jest twierdzić, iż żyła jeszcze wówczas Adelajda.

— Wkrótce to jednak nastąpi — odrzekł poważnie Zawisza.

— Ot, powiedziałeś. A cóż masz przeciw Władysławowi Opolskiemu i Kazimierzowi Szczecińskiemu?

— To właśnie, że jest ich dwóch, roszczących sobie jednakowe prawa; wybór jednego z nich wywoła natychmiast wojnę domową, cała Polska stanie pod bronią, rzeki krwi się wyleją i kraj zostanie zniszczony.

— A myślisz, że szlachta jednomyślnie zgodzi się na wybór której z córek Ludwika? że nie staną naprzeciw siebie możne rody i że pokój zostanie utrzymany w kraju?

— Postaramy się o to, robiąc szlachcie znakomite ustępstwa, a ta ograniczy władzę królewską i lubo ster rządów zostanie przy malowanym królu, będą go rzeczywiście sprawiać magnaci.

— Ot, powiedziałeś! Gdybyśmy się zgodzili na córkę Ludwika, to w takim razie za kogóż myślicie wydać królowę polską? Jeżeli przy niej zasiędzie Niemiec, nie będzie dobrze w naszej ziemi; szkoda że waszmość przyjąłeś święcenia duchowne, możebyś podał swoją prawicę córce Ludwika. Dlaczegożby Zawisza nie mógł zasiadać na polskim tronie, jeżeli zasiadali na nim potomkowie kołodzieja?

Zawisza utkwił przenikliwy wzrok w twarzy ojca, starając się odgadnąć, czy mówi na seryo, ale twarz starca pokryta była maską nieprzeniknioną.

— Były wypadki, że Papieże, dla dobra państwa, pozwalali złożyć święcenia duchowne — odrzekł Zawisza przyciszonym głosem.

— Ot, widzisz waszmość... powiedziałeś teraz mądre słowa; postaraj się o to, mój synu, a jak już będziesz wolny od święceń, to nie potrzebujesz czekać aż ci tonsura porośnie, której nigdy nie goliłeś; możesz zaraz wyciągnąć rękę do Piastówny, tylko ja ci dam jeszcze jedną radę.

— Słucham z uwagą, miłościwy ojcze dobrodzieju.

— Ot, powiedziałeś! Najlepiej prosto iść do celu. Poco ci szukać protekcyi Ludwika i szlachty, żeniąc się

z córką króla Węgier? Jesteś w dobrej komitywie z królową matką, o przyjaźni waszej dużo mówią ludzie, toć to córka naszego Łokietka... wdowa... ożeń się z nią, a staniesz się bez walki panem położenia.

Zawisza gwałtownie poruszył się na stołku, usłyszawszy tę niespodziewaną propozycyę czy szyderstwo?

— Ależ ona ma lat przeszło ośmdziesiąt!

— Ot, powiedziałeś! Kobieta doświadczona, twoja przyjaciółka od serca — i wojewoda zanosił się od śmiechu.

Teraz i Zawisza pozwolił sobie roześmiać się równie swobodnie.

— Wasza miłość zapomina, że ze związku tego trudnoby się spodziewać następcy tronu.

— Ot, powiedziałeś! Wszystko jest w mocy Boga, przecież i Sara nie była od niej młodsza. Dlaczegóżby nie?

— Wasza miłość mi wybaczy, że dowiedziawszy się już o stanie jego zdrowia, na chwilę pożegnam go, bo mam gości u siebie w Kotuszowie, którym markotno byłoby zbyt długo czekać na gospodarza.

— A kogoż tam takiego godnego masz waszmość u siebie?

— Jest Szczęsny Sieciech, wojewoda lubelski.

— Ten mruk uparty! A czegoż on chce od waćpana?

— Może korony Rusi — odpowiedział Zawisza, uśmiechając się.

— Obiecujecie mu?

— Pokazujemy mu ją zdala.

— A więcej kto tam jest?

— Jest Lasota Ksawery, wojewoda bełzki.

— Ten pijak! Awanturnik!

— Potrzebny nam.

— Każe on sobie dobrze zapłacić!

— Stać nas na to.

— Czy to już wszyscy?

— O nie. Jest jeszcze Szpisko, kasztelan biecki.

— Ho, ho! Tego to już nie wiem poco tutaj ściągacie, to głąb, barania głowa.

— Ale zelant wolności. Jego słowo u szlachty dużo znaczy, prowadzi ją za sobą, a on tymczasem tam pójdzie bezwiednie, gdzie my mu wskażemy, sądząc, że postępuje samodzielnie.

— Nieźle, nieźle, czy to już wszyscy?

— Jest Swetecki Wojciech, podskarbi koronny.

— Czy znowu myśli wywozić insygnia królewskie do Węgier? Łotr.

— Już nie ma co wywozić. Jest Służewski, wojewoda sieradzki; jest Krzepicki, kasztelan sandomierski; Szafraniec, a był i Römer, lecz ten dla spodniczki kobiecej opuścił mnie.

— To źle, to chłop energiczny, trzeba go mieć po sobie.

— Postaram się o to, a w każdym razie zakarbowałem go sobie w pamięci.

W tej chwili drzwi się otworzyły po cichu i człowieczyna jakiś mały, chudy, z twarzą jak pergamin żółtą, wsunął się do komnaty i skromnie stanął przy progu, trzymając wytartą czapkę w rękach.

— A, to ty Piorunek! — odezwał się do stojącego wojewoda. — Cóż tam u waści dzieje się w mennicy?

— Bez przerwy wyrabiamy półgroszki, ale nam srebra już nie staje na dalszy wyrób.

— Poszlę natychmiast rozkaz do kopalni olkuskiej, żeby jakie ma zapasy kruszcu, dostarczyła do Kurozwęk — odezwał się kanclerz. — A dużo tam macie gotowego grosza, tych piorunków, jak je pospolicie nazywają?

— Jest tego kilkanaście beczek — odpowiedział majster.

— Ale to nie dobrze — mówił Zawisza — że nie umiecie proporcyonalnie mieszać metali; w Węgrzech krzywią się na nasze piorunki i uważają je za podły pieniądz.

— Mnie tam wszystko jedno — odrzekł Piorunek. — Będę dodawał tyle srebra, ile rozkaże wasza excellencya, a nawet mogę z czystego srebra je wytapiać. Mnie tam wszystko jedno.

— A niechże Bóg broni! — zawołał Zawisza powstając. — Nie zrozumiałeś mnie mój Piorunku. Nam pieniędzy potrzeba jak najwięcej, rób bez przerwy, mieszaj metale jak chcesz, ale oszczędzaj srebra, oszczędzaj bardzo. Morowa zaraza w kopalniach olkuskich wymordowała mi górników, dużo ich się rozeszło po świecie, a ci, co pozostali, nie umieją szukać żył, dodawaj więc jak można najmniej srebra do miedzi, ale staraj się o to, żeby miedź nie przeglądała przez skórę, żeby się to bieliło w oczach... zrozumiałeś mnie?

— Doskonale, wasza excellencyo, już nawet na próbę wybiłem trochę takich — i to mówiąc Piorunek, uśmiechnięty, sięgnął do kieszeni i wyjał garść błyszczących, białych pieniędzy, świeżo dopiero wyszłych z pod stempla.

Wojewoda wziął parę sztuk do ręki, resztę zabrał Zawisza i obadwaj bacznie im się zaczęli przypatrywać.

— Ależ to doskonałe są pieniądze — mówił kanclerz, obracając je na dłoni. — Stempel dobry, błyszczy się to jakby były z czystego srebra. Lepszych piorunków nie potrzeba, wyrabiaj waść dalej takie.

— A jaka jest ich prawdziwa wartość? — zapytał wojewoda.

— Zaledwie jedna czwarta część nominalnej wartości.

— A niechże cię piorun trzaśnie z twojemi piorunkami! Toć to straszne paskudztwo.

— Mnie tam wszystko jedno — odpowiedział majster — jakie każą wybijać, takie wybijam.

— Jutro przyjdą wozy po gotowe twoje piorunki — przerwał Zawisza. — Jeżeli wszystkie są takie jak te, bardzom z nich kontent. Potrzeba nam srebra oszczędzać, panie majster, ciężkie czasy nastały.

— Nie dla wszystkich ciężkie czasy, wasza excellencyo! Jedni mają dukaty węgierskie obrączyste, drudzy tylko piorunki kurozwędzkie, a inni i tych nie mają, a żyć muszą.

— Pamiętajże — mówił dalej Zawisza, nie zwracając uwagi na gadaninę mincarza — beczki niech będą dobrze opakowane obręczami, na każdej niech będzie oznaczona ilość sztuk i niech będą zaplombowane twoją pieczęcią.

Piorunek, od którego nazwiska wzięły właśnie swoją nazwę pieniądze przez niego wybijane w mennicy kurozwędzkiej, nic już nie mówiąc, skłonił się do kolan obydwom magnatom i równie cicho jak wszedł, oddalił się.

— Podły pieniądz wybijacie pod moim bokiem — odezwał się wojewoda. — Ja tam do tego rąk swoich nie przykładam; ale będzie to hałasu w kraju co niemiara, jak tylko zmiarkują co się święci.

— Kraj potrzebuje pieniędzy — odrzekł Zawisza — a te, które teraz zabieram, godne są tych, dla których są przeznaczone; wszystko to rozdane będzie w Budzyniu, ażeby po woli królewskiej głosowali.

— Ot, powiedziałeś! przecież myślę, że Szczęsny nie weźmie od was pieniędzy.

— On jeden nie. Jemu się zachciewa czegoś lepszego: korony ziem ruskich, które Władysławowi Opolskiemu odebrano.

— A inni? a wojewoda bełzki?

— To nienapełniona beczka Danaid. Im więcej bierze, tem większe ma pragnienie. To jest człowiek, który dla dukata gotów dyabłu duszę zaprzedać i to dlatego tylko, żeby tego dukata mógł wyrzucić za okno.

— A kasztelan biecki? Ten przecież zawsze odżegnywa się od dyabła.

— On! Każdy pieniądz, który weźmie do ręki, najpierwej pobożnie przeżegna, pokropi święconą wodą każdą baryłkę, i odpędziwszy tym sposobem od pieniędzy złego ducha, spokojnie je zapakuje do swoich piwnic.

— Ot, powiedziałeś! o innych to się już nie mam co i pytać; ale coś tego Ulmana szołdry nie widać, a mnie noga piecze coraz bardziej.

— Każę go zaraz przywołać miłościwemu ojcu i panu — rzekł Zawisza, biorąc za kapelusz. — Wypada mi pożegnać do jutra waszą miłość, bo moi goście w Kotuszowie zapewne się tam niecierpliwią bez gospodarza.

To mówiąc, pocałował w rękę pokornie wojewodę i oddalił się.

We drzwiach spotkał doktora, który schylony na wpół, z twarzą wykrzywioną, wchodził do pokoju Dobiesława.

Zawisza spiesznie dosiadł konia, którego mu podał służący; nie zatrzymując się ani chwili, jak wiatr przeleciał po opuszczonym moście i wspaniałą lipową aleją popędził do Kotuszowa.

W Kotuszowie, na pięknym pagórku uwieńczonym starymi dębami, wznosił się niewielki zameczek z dwiema basztami; ale obszerne stajnie, wozownie, magazyny, roiły się w tej chwili końmi i służbą przybyłych magnatów.

Orszaki zbrojne Zawiszy i panów towarzyszących mu, przeszedłszy most zwodzony po za zameczkiem rzucony na parowie, skierowały się groblą, idącą około głębokiego stawu, i na przyległem wzgórzu porozbijały namioty swoich panów, nie mogące pomieścić się we wnętrzu.

Przy każdym namiocie przechadzał się łucznik pilnujący sztandaru swojego pana; a więc herby Toporów,

Leliwy, Szreniawy, Grzymałów, Łodziów, wyszyte na jedwabnych chorągwiach, wesoło igrały z wiatrem. Przy nich rozmieszczały się oddziały.

Na bocznych drogach od Hańczy i Szydłowa pokazały się fury, wiozące do obozu żywność i kufy miodu.

Na głównej baszcie zamku chorągiew dotąd spuszczona na znak nieobecności władzcy, jak tylko kanclerz wjechał w bramę, natychmiast się podniosła wspaniale i godło Porajów zagórowało nad wszystkiemi.

Zawisza zeskoczył z konia, którego strzemię podtrzymywał mu koniuszy i rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie na zgromadzoną, kornie pochyloną służbę, wszedł do zamku.

Szybko przeszedł przez wielką sień, ozdobioną według ówczesnych zwyczajów trofeami myśliwskiemi. Na wbitych w ścianę rogach jeleni siedziały sokoły zakapturzone; na skórach niedźwiedzich po bokach spoczywały psy myśliwskie, czarne, podpalane ogary.

Hajduk, stojący przy drzwiach, na widok zbliżającego się pana domu, szeroko otworzył podwoje ogromnej sali, gdzie przy bogato zastawionych stołach, przy rzęsistem oświetleniu świec woskowych, przy akordach muzyki, przygrywającej na chórze umyślnie dla orkiestry zbudowanym, zasiadała cała kompania, którą widzieliśmy towarzyszącą kanclerzowi w podróży.

Czwartą to już noc panowie przepędzali przy kielichach; żelazna jedynie natura ludzi owych czasów, zdolna była przenosić wysiłki takie.

Kiedy Zawisza wszedł do sali, nikt nie powstał i nikt nie zdawał się zwracać na to uwagi. Kanclerz już miał zasiąść na przygotowanym dla siebie stolcu, gdy spostrzegł stojącego przy dalszych podwojach swojego dworzanina, który mu dawał jakieś tajemnicze znaki.

Zawisza, nie siadając już, przeszedł całą długość sali i zatrzymał się dopiero w następnej komnacie, a za nim cicho postępował dworzanin.

— Co mi masz powiedzieć? — zapytał niecierpliwie.

— Przed niedawną chwilą przybył goniec od króla.

— Czemu mi nie dano znać natychmiast o tem do Kurozwęk?

— Goniec zabronił. Pragnie, żeby o przybyciu jego nikt nie wiedział.

— Dobrze. Gdzie on jest?

— Oczekuje w basztowej komnacie.

— Prowadź mnie tam.

Rozdział V.

Władysław Opolczyk.

Dworzanin ze świecznikiem w ręku, postępował przodem, prowadząc swego pana z głównego korpusu zamku wązkim, sklepionym korytarzem, do stojącej zupełnie osobno okrągłej baszty, zbudowanej z dużych granitowych kamieni. Budowa ta ciężka pokazywała, że sięga nierównie dawniejszych czasów jak zamek, a była tak silną, że przy ówczesnej sztuce wojowania, najpotężniejsze nawet tarany, nie byłyby w stanie jej rozwalić.

Ciężkie, żelazne drzwi zamykały wchód, za niemi ukazały się wązkie, kamienne, kręcone schody, po których długo wstępując Zawisza znalazł się znowu przy drugich drzwiach żelaznych.

Osoba, znajdująca się we wnętrzu baszty snać posłyszała chód zbliżających się ludzi, bo drzwi raptem zostały otwarte, a na słabo dotąd oświetlony korytarz buchnęły kłęby światła.

Komnata sklepiona, okrągła, zajmowała całą szerokość baszty; dwa bardzo wązkie okienka, kratami zaopatrzone, zasunięte były okienicami żelaznemi i tym sposobem najmniejszy promień światła nie przedzierał się na zewnątrz.

Na progu komnaty stał rycerz w żelaznym półpancerzu, prosty miecz, używany w owych czasach, wisiał mu u boku, zakurzony szyszak, ozdobiony piórem, rzucony niedbale na stole dowodził, że rycerz odbył daleką drogę. Obok stojąca tarcza miała wymalowany na sobie jakiś herb cudzoziemski.

Okazały ten mąż, mógł liczyć lat około czterdziestu kilku, wysokie czoło i przenikliwe oczy pokazywały bystrość pojęcia. Postąpiwszy parę kroków na spotkanie przybywającego, lekko skłonił mu głową i zanurzył w twarzy jego swój wzrok orli, jak gdyby chciał przeniknąć na wskróś najtajniejsze myśli.

— To wy, miłościwy książę! — zawołał zdziwiony biskup — powiedziano mi, że przybył tylko goniec królewski.

— Tak oświadczyłem waszej służbie, excellencyo, nie chcąc, żeby mnie tu kto poznał z waszych gości, których taką gromadę zastałem w tym zamku.

— Jestem gotowy wysłuchać rozkazów waszych, miłościwy książę.

— Zobaczymy to zaraz.

— Czy wasza książęca mość nie zechce się rozebrać ze zbroi i odpocząć pod moim dachem?

— Bardzoby mi się to przydało miłościwy panie, bo w samotrzeć przez pięć dni jadąc, prawie nie zsiadałem z konia i jestem rozbity zupełnie; ale odpoczynek mój zależeć będzie dopiero od rozmowy, jaką z sobą przeprowadzimy.

— Słucham więc z uwagą miłościwy panie.

Władysław książę Opolski, gdyż to on był w swojej osobie, usiadł na grubej, dębowej ławie i wskazując Zawiszy miejsce obok siebie, mówił:

— Jesteśmy obadwaj synami tej samej ziemi, nie wątpię, że ją jednakowem uczuciem kochamy, ale poglądy nasze na jej uszczęśliwienie są różne bardzo. Ja

przekonany jestem, że tylko wzmocnienie władzy monarchicznej może uczynić Polskę silną na wewnątrz i groźną ościennym swoim wrogom, że samowolę panów i rozpasanie szlachty potrzeba ująć na uzdę. Wy, miłościwy kanclerzu, w nieograniczonej wolności widzicie jej zbawienie, a mając władzę *Vice-rexa*, zanadto pozwoliliście rozpanoszyć się bucie szlachty. Rozpasanie magnatów doszło do ostatnich granic, kraj upada w anarchię. Czy chcecie go ratować i uczynić silnym?

Twarz Zawiszy nie okazała żadnego wzruszenia i bystry wzrok Władysława nie mógł przeniknąć pod tą nieodgadniętą maską obojętności, o ile kanclerz zgadza się na jego poglądy.

— Ależ zdaje mi się, miłościwy książę — odezwał się nareszcie cichym głosem — że chcecie rzucić rękawicę całemu narodowi.

— Niech mnie Bóg od tego uchowa! Tylko magnatom.

— Magnaci, to Polska!

— Nie, to tylko kasta, która wcześniej czy później wykopie grób dla swojej ziemi.

— Prawa jej są niezaprzeczalne, odwieczne, a potęga jej opiera się na całych tłumach szlachty rozdrobnionej, ale połączonej wspólnością godeł herbowych, ukrzepiających pokrewieństwo pomiędzy tą wspólną potęgą. Uderzyć w magnatów, to znaczy uderzyć w cały stan szlachecki.

— Tak, niestety! bo szlachta jest tylko narzędziem w ręku potentatów; ciemnota jej, zarówno jak i patryotyzm są wyzyskiwane dla prywatnych celów; tłum idzie tam, gdzie go prowadzi prowodyr.

— Zapominać się zdaje wasza książęca mość, że w Polsce jest jeszcze jedna władza, przed którą wszystko się korzyć musi, która przed nikim nigdy się nie ugnie, w której ręce Opatrzność złożyła losy kraju

i która z trudem prowadzi go drogami jego przeznaczeń. Buta szlachty jest przez nią miarkowana i dopokąd ta ma prawo stanowczego głosu, nie ma potrzeby obawiać się anarchii.

— Mówicie o królu?

— Nie... o duchowieństwie.

— Którego tak świetnym reprezentantem wy jesteście. Mówicie, że nie ma potrzeby obawiać się anarchii, a cóż się teraz dzieje od śmierci wielkiego króla w tej nieszczęśliwej ziemi? Dawnoż to Litwini zabrali Włodzimierz, spustoszyli cały kraj i oparli się o parę tylko mil od tego zamku, w którym przebywa *Vice-rex?* Sztandary ich pokrywały wierzchołki Łysej Góry, zrabowali klasztór Benedyktynów na niej położony, zabrali relikwie krzyża świętego i tysiące ludu uprowadzili w niewolę.

— Odpłaciliśmy im za to sowicie. Sędziwój z Szubina nie oszczędzał nikogo. Potem upokorzyliśmy dumnego księcia Narymuntowicza, podburzyciela Litwy. Zdobyliśmy Chełm, Horodło, Grabowiec, a nawet Bełz, jego stolicę i pomimo tego, że ukorzył się i hołd nam złożył, Chełm i Bełz przyłączyliśmy do Polski, które na wieki przy niej pozostaną. W wojnie tej czyż nie dali dowodów poświęcenia magnaci? Czyż taki Mikołaj z Osolina, Jan z Tęczyna, kasztelan wojnicki, Otton z Pilicy, Drogarz z Chrobrza, Zaklika z Międzygórza, Wołczek z Łowiennicy, żałowali swego życia i mienia, czy hojnie nie rozlewali krwi i złota?

— Dlatego, ażeby zwyciężywszy zewnętrznych nieprzyjaciół, tem silniej ciemiężyć swoich poddanych i urągać władzy tego, którego Opatrzność naznaczyła im panem. Spojrzyj waszmość naokoło siebie; wszędzie ujrzysz walkę nieprzyjaznych rodów pomiędzy sobą; pożogę ognia zalewają krwi strumienie; lud jęczy wszędzie i wznosi ręce do Boga, wzywając zmiłowania. Czyż po-

tentaci duchowni łagodzą spory? Sami stają na ich czele, ażeby wspólnie z pysznymi możnowładzcami i ciemną szlachtą podkopać władzę królewską. Król Ludwik, cudzoziemiec, jest bezwątpienia znakomitym monarchą, ale będąc Węgrem z urodzenia i z wychowania, przepędziwszy swoją młodość za Karpatami, tam złożył wszystkie swoje ukochania, a poznawszy bliżej magnatów polskich i widząc, że głównym czynnikiem większości jest tylko pycha i osobisty interes, lekceważy ich, zaniedbuje interesy państwa i kraj, który tak wspaniale wzrastał pod rządami Kazimierza, na którego rozwijającą się potęgę Europa z uznaniem patrzyła, popada w bezsilność i stacza się w przepaść.

— Nie śmiem zaprzeczyć waszej książęcej mości, iż przedstawiony obraz kraju jest podobny trochę, ale za jaskrawych farb użyłeś wasza miłość. Zresztą cóż na to można poradzić? Króla Ludwika detronizować nie będziemy.

— Broń Boże! Nie o to tutaj idzie zupełnie, niech panuje z Bogiem i żyje jak najdłużej; ja, który jestem przez niego tak hojnie uposażony, dostawszy ziemię Rudzką z Olsztynem, Krzepicami, Bobolicami i Brzeźnicą, a następnie »państwo Ruskie na wieczność i posiadanie«; ja, który z jego łaski używam tytułu »Dziedzica Ziemi Ruskiej«, mógłżebym być tyle niewdzięcznym, żebym powstawał przeciwko królowi Ludwikowi? Myśl podobna nigdy nie zrodziła się w mojej głowie. Dotąd dosyć miałem pracy w Ziemiach Ruskich, podtrzymując katolicyzm, gwarantując przyszłość ludu przywilejami, a widząc co chwila wzrastający dobrobyt tych ziem, cieszyłem się, że praca moja nie szła na marne.

— O cóż więc idzie waszej książęcej mości?

— O to, że wszystko teraz zostanie zmarnowane, bo król niespodzianie zażądał, żebym się zrzekł dziedzictwa Rusi, za którą tymczasowo daje mi Dobrzyń,

Gniewków, Bydgoszcz, a następnie po swojej śmierci chce mi przekazać koronę polską.

Na te słowa Zawisza zerwał się z siedzenia i nie mogąc się powstrzymać, zawołał:

— To być nie może! Na to nigdy naród nie przystanie. Znam usposobienie panów Małopolskich, jak i Wielkopolskich, oni się nigdy na to nie zgodzą... są układy z królem węgierskim już zawarte co do sukcesyi.

— Więc dlaczego król tak pragnie odebrać mi ziemie ruskie, że je takiemi obietnicami chce okupić, których spełnić nie może?

— Bo ziemiom tym chce nadać inne przeznaczenie, co jest jeszcze tajemnicą stanu, a na tronie polskim chce widzieć swoją córkę.

— A, rozumiem to, że wygodniej wam, którzy chcecie sami władać, zostawać pod ręką kobiety, lub jakiego cudzoziemca, któregobyście jej dali za małżonka, a któryby zależąc od was, ulegać wam musiał; ale czy te rządy cudzoziemskie, których już spróbowaliście, na dobre wychodzą Polsce? Już Ludwik w Pradze zrzekł się wszelkich praw do Śląska na rzecz cesarza Karola IV, za to, że tenże odstąpił swoich pretensyj do Węgier. Co na tem zyskała Polska? Co Polskę obchodziły Węgry, żeby za nie płaciła? Ale mniejsza o to; fakt ten już stał się i niema o nim co mówić; lecz przeraża mnie teraz żądanie króla zwrotu ziem ruskich, które pod moimi rządami zakwitły dobrobytem! Obiecuje mi za nie gruszki na wierzbie; ja nie jestem chciwy, nie chciałbym korony okupionej wojną domową, ale odstępując ziemie ruskie, zapytuję: co z niemi król myśli zrobić? Wy, kanclerzu, odpowiadacie, że to jest tajemnica stanu, ale król mi otwarcie odpowiedział: że ziemie Kamieniecką, Halicką, Przemyską, Sanocką, oderwane niedawno od Węgier, wcieli do swego dziedzicznego państwa, a wy powiadacie, że to jest tajemnica stanu!

Zawisza zbladł na te słowa, ale nareszcie odpowiedział:

— Słyszałem coś o tych układach.

— O układach! z kim? — zawołał książę.

— A raczej o projektach tych układów.

— Z kim? — powtórzył gwałtownie Władysław. — Kto ma prawo frymarczyć ziemiami państwa?

— Z narodem.

— Z narodem! Któż go reprezentuje?

— Król ma myśl zwołać sejm do Budzynia i na nim przedstawić swoje żądania.

— Taki sejm, zwołany po za granicami państwa, jest bezprawiem.

— Reprezentanci narodu, gdziekolwiek się znajdują, mogą decydować o jego losach.

— I jakieżto, jeżeli można wiedzieć, król zaprojektowałby układy?

— Król Ludwik — mówił teraz ożywiając się Zawisza — pragnie tylko szczęścia obydwóch powierzonych mu przez Opatrzność narodów; nie pragnie osłabić Polski, odbierając jej te ziemie; przeciwnie, chce wzmocnić ją i ubezpieczyć od napadów dziczy pogańskiej. Myśli on oddać Halicz księciu Zygmuntowi Brandeburskiemu, dodać mu do tego ziemię wołoską i u Ojca świętego postarać się o koronę królewską dla niego, żeby tym sposobem utworzyć wał ochronny Polsce.

— I sądzisz wasza miłość, że szlachta da się wziąć na te plewy?

— Król za to chce przyłączyć do Polski starostwo spiskie, przyległe do województwa krakowskiego.

— I nic więcej?

— I szlachtę obdarzyć różnymi przywilejami.

— Biedny kraju! — zawołał książę. — Sprzedają cię za srebrniki.

Zawiszy twarz coraz więcej pochmurniała.

— Wasza miłość zapomina, że tu się nic nie stanie bez woli narodu, że układy te będą przedstawione na sejmie w Budzyniu, a jeżeli on się na to zgodzi, stanie się to prawem.

— Mam nadzieję, że tak nie będzie, ale jakie jest wasze osobiste zdanie miłościwy kanclerzu?

— Ja tylko jestem sługą narodu i co on postanowi, to się stanie.

— A dużoście swoich piorunków wybili w Kurozwękach i rozdali, lub rozdać zamyślacie, ażeby ułatwić zgodę panów?

— Interes państwa nieraz wymaga i pozwala na użycie takich środków, które się zdają niegodne; mogę jednakże zaręczyć waszej kiążęcej mości, że nie wielu takich jest, którzyby po piorunki nadstawiali swoje kiesy. Czyż taki Szczęsny, wojewoda lubelski, dla piorunków zaprzedałby swoje przekonanie?

— Jestem o tem najmocniej przekonany, że wojewoda lubelski nie spojrzałby na wasze pieniądze; ale czyż nie możnaby mu błysnąć koroną Czerwonej Rusi? A czy i Lasota, wojewoda bełzki, jest również nieprzystępnym dla pieniędzy?

— Hm! — odrzekł Zawisza, uśmiechając się — sądzę, że tak.

— No, a ten trzeci, uparty muł, kasztelan biecki? Sądzę, że postawiwszy przed nim trybularz z kadzidłem adoracyi, a drogę usypawszy piorunkami, przytem wmówiwszy w niego, że broni wolności szlacheckiej, potraficie skierować go tam, gdzie wam się tylko spodoba; a wioskowa szlachta, to rój pszczół, który pójdzie tam, gdzie go tych trzech hersztów poprowadzi.

— Więc widzi wasza książęca mość, że stronnictwo królewskie jest bardzo silne. A jeżeli jest tak silne i ma na czele swojem króla i królowę-matkę, to dopnie swoich celów. Cele te nie muszą być szkodliwe krajowi,

jeżeli najświatlejsi mężowie i najprzywiązańsi synowie ojczyzny dążą do osiągnięcia ich.

— Nigdy ja moim prostym rozumem nie pojmę tego, jakim sposobem kraj może się wzmacniać a nie osłabiać, tracąc znaczne przestrzenie najbogatszych ziem swoich — odpowiedział, szyderczo uśmiechając się Opolczyk.

— Wszakże i wasza książęca mość na tej zamianie nie tracisz. Ziemie, które ci król daje w zamian za odebrane, większe przynoszą plony, jako posiadłości położone wśród zaludnionych prowincyj, niżeli obszerne, ale puste przestrzenie Rusi, wystawione ciągle na napady rozmaitej dziczy. Mamy więc nadzieję, że wasza książęca mość, jeżeli nie zechcesz już pomagać zamiarom króla, to przynajmniej nie staniesz na czele tych, którzy gotowi wywołać wojnę domową.

Władysław powstał z ławy, na której dotąd siedział, dumnie się wyprostował, a wzrok jego zapałał tak wielkim ogniem, że Zawisza, zawstydzony, spuścił oczy ku ziemi, gdy książę rzekł swym podniesionym głosem:

— Biskupie! Kanclerzu państwa! wice-królu Polski! zajmując tak wysokie stanowiska i piastując władzę tak rozległą, znać powinieneś tę prawdę, że niegodzien nazwiska dobrego syna swojej ziemi ten, kto biernie się zachowuje w czasach, w których ona potrzebuje jego ręki i głowy. Krew, która we mnie płynie, zobowiązuje mnie wytrwać na tem stanowisku i ja osobiście nigdy nie przyłożę ręki do rozbioru kraju. Jeżeli zaś słabe moje siły na coś się przydadzą dla jego wzmocnienia i ubezpieczenia, nie zawaham się ani na chwilę rzucić mojej woli na tok wypadków.

Teraz Zawisza podniósł głowę i mierząc księcia swoim zimnym, stalowym wzrokiem, odrzekł:

— Więc wypowiadasz wasza książęca mość wojnę pragnieniom króla i najpierwszych kraju dostojników?

— Jeżeli pragnienia te wyrządzają krzywdę Rzeczypospolitej, gwałcąc jej prawa i narażają na sromotę, to, jakkolwiek nie jestem człowiekiem wojennym i nad wszystko przekładam spokój, nie zawaham się jednak stanąć przeciw wam okoniem. Przybyłem tutaj, pędząc dniem i nocą, do ciebie, kanclerzu, żeby ci powiedzieć wieść, która mnie przerażała, i chciałem szukać w tobie podpory przeciw zamachowi na całość państwa; przekonałem się jednak, niestety, żeś nietylko wiedział o tych frymarkach, ale możeś je nawet uknuł w swojej głowie. Chcecie uszczuplić państwo na korzyść Węgier, a jednocześnie ograniczyć władzę monarchiczną, co ma być zapłatą szlachcie za jej głupotę. Ciemni wy jesteście ludzie, nie widzicie przepaści, nad którą kraj spychacie! Przywileje szlachty, które wytargujecie na królu, będą zgubą waszych potomków i zaprowadzą do grobu to świetne mocarstwo. Ja do tego ręki przykładać nie będę, a znajdą się, mniemam, obok mnie ludzie uczciwi, którzy postawią tamę waszym zachciankom i może zbawią, lub — dodał smutnie — odwloką przynajmniej na długo ruinę tego pysznego gmachu, który się Polską nazywa.

To mówiąc, podjął szyszak ze stołu, okrył nim głowę i, zapuściwszy przyłbicę, dumnie wyszedł z baszty, nie podawszy ręki gospodarzowi.

Zawisza stał jakiś czas zamyślony, a po chwili, uderzając się ręką w czoło, zawołał:

— Ach, ja niebaczny! czemuż go nie uwięziłem w tej baszcie! Nikt nie widział jego przybycia tutaj, byłbym położył od razu koniec wszelkiemu oporowi! A zresztą — dodał po chwili rozwagi — cóż on może zrobić! Szlachta go nie lubi, któż za nim pójdzie przeciwko nam?

Biskup zamyślony opuścił samotną basztę i wyszedłszy na korytarz, spotkał w nim dworzanina swojego, czekającego z zapaloną latarnią.

W tej chwili rozlegający się tętent konia po zwodzonym moście dał mu znać, że Władysław już się oddalił.

Zawisza nie powrócił do sali biesiadniczej, z której dochodziła wrzawa coraz huczniejszych głosów ludzkich i dźwięki muzyki, lecz udał się do oddzielnej części zamku kotuszowskiego, w której znajdował się jego gabinet do pracy. Hajduk, otworzywszy drzwi, usunął się na bok, a kanclerz, wszedłszy do sklepionej komnaty, zastał ją rzęsiście oświetloną. Na środku stał wielki, okrągły stół, pokryty suknem purpurowem, cały zarzucony papierami. Przy oddzielnym stoliku, ustawionym w rogu pokoju, siedział młody duchowny z piórem w ręku i zdawał się pilnie zajęty przeglądaniem aktów. Był to sekretarz przyboczny kanclerza państwa, używany do spraw, wymagających ścisłej tajemnicy.

Za wejściem kanclerza duchowny powstał ze swojego siedzenia i złożywszy mu głęboki ukłon, stał w postawie, pełnej uszanowania, oczekując jego poleceń.

— No, księże Marcinie — rzekł Zawisza — zanim przystąpimy do roztrząsania spraw, proszę cię, rozkaż zaraz w mojem imieniu, niech Liszka dobierze sobie luzaka odpowiedniego i natychmiast z nim uda się w podróż. Przed chwilą opuścił mnie rycerz, o którego dalszej drodze potrzebuję mieć szczegółowe wiadomości, a mianowicie: dokąd się udaje, gdzie wstępować będzie po drodze. Rycerz ten, to — tu Zawisza trochę się zamyślił, czy wypowiedzieć prawdziwe nazwisko sekretarzowi, kiedy ten najspokojniej zakładając pióro za ucho, rzekł:

— Rycerz ten, jest to książę Opolski Władysław.

— Jak to! ty wiesz o tem?

— Przeszedł tuż około mnie, udając się do baszty, a pomimo spuszczonej na twarz przyłbicy, po pewnym ruchu ręki, jemu tylko właściwym, poznałem w nim władcę Rusi i w perspektywie króla.

— Domyślny jesteś, książe Marcinie, bardzo domyślny, ale mylisz się, Władysław nie jest już władcą Rusi i nawet w perspektywie nie jest przyszłym królem. Pomimo to jednak wiadomości o każdym jego kroku są mi potrzebne. Człowiek ten może nam narobić wiele kłopotów i rozniecić w państwie niepokoje; potrzebuję wiedzieć, z kim się łączy, na kogo liczy, dokąd się udaje w tej chwili po pomoc dla swoich zamiarów?

— Na to wszystko mogę odpowiedzieć waszej ekscelencyi, nie wychodząc z tej komnaty. Książę stąd prostą drogą udaje się do Granowa, do Rafała Granowskiego, marszałka koronnego.

— Do tego malkontenta! zawsze mi stojącego na przeszkodzie! Przypuszczałem to, ale skąd ty wiesz o tem?

— Kiedy rycerz, przybyły jako goniec królewski, udał się do baszty, ja zszedłem na podwórze, chcąc zobaczyć jego orszak i coś się dowiedzieć o tym tajemniczym gościu. Niepomiernie byłem zdziwiony, przekonawszy się, że ma tylko trzech towarzyszów. W obecnych czasach dowodzi to albo niepomiernej odwagi, albo lekkomyślności, lub ubóstwa, albo co najbardziej trafiało do mego przekonania, chęci ukrycia celu i kierunku podróży. Wezwałem więc przybyłych z nim ludzi do komnaty przy bramie wjazdowej i kazawszy przynieść miodu, prosiłem, żeby odpoczęli i pokrzepili się ożywczym trunkiem do dalszej drogi. Służba Opolczyka nie dała się długo o to prosić; ludzie, narzekając, że kości ich o mało się nie rozleciały od forsownej jazdy, bo przez kilka dni prawie nie zsiadali z koni, wygadali się, że kawał jeszcze drogi mają do przebycia, bo dopiero w Granowie, siedzibie marszałka, spodziewają się dobrze odpocząć.

— A któż to jest ten rycerz, któremu towarzyszycie? zapytałem, udając niewiadomość. Dworzanie po

sobie spojrzeli, jakby się radząc jeden drugiego co powiedzieć, ale nareszcie jeden z nich rzekł:

— Jegomość ksiądz dobrodziej lepiej to od nas wiedzieć może, boć rycerz udał się do zamku, a służbie nie wypada mówić, jeżeli sam pan milczy o swojej godności.

-- Uśmiechnąłem się i pochwaliłem jego ostrożność, jako wiernego sługi i kazałem postawić drugi dzban miodu. Jakoż usta się żołnierzom rozwiązały, wygadali się, że w Granowie będzie dużo gości, że przyjedzie tam i pan starosta wielkopolski, brat marszałka, Wincenty Granowski, że wyglądają tam i biskupa wrocławskiego, Andrzeja Lubrańskiego i wielu innych panów z Wielkopolski.

— Tego wszystkiego spodziewałem się — odparł zamyślony kanclerz — całe to gniazdo szerszeni szumi, brzęczy, ale odwagi do czynu żaden z nich mieć nie będzie, nie wyłączając nawet Opolczyka. Jeden tylko Lubrański mnie niepokoi. Potężnemu jego wpływowi świętości trudno się oprzeć, a że umysły znajdzie przygotowane do negacyi, może sprowadzić zawieruchę. Pomimo tego będą bezsilni wobec naszego stronnictwa z królem na czele Węgrów; rozjaśniłeś mi waszmość położenie, ale tembardziej potrzebuję wiedzieć dokładnie, co się tam będzie smażyło w tym tyglu granowskim, jaką tam dla nas potrawę przygotowują, bo i my ich na gulasz z papryką zapraszamy. Staraj się waszmość dokładnie wiedzieć, kto tam jest, co będą mówić i co działać zamyślają? Do tego trzeba kogoś zręcznego użyć.

— Wszystko się stanie stosownie do woli waszej ekscellencyi, wiadomości nie braknie, ale piorunki muszą potężnie zagrzmieć w Granowie; ich brzęk ożywi i pobudzi do czuwania naszych przyjaciół.

— Wszakże niedawno dopiero dałem waszmości całą beczułkę tych piorunków.

— Nie zmarnowałem ich, wasza ekscellencyo, mamy przyjaciół wszędzie, ale żeby ich zapał nie ostygł, potrzeba nowego strumienia srebra.

— Weź więc waść jeszcze jedną baryłkę i rozszafuj jak uważasz za właściwe, bylem tylko miał wiadomości pewne i dokładne.

— Postaram się o to, wasza ekscellencyo.

— Znużony jestem już temi ciągłemi zabawami, ale za ich pomocą, jak na uździe konia, prowadzę za sobą szlachtę do Węgier na sejm. Tam także, inną drogą, udają się córki Kazimierza. Ważne tam kwestye w Budzyniu decydować będziemy.

— Czy wolno zapytać waszą ekscellencyę, o co właściwie chodzi i co będzie decydowane na tym zjeździe.

— Dużo bardzo rzeczy. Podatki, następstwo tronu i pewne aljenacye niektórych ziem.

— Zaraz o pierwsze żądanie rozbić się może wszystko, jak tylko zostaną wyrzeczone wyrazy: podatek-poradlne, szlachta, któraby na wszystko zezwoliła, oburzy się i gotowa dać się zarąbać pierwej, niż zatwierdzić podobną uchwałę.

Biskup uśmiechnął się i odrzekł:

— Będzie to właśnie ostroga, która w porę użyta, przymusi ich do skoku. Przedewszystkiem zaprojektujemy podatek po 6 groszy srebrnych z łanu, po korczyku żyta i owsa, tak od szlachty, jak i od duchowieństwa.

— Sądny dzień powstanie w kraju.

— Wiem o tem, ale to mnie nie przeraża; będziemy się mogli targować; damy do zrozumienia, że opuścimy znacznie podatki, jeżeli przystaną na następstwo tronu jednej z córek Ludwika.

— A córki króla Kazimierza?

— Te uznane zostaną przez władze duchowne za dzieci zrodzone z nieprawego związku i raz na zawsze usunięte od wszelkich pretensyj do tronu.

Ksiądz Marcin znacząco pokiwał głową.

— Ta kwestya prawie już jest rozstrzygnięta — mówił powoli kanclerz — i nie ona nas najwięcej zatrudnia; ale uznaliśmy na wspólnej radzie z królem i królową matką, że przyłączenie do Polski starostwa spiskiego może przynieść wielkie korzyści narodowi, bo prowincya to ludna, bogata; ziemie zaś ruskie, które nic nam nie przynoszą, wystawione na ciągłe napady dziczy, król Ludwik pragnie przyłączyć do Węgier na wieczne czasy.

Sekretarz na te słowa podniósł się, wyprostował, i składając nizki ukłon Zawiszy, rzekł:

— Wasza ekscellencya, obdarzając mnie swojem zaufaniem, tem samem upoważnia mnie do wypowiedzenia mojego zdania.

— Mów waszmość śmiało, a jakiekolwiek ono będzie, nie poczytam wam tego za złe.

— A więc jestem przekonany, że podobna zamiana ziem ruskich na starostwo spiskie, byłaby wielkiem pokrzywdzeniem Rzeczypospolitej.

— Tak się to zdaje na pozór, tak jednak nie jest. Co nam te ziemie przynoszą? Nic, oprócz kłopotów i strumieni krwi, które bezustannie w przyszłości przyjdzie przelewać, chcąc się przy nich utrzymać, raz dla uchronienia ich od napadów Tatarów i Litwy, a drugi raz dla zasłonienia się od nich samych; bo one, różniąc się od nas religią, językiem, zwyczajami, nigdy się dobrowolnie z nami nie zespolą; będzie to rana wiecznie otwarta! Toć i teraz nie były w naszem posiadaniu, bo niemi władał Opolczyk, a lubo to człowiek uczciwy i dobry gospodarz, ale wódz żaden. On władał, a my obowiązani byliśmy go bronić i ciągłe mieć zatargi ze wschodnią i północną dziczą ludów, mieszkających u progów państwa, nie ubezpieczonych żadnemi geograficznemi tamami, przeciw ich naporowi. Tamy te kiedyś

zostałyby zerwane, a powódź zalałaby całą Polskę; jeżeli zaś prowincye te zostaną raz na zawsze przyłączone do Węgier, zwalimy tylko kłopot z głowy i oszczędzimy przelewu krwi polskiej swoim następcom. A gdy daleko widzący król Ludwik zdecydowany jest dołączyć do tych prowincyi nietylko Wołoszczyznę ale i Halicz i wyjednać u Ojca Świętego koronę królewską dla jej władzcy, to wybudujemy sobie niezdobytą fortecę na wschodnich kresach, zabezpieczymy tyły, a wtenczas powinniśmy obracać nasze siły cywilizacyjne na zachód: odebrać Pomorze i wszystkie porty Baltyku otworzyć dla naszego handlu. Przedewszystkiem powinniśmy zgnieść Krzyżaków, ten zarazek wzrastającej potęgi niemieckiej na północy; rozwinąć przemysł, który stanowi prawdziwą podstawę państw; zagospodarować się na brzegach Baltyku i uczynić z Polski potęgę niezwyciężoną. Kierując zaś nasze prądy życia wyłącznie na wschód, błądzimy, bo wierz mi waszmość, księże Marcinie, państwo, które nie ma brzegów morskich, pomimo swoich chociażby największych zwycięstw, zawsze będzie musiało być biedne i słabe.

— Bez zaprzeczenia daleko to sięgające plany, które mi raczy ukazywać wasza ekscellencya i gdyby mogły się zamienić w rzeczywistość, z Polski stałaby się potęga pierwszorzędna w Europie, ale na jakież to pierwej ryzyko potrzebaby się narazić, ile krwi przelać, walcząc z Zakonem Krzyżackim i całą potęgą Niemiec, które bezwątpienia znają ważność położenia i które mają na swoje rozkazy pięć kroć większe od nas wojska i niewyczerpane skarby. Widoki te w perspektywie piękne, są bardzo niepewne, a stare nasze polskie przysłowie mówi: »lepszy grosz w garści, jak wróbel na dachu«.

— A jednak ten tylko, kto myśl moją pojmie i pójdzie za nią, zapewni trwały byt krajowi, który inaczej czekają straszne klęski. Plan ten jest zdecydowany,

a czas to pokaże, kto z nas jaśniej widział przyszłość i pewniejszymi krokami do niej dążył.

— Jeżeli tak, to i uwagi moje są zbyteczne, poważę się tylko jeszcze zapytać, kto ma zasiąść na tronie utworzyć się mającego królestwa halickiego?

— Cyt! — powiedział biskup, przykładając palec do ust na znak milczenia — to jest tajemnica stanu i przed czasem nie może być głośno wypowiedziana; tymczasem błyska się koroną przed oczami wojewody lubelskiego, a i Lasota myśli, że i do jego głowy nie źle pasowałaby korona. Są i inni, nikomu nie odbieramy nadziei, a w ostatniej chwili, może nawet Zygmunt, książę brandeburski, zawiedzie się na spodziewanych sukcesach.

— Dlaczegożby nie mógł herb Porajów powiewać na baszcie tego sławnego grodu; dlaczegoby ten, kto jest dzisiaj *Vice-rexem* Polski i który umie władać tak obszernemi ziemiami, nie miał zostać władzcą tak małego królestwa? — odrzekł pokornie schylając głowę sekretarz, ksiądz Marcin. — Byłaby to prawdziwa wielka ofiara ze strony waszej ekscellencyi, uczyniona dla dobra narodu.

Zawisza przenikliwy wzrok utkwił w twarzy mówiącego, jakby chciał nim sięgnąć do głębi duszy; ale twarz księdza Marcina zdawała się tak pełną prostoty, oko tak śmiało spoglądało na biskupa, że najmniejszej obłudy dopatrzeć się w niem nie można było; zresztą on go wyciągnął z nicestwa, on otwierał przed nim drogę do wysokich godności. Nie krępując się więc i nie odrzucając stanowczo propozycyi odpowiedział:

— Drogi Opatrzności są niezbadane. Ręka Boska, która opiekuje się losami tak pojedyńczych ludzi, jak i całych narodów, wskaże swojego wybrańca, a jeżeli spodoba się Przedwiecznemu, żebym ja nim był, zgodzę się z pokorą na jego wolę.

Żaden muskuł na twarzy sekretarza nie zadrgnął, wzniósł tylko oczy do góry, jakby cichą zanosił modlitwę o spełnienie tego pobożnego życzenia.

— Ale czy sejm, zwołany za granicą Rzeczypospolitej, będzie legalnem miejscem do decydowania w tak ważnej kwestyi, czy się tam ściągną wszyscy senatorowie.

— Nie koniecznie nam wszyscy są potrzebni; większość głosów zadecyduje stanowczo. Wlokę z sobą ogon, te tłumy szlachty; karmię, poję i szaleję wraz z niemi; lecz za to moje stronnictwo wzrasta co minuta; na drodze czekają na mnie już nasi potężni stronnicy. Arcybiskup halicki Rzeszowski, kamieniecki Derszniak, przemyski Filip Konarski ze swoimi satelitami, oprócz tych wszystkich, których wiodę w mojem towarzystwie. Otworzymy sejm w Budzyniu i tam rozstrzygną się losy odstąpienia prowincyj Ruskich i utworzenia królestwa halickiego.

— Daj Boże, żeby się spełniły łatwo te wszystkie dobre plany.

— Chociażby nie łatwo, ale spełnić się muszą.

— Bez rozlewu krwi?

— Spodziewam się, a teraz kiedym ci wytłómaczył moje plany, przygotuj waszmość uniwersały, wzywające szlachtę na sejm do Budzynia.

— Na jutro wszystko to już będzie gotowe.

— Dobrze. Ja teraz muszę spocząć nieco; trzecią już noc z rzędu nie zmrużyłem oka. Ktoś, z ubocza patrząc myśli, że ja się bawię, szaleję, a ja tylko przysposabiam siły potrzebne mi do rozegrania mojej gry.

Zawisza wyszedł, a przechodząc około sali jadalnej, z której dochodziły go dźwięki muzyki i wesołych śpiewów, machnął tylko ręką i udał się do swojej sypialni.

Przez trzy dni następne uczta na dworze kotuzowskim nie ustawała ani na chwilę. Ciągle nadjeżdżały or-

szaki nowych współbiesiadników, złożone ze szlachty okolicznej i magnatów z dalszych stron. Całe domy Toporów, Leliwitów, stawiły się tutaj.

Towarzystwo podzieliło się teraz na trzy kategorye oddzielne; młodsi i hulaszczego usposobienia z wojewodą bełzkim na czele przy dźwiękach arf, w towarzystwie kobiet, przepędzali czas na tańcach i śpiewach; drudzy, którym przewodniczył kasztelan biecki, siedzieli przy zastawionych stołach, spełniając liczne kielichy, i pogrążając się w stan zupełnego pijaństwa; najmniej liczna kompania, ale najbardziej wpływowa z wojewodą lubelskim, pochmurnym i mało mówiącym jak zawsze, oddaliła się do osobnych komnat i tutaj siedząc przy starym węgrzynie, mało go jednak używając, wiodła poważne narady. Szczęsny zdawał się z uwagą przysłuchiwać każdemu słowu wyrzeczonemu przez współtowarzyszy, lecz uporczywie milczał.

Kanclerz przez te trzy dni pobytu w domu swoim, zajęty wysyłaniem uniwersałów, miał mało czasu do zabawy, lecz często zjawiał się na chwilę na salonach i naprzemian to łączył się z wojewodą bełzkim, który zawodził tany i wtórował pieśniom... to znowu niespodzianie zjawiał się wśród ucztujących towarzyszy kasztelana bieckiego, chwytał do ręki puhar, wznosił zdrowie którego z panów i niespostrzeżenie znikał, ażeby przyjąć udział w naradach, które ze Szczęsnym, wojewodą lubelskim, toczyły się w oddzielnych komnatach.

Rozdział VI.

Na wierzchołku Tatr.

Mgła pokrywała szczyty tatrzańskie nieprzeniknioną dla wzroku zasłoną, gdy z ciasnego wąwozu, wznoszącego się coraz wyżej, obrośniętego po bokach nędzną kosodrzewiną, wynurzał się orszak podróżnych, dążący ku granicom Węgier. Konie z trudnością pięły się po nierównej drodze, pełnej kamieni, które poruszone kopytami z łoskotem zsuwały się w przepaść, grożąc co chwila pogruchotaniem nóg jeźdźcom, postępującym za niemi. Konie wychudzone długą drogą szły wolno, wspinając się coraz wyżej; podróż ta górska, tem była uciążliwsza, iż tak rycerz postępujący na czele, jak i cały jego orszak, składający się z pięćdziesięciu koni, ciężko byli uzbrojeni.

Za oddziałem tym wlokła się kolasa, którąśmy już spotkali pod Wiślicą. Kilkudziesięciu górali w swoich krótkich, burych świtkach z toporami za pasem, postępowało po bokach, dając baczną uwagę na ruch kół. Przejazdy władzców w owej epoce były prawdziwą klęską dla mieszkańców; niedosyć że dostarczali bezpłatnie furażu dla koni i ludzi, ale musieli eskortować kawalkaty. Po błotach potrzeba było sypać groble, naprawiać mosty, w górach strzedz od rozbójników; potrzeba było uprzątać zawały, a nie rzadko i na własnych barkach przenosić ekwipaże po ślizkich wirchach gór.

Częste teraz stosunki węgierskiego dworu z Krakowem, nie rzadkie przejazdy licznych orszaków królowej Elżbiety, włóczącej się ciągle, do rozpaczy przyprowadzały okolicznych mieszkańców.

Żaden z ówczesnych podróżnych nie myślał o zapłacie dostawcom i przewodnikom i jeżeli po skończonej podróży, ludzie ci nie czuli na swoich plecach bolesnych razów, których im nie żałowano w razie najmniejszego nieporządku lub zaniedbania, uważali się za dobrze wynagrodzonych.

Królewny, z których orszakiem spotykamy się obecnie na stoku Karpat, rozkazały wszędzie płacić za dostawione na ich potrzeby produkta; wzbudziło to powszechną radość i biedni górale, spodziewając się dostać parę groszy nagrody, z największą troskliwością spełniali swoją powinność, strzegąc kolasy; nie przeszkadzało to jednak, że często koła wjechawszy na duże kamienie, lub pogrążywszy się w wyboje, groziły wywrotem, a co za tem idzie, pogruchotaniem kości w przepaściach. Za ekwipażami dopiero, stanowiąc straż tylną, co zupełnie nie było zbyteczną rzeczą, w miejscowości, gdzie co chwila można było być napadniętym, postępował na czele swoich ludzi Jaśko z Żarnowa. Ludzie i konie jego orszaku byli uznojeni.

Niespodziewanie, na samym środku drogi, pokazała się wyrwa, wyżłobiona górskim potokiem tak szeroko, że niepodobieństwo było przebyć jej w kolasie, dlatego też Römer, prowadzący orszak, nadjechawszy w to miejsce, pomimowolnie wstrzymał konia, a za nim postępujący zatrzymali się towarzysze.

Zdarzenia takie dosyć często powtarzały się w ciągu podróży; bywały wypadki, że nadjechawszy nad rzekę jakąś, zastawało się most zrujnowany i dopiero trzeba było budować nowy, a tymczasem biwakować pod namiotami.

Umęczone niewygodną jazdą królewny, korzystając z chwili, w której kolasa się zatrzymała, rozkazały otworzyć wrotka jej i szybko obiedwie wyskoczyły na ziemię. Właśnie Römer zsiadł z konia, i oddawszy go luzakowi, wydawał rozkaz góralom do zrównania wyrwy, gdy zobaczył, że obiedwie dostojne podróżne wdarły się na wysoki, sterczący kamień po nad wąwozem, zasiadły na nim i z lubością oddychały górskiem powietrzem.

Firanki z mgieł, tajemniczo okrywające dotąd szczyty gór, niespodzianie zaczęły się rozsuwać i opuszczać na dół, słońce zajaśniało w całym swoim blasku, a tumany mgły białej, jak wzruszone bałwany morza, zlewały się w doliny podnóża gór i zatrzymywały się na wierzchołkach świerków, stanowiąc jakby rozciągnięty, wełnisty, miękki welon. Szczyty gór, pokryte śniegiem, lśniąco odbijały się od promieni słońca, a w dali po za podstawami ich zieleniły się nieprzejrzane okiem pola węgierskiej już ziemi. Lekki wiaterek, uginając łodygi młodej kukurydzy, falował nią i z daleka sprawiał złudzenie kołyszącej się zielonej wody. Po nad wierzchołkami śnieżnymi gór, zawieszony w powietrzu, jak plamka czarna wśród błękitów, unosił się tatrzański orzeł i ciekawie spoglądał na tych śmiałych podróżnych, co się odważyli wdzierać w obszary jego państwa.

Jeźdźcy pozsiadali z koni i trzymając je za cugle czekali, aż górale wezmą się do roboty.

Obiedwie królewny, wzruszone tym wspaniałym widokiem, stanęły na ogromnym kamieniu, opierając się o siebie i z zachwytem wpatrywały się w te dzikie, a niemające równych sobie piękności.

— Anusiu moja! — zawołała królewna Jadzia, a oko jej zaszło łzą — patrz! patrz ukochana, co za pyszne kraje pokazują się przed nami, co za wspaniałe kobierce rozpostarte pod naszemi stopami, co za bogactwo, co za

przepych! A jednak tam, w tej mgle po za nami, tam na północ daleko jest ziemia tysiąc razy dla mnie piękniejsza, miliony razy droższa, której ja nigdy nie zapomnę, nigdy, bez której żyć nie potrafię, bez której umrę, jeżeli nie będę oddychać jej powietrzem.

Anna smutny wzrok obróciła po za siebie, i opierając głowę młodszej siostry na swoich piersiach, tuląc ją jak dziecię do siebie, odrzekła:

— O, siostrzyczko moja, kto wie, czy jeszcze kiedy będziemy oglądać te nasze ukochane płaszczyzny, czy jeszcze kiedy będziemy pomiędzy żytem wybierać polski chaber, czy jeszcze kiedy noga nasza stanie nad smoczą jamą Wawelu i upatrywać będzie oko nasze śladów potwora?

— Umilknij!... Umilknij siostro moja, bo serce pękłoby mi, gdyby mnie opuściła nadzieja, że już nigdy nie wrócę do pól ojczystych, że nigdy nie ujrzę ukochanego Krakowa! Gdybym miała to przekonanie, nie wahałabym się z tej skały rzucić w przepaść. Ot, patrz w tę na północ rozciągającą się przepaść. Tam jeszcze Polska, tam jeszcze lud polski, polskie kwiaty, polskie wonie. O nigdy, nigdy ich dobrowolnie nie opuszczę!

Kasztelan Römer, który niepostrzeżenie zbliżył się właśnie do rozmawiających sióstr, usłyszał ostatnie słowa Jadwigi i kiedy zwrócił swoje oczy na jej rozanielone lica i dojrzał łzę zastygłą w kroplę kryształu, serce jego uderzyło gwałtowniej, jakieś nieznane uczucie objęło go w swoje sploty, dusiło go; całe to powietrze górskie nie wystarczało mu, teraz czuł, że udusi się, jeżeli nie wypowie swojego słowa. Ta ziemia teraz stała mu się miliony razy piękniejszą i droższą.

A jednak słowo to zdawało mu się bluźnierstwem. On, biedny szlachcic, śmiał wznieść wzrok swój aż do krwi panów swoich... do krwi Piastów, spokrewnionej z najpierwszymi dworami Europy? Nie wiadomo czemby

się skończyła była ta walka wewnętrzna rycerza i jakie słowo wynalazłby do wypowiedzenia ogromu swoich uczuć, gdyby nie wypadek, który nastąpił niespodziewanie. Przeraźliwy świst piszczałki rozległ się na szczycie przyległej góry, rozsypał się jak perły po drugich wirchach i zamilkł. Cały krajobraz w jednej chwili, jakby za pociągnięciem sznura reżysera zmienił swoje dekoracye. Górale, przeznaczeni do naprawy przerwy, pozostali nieruchomi, jak wykuci z kamienia, w pozycyach, w których ich doszedł świst; żołnierze z podziwieniem wzrok swój skierowali na góry, a stary Jaśko z Żarnowa, który dotąd jeszcze nie zsiadł z konia, zawołał donośnym głosem:

— Baczność!

Widok jaki teraz ukazał się, był zdumiewający. Przed chwilą jeszcze wierzchołki gór były puste, słońce swobodnie ślizgało się po ich urwiskach, a teraz z pod krzaków kosodrzewiny, z za skał, z pod wyrastającej paproci, na lewo i na prawo, wysoko i nizko, wynurzają się postacie zbrojne; ostrza dzid odbijają się od promieni słońca, potężne topory zatknięte za pasem, a naciągnięte łuki z położoną strzałą na cięciwie, w jednej chwili mogą zasypać cały orszak chmurą pocisków. Kilkakroć przewyższają oni liczbą, a górując swoją pozycyą nad ścieśnionym w wąwozie oddziałem, potężną stanowią tamę dalszemu pochodowi.

Römer, dostrzegłszy to groźne położenie, bez względu na swoją ciężką zbroję, w kilku skokach znalazł się przy królewnach i nie namyślając się ani chwili, porwał Jadwigę i uniósł do stojącej opodal kolasy, królewna Anna postępowała sama tuż za nimi.

Do czynu tego popchnęła go obawa, iż zaczną świstać strzały i która z nich może utkwić w sercu królewny.

— Teraz panie zabezpieczone jesteście, nie wychylajcie się z kolasy, a resztę zostawcie nam do zrobienia.

Nie czekając odpowiedzi, rzucił się do swoich żołnierzy i rozkazał im, o ile na to ciasnota miejsca pozwalała, rozsypać się po brzegach wąwozu dla otoczenia kolasy. Rzutem oka doświadczonego wojaka poznał, że ani postąpić naprzód, ani cofnąć się niepodobieństwo; potrzeba przyjąć walkę w ciasnym wąwozie. Jakkolwiek on i jego żołnierze pokryci żelazem, zabezpieczeni byli od strzał, ale potracić mogli konie i tym sposobem uledz przewadze liczby. Górale zajęci naprawą drogi, nie zdawali się przerażeni tym napadem, wiedzieli, że tu nie o nich chodzi, popodpierali się na swoich toporkach i łukach, w milczeniu patrząc na rozgrywającą się przed ich oczami scenę.

Jaśko ocenił także niebezpieczne położenie; bądź co bądź, nie można było tracić czasu; potrzeba się było przedostać naprzód, to jest przedewszystkiem zasypać wyrwę na drodze, tamującą przejście. Nie zatrzymując się więc ani chwili, wystąpił na czoło, a zbliżając się do próżnujących górali, zawołał groźnie:

— Chłopcy! natychmiast za łopatę i zasypać mi piorunem tę wyrwę!

Na te słowa stary góral, stojący na uboczu, zbliżył się do rycerza, i zdejmując pokornie kapelusz, rzekł:

— Nie panoczku! Jeżeli weźmiemy się do roboty, wszyscy zginiemy marnie i wy, chociaż macie na sobie zbroję, nie ocalicie się.

Rycerz podniósł miecz i już miał uderzyć nieposłusznego górala, gdy ten mu wskazał, że od bandy rozbójników odłączyło się dwóch ludzi, i trzymając zielone gałęzie w ręce na znak pokoju, śmiało spuszczało się do wąwozu.

Ludzie ci, w ubiorach jakichś na pół węgierskich, na pół wołoskich, w obszernych kapeluszach na głowie z czarnemi piórami, odrzucili od siebie łuki i topory i szli zupełnie bezbronni, spoglądając naokoło.

Römer i Jaśko stanęli przy drzwiczkach kolasy z dobytymi mieczami.

Tymczasem posłowie śmiało zbliżyli się do kolasy i o kilkanaście kroków od niej zatrzymali się.

— Kto jesteście i czego chcecie? — zapytał kasztelan nowoprzybyłych.

— Jesteśmy panami tych gór i chcemy myta za przejazd przez nie.

— To coś nowego — odpowiedział śmiejąc się Römer — dotąd wiedziałem, że góry te należą do króla Węgier i Polski, tymczasem teraz staje przed nami ich nowy władzca.

— I to taki, który jest w nich rzeczywistym panem, który, jak ta kania, którą tam widzisz zawieszoną w powietrzu nie uznaje nikogo nad sobą, którą ażeby zmódz, potrzeba pierwej ściągnąć z obłoków. Żądamy za przejazd myta, czy dacie go dobrowolnie?

— Ależ szaleńcy! czyż nie widzicie, że to jest nie karawana kupców, którzyby, przestraszywszy się waszych pogróżek, drżący złożyli wam okup? czyż nie widzicie, że tu są rycerze w żelaza zakuci, przyzwyczajeni staczać krwawe boje, rycerze, którzy was się bynajmniej nie ulękną i po trupach waszych otworzą sobie dalszą drogę.

— Czy nie widzisz rycerzu, że nas jest cztery razy tyle co was?

— Cztery razy tylko! myślałem, że przynajmniej dziesięć razy tyle! I wy myśleliście, że czterech takich ciemięgów jak wy, jeden rycerz nie potrafi pokonać!?

— Być może, że tam na równinach czterech naszych towarzyszów bez zbroi nie pokonałoby ciebie rycerzu, ale inaczej rzecz się ma tu, w górach, w tym ciasnym wąwozie.

— Dla ludzi odważnych miejsce nic nie znaczy ani liczba i jeżeli natychmiast nie ustąpicie i nie otworzycie nam drogi... biada tobie i twoim towarzyszom!

— Co do nas dwóch, jesteśmy tu obydwa bezbronni i opierać ci się rycerzu nie będziemy, ale każda kropla krwi naszej zostanie srogo pomszczona; w chwili, w której ktokolwiek podniesie na nas rękę, patrz, te tysiące ogromnych głazów, które wiszą w powietrzu, stoczą się na wasze głowy i zmiażdżą wszystko. Opłaćcie się i jedźcie spokojnie.

Kasztelan z rycerzem Jaśkiem, zamienili pomiędzy sobą spojrzenia. Groźne niebezpieczeństwo dostrzegli oni oddawna i ocenili jak należy. Wąwóz był ciasny, a natłoczone w nim wozy, konie i ludzie, uniemożebniały walkę.

Na to widocznie rachowali napastnicy.

— Mamy was jak ryby w matni i najdzielniejszy szczupak się z niej nie wydostanie.

— Ale ty pierwszy życiem swojem opłacisz swoją zuchwałość — zawołał Römer unosząc się gniewem.

Rozbójnik nie zadrżał wcale; nie ustępując ani kroku, założył ręce na piersiach i stał spokojnie oczekując ciosu.

— Kasztelanie — odezwał się w tej chwili głos królewny Jadzi — wstrzymaj się!

Drzwiczki kolasy otworzyły się i przepiękne dziewczę stanęło obok rycerza.

— Kto wy jesteście moi biedni ludzie i czego od nas chcecie? — zapytała.

— Zdziwiony odwagą dziewczęcia, rozbójnik stał przez chwilę milcząc i bacznie się przypatrując temu zjawisku.

— A wy kto jesteście? odpowiedźcie mi pierwej.

— Niech wasza królewska mość nie wdaje się z tymi bandytami w rozmowę i niech raczy wsiąść czemprędzej napowrót do kolasy — zawołał Jaśko.

— Wasza królewska mość... — powtórzył zdziwiony bandyta. — Wasza królewska mość. Miałżeby to być dwór tej starej rozpustnicy? Ach jakżebyśmy się ucie-

szyli, gdybyśmy mogli ulżyć ciężaru koniom, wiozącym worki złota złupionego z biednych ludzi.

— Jesteśmy tylko biedne sieroty, córki króla Kazimierza nieboszczyka — odpowiedziała łagodnie na to Jadzia.

— Córki króla Kazimierza! — zawołał zdziwiony herszt.

— Tak!

— Córki ubóstwionego naszego króla chłopów.

— Ty rzekłeś — odrzekł poważnie Jaśko.

— A królowa Elżbieta nie jedzie z wami?

— Nie.

— Więc źle byliśmy zawiadomieni. Powiedziano nam, że to jej dwór i chcieliśmy z nią załatwić różne rachunki.

— Widzisz więc, żeś się omylił — powiedziała spokojnie dziewica i wskazując Annę, która cicho się zbliżyła i obok niej stanęła, dodała. — Czy biedne królewskie sieroty potrzebują się obawiać od was niesprawiedliwości?

— O, to nigdy nie nastąpi! — zawołał herszt klękając i wyciągając do góry ręce — przebaczcie nam!

Drugi rozbójnik naśladował swojego towarzysza, kornie schylił głowę ku ziemi i również upadł na kolana.

Królewny stały więcej zdziwione, niż przestraszone, opierając się na sobie i smutnie spoglądając na bandytów, tarzających w prochu czoła.

— Wstańcie biedni ludzie i pozwólcie nam swobodnie odjechać.

— Niech raczej kolana nasze wrosną w ziemię niż mielibyśmy powstać nie otrzymawszy łaskawego przebaczenia.

— A więc niech Bóg wam tak przebaczy, jak my wam przebaczamy — odezwała się Jadzia.

Jeden z hersztów podniósł wówczas pochyloną głowę i obracając się ku swoim towarzyszom rozrzuconym po bokach wąwozu i ze zdziwieniem przypatrującym się tej scenie, zawołał:

— Na kolana wszyscy! To córki ukochanego króla Kazimierza, to krew króla chłopów.

Jeden okrzyk na cześć królewien ze wszystkich piersi rozległ się w powietrzu. Wszystkie łuki opuściły się i ci ludzie, tak groźni przed chwilą, teraz upadli na ziemię i uderzyli czołem.

Kazimierz, nieśmiertelny król, groźny był dla rozbójników, których bardzo wiele drużyn poznosił i ukarał, ale wspaniale obdarzywszy chłopów przywilejami, zawsze bezstronnie wypełniając sprawiedliwość, jeszcze za życia zjednał sobie serca całego ludu. O nim toczyły się gawędy przy wieczornych ogniskach kądzielnic, a wszystkie wywyższały i potęgowały jego postać. O nim rozpowiadali starcy na pastwiskach i wpajali w młode umysły to uwielbienie dla ubóstwionego człowieka, który stał się postacią legendową, testamentem serc przekazaną wiekom następnym.

Dziś jeszcze, kiedy już pomiędzy ludem prostym nie istnieje wspomnienie nawet nazwiska ostatniego króla tej ziemi, imię Kazimierza wszędzie jeszcze na ustach prostaka spotkać można. Jeżeli wieśniaka zapytasz dziś nawet o jakie sterczące rozwaliny, odpowie ci: te mury wzniesione przez Kazimierza, ten kościół wystawiony przez Kazimierza, to miasto założone przez Kazimierza. W którejkolwiek okolicy kraju zapytasz się kmiotka o jakiś pomnik stary, rozwalający się w gruzy... zawsze i wszędzie napotkasz jedną odpowiedź: to dzieło króla Kazimierza. Jeżeli dziś, po upływie pół tysiąca lat, wspomnienie wielkiego człowieka, wielkiego dobroczyńcy, tak żywo pojawia się w podaniach ludu, to jakże musiało błyszczeć i zapalać umysły w kilka lat od chwili, kiedy

go brakło, kiedy kraj, który pod jego pieczą zakwitnął dostatkami, rozszerzył przemysł i handel, doznawał spokoju i wymiaru sprawiedliwości... ujrzał się raptem pogrążony w nędzę, zobaczył powracające wszelkiego rodzaju nadużycia, klęski, pośpieszające jedna za drugą, wzrastającą samowolę panów. Lud w jednej chwili ocenił co utracił ze śmiercią Kazimierza; otworzyły mu się oczy i jeden jęk przeciągły rozległ się od źródeł Wisły aż do borów litewskich. Gdy nadto wieści o unieważnieniu testamentu Kazimierza, o pokrzywdzeniu jego córek rozeszły się po wszystkich ziemiach, a królowa Elżbieta, bez względu na podeszły wiek, jeżdżąc po kraju, szalonych dopuszczała się wybryków i nie wymierzała sprawiedliwości, gdy następnie głód i morowa zaraza rozpanoszyły się na całych obszarach ziem polskich, nic dziwnego, że nawet tworzące się bandy rozbójników, kość z kości tego właśnie ludu, przechowały uczucia przywiązania do krwi swojego dobroczyńcy i przy zdarzonej okazyi objawiały je z taką siłą.

Złe miałby pojęcie o ówczesnym stanie kraju, ktoby porównywał tamtowiekowie drużyny rozbójnicze, uzbrojone, uorganizowane, z jakiemiś szajkami dzisiejszych bandytów włoskich, lub gieralisów hiszpańskich.

Przykład szedł z góry. Niejeden herszt rozbójników, pod herbowym sztandarem, zasiadając na obronnym zamku, roztaczał pożogi naokoło, łupiąc przejeżdżających kupców, lub napadając na słabszych sąsiadów. Czyliż tu potrzebuję wymieniać Borkowicza w Wielkopolsce, Małochę Petrasza herbu Grzymała, wsławionego napadem i zabiciem Pełki, proboszcza kurzelewskiego? Czy mam dla udowodnienia mych twierdzeń pokazać Mikołaja z Kurnika, który nie wahał się nawet skraść pieniędzy, zebranych dla Papieża, a potem zgnił w Cieszynie? To nie ja mówię, opowiada to Długosz i inni kronikarze.

Naśladując możnych panów, tworzyły się drużyny pod dowództwem ludzi odważnych, niewiadomego pochodzenia, zajmowały całe okolice i wybierały dań z przejeżdżających. Tatry ze swojemi niedostępnemi jaskiniami, położone na pograniczu dwóch narodów, zawsze były schronieniem uprzywilejowanem tego rodzaju rycerzy.

Teraz dopiero górale pochwycili ochoczo za łopaty i dokończyli naprawę przerwy, tamującej dalszą podróż.

Dwaj herszci, nie zatrzymywani przez nikogo, jeszcze raz uderzyli czołem o ziemię, powstali i zwolna odeszli.

Wypuszczono ich. Niebezpieczna to jednak była próba, gdyż ludzie ci, oddalając się z pośrodka zbrojnych, zabezpieczali się tym sposobem od wszelkiej odpowiedzialności; być może, że to właśnie było celem ich udanej pokory, ażeby wydostać się, a któż zaręczy, że raz dostawszy się pośród swoich na wyżyny, nie użyją sposobu, którym grozili i nie stoczą brył granitowych na łatwowiernych podróżnych?

Myśl ta przesunęła się jak błyskawica przed oczami kasztelana i wstrząsnęła nim.

— Stójcie! — zawołał na odchodzących. — Mam jeszcze z wami do pogadania.

Tymczasem Jaśko, który zrozumiał myśl kasztelana, naglił górali do pośpiechu naprawy drogi, górale ochoczo pracowali i jednocześnie nucili pieśni, wysławiające bohaterskie czyny opryszków.

Na głos Römera dwaj odchodzący, natychmiast powrócili i stojąc z odkrytemi głowami, pokornie czekali zapytań.

— Powiedzcie mi jeszcze, nim odejdziecie — rzekł kasztelan, chcący zyskać na czasie — dlaczego oddajecie się rozbojom, mogąc uczciwie zapracować na kawałek chleba?

— Nie mamy dachu innego, jak tylko to niebo nad głowami naszemi i gdyby nie te jaskinie tatrzańskie,

które nam służą za schronienie, zarówno słońce, deszcze, jak i śniegi pastwiłyby się nad nami.

— Skądże więc jesteście i jakim sposobem staliście się tułaczami?

— Z rozmaitych stron kraju. Jednym chałupy popalili Tatarzy, drugim Litwini, innym panowie, najeżdżając nawzajem swoje dobra.

— A ty kto jesteś, który dowodzisz temi niesfornemi bandami?

— O mylicie się, szlachetny rycerzu, nazywając te bandy niesfornemi. Na jedno moje skinienie każdy z tych ludzi rzuci się w ogień lub w wodę, poniesie śmierć bez zmrużenia oka, nie wymówiwszy jednego słowa oporu.

— Wierzę temu, bo wiedzą, że gdyby cię nie usłuchali, podpadliby męczeńskiej śmierci. Strach dużo może.

— I przywiązanie, zdobyte nieszczędzeniem swojej krwi. Jest ich tu, jak widzicie, przeszło trzystu, cóżby znaczyła największa nawet moja siła i odwaga, gdyby im się podobało mnie zamordować. Ale oni wiedzą, że dbam o ich życie więcej niż o swoje, że sprawiedliwie podzielę zawsze pomiędzy nich zdobycz; przysięgę wykonali oni dobrowolnie, a żaden z opryszków nie zdradzi swojej przysięgi.

Römer uśmiechnął się niedowierzająco.

— Byłażby to cnota — pomyślał — która nawet pomiędzy herbową szlachtą nie zawsze się przechowuje.

— Widzę, że nie wierzycie mi, szlachetny panie, więc opowiem wam wypadek, który możecie bardzo łatwo sprawdzić, spuściwszy się na drugą stronę gór. Widzicie tę wioskę, której kościółek czerwonym swoim dachem przegląda pośród tych drzew? Będzie temu cztery niedziele, byłem tam na weselu zamożnego gazdy z kilkoma swemi towarzyszami. Czy zdradzono nas ze wsi, czy wypadek tak chciał, ale w nocy cała wioska została napełniona pandurami, którzy się często po

pograniczu przechadzają. Nie namyślając się, toporami naszymi otworzyliśmy sobie drogę, położywszy trupem kilku pandurów, ale ja zostałem ranny w nogę, postąpić dalej o własnej sile nie mogłem ani kroku. Moich pięciu towarzyszy pochwyciło mnie i zaniosło do wiadomej nam tylko jaskini, ale tak małej, że ja tylko jeden w niej się ukryć mogłem. Dalej w górę nieść mnie było niepodobna, bo liczna pogoń tuż następowała. Zostawiono mnie tedy w jaskini, ja zaś rozkazałem im uciec, dać sygnały towarzyszom, a gdy się zgromadzą, uderzyć na pandurów. Tymczasem towarzysze moi nie zdążyli uciec, zostali ujęci i zaprowadzeni ot, do tej wsi, którą widzicie. Dowódzca pandurów wiedział, że i ja byłem na weselu, o mnie tu właśnie najwięcej chodziło. Czapka złota obiecana była za ujęcie mnie i przebaczenie wszystkich win temu, ktoby wskazał miejsce, w którem się ukrywałem. Złoto nie potrafiło skusić moich chłopców, wszyscy milczeli jak kamienie. Bito ich, wszczepiano nogi w rozdarte klocki drzewa i przyciągano je coraz więcej, kości ich pękały z trzaskiem, a zmiażdżone ciało jak błoto pod naciskiem stopy sączyło się ze krwią około belki. Tak ich męczono przez kilka pacierzy, katując niemiłosiernie, nie dając kropli wody, o którą błagali. Dwaj z nich nie wytrzymali katuszy i usnęli jak ptaszki, spokojnie spuszczając głowę na piersi, nie wymówiwszy jednego słowa; dwóch powieszono, wydobywszy im nogi zmiażdżone z kłody, a ostatniego, ośmnastoletniego chłopaka, który jeszcze został przy życiu, mieli leczyć i wyleczywszy, na nowo męczyć i badać; ale chłopak czując, że nie wytrzyma dłuższych męczarni, małym kozikiem rozpruł sobie brzuch i skonał, nie zdradziwszy swojego wodza. O tem wszystkiem, zjechawszy na dolinę możecie się przekonać. Każde dziecko opowie wam i pokaże miejsce jeszcze skrwawione, w którem się odbywała kaźnia.

— Któż więc ty jesteś, żeś potrafił natchnąć takiem przywiązaniem swoich wspólników?

— Człowiek uczciwy, jak wam już poprzednio powiedziałem, który surowo, ale sprawiedliwie rządzi swoją gromadą. Z rodu jestem szlachcicem; posiadałem małą zagrodę, zrabowano mnie, spalono i nigdzie nie mogłem znaleźć sprawiedliwości. Udawałem się do *Vicerexa*, do królowej Elżbiety, ale nawet nie dopuszczono mnie przed jej oblicze. Zresztą nic na tem nie wskórałbym, bo w otoczeniu jej zobaczyłem swojego wroga, który spostrzegłszy mnie, roześmiał się w oczy i zapytał, czy już odbudowałem swój dworek? Co było robić?... przypasałem do boku topór, zawiesiłem łuk na plecach i schroniłem się do opryszków, położywszy pierwej trupem swojego ciemiężyciela. Ludzie ci poznali się na mnie, wypróbowawszy nie w jednej sprawie, a gdy dowódzca został zabity na granicy Wołoszy, mnie obrali swym wodzem.

Rozmowa ta prowadzona była niedaleko kolasy, do której już schroniły się obydwie siostry, z ciekawością słuchające opowiadania.

— Ale czyż na zawsze już zostaniesz dowódzcą tych ludzi, czyż nigdy nie zatęskniłeś za domem, za rodziną?

— Nie mam jej — odpowiedział pochmurnie herszt.— Kiedy zaś nastąpi sprawiedliwość w naszym kraju, znikną i rozbójnicy, a wówczas może powrócę do pługa; w każdym jednakże razie na przebłaganie grzechów swoich wybuduję kościół, a być może, że sam zostanę w nim zakonnikiem.

— Do szeregów! — zawołał w tej chwili Jaśko. — Droga gotowa, do szeregów!

— Idź z Bogiem, nieszczęśliwy człowieku — powiedziała królewna Anna — módl się, rozpuść tę całą bandę, a Bóg ci przebaczy.

Rozbójnicy obydwaj uderzyli znowu czołem o ziemię, powstali i skierowali się do swoich.

Teraz pochód zmienił porządek, w którym postępował pierwej. Jaśko na czele swojego nielicznego oddziału wystąpił naprzód, a Römer ze swoimi opancerzonymi jeźdźcami otoczył kolasę i stanowił ariergardę, która najwięcej mogła być wystawiona na niebezpieczeństwo. Górale, jak poprzednio, zbliżyli się do kolasy, ażeby ją podtrzymywać w miejscach niebezpiecznych.

Na stokach wąwozów widać było pojedynczych rozbójników z odkrytemi głowami, stojących ze swoim dowódzcą.

Kolasa dostała się nakoniec na sam szczyt góry, przedostano się przez wyrwę już naprawioną i siostry ostatni raz jeszcze miały sposobność rzucić okiem na przebyte niebezpieczeństwo, zanim spuszczono się w doliny już węgierskie. Nie napotkano tam żadnej straży granicznej, żadnych słupów, żadnych szlabanów, a jednak cały orszak już się znajdował na granicy ziemi węgierskiej. Ale kiedy kolasa królewien miała już przestąpić linię graniczną, którą ułożona kupa kamieni oznaczała, obydwie siostry wyskoczyły z pojazdu, padły na ziemię polską, ucałowały ją, a powstając ze łzami w oczach, każda z nich wzięła jej szczyptę i schowała starannie na piersiach.

— Zabiorę ją do mojej trumny — wyszeptała cicho Jadzia.

Siostra jej nic nie mówiła, lecz łza gruba, jedyna, wypłynęła z jej oka i pomału stoczyła się po pięknem obliczu.

Na granicy, rozdzielającej dwa kraje, ale jeszcze na ziemi polskiej, rósł mały krzaczek róży tatrzańskiej, zaledwie zaczepiony korzonkami po nad straszną przepaścią, która się pod nim otwierała od strony Węgier; dwa pączki świeżo rozkwitłe pochyliły się nad nią i zda-

wało się, że lada podmuch wiatru wyrwie je z ziemi i rzuci w przepaść.

— Patrz Anusiu — zawołała Jadzia — te dwie róże to nasz obraz. Przepaść ciągnie je ku sobie nieprzeparcie; ojczysta ziemia mało dba o nie, a one jednak całemi siłami jej się trzymają. Któż je biedne ocali od przeznaczenia losu? Ja przynajmniej chcę je pożegnać — i wyciągnęła ponad niemi swoją dziecięcą rękę, błogosławiąc im.

Römer, wzruszony tym widokiem, nie zwracając uwagi na swoją ciężką zbroję, śmiało postąpił ponad sam brzeg przepaści; skała, na której stanął, widocznie chwiała się w swojej podstawie, drobne kamienie staczały się z łoskotem w przepaść. Młodzieniec uklęknął, nachylił się śmiało nad bezdnią, wyciągnął rękę, lecz zdawało się, że lada chwila zwali się w przepaść. Jadzia, blada od wzruszenia, nie śmiejąc wymówić słowa, przypatrywała się, drżąc, tej scenie. Nareszcie rycerz powstał z ziemi, w ręku trzymał zerwane obydwa kwiaty i podał je siostrom, gdy tymczasem kamień, na którym stał poprzednio, z łoskotem zwalił się w przepaść.

— Przyjmijcie panie łaskawie tę daninę ziemi rodzinnej jako pamiątkę przebycia Tatr.

Królewna Anna milcząco przyjęła upominek i lekko skłoniwszy głową, przypięła go do piersi; ale na Jadzi inne to zrobiło wrażenie. Podaną sobie różę przycisnęła do ust, napawała się jej wonią, pieściła i mówiła do niej cichym głosem:

— Biedna różyczko moja, tyś wyrosła na tych niedostępnych wyżynach. Dla kogo ty tutaj kwitnęłaś i roztaczałaś swoje wonie? Czy był tu słowik, któryby ci nucił wieczorne pieśni, któryby cię kochał, któryby tęsknił za tobą? Zerwano cię, miluchna moja, ażeby oddać równie samotnej jak ty istocie. Biedna moja siostrzyczko, pójdziemy razem w świat szukać słowika.

Römer stał milczący, zachwycony obrazem, jaki mu przedstawiały te dwa pączki dopiero się rozwijające do życia; porównywał życie tych dwóch istot, tak podobnych do siebie młodością, wonią i niepewną przyszłością. Kto zerwie ten przepyszny pączek pełen nadziemskiej woni, umieszczony tak wysoko, na niebotycznej skale, na którą wdzierać się wolno tylko wybranym.... A może wiatr północny pierwej zwarzy go, nim się rozwinie? Może lawina śnieżna zasypie go?

Jadzia, podnosząc oczy, niespodzianie spotkała wzrok rycerza. Barwy róży wybiły się na jej bladej twarzyczce, a jednocześnie spostrzegła, że Römer lekko zadrasnął się kolcem w rękę, zrywając dla niej róże.

— Rycerzu — rzekła uśmiechając się — róża nie dała się zdobyć bez walki, krwią swoją okupiłeś jej posiadanie, słusznie więc bardzo, żeby należała do ciebie, weź ją i pamiętaj o przepaści, nad którą ją zdobyłeś dla mnie.

— Wszystka krew moja nie okupiłaby teraz jej ceny — odrzekł rycerz prędko, gwałtownie, ale zaledwie szeptem.

— Weź więc tę biedną różyczkę, ona ci się oddaje teraz bez walki.

Römer przyklęknął odbierając kwiat i zaledwie wyszeptał:

— Dzięki ci pani, stokroć razy dzięki za tę pamiątkę.

Królewna Anna lekko zmarszczyła brwi, był jakiś odcień w tej rozmowie, który jej się nie podobał.

— Wsiadajmy Jadziu, bo już orszak Jaśka zaczyna spuszczać się z góry.

— A więc żegnajcie mi — zawołała Jadzia — piękne błonia krakowskie, żegnajcie wspaniałe Tatry, niechaj powiew wiatru, który przelata wirchy gór waszych, przynosi nam często o was wieści.

To mówiąc, wskoczyła do kolasy, naśladując siostrę, nim rycerz miał czas podać jej rękę.

Wkrótce opuszczono stoki gór i zagłębiono się wśród pól pokrytych kukurudzą; z daleka jeszcze widać było na wyżynie góry postacie rozbójników z odkrytemi głowami.

Rozdział VII.

Poseł królewski.

W pierwszem miasteczku węgierskiem, w którem zatrzymano się dla przepędzenia nocy, zaledwie rozłożono się w domu, zajętym na tymczasowy przytułek, spotkano królewskiego gońca, dążącego z pilnemi pismami do królewien.

Był to dworzanin królowej Elżbiety matki, Węgier rodem, Micoli, znany Römerowi z czasów pobytu jego w Krakowie, aż do sławnej a nieszczęśliwej awantury zabójstwa Kmity, po której wytępiono Węgrów, a Micoli cudem tylko prawie, wraz z kilkoma zaledwie towarzyszami ocalić się zdołał.

Wspomnienie to drażniło go widocznie jeszcze, bo niechętnym wzrokiem spoglądał na rycerstwo polskie, które niedawno tak niegościnnie obeszło się z jego rodakami w Krakowie.

Micoli zaledwie zsiadł z konia i przywitał się z polskimi wodzami, zażądał natychmiast posłuchania u królewien.

— Muszę pierwej uprzedzić ich królewskie moście o waszym przybyciu — rzekł Römer — i zapytać się, czy teraz przyjąć was raczą.

— Listy od króla i królowej nie mogą czekać, mam rozkaz oddać je natychmiast po spotkaniu orszaku księżniczek, bez względu na miejsce i czas.

I po tych słowach Węgier, nie pytając się o pozwolenie, chciał wejść do izby, zajmowanej przez królewny.

Łucznik, trzymający wartę, widząc rycerza bogato ubranego, nie śmiał mu tamować wejścia, lecz Römer, rozgniewany zuchwałością nowoprzybyłego, szybko stanął w drzwiach i zagradzając je sobą, rzekł:

— Powiedziałem ci już rycerzu, że pierwej musisz uzyskać pozwolenie królewien do przedstawienia się, inaczej nie wejdziesz tutaj.

— Jestem przysłany z ramienia króla Węgier.

— Ale tu są królewny polskie.

Rycerz przybyły uśmiechnął się ironicznie.

— Puszczaj natychmiast.

Römer w miejsce odpowiedzi, wydobył miecz, a spojrzenie, jakie rzucił zuchwałemu Węgrowi mówiło, że bez rozlewu krwi nie postąpi ani kroku.

Sprzeczka ta, tocząca się głosem podniesionym u samych drzwi stancyi, zajmowanej przez królewny, już miała się zamienić w krwawą bójkę, kiedy w drzwiach niespodzianie otwartych ukazała się służebna.

— Panie moje zapytują się, co znaczy ten niezwykły hałas u drzwi ich pomieszczenia?

Węgier nie zrozumiał zapytania, ale Römer natychmiast odpowiedział.

— Przybył goniec od króla Ludwika z listami i oczekuje rozkazu, kiedy będzie mógł przedstawić swoje pisma.

Służebna spiesznie się oddaliła, a Römer rozparł się we drzwiach, zasłaniając przejście.

Rozgniewany, a niecierpliwy Węgier, nie mogąc przebyć tej żelaznej zapory, a domyślając się, że już zaraportowano królewnom jego przybycie, stanął w postawie wyczekującej. Niedługo jednak potrzebował uzbrajać się w cierpliwość, służebna powtórnie ukazała się na progu, i zwracając się do Römera, rzekła:

— Najjaśniejsze królewny proszą was, szlachetny panie, żebyście przepuścili i wprowadzili tego Węgra zaraz do ich komnaty, gdyż niecierpliwe są dowiedzieć się z czem przybywa.

Teraz dopiero Römer, zwracając się do Micoli, rzekł po węgiersku (obydwa te języki wówczas były w użyciu na dworze królewskim i królowej Elżbiety):

— Królewny zezwoliły na przedstawienie się wasze rycerzu. Proszę więc za mną. — I poprzedzając posła, otworzył drzwi i wprowadził go do komnaty.

Izba już zawieszona była dywanami podróżnemi, drewniane ławy okryte były makatą, a obydwie królewny, siedząc na jednej z nich i trzymając się za ręce, na pozór spokojne, w rzeczywistości zaś wzruszone, oczekiwały posła, nie wiedząc, jakie im niesie wieści.

W ich nieokreślonem wówczas położeniu, kiedy matce pozwolono, a raczej nakazano wyjechać do Głogowa, a obie córki zatrzymano, nakazując przybyć do Węgier, wszystko było zagadką. Najsprzeczniejsze wieści krążyły po kraju i dochodziły uszów sierot: jedni utrzymywali uporczywie, że zostaną oddane do klasztoru i zmuszone do wykonania ślubów zakonnych; drudzy, że wyznaczą im jakieś ziemie; a byli i tacy, co twierdzili, że Ludwik, nie mając syna, zniechęcony do Polski, którą nawet chciał oddać Opolczykowi, przeleje swoje prawa do korony na Annę. To ostatnie przypuszczenie było najmniej prawdopodobne, Ludwik bowiem miał swoje córki, które pragnął widzieć na tronach; ale Anna, nieodrodna córka wielkiego króla, wiedziała, że jej prawa do tronu są bliższe, niż córek Ludwika... wiedziała, że jest w kraju silna partya jej stronników, dlatego więc każde odezwanie się z dworu Budzynia, nasuwało tysiące nadziei.

Micoli wszedł butnie i zaledwie z lekka skłonił głową przed królewskiemi sierotami; ale widocznie po-

rażony był ich pięknością i majestatem, bo zaledwie znalazł się przed ich obliczem, surowy wyraz z twarzy jego zniknął, a w oczach jego odbiło się zdziwienie i zarazem współczucie.

Tymczasem kasztelan Römer stanął obok ławy, na której siedziały królewny, opierając się na mieczu.

— Z czem przybywacie rycerzu? — zapytała Anna.

— Przywożę listy od jego królewskiej mości i od królowej Elżbiety.

— Wdzięczne wam jesteśmy rycerzu za wasz trud. Prosimy o pisma.

Micoli wydobył z dołmanu dużą chustkę jedwabną, okrywającą kopertę listu, przewiązaną jedwabnym sznurem i zapieczętowaną ogromną pieczęcią czerwoną, i nie przyklękając, jak nakazywała etykieta, chciał ją podać królewnie Annie.

Brwi jej groźnie się zmarszczyły i twarz przybrała ten majestatyczny wyraz monarszy, którym jej ojciec umiał trzymać na wodzy posłuszeństwa najdumniejszych magnatów.

— Odbierzcie to, miłościwy kasztelanie sieradzki — rzekła obracając się do Römera — obejrzyjcie pieczęcie i przeczytajcie nam, co do nas pisze najjaśniejszy król węgierski Ludwik, nasz brat, i królowa, ciotka nasza.

Micoli, który sądził, że napotka złamane losem kobiety, widząc tę dumę Piastów, nie ukrywając zdziwienia, podał Römerowi list, który widząc pieczęć nienaruszoną, rzekł:

— Pieczęć urzędowa państwa nienaruszona.

— Nie potrzeba było o tem wątpić — wyrzekł groźnie Węgier.

— To też nie wątpiłem o tem, spełniłem tylko rozkaz jej królewskiej mości.

— Rozetnijcie pieczęcie i przeczytajcie nam te ważne pisma.

Römer wydobył mały sztylet wenecki, zawieszony u pasa i poprzecinał jedwabne sznurki.

Odwinąwszy materyę i złożywszy ją na stole, wydobył dwa listy. Jeden z nich był od królowej Elżbiety matki, (i żona Ludwika, księżniczka bośniacka, nazywała się także Elżbieta), drugi zaś był pismem urzędowem, skreślonem przez sekretarza królewskiego Jarockiego, a obydwa adresowane do księżniczki Anny.

— Przeczytajcie głośno kasztelanie przedewszystkiem polecenia królewskie.

Römer, stosując się do rozkazu, wziął list urzędowy, a otworzywszy go, zaczął czytać:

»Jego królewska mość, najjaśniejszy król Węgier i Polski pozdrowienie przesyła księżniczkom Annie i Jadwidze, a mając na względzie, iż zbyt pośpieszna podróż może źle wpłynąć na ich zdrowie, a nadto zważywszy, że od podnóża Tatr aż do Budzynia, mór jeszcze nie ustał zupełnie, jego królewska mość, nie chcąc narażać ich na niewygody z pośpiesznej podróży wypływające i niebezpieczeństwo spotkania morowej zarazy, zaleca księżniczkom, ażeby z miejsca, gdzie ten list królewski je dojdzie, zwróciły się z drogi prowadzącej do Budzynia i udały się do królewskiego zamku Vilmos, leżącego na granicy przesławnego naszego królestwa węgierskiego, z orszakiem nie przenoszącym dziesięciu ludzi i tam zatrzymały się odpoczywając, aż do dalszego jego królewskiej mości rozkazu.

To postanowiliśmy i tak ma być.

Szlachetny rycerz Micoli wskaże drogę i dopilnuje wykonania naszej woli«.

Podpisano:

Z polecenia jego królewskiej mości Ludwika, króla Węgier i Polski.

Sekretarz królewski — *Jarocki*.

Zdziwienie i oburzenie wyryło się na licach obydwóch sióstr. Jadwiga badawczo wpatrywała się w twarz siostry, zaniepokojona groźnym wyrazem jej wzroku. Anna przez chwilę siedziała milcząca, z lekka przygryzła wierzchnią wargę, a twarz jej drgała od wzruszenia; potrafiła jednak zachować spokojność i głosem napozór zwykłym, odezwała się:

— Czytajcie kasztelanie drugi list, królowej, naszej ciotki. Czekamy na to.

Römer otworzył pismo i zaczął czytać:

»Potwierdzając słowa napisane w liście miłościwego króla przesławnych obojga narodów Polski i Węgier, ukochanego syna naszego, wzywamy was, ażebyście z chwilą odebrania tych listów, wręczonych wam przez dworzanina naszego Micoli, udały się natychmiast do zameczku Vilmos, położonego na południowym stoku Tatrów i tam oczekiwały decyzyi jego królewskiej mości, jak i senatorów duchownych o waszym losie mających postanowić.

Cokolwiek się stanie, nie przestanę nigdy dobrze wam życzyć i opieki mojej wam nie odmawiam«.

Podpisano: królowa *Elżbieta*, matka.

Ani jednego słowa czulszego dla biednych sierót, ani jednego łaskawego wyrazu.

Ton listów i wyrażony w nich rozkaz, powstrzymujący ich podróż do Budzynia, gdzie byli senatorowie polscy, a zwracający je do Vilmos, jakiegoś podobno zamku, jakby dla odbycia kwarantanny, nie rokowały nic dobrego, a tak sprzecznie wyrażone powody tego rozkazu w listach obydwóch, dawały wiele do myślenia. Król niby to troszczył się o ich zdrowie, nie chcąc ich narażać zbytecznym pośpiechem podróży i pragnąc zabezpieczyć niby od panującego na Węgrzech moru, kiedy wiadomo było, że ten już od dawna ustał i że właśnie zaraza z Węgier przedostała się do Polski. Za-

lecał im udanie się do jakiegoś pogranicznego zameczku, rzuconego wśród gór, gdy tymczasem list królowej matki wyraźnie mówił, iż o losach ich postanowić miał król i senat duchowny, a dodane wyrazy, że »cokolwiek się stanie, królowa przyrzeka im swoją życzliwość«, były zupełnie niepojęte.

Cóż się więc stać jeszcze może? Testament przecież unieważnili, obdarli je ze wszystkiego, a teraz jakby branki wojenne zamykają w jakimś zameczku. Czego oni jeszcze mogą chcieć od nich?

Rycerz Jaśko z Żarnowa, który przed chwilą wszedł do stancyi i stojąc na uboczu, przysłuchiwał się czytaniu listów, kolejno wzrok przenosił z królewien na Römera i na przybyłego rycerza węgierskiego, jak gdyby prosił o objaśnienie.

Przez długą chwilę panowało uporczywe milczenie, nikt nie wiedział jakiemby słowem przerwać tę uroczystą ciszę.

Księżniczka Anna więcej jeszcze pobladła i silniej zaciskała wargi, ale milczała uporczywie; królewna Jadwiga, która znała ten groźny wyraz twarzy, czuła, że siostra wybuchnąć gotowa oburzeniem, a chcąc temu przeszkodzić, rzekła, obracając się do Micoli.

— Czy, rycerzu, nie macie żadnych innych zleceń do nas, czy to jest wszystko, coście nam przynieśli z woli naszego brata Ludwika i ciotki Elżbiety?

— Polecenia urzędowe, jakie otrzymałem, tutaj się kończą; nic mi więcej nie polecił ani król jegomość, ani najjaśniejsza jego matka. Mam tylko obowiązek przeprowadzić was, miłościwe panie, do zameczku Vilmos i dopilnować, żeby orszak zbrojny, złożony z Polaków, nie przewyższał dziesiątki ludzi.

— Kto wydał taki rozkaz? — zawołała podnosząc się Anna. — Na liście podpisany tylko sekretarz królewski Jarocki; dlaczego nie król?

— To zbyteczne, jest pieczęć królewska, która uwiarogodnia treść pisma.

— Kto ci rycerzu wręczył te listy?

— Sam król oddał mi je osobiście do ręki i oddając, powiedział... — Tu rycerz zatrzymał się, namyślając się, czy wolno mu powtórzyć słowa swojego pana.

— Co powiedział? — zapytała Anna. — Mów panie, czyż nie widzisz, że stoję na rozżarzonych węglach, co powiedział?

— Król, oddając mi ten list, powiedział: »Biedne dziewczyny«.

— Co za wspaniałe serce! Czyliż nie sam nas takiemi zrobił? Zresztą, co to ma znaczyć?

— Jego królewska mość nie raczył mi objaśnić swojej myśli.

— Dobrze — odpowiedziała Anna. — Dziś zanadto jesteśmy zmęczone podróżą; postanowiłyśmy odpocząć do wschodu słońca, jutro ci rycerzu damy odpowiedź. — To mówiąc, zlekka skłoniła głową na znak, że audyencya skończona.

Micoli złożył teraz uroczysty ukłon, jednakże odchodząc, rzekł:

— Poważam się zwrócić uwagę waszej książęcej mości, że odpowiedź tu inna być nie może, jak tylko bezwarunkowe wypełnienie woli króla, pana naszego.

Królewna Jadwiga, dotąd milcząca, podniosła dumnie głowę i mierząc zuchwałego posła swym wzrokiem odrzekła:

— I nasza wola tutaj coś znaczy; nie jesteśmy poddanemi króla Węgier, ani jego niewolnicami.

Rycerz spuścił głowę i wyszedł z dziwnie dwuznacznym uśmiechem na twarzy.

Za przykładem jego chcieli wyjść obydwaj polscy wojownicy, ale królewna Anna powstrzymała ich gestem.

— Co o tem myślicie panowie?

Pierwszy Jaśko z Żarnowa, jakkolwiek niższy dostojeństwem, ale upoważniony powagą wieku, zabrał głos.

— Powody, jakie mieć może król, powstrzymując podróż do Budzynia, którą sam nakazał, mogą być te, lub nie te, które przytacza w swoich listach i wkrótce się to wyjaśnić musi, ale zastanawia mnie jedna okoliczność i daje mi dużo do myślenia: dlaczego orszak królewien, udający się do Vilmos, nie ma przenosić dziesięciu ludzi?

— Tak, to jest zagadka trudna do rozwikłania — rzekła Anna. — Nie myślę, żeby skąpstwo utrzymywania większej liczby ludzi było tego powodem. Coś w tem innego jest.

— Nikt jednak nie ma prawa zmusić nas do tego, żebyśmy wbrew naszej woli postąpiły — dodała Jadwiga — i jeżeli nam się niepodoba, wcale nie usłuchamy tego rozkazu.

— Ja to tylko wiem — odezwał się Römer — że chociażby mi dziesięciu królów kazało opuścić z moim oddziałem straż waszych królewskich mości, nie uczynię tego, tak mi Boże dopomóż, chyba za waszym wyraźnym rozkazem.

— Ani ja także — odparł kładąc rękę na szabli Jaśko z Żarnowa.

— Dziękujemy wam, szlachetni panowie — rzekła Anna. — Ale co to jest ten zamek Vilmos, gdzie on leży? Nie słyszałyśmy nigdy o nim.

— Przypominam sobie — odparł Jaśko — że przed kilkunastu laty byłem w nim. Jest to gdzieś niedaleko stąd, mała forteczka wśród gór.

— A ja, jeżeli wolno mi objawić swoje zdanie — rzekł Römer — nie radziłbym waszym królewskim mościom udawać się do tego jakiegoś Vilmos. Czy to mało mamy zamków w Polsce, które z radością otworzą swoje podwoje przed dostojnemi paniami naszemi? Myślę, że

najlepiej cofnąć się, przebyć napowrót Tatry i na swojej własnej ziemi, wśród swojego ludu, który was uwielbia, oczekiwać tych jakichś wyroków, które się zdaje zapowiadać list królowej regentki.

— Ale gdzie, u kogo szukać gościnności i wyczekiwać objawienia woli królewskiej, boć przecież wiecie, że kąta własnego nie mamy w całej Polsce.

— Nie wielu znalazłoby się takich — odparł z uczuciem kasztelan sieradzki — którzyby się nie czuli uszczęśliwieni i nie upoili dumą... oprócz Zawiszy i jego adherentów... przyjmując pod swoim dachem krew Piastów. Jest zaraz, niedaleko za Słomnikami, Granów, własność Rafała Granowskiego, marszałka, który na klęczkach przyjmie w progach swoich dostojne królewskie sieroty, a mając za sobą brata Wincentego, starostę Wielkopolskiego i potężnego biskupa Wrocławskiego, Lubrańskiego, nie zlęknie się ani Zawiszy, ani jego ojca Dobiesława, ani stronników ich.

— Tak — wyrzekł smutnie Jaśko — ale to grozi wojną domową.

— Boże nas zachowaj od tego, żeby z naszej przyczyny przelała się choćby jedna kropla szlachetnej krwi polskiej — zawołała Jadwiga. — Czyż nie ustalony już porządek następstwa tronu? Czego oni od nas mogą chcieć? Czego się mogą obawiać?

— Pakta są oddawna zawarte — objaśniła Anna młodszą siostrę — pomiędzy naszym śp. ojcem, a królem Ludwikiem, a lubo nie ma on potomstwa męskiego; ma jednak córki, którym może przekazać berło.

— Które jednak mniejsze mają prawo do tronu niż córki Kazimierza; mamy już dosyć tych rządów cudzoziemców, którzy tylko wyzyskują nas, nie dbając ani o sławę, ani o dobro naszej ziemi — odezwał się Römer.

— Poprzestańmy tej rozmowy — przerwała Anna — za sztandar do zawichrzeń krajowych służyć nigdy za-

dna z nas nie będzie; co Bóg postanowił, to się stanie. Nie chcemy zrywać stosunków z królem Ludwikiem, pragniemy tylko, żeby uszanowano naszą godność, dlatego usłuchamy rozkazu z Budzynia i pojedziemy jutro do Vilmos, pragnęłybyśmy tylko, jeżeli to być może, żeby orszak nasz nie uszczuplił się w tym tajemniczym zamku węgierskim; pragnęłybyśmy zatrzymać was z waszymi ludźmi rycerze, aż do czasu, gdy losy nasze zostaną zdecydowane.

— Co do mnie — zawołał Jaśko — ja was, przezacna krwi moich panów, wyprowadziłem z zamku Chęcińskiego, sądząc, że tu jedziecie po dostojeństwa i szczęście; ja wziąłem na siebie odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi za wasze bezpieczeństwo i wtenczas dopiero ustąpię z mojego stanowiska, kiedy mi rozkażecie, lub kiedy będę widział, że zajęłyście miejsce, godne waszego rodu.

Kasztelan Römer podniósł rękę do góry i z wyrazem niezachwianego postanowienia rzekł:

— Nikt nie jest w stanie zmusić mnie, ażebym postąpił wbrew honorowi rycerskiemu i uchybił słowu memu; wyrzekłem już, że nie odstąpię was, miłościwe panie, w żadnym wypadku i dopełnię tego pomimo wszystkich Węgrów. Kiedy Römer wyrzecze słowo, ziemia się może zachwiać w swoich podstawach, ale jego słowo się nie zachwieje.

— A jeżeli siłą będą się starali sprzeciwić? — zapytała Anna.

— Wówczas po ich trupach przeprowadzę was do Polski.

Oczy rycerza błyszczały takiem niezłomnem postanowieniem, że królewny wyszeptały jednozgodnie:

— Dziękujemy wam. — I jednocześnie Anna, na znak pożegnania, podała swoją rękę; Römer przyklęknął i złożył na niej swój pełen czci pocałunek, a jedno-

cześnie zwrócił swój wzrok błagalny do królewny Jadwigi, prosząc o podobnąż łaskę.

Ta zawahała się, na twarzy jej wykwitnął lekki rumieniec, ale trwało to tylko krótką chwilę. Wyciągnęła do rycerza swoją dłoń wypieszczoną, której nigdy jeszcze nie dotknęły usta mężczyzny, a gdy ten, klęcząc, podniósł ją do ust, dreszcz nieznany przebiegł całą jej istotę, coś, jakby mgła, przyćmiło jej wzrok i sama bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, lekko uścisnęła bojową prawicę męża.

Römer powstał i czując, że dłużej nie potrafi zapanować nad sobą, że gotów pochwycić i przycisnąć do piersi tę anielską postać, w milczeniu złożył głęboki pokłon i wraz z Jaśkiem opuścił siostry.

Noc już zapadała, zaciągnięto więc przed drzwiami królewien silną wartę i nastąpiła pozorna cisza w całym obozie.

Micoli wyszedłszy z audyencyi, rozkazał swoim żołnierzom wyrzucić z pierwszego okazalszego domu właścicieli i zająć go na swoją kwaterę.

Pozbawiona dachu własnego, żona jakiegoś rzemieślnika z dwojgiem dzieci, płacząc przyrządzała miejsce do spania pod konarami stojącego drzewa, a tymczasem spiżarnią jej i wszystkiem, co się znajdowało w domu, swobodnie rozporządzali się nieproszeni goście. Gościem był posłaniec królewski.... miał do tego zupełne prawo.

Żołnierze polskich rycerzy, poprzywiązywali konie do płotów, ciągnących się obok drogi; nacięto zielonej kukurydzy, nie pytając o pozwolenie właścicieli i założono koniom. Zapalono ogniska, mieszkańcy dostarczyli zapasów żywności, żołnierze zaś nie otrzymawszy rozkazu rozkulbaczenia koni, pokładli się obok nich na ziemi, gwarząc między sobą i popijając zieleniak i wiśniak, którego znaleźli zapasy.

Mieszkańcom oświadczono, że wszystko będą mieli zapłacone, radość więc zapanowała w osadzie. Jakaś muzyka cygańska zaczęła grać ochoczo czardasza, lecz Römer nie pozwolił swoim ludziom brać udziału w zabawie.

Tymczasem Węgrzy z orszaku Micoli pomięszali się z tłumem kobiet słowackich i przy dźwiękach muzyki cygańskiej wesoło czas przepędzali.

Dwa namioty dla rycerzy polskich były rozbite obok siebie, jednakże obadwaj rycerze wspólną myślą kierowani nie weszli pod ich płótno, ale skierowali się wązką dróżką, wijącą się w górę, a w tej chwili oświetloną promieniami księżyca, który w całej pełni unosił się nad wierzchołkami Tatr.

Dosyć długo postępowali w milczeniu, kierując się ciągle w góry. Majestatyczna cisza panowała w naturze, z dala dochodził tylko już odgłos muzyki i niewyraźne okrzyki pijanych biesiadników; natomiast na samem podnóżu góry, poszytem bujnemi krzakami leszczyny, pomiędzy któremi gdzieniegdzie wychylały się kępy dzikich róż, górski słowik wywodził rozkoszne trele, które rozsypywały się w kaskady po stokach gór, napełniały powietrze i zdawały się w tysięcznych echach odbijać wśród skał.

— Teraz pomówmy cokolwiek z sobą — odezwał się pierwszy Römer. — Co o tem wszystkiem myślicie, szlachetny panie?

— Widzę tylko, że tu kabała jakaś się układa, ale co jej karty wróżą biednym sierotom, nie wiem. Pozbawili je tronu, wyzuli z majętności, odsunęli od nich matkę, osamotnili i teraz przewłóczą je z zamku do zamku, jakby jakie branki wojenne.

— To znaczy, że partya jeszcze nie rozegrana, że te dwie słabe dziewczyny uważane są za niebezpieczne, że im nie ufają, że lękają się ich.

— Ja w tem wszystkiem widzę więcej rękę kanclerza, niż króla — odrzekł Jaśko. — On dąży do jakiegoś przewrotu w państwie, mając za sobą królowę Elżbietę; w planach jego widocznie te dziewczyny zawadzają, chciałby się ich pozbyć; zapewne myśl zamknięcia ich w klasztorze ma na celu, ażeby na zwołanym sejmie ustanowić następstwo tronu na którą z córek króla Ludwika.

— Przecież gwałtem nie mogą ich przymusić do obleczenia sukien zakonnych.

— Co w dzisiejszych czasach jest niemożebne — odparł smutnie Jaśko. — Samo jednak wywiezienie ich do tego ustronnego zameczku Vilmos, ograniczenie orszaku do dziesięciu ludzi, nie wróży nic dobrego.

— Dlatego też na to nie pozwolimy, orszaki nasze połączone, dobrze uzbrojone, wypróbowane w boju, stanowią dość poważną siłę, dopóki są razem; nie rozłączajmy się więc, a blizkość tego zameczku granicy polskiej, którą w każdej chwili przebyć możemy, ułatwi nam wiele.

— Tak, ale nie puszczą nas wszystkich do zamku, zapewne tam jest jakaś załoga, a trudno przecież żebyśmy szturmem zdobywali więzienie naszych pań.

— Posłuchajcie mnie szlachetny panie, zrobiłem pewien plan.

— Słucham was, kasztelanie.

— Wszak zamek Vilmos leży niedaleko stąd? O ile przypominam sobie, nie powinno być do niego dalej jak trzy do pięciu mil.

— Wybornie!

— Otóż ja z moim oddziałem dziś i to zaraz udaję się do Vilmos i wejdę w jego mury, a kiedy tam jutro przybędziecie, znajdziecie już swoją załogę.

— Miałżebyś myśl szaloną szturmem zdobywać okopy i zbroczyć krwią próg zamku, po którym mają przejść sieroty?

— Myślę, że bez tego się obejdzie. Użyję fortelu, którym wojenny człowiek często się posługiwać powinien. Czy możecie mi wskazać drogę do Vilmos?

— Otóż że nie. Byłem w Vilmos, ale jechałem od strony Ślązka i nie tą drogą przeprawiałem się przez góry. Nie jestem nawet pewny, czy się nie mylę w oznaczeniu odległości.

— To nie dobrze; będę musiał zasięgnąć wiadomości o kierunku drogi od którego z mieszkańców tutejszych.

— Który natychmiast da znać Micoli, a ten ma zapewne środki do wzbronienia nieproszonym gościom wstępu.

— Cały oddział mój cichaczem dosiędzie koni, wprawni oni do tego, wówczas pochwycić każę dwóch albo trzech mieszkańców i zabrawszy ich ze sobą, zmuszę do wskazania drogi.

— Zrobi się popłoch natychmiast i ostrzeże Węgra o twoich planach, kasztelanie, a być nawet może, że żaden z tych, których pochwycisz, nie będzie wiedział gdzie jest Vilmos, bo przypominam sobie, że nazwa ta jest tylko urzędową, a miejscowość nosi w mowie ludu jakieś inne nazwisko.

Römer zamyślił się przez chwilę, gdy niespodziewanie coś zaszumiało w zaroślach, krzaki leszczyny tuż obok nich zatrzeszczały i przed niemi zjawił się człowiek.

Obydwaj rycerze położyli ręce na rękojeściach szabli, gotowi do obrony, ale człowiek ten nie okazywał zupełnie chęci napadu, stanął spokojnie o kilkanaście kroków, trzymając w ręku łuk; za pasem jego błyszczał topór.

— Jeżeli się nie mylę — zawołał Römer — to ty jesteś dowódzcą huculów, z którymi spotkaliśmy się na wierzchołku gór, przy wyjściu z wąwozu?

Człowiek teraz postąpił jeszcze bliżej, zdjął kapelusz i odrzekł przyciszonym głosem:

— Tak jest — mnie to i moich chłopców widzieliście na wierzchołku góry Kozic.

— Co tutaj porabiasz na węgierskiej już ziemi?

— Na swojej ziemi, bo dla nas nie istnieją granice, leżałem w tych krzakach i przysłuchiwałem się rozmowie waszej.

— I słyszałeś wszystko?

— Słyszałem.

— Dobrze. Czy znasz zamek Vilmos?

— Nie; takiego zamku nie ma tu w tej okolicy.

— Tegom się spodziewał — wyszeptał pocichu Jasko — ale są inne zamki, powiedz nam ich nazwiska.

— Jest Micoli, jest Vera, jest Barczy.

— Barczy! Barczy! — zawołał Jaśko — tak właśnie, przypominam sobie teraz dokładnie, Barczy lud nazywa zamek Vilmos.

— Coś i mnie się tak zdaje — odrzekł po chwili namysłu hucuł.

— Czy on daleko stąd?

— Zależy to od tego, którą się doń drogą udaje, może być daleko lub blizko.

— Jak długiego czasu potrzeba, żebyśmy się tam dostali?

— Jeżelibyśmy stąd zaraz wyjechali drogą dłuższą, to jutro na zmroku możemy być w Barczy.

— Dlaczego dłuższą drogą mamy jechać? my chcemy być jak najprędzej w Barczy, jeżeli więc udamy się krótszą drogą, to kiedy tam staniemy?

— W takim razie możecie zajechać za trzy dni.

— Jak to rozumiesz?

— Droga do Barczy, którą zwykle jeżdżą, przecięta jest w czterech miejscach przez strugi bardzo błotniste; na około u podnóża gór ciągną się bagna nie-

przebyte; jeżeli więc podróżni, wjechawszy na groblę, zastaną jeden albo dwa mosty zepsute, co bardzo często się zdarza, muszą je reparować pierwej i tym sposobem bardzo opóźnić swój pochód; gdy tymczasem jest ścieżynka, znana jedynie góralom, wijąca się ponad przepaściami, po której tylko pieszy przechodzeń lub jeździec na dobrym koniu przeprawić się może, narażając się jednak na stoczenie w przepaść, lub zasypanie lawiną. Idąc tą drogą, stanąć można w Barczy jutro wieczorem. Mam tam nawet swojego kuma i wiem także, że oddział rycerza węgierskiego, który do was przybył dzisiaj, złożony ze stu huzarów, obozuje przy dolnej drodze, mając się jutro udać do Barczy.

— Czy jesteś tego pewny? — zawołali zdziwieni.

— Widziałem ich, a powracający z równi jeden z moich chłopców rozmawiał z nimi. Mówią, że idą zająć zamek Barczy na załogę, w którym mają zamieszkać jakieś dostojne panie.

— Więc on ukrył swój oddział — rzekł Jaśko — a do nas przybył tylko w samotrzeć. Tem więcej daje to do myślenia, tem nam ostrożniejszymi być trzeba.

— Czy zechcesz nas za dobrem wynagrodzeniem zaprowadzić drogą górską do Barczy? — zapytał Römer.

— Nic łatwiejszego jak to uczynić.

— A czy możnaby opóźnić pochód Węgrów na dolnej drodze?

— Na tak długo jak nam się tylko podoba.

— Dobrze, jeżeli to zrobisz, że Węgrzy nie dostaną się jutro do Barczy, a nas jutro tam zaprowadzisz, możesz spodziewać się łaski królewien i sowitej nagrody.

Ciche świśnięcie wydane przez złożone palce, rozległo się w powietrzu; jeszcze wiatr nie uniósł jego ostatnich dźwięków, gdy krzaki znowu zaczęły się poruszać i z gąszczy wyłoniło się czterech ludzi. Wszyscy mieli topory za pasami i łuki w ręku, gotowe wypuścić

strzały na skinienie swojego dowódzcy, ale widząc, że ten przyjaźnie rozmawia z dwoma rycerzami, stanęli spokojnie.

Dowódzca kiwnął ręką, ażeby się przybliżyli, a gdy to uczynili rzekł:

— Przy skręcie dolnej drogi do Barczy jest oddział Węgrów, którzy się jutro chcą udać do zamku.

— Porachowaliśmy ich, jest ich dziewięćdziesięciu trzech.

— Dobrze, potrzeba żeby cały ten oddział nie doszedł jutro do Barczy.

— Możemy ich potopić w błotach co do jednego, lub też kiedy wejdą na groblę, a mosty zastaną zrujnowane przed sobą, strzałami naszemi i toporkami dokończyć roboty.

— Dowódzca spojrzał na rycerzy, jakby zapytując co oni na to.

— To zbyteczne — zawołał Jaśko. — Nie idzie nam o wytępienie ich, a tylko o opóźnienie ich pochodu.

— Ale my mamy z Węgrami swoje rachunki.

— Innym razem je załatwicie — rzekł Römer — teraz nie chcemy, żeby choć jedna kropla krwi się polała.

— Stanie się podług twego rozkazu, panie — rzekł herszt.

— A więc wydaj swoje polecenie.

— Na grobli będę ja sam z moimi ludźmi oczekiwał Węgrów; w rokicinach pokrywających brzegi drogi, tak się zaszyjemy, że najwprawniejsze oko nas nie odkryje; przepuścimy ich przez pierwszy most, który następnie zburzymy, a kiedy nadciągną do drugiego i do trzeciego zastaną je również zrujnowane. Będą musieli dopiero szukać do reparacyi materyałów, których tam nie znajdą. Dużo czasu upłynie zanim będą się mogli przeprawić.

— Dobrze, a teraz kto nas poprowadzi do Barczy?

— Oto tych dwóch chłopców. Ty, Michałko, odpowiesz mi głową swoją — rzekł dowódzca, zwracając się do jednego z bandytów — jeżeli jutro na zmroku rycerze ci i ich ludzie nie zobaczą murów Barczy.

Bandyta skłonił głowę potwierdzająco.

— Teraz panowie — rzekł herszt — nie tracąc czasu, każcie posiodłać konie i wyjedźcie do tego krzyża, co go widać na tym pagórku, a moi ludzie tam was już czekać będą i poprowadzą dalej. — To mówiąc, dowódzca z dwoma towarzyszami zanurzył się w krzaki, a dwóch bandytów skierowało się do sterczącego na pagórku krzyża.

— Teraz i my będziemy musieli rozdzielić się — rzekł Römer do swojego towarzysza. — Ja jutro z pięćdziesięcioma mojemi ludźmi opanuję zameczek idąc górską drogą, ale królewny drogą tą iść nie mogą, nie tyle dla niebezpieczeństw przeprawy, ile że wyglądałoby to na ucieczkę, co w każdym razie nie przystoi krwi tak wielkiej. Wy więc, szlachetny panie, ze swojemi tylko ludźmi jutro towarzyszyć będziecie królewnom; a kiedy się Micoli o mnie zapyta, odpowiedźcie mu, że odjechałem z moim oddziałem. Sądzę, że nie wzbudzi to w nim żadnego podejrzenia i przez myśl zapewne mu nie przejdzie, żem się udał dla zdobycia Barczy; proszę was jednak, uprzedźcie królewny o mojej wierności i zapewnijcie je, że działam dla ich dobra; a nie zapomnijcie także rycerzu zaopatrzyć się w dostatnią żywność dla królewien i swoich ludzi, bo zapewne nietylko dzień jutrzejszy ale i noc, przepędzić przyjdzie wam na grobli, jeżeli hucuły dotrzymają słowa i mosty popsują.

Jaśko, nic nie mówiąc, skłonił głową na znak zgody i obydwaj udali się z powrotem do obozu.

Muzyka cygańska już grać przestała, ognie dopalały się; przechodząc około domu, który zajmował Mi-

coli, zobaczyli żołnierzy jego zasypiających, a w oknie chaty ciemności.

Jaśko, zanim udał się na spoczynek, obszedł obóz, strażom zalecił baczność i wszedł do swojego namiotu.

Tymczasem Römer, dostawszy się pomiędzy swoich ludzi, którzy przy nierozkulbaczonych koniach spoczywali na ziemi, spotkał setnika i rozkazał mu pobudzić szeregowych, nie robiąc hałasu.

W jednej chwili pokiełznano konie, przyciągnięto kulbaki i na dany znak jeźdźcy gotowi byli do pochodu.

Römer ręką wskazał setnikowi krzyż sterczący na wzgórzu, oblany w tej chwili promieniami księżyca; oddział skierował się ku niemu, a u stóp jego dostał polecenie zatrzymania się; sam zwolna postępował ostatni, wpatrując się w okna domu, w którym przebywały królewny.

Jedno z nich zasłonięte jakąś materyą, przepuszczało jednak słabe światło; Römer podjechawszy pod nie, zwolnił ruch konia i wówczas zobaczył wyraźnie dwa cienie kobiece, które zespolone z sobą, przechadzały się po komnacie.

Więc i one nie spały jeszcze, przyszłość równie ciemna, jak noc, przyciskała je, niepokoiła i odbierała sen.

Przez chwilę zapragnął zeskoczyć z konia, zażądać pozwolenia wejścia dla wytłómaczenia swojego odjazdu, ale myśl tę prędko odegnał od siebie. Na co je trwożyć dzisiaj? Przeżegnał więc krzyżem świętym okno, w którem widział przesuwające się cienie, i wolnym stępem udał się za swoim oddziałem.

Ujechawszy paręset kroków, jeszcze raz obejrzał się. Teraz wyraźnie dostrzegł, że zasłona okna podniosła się, a w ramach jego stanęła postać w bieli, zamyślona, spoglądająca za oddalającym się jeźdźcem.

Poznał ją. To była ona! Ta wymarzona niebianka. Czy i ona również jego poznała?

— Niech Bóg czuwa nad nią — wyszeptał cicho i dawszy koniowi ostrogę pomknął naprzód.

Wkrótce znalazł się na czele swojego oddziału, czekającego pod krzyżem. Na boku stało dwóch ludzi opartych na dużych laskach. Bystrem okiem przeliczył jeźdźców, a przekonawszy się, że nikogo nie brakuje, skinął na przewodników, ażeby się przybliżyli.

— Kazałem wam obydwom podać konie, pojedziecie na przodzie wskazując drogę.

Ale górale potrząsnęli głowami i uśmiechając się, odrzekli:

— Nigdyśmy od urodzenia nie siedzieli na takich zwierzach, a w górach pewniśmy tylko nóg swoich.

Oddział cały przeszedł dolinę kąpiącą się w potokach światła księżycowego; podkowy, uderzając tylko o murawę, nie wydawały odgłosu, wszystko zdawało się uśpione w całej okolicy, tylko w oddali słychać było ten sam śpiew słowika, rozsypującego swoje trele po stokach gór.

Römer obrócił się jeszcze raz na skręcie do wąwozu i zdało mu się, że w oknie chaty, zajmowanej przez królewny, stoi jeszcze biała postać, wówczas odpiął szyszak z piórami, wzniósł go do góry, wypolerowana stal zabłyszczała a z okna powiała biała chusta na pożegnanie.

Rozdział VIII.

Vilmos.

Następnego dnia, w chwili kiedy słońce zabarwiwszy obłoki różem i złotem, miało się już schować za góry, a mgły wieczorne podnosiły się z oparów i otaczały doliny zwojami białych tumanów, na wierzchołek góry, pokrytej krzakami jałowcu, pomału z wąwozu wynurzał się oddział jeźdźców Römera, znać, że przez całą noc ubiegłą i cały dzień odbywał pochód, bo konie były pomęczone i okryte potem, a ludzie upadali od znużenia. Dosyć szczęśliwie jednak odbyto całą podróż, drogę wijącą się nieustannie ścieżkami górskiemi, jeden tylko koń spadł ze skały w przepaść lecz jeździec szczęśliwym trafem został ocalony, doznawszy tylko silnego potłuczenia.

Przewodnicy postępowali pieszo na czele, za nimi, prowadząc konie za uzdę, szedł Römer, a dalej długim sznurem jego towarzysze. W tej chwili jeden z hucułów zatrzymał się i wskazując toporkiem, który trzymał w ręku, mury na sąsiedniej skale, rzekł.

— Owo Barczy!

Römer przystanął na chwilę, a za nim cały orszak, przypatrując się z ciekawością nieznanej miejscowości.

Zameczek był niewielki, ale mocny, położony na spadzistej górze, niższej jednak od wierzchołka, na któ-

rym zatrzymał się oddział Römera; stąd widać było dokładnie, przy blaskach zachodzącego słońca, nietylko grube mury i zabudowania wewnątrz nich położone, ale nawet ludzi, krzątających się po obszernym placu. Dwie wieże wysokie stanowiły dwa fronty, ale w jednej tylko widać było bramę, do której w tym właśnie czasie równiną południową zbliżało się kilkanaście fur wyładowanych jakiemiś prowiantami. Załoga zamkowa widocznie spostrzegła oddział, który zatrzymał się na wierzchołku skały, gdyż ludzie, dotąd kręcący się po podwórzach zamkowych, zatrzymali się, przykładając ręce do czoła i przypatrywali się zbliżającym się.

Römer, nie namyślając się, rozkazał zagrać muzyce melodyę węgierską i rozwinąć sztandar z herbami Węgier, które wprawdzie z takiej odległości trudno było ropoznać, ale za to można było dojrzeć kolory narodowe.

Ażeby dostać się do bramy zamkowej, potrzeba było spuścić się krętą drogą z góry dosyć stromej i przebyć dolinę; tymczasem słońce schowało się już zupełnie za góry, ciemności zapadały śpiesznie, a mgła podnosząca się, powiększała wieczorne zmroki; spuszczano się więc z góry z największą ostrożnością.

Na skłonie góry Römer obrócił się do swojego oddziału i głosem przyciszonym wydał rozkaz:

— Baczność! wszyscy na koń!

Kiedy się spuszczono nareszcie w dolinę, którą potrzeba było przebyć, mgła tak powiększyła ciemności, że gdyby nie światełka zamku, które widocznie zapalono na baszcie dla wskazania drogi, można się było zabłąkać.

Postąpiono jeszcze kilka stai, gdy usłyszano tętent zbliżającego się jeźdźca, który zatrzymał konia o kilkadziesiąt kroków przed czołem oddziału.

— Kto się zbliża? — zapytał jeździec donośnym głosem po węgiersku.

— Rycerz Micoli ze swoim oddziałem! czy jesteście o jego przybyciu zawiadomieni? — odpowiedział w tym samym języku dowódzca.

— Tak; ale miały być jakieś kobiety, a nie widzieliśmy żadnej kolasy?

— Czyliż górską drogą można przejechać kolasą? Jadą na koniach z nami, bo mosty są popsute.

— Co mam powiedzieć więcej dowódzcy zamku?

— Pozdrów go od rycerza Micoli i powiedz, że z ochotą przyjmiemy puhar wina po tej dyabelskiej drodze.

Żołnierz odwrócił konia, spiął go ostrogami i kopnął się do zamku.

Pomału oddział przybliżył się do bramy wjazdowej, w nią jeszcze tłoczyły się ostatnie fury z sianem i zbożem; strażnik, który nie odebrał rozkazu otworzenia bramy zbliżającemu się oddziałowi, chciał ją zatrzasnąć za ostatnią furą, ale w tejże chwili czterech jeźdźców rzuciło się w bramę i zaczem Węgier miał czas stawić opór lub zawołać o pomoc, już był ubezwładniony.

Przyłożono mu ostrze szabli do piersi.

— Milcz, jeżeli ci życie miłe.

— Będę milczał jak ryba — odpowiedział napadnięty po polsku; nie było to nic dziwnego, bo wówczas w oddziałach węgierskich służyło wielu Polaków.

Tymczasem oddział polski, nie zatrzymując się ani chwili, wtłoczył się cały w bramę, bez rozlania jednej kropli krwi.

Kilku ludzi z załogi zamkowej, zajętych wyładowywaniem przywiezionych prowiantów, zostało również rozbrojonych i pierwej, zaczem Węgrzy mogli się zmiarkować, zameczek już był w ręku Polaków.

— Z ilu ludzi składa się załoga? — zapytał dowódzca wówczas jednego z jeńców.

— Jest nas tylko trzynastu, reszta wyprawiona została za rozmaitemi zleceniami.

Ośmiu ludzi było już ubezwładnionych.

— A dowódzca gdzie mieszka? Prowadź mnie zaraz do niego.

— Tu jestem — zawołał w tej chwili jakiś rycerz w zbroi, a za nim stało trzech żołnierzy z szablami obnażonemi.

— Kto jesteście? — zawołał groźnym głosem — że ośmielacie się przemocą wchodzić do zamku Vilmos, własności najjaśniejszego króla Węgier?

— Jesteśmy oddziałem straży królewien, które tutaj mają przeznaczone miejsce swego pobytu, wskazane im przez króla Ludwika.

— Tak — odparł rycerz — ale wy nie jesteście Węgrzy, nie widzę tutaj Micoli.

— Jesteśmy Polacy, którzy towarzyszyli królewnom z Polski, panie nasze z Micolą zbliżają się drogą dolną i zaręczam ci słowem rycerskiem, że najdalej jutro powinny tu stanąć.

— Ale cóż znaczy ten gwałtowny sposób zajmowania zamku? Ja na to przystać nie mogę, będę się bronił z moją załogą.

Römer roześmiał się swobodnie i rzekł:

— Spojrzyj szlachetny panie, czy ze swojemi trzema ludźmi, którzy są jeszcze pod twoją komendą, jesteś w stanie oprzeć się temu dzielnemu oddziałowi, któremu przywodzę?

— Skąd wiecie, że mam tylko trzech ludzi? Za chwilę będzie ich tu tyle, co i was.

— Zapóźno już na to rycerzu, brama opanowana przez moich, nikogo nie przepuści. Nie wątpię ani na chwilę o twojem męstwie, ale teraz walka z nami byłaby prostem szaleństwem.

Dowódzca spojrzał poza siebie, a choć znalazł tylko trzech towarzyszów gotowych walczyć na jego rozkaz, nie zawahał się jednak ani chwili.

Podniósł miecz do góry i potężnym głosem zawołał: »Za mną Madziary!« Ale zanim jego towarzysze mieli sposobność wykonać rozkaz, zostali już obezwładnieni, rozbrojeni, dowódzca sam tylko pozostał wolny z dobytym mieczem.

— Nie żądam, szlachetny panie, ażebyś mi swój oręż oddał — rzekł kasztelan — zachowaj go i daj mi tylko słowo, że nie opuścisz zamku do przyjazdu królewien i Micoli.

Węgier niespodziewanie obezwładniony, stał przez chwilę ponuro milcząc.

— Więc królewny naprawdę jadą i Micoli jest z niemi i wy na nich czekacie? Więc dlaczego ten napad zdradziecki?

— Słowem rycerskiem ręczę za prawdę tego wszystkiego...

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli cośkolwiek teraz rozumiem.

— Potem ci to wszystko wytłómaczę szlachetny panie, teraz zaś pozwól, niech się moi ludzie strudzeni rozgoszczą i zajmą straże w zamku.

— Zbyteczne tu jest moje pozwolenie; tam, gdzie podstęp zwycięża, sam gospodarzy. Ja odchodzę do swojej kwatery i uważam się za twojego jeńca, a tak, jak jestem hrabia Moszczanyj, przyrzekam ci panie, że nie ucieknę potajemnie.

— Więcej mi nie trzeba, a ja także, jak jestem Römer, kasztelan sieradzki, zapewniam cię, że ci się żadna krzywda nie stanie.

Römer rozkazał rozbroić całą nieliczną załogę i zamknąć ją w obszernej stancyi, jak również włościan przybyłych z podwodami, żeby nie mieli sposobności uwiadomić Micoli o zaszłych w zamku wypadkach. Römer, pomimo utrudzenia i głodu, jakich doświadczał, przedewszystkiem rozstawił warty na murach. Jedyna brama,

która stanowiła wejście, została silnie obsadzona. Następnie zwiedził magazyny i z radością przekonał się, że te były obficie zaopatrzone we wszelkiego rodzaju żywność. Piwnice także nie były próżne, a pasza dla koni obficie nagromadzona. Następnie zapragnął zobaczyć komnaty przeznaczone dla królewien. Trzy, dosyć szczupłe pokoiki stanowiły całe apartamenta, o skromnych meblach; widoczne było, że nic tu nie zrobiono dla upiększenia ich i wygody. Pokazało się jednak, że w całym zamku nie było wykwintniejszych komnat, ani mebli, któreby można przeznaczyć dla dam, bo dowódzca, jakkolwiek hrabia, widocznie nie kochał się w komforcie, żołnierz, bezżenny, nie wiele potrzebował dla swoich wygód. Puhar wina najczęściej był jego jedynym towarzyszem w tem opustoszałem siedlisku sów i nietoperzy.

Następnego dnia, ze wschodem słońca, zaczął się ruch w zamku. Teraz dopiero można było dokładnie poznać całe jego położenie: zameczek sam w sobie był niewielki, ale zaopatrzony nadspodziewanie w środki obronne. Na murach nagromadzono wielkie kamienie do zrzucania na oblęgających, przygotowano ogniska i kotły do roztapiania smoły, rozstawiono beczki; wszystko to pokazywało, że mały ten gródek wytrzymać może dosyć długo napad i przygotowany jest na przyjęcie nieprzyjaciela. Zbudowany był widocznie na pograniczu, więcej dla obrony przeciwko bandom opryszków, niżeli przeciwko stałemu wojsku. Bo i czegóż z tej strony, od granic Polski, mogły się obawiać Węgry? Polska nigdy, na nikogo nie robiła napadów, tem bardziej zaś mogła być spokojna ściana Węgier, z któremi łączyła dynastye siła pokrewieństwa, co w owych wiekach miało większe znaczenie niż obecnie.

Römer, wszedłszy na basztę zamkową, rozglądał się po okolicy ciekawie. Na północ rozciągały się grzbiety

Tatr w długich szeregach piętrzące się coraz wyżej; olbrzymi ten wąż boa, ogon swój ukrył gdzieś na cieszyńskich niwach, kadłub widoczny, nabrzmiały, migocący to zielenią lasów, to pozłocistą barwą nagich skał, to olśniewający bielą śniegów, przedłużał w nieskończoność, aż gdzieś do granic Mołdawii i Bukowiny, ażeby się napić słonej wody Czarnego morza.

Widok to był wspaniały, kryjący w sobie niezbadane tajemnice, jak i nieobliczone skarby; za to wzrok skierowany na południe nigdzie nie zatrzymywał się na przeszkodach. Niezmierzony, szmaragdowy kobierzec, rozciągnięty od podstawy zamku, ciągnął się nieprzerwanie w dal, bez końca. Na nim rozrzucone, jak zabawki dla wypieszczonego dziecięcia, domki; widać było bujne niwy pokryte plonami kukurydzy, rozległe winnice, z pośród których wychylały się czerwone dachy kościołów; gdzieniegdzie dostrzedz można było jakieś mury zamczyska samotnie sterczące, bliżej pasły się stada koni i bawołów pod opieką czykasów; znać, że zagony Tatarów ani Turków nie przeniknęły nigdy w te okolice, a przynajmniej od bardzo dawnego czasu.

Ale nie te piękne widoki natury, mogące zachwycić oko artysty, zajmowały w tej chwili kasztelana. Ważniejsze myśli krążyły po jego głowie.

Zamek był silny, zaopatrzony w dzielną załogę, mógł więc wytrzymać długie nawet oblężenie i z tej strony Römer niczego się nie obawiał; ale drżał na myśl, czy królewny szczęśliwie przedostaną się do Vilmos? Czy Micoli nie zmiarkował czasem jego planu i czy nie zechce gwałtem uprowadzić jeńców? Wszystko więc zasadzało się na tajemnicy działania. Wiedział, że kilkunastu łuczników Jaśka z Żarnowa nie potrafiłoby walczyć zwycięsko z dziesięćkroć większą siłą Węgrów; niespokojnie więc spozierał na drogę, wijącą się jak biała wstęga, rozciągnięta na tle zieleni.

Stanąwszy na murach, kazał przywołać do siebie przewodnika, który do Barczy przyprowadził jego oddział; ten zjawił się natychmiast, już wypoczęty, trzymając w ręku kawał wędzonej słoniny, posypanej papryką i rozkoszując się tym specyałem narodowym węgierskim.

— Zadowolony jestem z ciebie — rzekł rycerz — przeprawa przez góry odbyła się doskonale, dlatego też czeka was obydwóch nagroda, ale musisz mi jeszcze udzielić kilka objaśnień: — czy tą drogą, którą tam widać w dolinie, bielącą się wśród winnic, zbliżyć się powinien pochód królewien?

— Innej tu drogi nie ma.

— Ach, cóżbym dał za to, żebym mógł wiedzieć gdzie są teraz królewny i kiedy ich przybycia do Barczy spodziewać się można?

— Rozkażcie mi tylko szlachetny panie, a znanemi sobie ścieżkami przedostanę się do samego orszaku królewien i zanim słońce spuści się za te góry, będę z powrotem.

— Więc ty myślisz, że królewny do tego czasu jeszcze nie przybędą tutaj?

— Z całą pewnością tak myślę. Podróżni napotkali popsute mosty na groblach, zatrzymać się więc musieli; potrzeba było wysyłać daleko po drzewo na stawianie nowych mostów i zaledwie mogli je mieć dostarczone w nocy. Dziś najmniej do południa będą reparować mosty, a potem dopiero wyruszą dalej; gdy jednakże i dalsze mosty zostaną popsute, muszą się znowu wracać, rozbierać zbudowane i tem drzewem reparować następne. Tym sposobem dziś jeszcze z pewnością nocować będą na groblach.

— Ależ to już zbyteczne, a nawet szkodliwe być może; nie potrzeba już nietylko opóźniać im pochodu, lecz go ułatwić wypada.

— Trzeba więc naszych chłopców o tem zawiadomić.

— Więc śpiesz do nich i powiedz im, niech nie psują więcej mostów i przyśpieszą tym sposobem pochód.

— Każcie mi szlachetny panie otworzyć bramę.

— Dobrze, ale pamiętaj, że nagrodę dostaniesz wielką, jak również wielką byłaby kara, gdybyś nas zdradził.

— Każcie mi tylko otworzyć bramę; nie zdradza ten, kto większe widzi korzyści w dotrzymaniu przyrzeczeń.

— Dostań się do oddziału polskiego wodza, który towarzyszy królewnom, powiedz mu o wszystkiem, co się tu stało; niech przyśpiesza pochód, niech się stara, żeby królewny z jego oddziałem jechały na przodzie i pierwsze zbliżyły się do bramy zamkowej. Twemu zaś dowódzcy powiedz, że gdyby potrafił odłączyć od królewien żołnierzy Micoli, obsypałbym go złotem.

— Tam jest cała nasza drużyna ukryta w rokicinach nadbrzeżnych, opowiem dowódzcy czego sobie życzycie i stanie się tak.

W tej chwili zbliżył się setnik Mały, raportując, że włościanie, którzy przybyli w dniu wczorajszym, przywożąc zapasy żywności do zamku i zostali przytrzymani, gwałtownie domagają się, żeby ich wypuścić do domów.

— Powiedz im, że dzisiaj jeszcze to być nie może; jak tylko przyjadą księżniczki, wypuścimy ich; tymczasem każ im dać wędzonej słoniny, papryki i wina, niech przepędzają czas wesoło, ale zawsze zamknięci. Teraz wypuść tego człowieka za bramę zamkową i wróć tu do mnie.

Mały skłonił się i skinąwszy na huculа, żeby szedł za nim, zbliżył się do straży bramnej i wydawszy jej odpowiedni rozkaz, sam powrócił do kasztelana.

— A drugi towarzysz tego przewodnika co porabia? — zapytał Römer.

— Upił się już dziś na nowo i nieprędko go będzie można rozbudzić.

— A załoga zamkowa jak się sprawuje?

— Ci nie bardzo się smucą swoją niewolą, na niczem im nie zbywa; piją, grają w kości, klną, śpiewają i modlą się.

— Dobrze, ale pomimo to daj na nich baczność, żeby któremu nie udało się wymknąć i dać znać Micoli o wypadkach, które tu zaszły.

— Brama silnie strzeżona, a innego wyjścia nie ma, w ptaka by się pierwej zamienić musiał.

— Nie wierzę ja temu bardzo; takie samotne zameczki mają zawsze jakieś kryte wyjścia, sądzę, że i tutaj coś podobnego się znajduje; dlatego więc niech wszyscy będą zamknięci i nie mają żadnych stosunków za murami.

— Idę, ażeby wypełnić rozkazy wasze, wielce szlachetny panie.

— A dowódzca załogi, hrabia Moszczanyi, co porabia?

— Z waszego rozkazu pozostawiony zupełnie bez straży; od wczoraj nie widzieliśmy go wychodzącego z mieszkania... czy aby...

— Chciałeś powiedzieć nie uciekł?

— Tak.

— Bądź spokojny; dał słowo szlachcica i rycerza, to więcej, niż gdyby zostawił swoją głowę.

Jakby na potwierdzenie tych słów, jedno z okien mieszkania hrabiego otworzyło się i w niem pokazał się Moszczanyi. Ale widok Römera i obcej załogi w zamku niemiłe na nim musiał zrobić wrażenie, bo okno się śpiesznie napowrót zamknęło i hrabia zniknął w głębi mieszkania.

Römer cały dzień przepędził w niepokoju, przechadzając się po wałach zamkowych. Zdawało mu się,

że dzień ten nie ma końca; słońce nawróciło się już z południa, widać było dymy unoszące się w powietrzu z rozrzuconych chat w nizinach, słychać było ligawki pasterzy, rozsypujące swoje trele po górach; ale droga wciąż była pusta. Czasem tylko jakieś stado bydła, podniósłszy na niej słup kurzu, skręcało do swoich zagród.

Nareszcie zbliżył się i zachód słońca, a z każdym cieniem zapadającego zmroku powiększała się niespokojność Römera.

— Jaki koniec mieć będzie ta awanturnicza wyprawa? — zapytywał sam siebie. — Czy kiedy on wypłatał takiego figla Micoli, zajmując zamek Barczy, Węgier nie odwdzięczył mu się tąż samą monetą, owładając królewnemi i uprowadzając je pod zasłoną silniejszego o dziesięćkroć swojego oddziału od eskorty polskiej?

Kiedy myśl ta przychodziła mu do głowy, zrywał się gwałtownie z siedzenia, na którem chwilowo spoczywał, i znowu niespokojnie przechadzał się po wałach, wyglądając.

Wszędzie cisza przygnębiająca, droga jak okiem sięgnąć pusta. Zmieniono już warty i słońce skryło się za góry, gdy daleko na końcu drogi pokazał się biały słup kurzu. Kasztelan zwrócił na niego swój wzrok przenikliwy. Może to posłaniec z wieściami? Ale ileż to już razy w ciągu dnia łudziły go takie same widziadła? Nie oddalił się jednak i nie odwracał oczów. Kolumna kurzu podnosiła się, kręciła stosownie do kierunku drogi, ale widocznie zbliżała się do zamku. Teraz już gołem okiem mógł dojrzeć wyraźnie pojedyńczego jeźdźca, pędzącego co koń wyskoczy. Serce silniej zakołatało mu w piersiach. Tak, to był posłaniec pędzący z wieścią. Minął już ostatnie zabudowania na dolinie i skręcił konia pod górę zamkową.

Tu droga wiła się prawie pionowo pod górę, jeździec na swoim zmęczonym koniu nie mógł już pędzić

jak poprzednio; koniowi kamienie usuwały się z pod kopyt, ale jeździec zobaczył stojącego rycerza na basztcie zamkowej i snać go poznał, bo wyrzucił w górę czapkę na znak radości i zeskoczywszy z konia puścił go, a sam hożym góralskim krokiem wdzierał się na skałę. Jeszcze kilka pacierzy, a znajdzie się u bramy zamkowej.

Kasztelan nie czekał jego przybycia, szybko zbiegł na dół i kazawszy otworzyć furtkę wybiegł na przeciwko posłańca. Był to Michałko, ten sam hucuł, którego rano wyprawił po wieści.

— Mów gdzie są — kiedy!?...

— Wszystko dobrze.

— Widziałeś królewny?

— Byłem od nich tak blizko, jak w tej chwili od was, szlachetny panie.

— Gdzieś je zostawił?

— Przebyły już ostatni most.

— Kto stanowi ich straż, Wegrzy czy Polacy?

— Ten sam stary rycerz ze swoim oddziałem, który je przeprowadził przez Tatry.

— Ach wybornie! A Węgrzy ze swoim dowódzcą.

— Węgrzy jeszcze są po tamtej stronie mostu.

— Ale most naprawiony, zaraz po nim przejdą?

— Był naprawiony i mogli po nim przejechać, lecz nie skorzystali z czasu. Most znowu się popsuł za moim przybyciem.

Römer byłby uściskał hucuła, ale poprzestał tylko na tem, że sakiewkę ze złotem podał mu i rzekł:

— Jak prędko tu przybyć mogą królewny?

— Jeszcze kwoczka nie stanie na północy, kiedy orszak starego rycerza przybędzie do Barczy.

— Opowiedz mi wszystkie szczegóły.

— Nie żałując nóg swoich, znanemi ścieżkami prędko przebywszy drogę, napotkałem naszych chłopców roz-

rzuconych pośród rokicin. Zawiadomiłem mojego dowódcę, że Barczy już jest w waszych rękach, szlachetny panie, i że potrzeba, aby królewny zostały odłączone ze swoim orszakiem od Węgrów, aby mogły przybyć do Barczy wcześniej.

Dowódzca wysłuchał mnie i rozkazał zaraz swoim chłopcom zaszyć się w rokiciny przy samej grobli, zataić dech w piersiach i czekać; mnie zaś polecił iść naprzód i powiadomić starego rycerza o wszystkiem. Kiedy przybyłem nad ostatni most, resztę bali przytwierdzano właśnie na nim, a stary rycerz, stojąc już na koniu czekał tylko odpowiedniej chwili, żeby mógł przeprawić kolasy.

Przedostałem się po błotach, dopadłem do konia rycerza i zobaczywszy, że jest otoczony tylko swoimi, opowiedziałem mu wasze żądania. Widziałem, że moje wieści sprawiły mu uradowanie, uśmiechnął się; gdy tylko ostatni bal przytwierdzono, zakomenderował: Naprzód! Wówczas obejrzałem się za Węgrami i zobaczyłem Mikolę z całą setką jego żołnierzy o parę staj ododległości od mostu spoczywających, konie mieli rozkiełznane i karmili je trawą, a sam Micoli spał, podłożywszy pod głowę wiązankę naciętej rokiciny.

Tego nam właśnie było potrzeba; zaledwie ostatni jeździec z orszaku królewien przebył most i ostatni wóz się przetoczył, usłyszałem za sobą lekkie gwizdnięcie i jednocześnie chłopcy nasi wyskoczyli z zarośli. W kilka pacierzy bale napowrót zostały oderwane, uniesione i most zrujnowany doszczętnie, pierwej, zanim Micoli miał czas zobaczyć, co się święci. Po obydwóch stronach grobli rozciągają się bagna, na których zaledwie pieszy człowiek, znający dobrze miejscowość, utrzymać się może, a nigdy jeździec. Micoli więc, mając zrujnowany most przed sobą, nie prędko przejść potrafi. Chłopcy nasi cofnęli się natychmiast, dopełniwszy zburzenia mostu

i ukryli się w rokicinach jak dzikie kaczki; do mnie zaś powiedział nasz dowódzca:

— Leć Michałko do Barczy i powiedz rycerzowi, że wszystko się stało jak sobie życzył i że ja z moimi chłopakami będę się znajdował w pobliżu zamku, może się jeszcze na co przydam. Ty tam zostaniesz, będziesz mi przynosił rozkazy.

Uradowany rycerz westchnął do Boga, dziękując Mu, że wszystko idzie tak szczęśliwie.

Ażeby stłumić niecierpliwość, która go tyranizowała, zaczął wydawać liczne rozporządzenia w zamku. Hr. Moszczanyi od samego rana siedział zamknięty w swej izbie przy gąsiorze wina, nie chcąc się widzieć z nikim.

Römer kazał przywołać wieśniaków, którzy przybyli z podwodami do zamku, przywożąc zapasy żywności; uwolnił ich, wyprawił i wynagrodził, zachęcając tym sposobem do dalszych dostaw; teraz już nie byli niebezpieczni, bo Micoli znajdował się odcięty, a królewny na dobrej drodze. Obejrzał jeszcze raz szczegółowo zamek i rozkazawszy strażnikowi, czuwającemu na baszcie, natychmiast dać znak, gdyby zobaczył zbliżający się orszak, wyprawił dwudziestu zbrojnych pod dowództwem Małego na spotkanie królewien, sam zaś, obawiając się jakiego podstępu, postanowił nie opuszczać Vilmos ani na chwilę, dopóki w nim przebywa poprzedni dowódzca. Teraz dopiero swobodnie odetchnął po dniu przepędzonym wśród ciągłej obawy o powodzenie przedsięwzięcia.

Po dniu, w którym węgierskie słońce parzyło ciała jak rozpalone żelazo, nastąpiła noc ciemna i wietrzna, zanosiło się na burzę, gwiazdy pochowały się, a zimny wiatr północny, ocierając się o lodowiska Tatr, niósł w doliny tumany pyłu.

Kasztelan rozkazał pozapalać ogniska na murach zamkowych, ażeby służyły za latarnie podróżnym wy-

czekiwanym; godziny ciągnęły się jedna za drugą powolnie, a żaden inny głos nie dochodził od doliny, oprócz szumu wiatru, wściekle uderzającego o wierzchołki drzew.

Nareszcie gdzieś w oddali zabłysło jakieś światełko jedno, drugie, trzecie. Z początku światła były niewyraźne, przytłumiane co chwila powiewami wiatru, ale na nowo się zapalały i widocznie zbliżały ku zamkowi. Nareszcie rozległ się tętent galopującego konia i jeździec w całym pędzie przybiegł pod bramę zamkową.

Römer już go czekał przed bramą.

— Kto przybywa? — zapytał sam, nie czekając aż strażnik to uczyni.

— Królewne jadą — odezwał się przybyły po polsku.

— Otworzyć bramę! — zagrzmiał głos kasztelana.

Poczem Römer, dosiadłszy konia, który stał okulbaczony, wskoczył nań i już chciał pędzić na spotkanie, gdy zobaczył, że za nim stoi hrabia Moszczanyi i uważnie mu się przypatruje.

Myśl, czy nie knuje się jaka zdrada, jak błyskawica przesunęła się po jego mózgu, zeskoczył z konia i obracając się do hrabiego, rzekł:

— Cały dzień nie widziałem was panie, skądżeż przyszła wam ochota teraz, wśród nocy, do spacerów?

— Czyliż mi to było zabronione? Dowódzca załogi przyzwyczajony jest włóczyć się po wałach zamkowych w nocy, chciałem być obecny w czasie wjazdu królewien i Micoli.

— Micoli tutaj nie przyjedzie dzisiaj.

— Nie? Przecież on stanowi orszak królewien.

— Królewny mają swój własny orszak, złożony z Polaków i pod jego zasłoną odbywają podróż.

— Moszczanyi teraz dopiero zrozumiał, że już liczyć nie może na przybycie Micoli z siłą węgierską, oddalił się więc, klnąc głośno zdradę.

Tymczasem orszak królewien zbliżył się już tak, że przy świetle migających się pochodni widać było kolasę i żołnierzy ją otaczających. Nagle niespodziewanie zrobił się jakiś ruch niezwykły wśród jeźdźców i jednocześnie rozległ się tętent setki koni, pędzących w szalonym biegu po gościńcu.

Nie ulegało wątpliwości, że to pogoń Micoli.

Stary, doświadczony rycerz Jaśko, w jednej chwili ocenił położenie, przynaglił woźniców kolasy do pędzenia koni, ile im sił starczy, do oświetlonej bramy, a sam ze swoim szczupłym oddziałem zatrzymał się na drodze, zajmując jej szerokość i postanawiając pierwej zginąć, niż dać ją przebyć Węgrom.

Kilka minut stanowiło o losie królewien, ale karoca szczęśliwie przedostała się za bramę; Jaśko, nie widząc już potrzeby staczania bójki, zwinął swój oddział i spiesznie znalazł się na podworcu zamkowem.

Zaledwie brama została zatrzaśnięta, gdy u jej progu stanął Micoli, a za nim długim szeregiem ściągali się jego jeźdźcy.

— Otworzyć bramę! — zawołał rozkazującym głosem i jednocześnie uderzył szablą o wystający kant muru.

Na razie nikt mu nie odpowiedział.

— Hej Moszczanyi! czy nie widzisz, że wojsko królewskie czeka, otwieraj prędzej!

Römer, nie mając czasu osobiście zaprowadzić królewien do przeznaczonych im komnat, rozkazał tylko wskazać im drogę, a sam, nie opuszczając bramy, do której gwałtownie dobijał się Micoli, pewny już teraz powodzenia, odezwał się, uchylając małe zakratowane okienko:

— Darujcie, szanowny panie, ale dzisiaj nie wejdziecie do Vilmos.

— Kto śmie to mówić? Kto śmie wstrzymywać żołnierzy królewskich, działających w jego imieniu?

— Powtarzam wam jeszcze raz, że nie wejdziecie do zamku dzisiaj; królewny potrzebują spoczynku, a i wam radziłbym rycerzu zawczasu poszukać schronienia, bo górska burza już się zaczyna.

— Więc zamek jest zdobyty?

— Tak.

— A Moszczanyi i jego załoga?

— Są jeńcami.

— Ależ wy głową przypłacicie to zuchwalstwo.

— Mocno się ona trzyma, a polskie karki za twarde są dla węgierskiego miecza.

— Tchórze tylko śmiali są za murami.

— Jutro odpowiem ci rycerzu na tę obelgę i krwią twoją zmyjesz jej zuchwałość.

— Dlaczego nie dziś? dlaczego nie natychmiast?

— Bo teraz mam ważniejsze obowiązki do spełnienia.

Ulewny deszcz który w tej chwili zalał strumieniami ziemię, przerwał ten potok homerycznych zobopólnych obelg.

Römer, nie słuchając więcej pogróżek Węgra, oddalił się, poleciwszy straży największą baczność, a Micoli, widząc, że jego pogróżki nie są w stanie otworzyć bramy i że na czele swoich jeźdźców zdobyć zamku w nocy nie potrafi, klnąc gwałtownie, oddalił się, ażeby poszukać jakiego schronienia w poblizkiej wiosce.

Teraz dopiero Römer śpieszył przywitać się z królewnymi, ale na swojej drodze napotkał rycerza Jaśka, który do niego rzekł:

— Dziś nie trudźmy już tych nieszczęśliwych kobiet. Dwie noce przepędziły bez snu, niech biedaczki wypoczną i przygotują się na usłyszenie smutnych wiadomości.

— Cóż nowego może im jeszcze zagrażać? Chodźcie do mojej kwatery rycerzu i opowiedźcie mi.

Kiedy się znaleźli w komnacie Römera, Jaśko odrzucił szyszak z głowy i mówił:

— Nie wesołych dowiedziałem się nowin od Micoli w ciągu dwudniowego z nim pobytu; Węgier wygadał się, bo i sam niekontent jest z polecenia, które mu rozkazano wypełnić.

— Cóż takiego! gadajcie na miłość Boga!

— Ludwik niezdecydowany był dotąd co do Polski, niepodoba mu się buta szlachty, ale teraz wpływy matki i senatu węgierskiego przemogły, stanowczo więc zdecydował się uzyskać pozwolenie narodu na przekazanie praw swoich Annie, starszej swej córce. Otóż te sieroty po Kazimierzu, jak twierdzą, mogłyby stać się powodem wojny domowej; obawiają się ich, bo gdyby królewna Anna objawiła swoje pretensye do tronu, wielu znalazłaby stronników, którzy z mieczem w dłoni popieraliby jej prawa.

— A więc zdecydowali się oddać je do klasztoru?

— Nie, z klasztoru każdej chwili wyjść można; mury zbyt są słabą przeszkodą; król Ludwik raz zdecydowawszy się, nie cofnie się przed niczem. Postanowiono, żeby prawo samo oddaliło je raz na zawsze od wszelkich nadziei i pretensyi.

— Przecież dlatego zdaje się sfałszowali testament króla.

— Który okazał się i tak dla nich niewygodnym; sami zachwiali jego powagę w zasadzie, teraz więc za niedostateczny go uważają.

— Przecież nie myślą ich więzić całe życie, albo kazać podusić?

— Tak, ale obmyślili coś tysiąc razy gorszego; zwołali w Budzynie zgromadzenie duchowne, złożone z biskupów węgierskich i Zawiszy; zgromadzenie to nie wahało się bezczelnie uznać związku Kazimierza z Jadwigą Głogowską za niesakramentalny, jako dopełniony

niby za życia Adelajdy, pierwszej żony, a tem samem córki króla uznane zostały za pochodzące z nieprawego łoża.

— Ależ to szatany nie ludzie! zbrodniarze nie duchowni! Przecież to nie prawda, że Adelajda jeszcze żyła; księżniczka Głogowska nie oddałaby była swojej ręki królowi mającemu żonę.

— Tak jesteśmy przekonani wszyscy, ale cóż łatwiejszego, jak pofałszować dokumenta, jeżeli to wychodzi na korzyść władzy?

— I ten zbrodniczy fakt już spełniono?

— Niedługo przybędzie tu urzędowe poselstwo króla z zawiadomieniem o tem sierot.

— A więc to dlatego kazano je zaprowadzić do Vilmos?

— Dlatego tylko. W Budzynie możeby obudziły współczucie szlachty polskiej, której tam teraz ma przebywać moc, a i delikatne sumienie króla i Elżbiety narażone byłoby na bolesne zranienie ich widokiem. Wybrano im więc ten ustronny zamek, ażeby o nich świat zapomniał. Mówił Micoli, że myślą je powydawać za mąż i że już nawet postanowiono Annę oddać hrabiemu Wilhelmowi Cylijskiemu.

— Ależ znam tego uniżonego służalca Węgier, pijaka i rozpustnika, człowieka bez obyczajów, bez Boga i religii.

— Dlatego właśnie, że jest służalcem Węgier, zaprzedanym Ludwikowi z duszą i ciałem i że jest człowiekiem bez żadnej wartości, nie będzie mógł nigdy, mając nawet córkę Kazimierza za żonę, stanąć jako poważny pretendent do tronu.

— Niegodziwcy!

— Są to dopiero wieści, ale pochodzą z wysokiego źródła, jak twierdzi Micoli.

— Czyliż nie lepiej, żeby wyjechały do matki i pod jej opieką oczekiwały swojego losu?

— Zawczasu temu zaradzono, wyprawiając wdowę po królu za granice Rzeczypospolitej, a gdy potrafiono tyle wpłynąć na słabą białogłowę, iż rękę swą oddała Ruprechtowi, księciu Lignickiemu, związanemu z Węgrami silnemi węzłami interesów, ubezwładniono ją. Domyślam się, że gdyby miała swoją wolę, wezwałaby córki do siebie, a jeżeli tego nie czyni, znać, że im pomódz nie może i że zostawiła królowi Ludwikowi prawo decydowania o ich losie i wydania ich za mąż podług upodobania.

Kasztelan przez chwilę milczał; raptem podnosząc głowę zapytał:

— Czyliż już i o losie księżniczki Jadwigi postanowiono? Czy i dla niej wyszukali podobnego Wilhelmowi szubrawca?

— Co do losu królewny Jadwigi dziwniejsze jeszcze krążą wieści, mało prawdopodobne, a jednak uparcie się powtarzające.

— A więc jakiegoż tam dla niej wyszukali znowu Niemca?

— Wcale nie Niemca, ani nawet żadnego cudzoziemca.

— Więc którego z książąt zniemczałych Piastów?

— Nie... ale Polaka.

— Polaka! Któżby z nas tutaj żyjących był jej godzien i tyle zuchwały, żeby sięgnął wzrokiem do krwi swoich panów.

— Jest taki. Ale kiedy mi powiedziano jego nazwisko, sądziłem, że Micoli zwaryował.

— Któż więc to taki? Mówcie na miłość Boga!

— Zawisza.

— Zawisza! Ależ wy szydzicie niemiłosiernie ze mnie, rycerzu!

— Bogiem mi, że nic podobnego nie myślę.

— Ależ Zawisza ksiądz! duchowny! biskup!

— Tak, bezwątpienia. Ale jest władza co wiąże i rozwiązuje na ziemi. Ojciec święty może go uwolnić od ślubów zakonnych, lub pozwolić na ożenienie.

— To niemożebne! to się sprzeciwia prawom kanonicznym.

— Widzieliśmy księży i biskupów żonatych, a jakkolwiek w roku 1015 wprowadzono celibat, ale sobór dotąd go jeszcze nie potwierdził, nie zamienił w prawo [1]).

— Ależ to koniec świata! — zawołał gwałtownie kasztelan, ściskając rękojeść szabli. — Czyliż buta Porajów wzrosła już tak wysoko, że śmie równać się z białym orłem i bratać się z nim!

— Pochodzą z książęcego rodu Czechów, a ten, który tak zręcznie potrafił wysadzić z siodła Jana z Czarnkowa, archidyakona Gnieźnieńskiego, ulubieńca zmarłego króla, a po Janie Suchym Wilku ze Strzelec objąć pieczęć kanclerską, ten, który jest w szczególnych łaskach u starej królowej-matki, ten pod panowaniem króla, który nie dba o Polskę, o wszystko tu pokusić się może.

Römer zerwał się gwałtownie z siedzenia i pochwyciwszy gruby cynowy puhar, stojący na stole pełen wina, zgniótł go w ręku jakby papierową zabawkę, i rzucając na podłogę, zawołał:

— Ot tak zmiażdżę tego pysznego człeka, tak krew jego pierwej rozleje się po świętej ziemi, nim on dotknie swoją skalaną ręką tej przeczystej dziewicy, ostatniej z rodu królów naszych.

Jaśko z uwagą spojrzał w rozpłomienione lice kasztelana; ten niezwykły zapał zadziwił go.

— Zresztą to są wszystko pogłoski, kursujące na dworze węgierskim. Może w nich być wiele prawdy, może nic. Poczekajmy trochę, czas to wyjaśni.

---

[1]) Dopiero w roku 1545 na soborze Trydenckim celibat został zamieniony w prawo.

Römer nic nie mówiąc, chodził zamyślony po komnacie. Na męskiej twarzy jego widać było oburzenie, przygryzał wargi, chcąc stłumić niepokój. Nareszcie zatrzymując się, rzekł:

— To tylko pewne, że gdy jakieś kabały układają się w Budzynie, nie możemy bezczynnie, założywszy ręce, patrzeć na to i wtenczas dopiero podnosić alarm, kiedy chmura już otworzy się i grom z niej wypadnie. Opieka nad królewnymi należy do całego narodu, hańbą byłoby pozwolić ukrzywdzić je na całe życie. Odebrano im majątek, prawo do korony, prawo do poczciwego nazwiska, czyliż jeszcze przemoc ma się posunąć tak daleko, że chce je na całe życie uczynić nieszczęśliwemi niewolnicami ludzi niegodnych! Nie, nigdy! nigdy na to nie pozwolimy!

Długo jeszcze wiedli między sobą rozmowę. Nareszcie ognisko rozłożone na kominie wygasło, ostatni puhar wina Jaśko wysączył, powstał i podając rękę Römerowi, rzekł:

— Każ mnie zaprowadzić kasztelanie swojemu pachołkowi do przeznaczonej dla mnie komnaty na spoczynek. Oto kościska moje tak rozbite, że ledwie się trzymają kupy; przez całe te trzy dni nie zsiadałem prawie z konia; chciałbym się trochę wyleżeć, ażeby być gotowym na jutro, bo przypuszczam na pewno, że Micoli nie zostawi nas w pokoju i zapewne nam wypadnie odeprzeć szturm.

Römer machnął ręką obojętnie, jakby chciał mówić: wszystko mi jedno co nastąpi, nie w tem się zamyka zadanie, które potrzebuję rozwiązać.

Jaśko wyszedł, a kasztelan głęboko zamyślony, całą noc szerokimi krokami przemierzał kamienną posadzkę izby, a gdy promienie słońca zaczęły zaglądać w okno, przypasał szablę i udał się do komnaty zajmowanej przez hrabiego Moszczanyi.

Rycerz węgierski w swojej stancyi bardzo skromnie przybranej, spoczywał na wązkiem łóżku, przykrytem tylko niedźwiedziemi skórami, pod głowę miał podesłaną kulbakę, a obok niego stała zbroja i miecz prosty, obosieczny.

Hrabia nie spał już, uniósł się na posłaniu, zobaczywszy wchodzącego zdobywcę i oczekiwał, co ten mu powie.

— Przyszedłem, szlachetny panie, tak rano, żeby zwiastować ci wolność, sądziłem, że tak nawet ranna godzina nie będzie niewłaściwą, jeżeli przynosi dobre wieści.

Na twarzy hrabiego nie odmalowało się żadne wzruszenie, ten akt wolności był także pewnym rodzajem upokorzenia, zwycięzca dając mu swobodę, wypychał go z zamku, którego dotąd był dowódzcą.

— Więc mogę się oddalić gdzie zechcę?

— Ty i twoi ludzie, którzy stanowili załogę. Możesz nadto zabrać wszystkie swoje bogactwa, jakie posiadasz; my nie w celu rabunku zmuszeni byliśmy zająć chwilowo zamek.

Hrabia spojrzał zdziwiony na mówiącego. W owych czasach popaść w niewolę, znaczyło to nietylko utracić swój miecz i swoją zbroję; nikt nie wypuszczał z niewoli swojego jeńca bez znacznego okupu, to też gdy Römer oświadczył, że jest nietylko wolny, ale że i nie ciąży na nim żaden okup, zerwał się z posłania na równe nogi.

— Rycerzu — powiedział, wyciągając swoją prawicę do kasztelana — umiesz być zarówno wspaniałym, jak jesteś mężnym. Pozwól mi odtąd być twoim przyjacielem.

— Najchętniej to uczynię, tem bardziej, że znane jest powszechnie twoje męstwo, a jeżeli los oddał cię wypadkowo w moje ręce, to stało się tobie to, co ju-

tro mnie się stać może; losy ludzi rycerskich są zmienne, nie uległeś mojemu orężowi, lecz zmógł cię podstęp wojenny. Bądźmy przyjaciółmi, a na dowód tego, że nie chowasz do mnie gniewu, będę cię prosił o wyświadczenie mi pewnej przysługi rycerskiej.

— Powiedz, czego żądasz, szlachetny panie.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł Jaśko z Żarnowa.

— Oto jest właśnie rycerz — rzekł Römer — który z tobą, panie hrabio, pragnie się udać do Micoli, ażeby go w mojem imieniu zaprosić na pojedynek, za słowa obelżywe, któremi mnie wczoraj poczęstował; proszę cię więc, rycerzu, żebyś mu towarzyszył do Micoli i zabezpieczył osobę jego.

— Honor węgierskiego rycerstwa jeszcze nie upadł tak nizko, żeby rycerz, udający się do obozu naszego z tak miłą i pochlebną propozycyą, jak zmierzenie się na ostrze z jego dowódzcą, potrzebował ochrony. Chroni go tytuł posła i honor węgierskiego rycerstwa.

— Nie wątpiłem o tem, ale zdaje mi się, że Micoli może potrzebować pańskich usług, jako sekundanta, bo wątpię, czy ma w swoim oddziele kogoś odpowiedniejszego; pragnąłbym, żeby spotkanie mogło nastąpić zaraz, czy zechcesz się panie hrabio podjąć tej dla mnie przysługi?

— Nie śmiałbym odmówić tak przyjemnej dla mnie propozycyi, a nawet na dowód mojego szacunku dla was, jestem gotów dobyć mojego miecza i jeżeli mi szlachetny Jaśko z Żarnowa zechce uczynić ten zaszczyt, spotkać się z nim także na ostrze.

— Zgoda, będziemy się bili w dwie pary — zawołał Jaśko. — Jedźmy więc do Micoli.

Wkrótce brama została otworzona i dwaj rycerze, jadąc obok siebie, rozmawiali przyjaźnie, chociaż niedługo ostrza ich mieczy szukać miały chciwie serca przeciwnika.

Węgierska załoga Vilmos opuściła jednocześnie z nimi zamek, prowadząc na kilku furach swoje dobro.

Niedaleko potrzebowali szukać Micoli. Wyjechawszy za bramę zamkową, zobaczyli pod poblizką wsią rozłożony jego obóz. Po strasznej ulewie, która nawiedziła w nocy okolice, żołnierze suszyli swoje przemokłe ubrania; jeden tylko namiot był rozbity, do niego więc skierowali się obydwaj rycerze.

Micoli czekał ich już we drzwiach i z daleka zawołał na hrabiego:

— Witaj mi rycerzu niefortunny, którego zarówno jak i mnie wyprowadzono w pole. Witajcie mi rycerzu Jaśku, którzy należeliście do zmowy.

— Przybywamy, ażeby wam dać zadośćuczynienie za czyny nasze, jeżeli wam się nie podobają.

— Spodziewałem się tego po rycerstwie polskiem — odrzekł uradowany Micoli, i od chwili, w której dowiedział się o celu przybycia Jaśka, postępowanie jego natychmiast stało się pełne uprzejmości.— Proszę do namiotu.

— Sądzę, że będziemy mogli tutaj się równie swobodnie rozmówić i ułożyć jak tam — odrzekł Jaśko — przybyliśmy, ażeby ułożyć warunki pojedynku.

— Będziemy się bić we dwie pary — rzekł hrabia.

— To wybornie, a ja z góry przystaję na wszystko.

— A więc będziemy się potykać konno — rzekł Moszczanyi.

— Przewybornie.

— Bez zbroi, w lekkich tylko kaftanach.

— Czyżby inaczej być mogło?

— Każdy z nas mieć będzie kopię, miecz i topór.

Tu Jaśko chciał założyć protest przeciw użyciu tej broni, gdyż u Polaków mało ona była znana, podczas gdy górale i Węgrzy doskonale nią władali; ale gdyby zaprotestował, czyżby to nie wyglądało na tchórzostwo? Zamilkł więc.

Obydwaj rycerze węgierscy spojrzeli po sobie niespokojnie, gdyż dostrzegli jakiś wyraz niezadowolenia w twarzy Polaka.

— Czyżby wam się, szlachetny panie, nie podobały nasze warunki? W takim razie naznaczcie swoje, przyjmujemy je z góry, nie roztrząsając wcale.

— Powiedziałem, że na wszystko się zgadzam co postanowicie, co godne jest rycerzy i dotąd nie słyszę nic takiego, przeciw czemu mógłbym protestować — rzekł Jaśko.

— Więc wszystko ułożone.

— Pozostaje tylko oznaczyć czas i miejsce.

— Sądzę, że zarówno wam, jak i nam pilno załatwić rachunki, dlatego pragnęlibyśmy jak najprędzej stoczyć walkę.

— Moje i kasztelana sieradzkiego takież samo jest przekonanie.

— Więc dziś... zaraz.

— Tyle tylko zwłoki, żebym powrócił do zamku i zawiadomił Römera.

— Czekać was będziemy po nad strumieniem, który przecina to piękne błonie, rozciągające się pod same mury zamkowe.

— Postaramy się, żebyście długo nie czekali — odpowiedział Jaśko.

Przepiękna łąka, równa, jakby zasłana kobiercem, przecięta w środku strumieniem, oddzielającym ją od obozu Micoli, mogła służyć w razie potrzeby za wyborną scenę walki.

Polski rycerz skłonił się kopią i pośpieszył do Römera, który go oczekiwał w bramie.

— Ułożono wszystko. Spotkamy się na tej pięknej, szerokiej łące — tu wskazał ręką błonie — zaraz... kopia, miecz, topór.

— Idźmy się więc uzbroić.

— Czy nie znajduje się w zamku ksiądz, żebym mu mógł złożyć swoje grzechy w depozycie? — zapytał Jaśko.

— Nie ma go tu.

— Szkoda, zawsze mam zwyczaj spowiadać się przed każdem spotkaniem.

— Piękny to zwyczaj, ale na ten raz musicie od niego odstąpić.

Rozdział IX.

Pod murami zamku.

Obydwaj rycerze, zrzuciwszy zbroje a przyodziawszy się w lekkie jedwabne kaftany, przypasawszy miecze, dosiedli koni i odrzucając tarcze, które im chciał podać giermek, pochwycili kopie.

— Jeszcze mamy prawo mieć topory — rzekł Jaśko, i to mówiąc, skinął na giermka, aby mu podał to zabójcze żelazo.

— Dla mnie to jest zupełnie zbyteczne, nie umiem władać tem rzeźnickiem narzędziem — rzekł Römer i odsunął ręką pachołka, który mu podawał topór.

— A jednak trzeba żebyście go przytroczyli kasztelanie, rycerze węgierscy wyraźnie wspomnieli o toporze; gdyby go u was nie zobaczyli, czuliby się w obowiązku odrzucić swoje, a was mieć w podejrzeniu, iż zadrżeliście przed tą straszną bronią.

— Dobrze więc, przytrocz mi go, mój chłopcze.

Na boku stał żołnierz stary, okryty licznemi szramami. Był to setnik chorągwi Römera, nazywał się Mały, przez ironię może, bo chłop był olbrzymiego wzrostu, zdolny łeb ukręcić bykowi.

– Słuchaj, Mały — rzekł, obracając się do niego kasztelan — na czas mojej nieobecności w zamku, czynię cię dowódcą załogi. Odpowiadasz za wszystko, a roz-

kazy odbierasz tylko od królewien. Powrócę wkrótce, lub prześwietny rycerz Jaśko, w takim razie jemu złożysz dowództwo całego mego oddziału. Rozumiesz mnie?

— Rozumię i stanie się jak każecie.

— A teraz niech dwóch za nami uda się luzaków, każ otworzyć bramę, a trębacz niech nas poprzedza.

Wszyscy dosiedli koni i czterech tych jeźdźców, poprzedzonych przez trębacza, wysunęło się za mury.

— Zamknąć bramę i dać uwagę na wszystko — zawołał Römer, oddalając się — a ty trębaczu zatrąb oznajmienie.

Brama napowrót się zamknęła, a przeciągłe tony trąbki rozległy się po stokach gór.

W tejże samej prawie chwili, widać było czterech ludzi, poprzedzonych również przez trębacza, wyruszających z obozu, na spotkanie przybywających.

Węgierski trębacz dał odpowiedź i obydwa orszaki wolnym kłusem zbliżyły się na pole walki.

Ludzie ci, którzy za chwilę mieli wzajemnie godzić na swoje życie, a którzy zresztą nie czuli do siebie żadnej nienawiści, wzajemnie grzecznie się pokłonili, schylając kopie.

— Którą stronę wybieracie panowie — zapytał hr. Moszczanyi.

Nie była to rzecz błaha; jakkolwiek łąka była równa, ale zawsze miała znaczną spadzistość od zamku, to wzmacniało rozpęd koni i nadawało pewną przewagę nacierającym.

— Nie chcemy żadnej przewagi — rzekł Römer — zajmijcie nasze miejsca.

— Więc w takim razie przewaga byłaby po naszej stronie, ale zwróćcie szlachetni rycerze uwagę na to, że wy będziecie mieli słońce w oczy, co nie jest korzystne dla was, tym więc sposobem wyrównywa się położenie — rzekł Micoli.

— A więc zaczynajmy z miejsc, w których nas los umieścił.

— Zgoda — zaczynajmy.

Wieść o nastąpić mającym pojedynku lotem błyskawicy rozeszła się tak w obozie węgierskim jak i w zamku. Było to widowisko rycerskie, ciekawe i interesujące. Wszystko co żyło, wysypało się po nad strumień, stanowiący z jednej strony metę szranków, a i mury zamkowe pokryły się ciekawymi.

Jakkolwiek ranna to jeszcze była godzina, ale złowroga wiadomość przeniknęła i do sypialni królewien. Silne to wrażenie zrobiło na obu sierotach. Ten pojedynek stanowił niejako o ich losie, może od rozstrzygnięcia jego zależała cała ich przyszłość.

— Pójdźmy na wały! — zawołała Jadzia.

Anna na chwilę się zawahała, ale spojrzawszy na siostrę i widząc jej twarz całą w płomieniach, powstała, i kazawszy służebnym postępować za sobą, udała się wraz z siostrą na basztę sterczącą po nad murami.

Załoga zamkowa, widząc zbliżające się królewny, ochoczo zrobiła im miejsce; rozsunęła się na boki i przed siostrami odkrył się wspaniały widok ziem węgierskich. Nie to jednak zajmowało je w tej chwili. Scena rozgrywającego się dramatu była tuż pod ich stopami. W tej chwili właśnie rycerze wypuścili rumaki naprzeciw siebie, zniżone kopie po nad uszy koni godziły w piersi przeciwników. Polacy, znajdując się na wzgórzu, nadali rozpęd swoim koniom tak straszny, że można było przewidzieć chwilę, w której jak granitowe skały runą na Węgrów i zgniotą ich samą potęgą swojego uderzenia. Ale węgierscy rycerze mieli po za sobą słońce, gdy tymczasem jaskrawe promienie jego uderzały wprost w oczy Polakom, olśniewały ich i nie pozwoliły wymierzyć trafnego ciosu. W chwili, kiedy kasztelan, pędząc z wzniesioną kopią nad głową, miał wymierzyć cios

przeciwnikowi, Micoli zręcznie uchylił się w bok i tym sposobem cała siła impetu została zmarnowaną, bo koń Römera wraz z jeźdźcem, nie doznawszy oporu, znalazł się w tyle rycerza węgierskiego.

Inaczej jednak odbyło się spotkanie hrabiego Moszczanyi z Jaśkiem z Żarnowa; tu kopie rycerzów jednocześnie prawie uderzyły o piersi przeciwnika. Węgierska kopia złamała się jak trzcina, natrafiwszy na miedziany ryngraf Matki Boskiej, który rycerz nosił na piersi. Za to kopia rycerza polskiego, utkwiwszy w ramieniu Madziara, wysadziła go z siodła. Moszczanyi spadł z konia. W szeregach Węgrów rozległy się głośne złorzeczenia. Stary rycerz zeskoczył również ze swojego rumaka i dopomógł powstać powalonemu przeciwnikowi.

— Czy się uznajesz zwyciężonym rycerzu?

— Widzisz, że ręka moja jest bezwładna, a majkutem walczyć nie umiem.

— Więc podajmy sobie dłonie i zaprzestańmy walki.

— Los po drugi raz sprzyja ci rycerzu polski; poddaję się na ten raz jeszcze jego woli i uznaję się za pokonanego.

Moszczanyi oddalił się na stronę po nad strumień, gdzie jeden ze służby odpiął mu pospiesznie kaftan, obmył ranę wodą i przysposobionym ośrodkiem chleba utłuczonym z pajęczyną, starał się zatamować krew obficie płynącą.

Tymczasem dwaj pozostali rycerze nie myśleli zaprzestać walki, której pierwsze spotkanie odbyło się bez rezultatu; Jaśko oparłszy się na szabli stał, bacznie przypatrując się, co dalej nastąpi.

Römer w jednej chwili zwrócił konia gwałtownie i wpakowawszy mu ostrogi w boki, z taką siłą natarł powtórnie na Micolę, że kopia jego byłaby na wskróś przeszyła Węgra, gdyby ten, spiąwszy konia, nie zmusił go stanąć dęba, a zręcznym i silnym ciosem nie był

przeciął jej na dwoje już w chwili, kiedy się miała zanurzyć w jego piersi. Nie ocaliło to jednak Węgra; koń Römera tak potężnie piersiami uderzył rumaka węgierskiego, że ten osiadł na tylnych nogach, a następnie przewalił się wraz z jeźdźcem, przytłaczając go swoim ciężarem. Römer śpiesznie zeskoczył ze swojego na ziemię, ale w tejże chwili zastał stojącego już przeciwnika, któremu szczęśliwie udało się wydobyć z pod konia, z pałaszem w ręku gotowego do odporu.

— Hej Lachu! — zawołał groźnie — nie koniec to jeszcze, tylko miecz jest bronią godną ręki rycerza!

Römer ani chwili nie zwlekał z natarciem, miecz jego zabłysnął w powietrzu, skrzyżowały się ostrza i iskry posypały się ze stali: ciosy były godne ręki cyklopów. Każdy z nich wymierzony był z takim zamachem, że roztrzaskaćby mógł granit, ale za każdym razem napotykał ostrze swojego przeciwnika, zsuwał się ze zgrzytem, tworząc wstęgi iskier. Piersi obydwóch walczących poruszały się ciężkim oddechem, walka przedłużała się, a zwycięstwo nie przechyliło się dotąd na żadną stronę.

Tymczasem znajdujące się na murach królewny z uwielbieniem spoglądały na walczących, ale gdy Anna klaskała w ręce i głośno objawiała swoją radość, serce Jadzi za każdym ciosem zamierało, jak gdyby czuło ostrze miecza skierowane w siebie, jakby każdy cios groził jej głowie.

Ziemia, pod naciskiem oporu stóp walczących poryta, utraciła swoją miękką murawę i zamieniła się w czarną plamę; żyły na rękach i nogach obu rycerzy nabrzmiały jak postronki, pot lał się strumieniami, zalewając oczy, z których wypadały błyskawice. Niewyraźne jakieś słowa zamieniały się w mruczenie, a walka nie ustawała ani na chwilę. Widoczne, że przeciwnicy byli godni siebie.

Jaśko i Moszczanyi stali w milczeniu, przyglądając się z zachwytem tej nadludzkiej sile, temu męstwu i uporowi, z któremi nic nie dało się porównać.

Dotąd lekkie tylko rany potrafili zadać sobie walczący.

Nareszcie obydwa, jakby porwani jedną myślą, postanowili zakończyć spór gwałtownym ciosem; całą energię, całą potęgę siły każdy z nich skupił w sobie i stanowczem uderzeniem chciał pokonać przeciwnika.

Obydwaj jednocześnie spojrzeli sobie śmiało w oczy, a wzrok każdego mówił: »Śmierć tobie!« Obydwaj w jednem mgnieniu oka podnieśli szable ponad głowy i spuścili je z takim zamachem, że teraz nie iskry już wydała stal, ale jeden tylko świst, brzęk, trzask i obydwie szable pękły przy samej rękojeści, rozbrajając tym sposobem walczących.

Przez chwilę stali jakby zdumieni niespodziewanym wypadkiem, spoglądając na siebie.

— Dosyć walki — zawołali jednocześnie Moszczanyi i Jaśko. — Przestańcie, już dosyć!

Walczący nie myśleli jednak usłuchać tego wezwania.

— Teraz bohaterowie Homera porwaliby się za bary i dusili we wzajemnych uściskach — rzekł pierwszy Römer. — Czy i my spróbujemy tego sposobu?

— Nie rycerzu! My mamy topory! hej, za topory!

Walka na topory w owych czasach nie wszędzie znana i upowszechniona była, nie używały jej narody południowe, za to Normandy, Skandynawcy często używali topora. Biskajczycy i górale tatrzańscy sławni są do dziś jeszcze ze swoich rzutów toporem. Ryszard »Lwie serce« w Palestynie często używał tej strasznej broni; a niektórzy panowie z Siedmiogrodu i Węgier przyswoili ją sobie. W Polsce jednak nie wchodziła w praktykę. Jest podanie, że jeden z węgierskich ma-

gnatów, tak dzielnie rzucał toporem, iż obcinał uszy po kolei niewolnikom, jakby je odrzynał brzytwą. Węgierscy panowie czynili sobie sport z tego. Römer widział wprawdzie kilka razy walczących, ale sam nigdy nie brał udziału w tych zapasach, kiedy więc Micoli wyzwał go na topory, czuł, że w tej walce nie podoła. Mógł wprawdzie pierwej przy układaniu warunków ją odrzucić, przepisy rycerskie bowiem nie zobowiązywały go do walki bronią, której nie znał użycia, ale raz przyjąwszy i wyjechawszy z przytroczonym toporem w szranki, musiał nim walczyć, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzenia bojaźni, co równałoby się wiecznej hańbie. A któryż szlachcic zniósłby wówczas podobne podejrzenie? Każdy przenosił raczej śmierć pewną niż życie wśród hańby.

Micoli, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie wiedział, że ma nad swoim przeciwnikiem taką przewagę; prawa rycerskie nie pozwoliłyby mu korzystać z niej. Sport zasadzał się na tem, iż przeciwnicy najpierw rzucali na siebie toporami, dla wymiany broni; potrzeba było zręcznie uchwycić topór przeciwnika i nim dopiero rozpoczynała się walka, która zawsze kończyła się jeżeli nie natychmiastową śmiercią, to przynajmniej ciężką raną.

Römer stał w miejscu trzymając swój topór w ręku, kiedy Micoli ze swoim oddalił się o trzydzieści kroków. Rzut, jaki miał nastąpić, nie była to jeszcze walka, tylko wymiana grzeczności. W jednej chwili podniósł do góry swój topór, żelazo błysnęło w powietrzu i zaczem Römer miał czas odesłać mu swój tąż samą drogą, uderzyło ze szczękiem w podniesione ostrze jego topora, ześliznęło się i utkwiło w piersi Polaka. Pocisk, chociaż nie był wymierzony z całą siłą i zneutralizowany uderzeniem o żelazco toporu Römera, był jednak o tyle potężny, że przeciął kaftan na piersi i zdruzgo-

tawszy dwa żebra, otworzył ogromną, szeroką ranę ponad samem sercem.

Jęk straszny, przeciągły, rozległ się na murach zamkowych i królewna Jadwiga padła omdlała na ręce służebnej.

Tymczasem do leżącego Römera poskoczyli z jednej strony Jaśko z Moszczanyim, z drugiej Micoli.

— Nie chciałem tego — zawołał ten ostatni — ja nie godziłem w niego, posłałem tylko topór na wymianę. Czemu go nie uchwycił za toporzysko?

— On nigdy nie walczył na topory — odpowiedział Jaśko.

— Nigdy! Ależ on szalony, jeżeli przyjął moje wezwanie!

— Cobyście powiedzieli o nim, gdyby odrzucił?

Rana była straszna, szeroka; sięgała od lewej brodawki piersi aż pod trzecie żebro, dwa były zgruchotane i białe kości sterczały do góry, a falujące strugi krwi płynęły tak obficie, że można było obawiać się, że serce zadraśnięto. Umaczano natychmiast jakieś liście w zimnej wodzie, odgarnięto krew, a w otwartej, szerokiej jamie można było widzieć dokładnie serce rycerza, funkcyonujące swobodnie, poruszające się w przyśpieszonych tępach.

Widoczne jednak, że serce samo nie było dotknięte, bo rycerz żył, oddychał; ten sam zaimprowizowany na prędce doktór, który opatrywał hrabiego, temi samemi lekami starał się zatamować krew. Palcami podważył do góry obydwa przecięte żebra, które cokolwiek się zaklęsły, a chlebem z pajęczyną obłożył najstaranniej ranę.

Kasztelan był bezprzytomny, śmiertelna bladość rozlała się na jego twarzy. Najostrożniej ułożono ciało bezwładne na płaszczu i smutny orszak postąpił do zamkowej bramy.

Rycerz węgierski, zwycięzca, smutny został na placu bitwy, powtarzając uporczywie:

— Nie chciałem tego.

Zaniesiono martwe prawie ciało rycerza do jego komnaty, złożono na wyprawionej skórze jelenia, skropiono wodą twarz, ale krew przedostała się już przez zaimprowizowane bandaże i grubą, czerwoną strugą spływała po skórze na kamienną podłogę.

Tymczasem królewna Jadwiga, zaledwie przyszła do przytomności, zapytała się o rycerza.

— Jest w zamku i żyje — odpowiedziała jej siostra.

— Pójdźmy tam natychmiast, on potrzebuje pomocy.

Anna przez chwilę wahała się, lecz następnie podniosła się i obie królewny, poprzedzone przez służebną, udały się do komnaty rannego.

Na widok tej wybladłej twarzy, jakby wykutej z marmuru, na widok tej pięknej postaci nie dawno jeszcze pełnej życia, a teraz bezwładnej, głuchy jęk rozdarł powietrze i Jadzia nie zważając na żadne względy, usunęła na bok siostrę i śmiało przybliżyła się do łoża, na którem spoczywało nieruchome widmo.

Odjęła delikatną ręką z zapieczonej rany chleb przesiąknięty krwią, kazała podać na dużej cynowej misce wody, starannie obmyła ranę, zmoczyła w świeżej wodzie swoją chustkę i przyłożyła na rozdartej piersi, a gdy krew się cokolwiek utamowała, przyłożyła znowu chleba z pajęczyną, jedyne lekarstwo, które było pod ręką, i blada jak trup, upadła na kolana koło łoża.

Anna wraz z Jaśkiem, milcząc, przypatrywali się tej scenie.

Römer leżał nieruchomy, tylko puls słabo bijący pokazywał, że dusza kołata się jeszcze w tem ciele.

Długa upłynęła chwila, nim Anna skinęła na siostrę, wzywając ją do wyjścia, ale widząc, że ta się nie porusza, rzekła:

— Zostawimy tutaj Brygidę, ona będzie miała staranie około rannego, a jutro znowu tutaj zajrzymy, teraz chodźmy Jadwisiu.

— Co? jutro! — zawołała Jadwiga, otwierając szeroko oczy. — Jutro, kto mnie zapewni, że on do jutra żyć będzie? Kto mnie zapewni, że Brygida potrafi go pielęgnować i nie pozwoli ujść z tej szlachetnej piersi z ostatnią kroplą krwi i jego duszy? Ja stąd nie wyjdę, nie, chyba razem z jego duszą.

Ten gwałtowny poryw młodzieńczego uniesienia zdradził przed starszą siostrą tajemnicę Jadwigi.

— Ona go kocha — wyszeptała pocichu.

Tymczasem drzwi komnaty pocichu się otworzyły i wszedł Mały na palcach, a jakby zdawał raport dowódzcy, odezwał się:

— Rycerz węgierski przysłał jakąś cygankę, która powiada, że umie leczyć rany. Stoi za drzwiami, czy mam ją wpuścić?

— Niech wejdzie — odrzekła Anna — zawsze ona coś więcej pomódz potrafi niż my.

Do komnaty weszła kobieta nie stara jeszcze, ubrana w spodnicę czerwoną, z czerwoną chustką na głowie, na szyi miała zawieszony sznur monet złotych i srebrnych. Nie zdawała się wcale zmieszana widokiem dostojnych osób, znajdujących się w komnacie. Ciekawe spojrzenie rzuciła naokoło i cicho, kocim chodem zbliżyła się do łoża rycerza.

— Kto ty jesteś? — zapytał się Jaśko, zatrzymując ją za rękę — kto cię tu przysłał?

— Jestem ta, która niesie życie ranionemu, jeżeli ono jeszcze trzyma się najsłabszą niteczką ciała, a przysłał mnie tu hrabia Moszczanyi, który zna mnie oddawna. — I nie zważając na nikogo, nachyliła się nad twarzą rannego, podniosła palcem powieki i wpatrywała się badawczo w źrenice na pozór martwe. Powieki

napowrót lekko zesunęły się, a lekarka, wskazując na uchodzącą krew pomimo bandaża, zawołała:

— Czyż nie widzicie, że życie z każdą kroplą krwi z tego ciała uchodzi?

W jednej chwili odrzuciła bezpożyteczny kompres i wydobywszy z kieszeni spodnicy liść aloesu świeżo zerwany, nacisnęła go w palcach nad raną kasztelana. Lepki, żółtawy sok zaczął obficie kapać na ranę i w miarę, jak się rozchodził, jakby gumową powłoką lub pielinką jajka, zasklepiał wargi jamy. Wkrótce krew płynąć przestała, gdyż płyn aloesowy utworzył powłokę tak mocną, że ani jedna kropla krwi wydobyć się już przez nią nie mogła.

Teraz dopiero lekarka zmaczaną chustkę w świeżej wodzie przyłożyła na ranę, chłodząc nią rozpalone ciało; rycerz nieruchomy leżał, zaledwie słabo oddychając.

Cyganka położyła palec na ustach, nakazując tym znakiem zupełną cichość; następnie skinęła, żeby wszyscy opuścili komnatę; ale Jadzia wstrząsnęła głową i nie posłuchała tego wezwania. Usiadła na drewnianej ławie koło łóżka i na jeden krok nie odstąpiła rannego.

Anna znając cichy, ale stanowczy charakter siostry, czując, że wszelkie jej wezwania w tej chwili na nicby się nie zdały, wyszła na palcach w towarzystwie Jaśka, rozkazawszy Brygidzie pozostać przy królewnie.

W tej chwili, strażnik stojący na baszcie, dał znak, że ktoś przybył do bramy zamkowej i pragnie, żeby go wpuszczono. Jaśko śpiesznie udał się do furty i przez małe okienko, wykute w murze, zobaczył, że Micoli z jednym tylko luzakiem stoi, oczekując, ażeby mu otworzono.

Uczyniono zadość temu żądaniu i węgierski rycerz z giermkiem tylko, bez obawy wjechał do Vilmos.

— Pragnąłem się sam przekonać o zdrowiu szlachetnego kasztelana. Czy pozwolicie mi go zobaczyć ry-

cerzu i wynurzyć swój żal z wypadku, który stał się pomimo mojej woli.

— Chodźcie panie... Zaprowadzę was do komnaty rannego.

— Jeżeli żyje jeszcze, a mam nadzieję, że tak jest, to będzie ocalony. Rana w tem miejscu, skoro nie dosięgła serca, nie jest śmiertelna...

— Mamy nadzieję w Bogu, że tak się stanie.

Kiedy drzwi się otworzyły i obydwaj rycerze pocichu weszli do komnaty, królewna Jadwiga stała właśnie u wezgłowia rannego nachylona nad nim i gałązką kwitnącego jaśminu spędzała muchy z jego czoła. Obydwaj rycerze stanęli cicho u progu, przypatrując się temu lubemu widokowi anioła, osładzającego boleści ziemskie.

Jadwigi uwaga tak była pochłonięta, że nie słyszała ich wejścia, i sądząc się zupełnie samą, nachyliła się i złożyła pocałunek na czole bezprzytomnego kasztelana.

Czyn ten bezwiedny silnie podziałał na obu rycerzy; Micoli lekko wziął za rękę Jaśka i dał mu znak, żeby opuścili komnatę niespostrzeżenie. Wyszli.

— Sądzę, że kanclerz Zawisza nie bardzo byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, z jaką starannością królewna Jadwiga pielęgnuje rannego — rzekł Micoli.

— Wierzcie mi szlachetny panie, że niema tu nic ziemskiego w tem uczuciu, to jest pocałunek anioła, który, widząc cierpienia, spływa na ziemię, ażeby je osłodzić.

Micoli nic nie odpowiedział, ale usta jego przebiegł lekki uśmiech niedowierzania.

— Potrzebuję z wami trochę pomówić szlachetny panie — rzekł Węgier.

— Zechcijcie więc zajść do mojej komnaty, rycerzu.

Rycerz skłonił głowę i udał się za Jaśkiem.

Wkrótce zasiedli obydwaj na ławie, przed stołem, na którym już stał gąsior wina, a pachołek, nalawszy puhary, oddalił się; wówczas odezwał się Micoli:

— Przybyłem tu, ażeby dopełnić trzech rycerskich obowiązków. Chciałem najpierwej zobaczyć kasztelana i oświadczyć mu swój żal z powodu nieszczęśliwego wypadku, który stał się pomimo mej woli: rzuciłem mu topór do rycerskiej zamiany, sądziłem, że go pochwyci.

— Pierwszy raz w życiu dotykał topora.

— Tak postąpić może tylko prawy rycerz, rycerz bez skazy — powiedział poważnie Węgier. — Oświadczcie mu więc szlachetny panie mój żal i szacunek, jak tylko przyjdzie do przytomności i powiedzcie, że Micoli jest zawsze na jego rozkazy.

— Wypełnię to niezawodnie, obyśmy się tylko nie łudzili przedwcześnie nadzieją dobrego końca!

— Kim się opiekuje anioł z nieba, jak powiedzieliście rycerzu, ten nie umiera.

— Oby słowa wasze się spełniły.

— Chciałem także pożegnać królewny i prosić je o przebaczenie, że jako żołnierz, wypełniając rozkaz mego króla, mogłem im wyrządzić przykrość.

— Więc was przedstawię królewnie Annie, która zapewne z ochotą was przyjmie.

— Nie będę korzystał szlachetny panie z waszej uprzejmości, wiem, że widok mój nie będzie przyjemny królewnie Annie. Oświadczcie tylko obydwom moje usługi i proście o przebaczenie przymusowego zatrzymania ich w podróży.

— Zrobię to bezzawodnie.

— Wiem, jak dwuznaczne jest tutaj moje położenie; z jednej strony serce moje staje po stronie pokrzywdzonych sierot, z drugiej zaś, jako żołnierz, ślepo musiałem wypełnić dany mi rozkaz. Wolę więc nie widzieć się z niemi, bo gdyby mnie zapytały o swoje losy, kła-

maćbym nie mógł, wypowiedzenie zaś prawdy nie do mnie należy, za co z serca dziękuję Bogu.

— Czyż ten podły wyrok, odsądzający je od dobrego imienia nawet, jest nieodwołalny?

— Fakt to spełniony, i dopóki sprawa o sukcesyę tronu nie zostanie zadecydowaną stanowczo, nieodwołalny.

— Więc wypełnienie, a raczej ogłoszenie sierotom królewskim tego niecnego aktu, ma odbyć się tutaj, w tym zamku?

— Tak niezawodnie — poselstwo z wyrokiem już wyjechało z Budzynia i za kilkanaście dni przybędzie do Vilmos, a wy je przyjąć musicie, bo ukrywanie prawdy na nic się nie przyda.

— A gdybym tych złowrogich puszczyków nie wpuścił do zamku i tym sposobem uchronił królewny od bolesnej rany?

— Tem większą obudziłoby to do nich nienawiść i ustaliłoby przekonanie, że się siłą myślą opierać wyrokowi duchownych, potwierdzonemu przez króla, a wówczas to zdobycie Vilmos rozdęliby do rozmiarów buntu i spożytkowali na swój użytek; może nawet głowy królewien okupiłyby ten czyn nierozważny.

Jaśko smutnie spuścił głowę i odrzekł:

— Chciałem im oszczędzić tej obelgi, ale widzę, że kielich goryczy do dna spełnić muszą. Niech się więc stanie wola Boża, kiedy zjawi się to poselstwo zawiodę je przed ich oblicze.

— Najlepiej zrobicie tak postępując, lecz zdaje mi się, że może nie najgorzej byłoby uprzedzić królewny o tym gromie, który ma w nie uderzyć.

— Nie wiem, czy potrafię zdobyć się na to. Rzucić obelgi w oczy kobietom, sierotom... nie; na to nie miałbym siły... niech sobie te czarne ptaki same krakają złowrogo.

Postąpcie jak uważacie za właściwe... ale jest i trzeci powód mojego tutaj przybycia. Oto rozkazano mi królewny odprowadzić do Vilmos, oddać je pod straż (bo na cóż mam używać obłudnego wyrazu »opieka«) hrabiego Moszczanyi i ograniczyć ich orszak osobisty do dziesięciu ludzi. Tymczasem cały ten program upadł. Wprawdzie królewny znajdują się w Vilmos, ale Moszczanyi i załoga węgierska z niego wyrzuceni; orszak królewien składa się obecnie nie z dziesięciu giermków, ale z jakiej sotni żołnierzy, zakutych w żelazo, a pod wodzą tak doświadczonego męża, stanowiących poważną załogę. Zastałem zamek zdobyty bez krwi rozlewu, teraz wypadałoby może uderzyć na niego i odebrać.

— Mury są mocne, załoga nieustraszona, zapasy żywności wielkie... nie udałoby się wam to bez straty bardzo długiego czasu i formalnego oblężenia.

— Na wszystko są sposoby, szlachetny panie, czy jesteście tak pewni, że żaden podstęp nie udałby się tu? Ale bądźcie spokojni; ja spełniłem swoje. Kazano mi królewny odprowadzić do Vilmos, odprowadziłem je; nie moja wina, że hrabia nie umiał bronić zamku. Zastałem go zdobytym przez wasz oddział, a nie miałem polecenia zdobywania go, dlatego więc atakować was nie będę i oddalam się z moimi ludźmi do Budzynia, a co tam postanowią, zapewne wkrótce się dowiecie.

To mówiąc, Micoli powstał, wysączył ostatni puhar stojący na stole i podając Jaśkowi rękę na pożegnanie, rzekł:

— Bywajcie zdrowi rycerzu. Węgier i Polak nigdy do siebie nienawiści czuć nie będą, losy nas złączyły pod jednym panującym, losy może kiedyś rozdzielą te dwa narody, ale gdy jeden z nich znajdzie się kiedykolwiek w potrzebie, drugi pośpieszy mu na pomoc.

Królewna Jadwiga siedziała zamyślona przy łożu rannego. Mrok już zapadał, a ona przez dzień cały nie

przyjęła żadnego pokarmu, bezustannie wpatrując się w Römera i słuchając jego oddechu. Parę razy chory poruszył się gwałtownie, raz jeden otworzył nawet oczy, ale wzrok jego prześlizgnął się tylko po twarzy królewny, nie poznając jej. Na bladej twarzy kasztelana wypiekły się dwie plamy czerwone, a usta spiekłe i puls przyśpieszony wskazywały gorączkę. Jadzia niespokojnie obróciła się do siedzącej w kącie cyganki wzrokiem pytając.

Cyganka zbliżyła się na palcach do śpiącego, lekko położyła swoją rękę na jego czole i przez chwilę rachowała tętna uderzające w skroniach; chory poruszał ustami, jakby chciał coś przemówić.

— Podajcie mu napoju — wyszeptała z cicha do ucha królewny.

— Czy wody?

— Nie, podajcie mu najpierwej wina.

Królewna zawahała się na chwilę.

— Ależ to ogień dodawać do ognia — rzekła nieśmiało.

— A jednak ten ogień ochłodzi krew jego; nie wahajcie się królewno, jemu nie sądzono jeszcze umierać.

Na te słowa gorący rumieniec zapłonął na twarzy dziewicy; podniosła oczy do nieba i łza jedna, czysta jak kryształ, zwolna wypłynęła z oka i zatrzymała się w pół drogi. Wypełniła puhar do połowy i uniósłszy jedną ręką głowę rycerza, drugą przytknęła mu do ust płyn odżywczy; zaledwie kilkanaście kropel przecisnęło się przez spieczone wargi, ale gdy te dostały się do gardła, usta pomału się rozchyliły i ranny chciwie połykał wino.

Jadwiga jak najostrożniej złożyła głowę rycerza na skórzanej poduszce.

Cyganka przypatrywała się z uwagą tej Siostrze Miłosierdzia i po chwili podała jej kilkanaście liści wi-

nogronowych, gestem wskazując, żeby obłożyła niemi pałającą głowę rycerza.

Po dokonaniu tego, wzięła ją z lekka za rękę i na palcach wyprowadziła do drugiego pokoju.

— Teraz nastąpi sen, moja złota królewno, sen, który mu więcej pomoże, niż wszelkie lekarstwa; bądźcie spokojni o niego, rana jest straszna i gdyby jeszcze na grubość pomarańczowej skórki ostrze topora było poszło głębiej, dosięgłoby serca, które dla was bije, i w jednej chwili nastąpiłaby rozłąka duszy z ciałem. Ale Bóg zachował wam tego rycerza na wasze usługi.

Królewna słuchała z największą uwagą cyganki, nie przerywając jej, a kiedy ta jeszcze raz najuroczyściej zapewniła ją, że życiu rycerza nie grozi niebezpieczeństwo, odpięła z szyi swojej sznur pereł i nic nie mówiąc, ozdobiła nim szyję lekarki. Drzwi pocichu się otworzyły i weszła Anna.

Spojrzawszy na rozjaśnione lice siostry, poznała, że choroba bierze dobry kierunek, bo w oczach Jadzi widziała całe morze nadziei.

— Idź spocząć i posilić się, ja cię zastąpię.

— A nie opuścisz go ani na chwilę Anusiu, w czasie mojej nieobecności?

— Bądź spokojna, będę czuwać nad nim, jak czuwałabym nad własnym bratem, gdybyśmy go miały.

— A świeżemi liśćmi często ochładzaj mu głowę.

— Nie zaniedbam tego.

— A tym napojem zwilżaj mu usta.

— Bądź spokojna.

Jadzia rzuciła się na szyję siostry i cicho, ale namiętnie ucałowała ją.

— No dobrze, dobrze! ty dzieciaku! Idź już — mówiła Anna, z lekka ją popychając ku drzwiom.

Jadzia wyszła, a Anna usiadła na ławie i zapytała cygankę:

— Co myślisz o tem, czy życie utrzyma się w tem ciele?

— Ono przykute jest dziś do drugiego życia, do życia twojej siostry i tak silnie zszczepione z niem ogniwami nierozerwalnemi, że nie wysunie się z ziemi bez niej.

Anna groźnie spojrzała na mówiącą.

— Więc i ta kobieta odkryła już tajemnicę Jadzi! Co z tego wypadnie? — myślała. — Nic dobrego, zbyt wielki przedział ich dzieli, żeby się mogli połączyć. Nieszczęśliwe dziecko.

Jak przepowiedziała doktorka, sen nastąpił silny, orzeźwiający, oddech stawał się coraz swobodniejszy... noc zapadła.

Rozdział X.

W komnatach królowej Elżbiety.

W Budzyniu, w jednej z okazałych komnat królewskiego zamku, na białej z kararyjskiego marmuru posadzce, na samym środku, stał okrągły stół z bronzowemi pozłacanemi nogami, którego blat stanowił różowy marmur wymozajkowany w przepyszny, ogromnych rozmiarów bukiet kwiatów o barwach tak żywych i naturalnych, że przez złudzenie chciałoby się pochwycić go i unieść. Na stole tym rozstawiono różnego rodzaju puszki złote i srebrne, niektóre nabijane drogiemi kamieniami, zawierające w sobie przerozmaitego rodzaju proszki i olejki z silnemi zapachami; obok błyszczały kryształowe, rznięte flaszki ze szkła weneckiego, szczelnie zakorkowane, napełnione cieczami kolorowemi, przy nich znajdowały się talerzyki z chińskiej porcelany, leżały szczotki, grzebienie, gąbki, szczypczyki, nożyki i różne narzędzia, których tajemniczego przeznaczenia napróżno siliłby się dojść dzisiaj archeolog, gdyby mu przypadkiem wpadły w ręce.

Ściany komnaty wykładane blado-różowym marmurem, mozajkowane były scenami z mitologii.

Na samym środku sufitu, zaokrąglonego w kopułę, zawieszony był ogromny srebrny orzeł, trzymający w dziobie złote kolce, do którego przytwierdzono żyrandol

o dziewięciu gałęziach, rozchodzących się na wszystkie strony, a zakończonych białemi kielichami lilii. Z każdej takiej gałęzi rozwijało się po dziesięć kwiatów, a w każdym z nich tkwiła umieszczona świeca woskowa.

W tej chwili właśnie dwie służebne odstawiły małą, składaną drabinkę, która im służyła do zapalania wszystkich dziewięćdziesięciu świateł; komnata zajaśniała blaskiem słonecznym.

Na czarnej, marmurowej konsoli, wykładanej złotem, stał olbrzymi zegar ze słoniowej kości w kształcie zamku, arcydzieło włoskiego mistrza.

Był to wynalazek świeżo dokonany w Wenecyi, nie upowszechniony jeszcze w Europie, kosztowny tak, że zaledwie panujący mogli sobie pozwalać na podobny zbytek; a ten, który widzimy w Budzyniu, był przysłany w podarunku królowi Robertowi, ś. p. mężowi Elżbiety, przez Jego świątobliwość Urbana V papieża.

W tej chwili właśnie zegar przerwał swoje monotonne cykanie. Drzwiczki, stanowiące wchód na galeryę wspaniałego zamku ze złotą balustradą, otworzyły się z trzaskiem i za bramę wyjechał najpierwej trębacz z przyłożoną do ust trąbką, której dźwięki rozlegały się po komnacie, za nim postępowali łucznicy w srebrnych zbrojach, a za nimi na złotym tronie, pod kosztownym baldachimem, niesiono niewiastę w drogich szatach, z koroną na głowie.

Trąbka ucichła i dał się słyszeć brzęk janczarskiej muzyki, wysunął się orszak królowej z muzykantami na czele, a za nim postępowały konie okryte czaprakami, psy, małpy i naostatku wielbłąd, dźwigający na sobie klatkę, po której furwały śpiewające misterne ptaszki, a wśród całego tego pochodu słychać było uderzenia metalowe dzwonu, oznaczającego godzinę czasu. Zegar wybił dwadzieścia uderzeń, była to więc dwudziesta godzina, odpowiadająca obecnie ósmej wieczorem.

W tej chwili drzwi komnaty na rozcież się otwarły i poprzedzona czterema służebnemi weszła kobieta. Była okazałego wzrostu, z majestatycznie podniesioną głową, ale niestety... na twarzy jej nie jaśniała już młodość. Była to Elżbieta, wdowa po Robercie, siostra Kazimierza, matka króla Ludwika; w dniu, w którym ją mamy sposobność poznać, licząca lat 80.

Tak, nie żadna to omyłka... lat ośmdziesiąt!

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że ta starość uczyniła z niej ruinę, że to wątła, zgarbiona staruszka, podpierająca się na laseczce, lub ramieniu swojej służebnej.

Królowa weszła pewnym krokiem, dumnie spoglądając naokoło. Przez chwilę przysłuchiwała się muzyce, którą zegar improwizował, następnie postąpiła parę kroków i rozejrzała się po komnacie.

Przy blasku dziewięćdziesięciu świec jarzących, możemy się teraz dokładnie jej przypatrzeć. Ten, ktoby nie znał daty jej urodzenia, mógłby jej liczyć najwyżej lat czterdzieści kilka. Posiadała ona tajemnicę młodości, nie tę tajemnicę tuzinkową, z której dzisiejsze elegantki korzystają dla odświeżania swoich wdzięków za pomocą peruk, waty i malowidła, ale tę wielką tajemnicę, wykradzioną dalekiemu Wschodowi, tej tajemniczej krainie mądrości.

Posiadała ją Fryne, która w późnej starości nie straciła nic ze swoich wdzięków; Archäanasse, która mając lat 84, rozkochała w sobie Platona; Chloe, która żyła dosyć długo, aby po siedmiu mężach, zacząć używać świata wśród swoich wielbicieli.

Tajemnicę tych kobiet posiadała Elżbieta.

Kiedy służebna wyjęła złote szpilki podtrzymujące jej warkocze, bujne, czarne włosy posypały się kaskadą i okryły ją całą, na twarzy zaledwie dostrzedz można było parę zmarszczek, a białe, lśniące zęby jak u tygrysicy, mogły wzbudzić zazdrość.

Przygotowana srebrna wanna, nasycona tajemniczemi ziołami, liczne puszki z olejkami, słoiki z maściami, miały podrestaurować gmach, który się nachylał ku upadkowi.

W dwóch rogach komnaty, stały dwie amfory, wydające z siebie nieznane wonie...

Tu zapada zasłona i dalej już nie wolno nam, ani jednem słowem zdradzić ukrytych tajemnic.

Skoro zegar znów uderzył godzinę 21, drzwi gotowalni otworzyły się i z nich wyszła Elżbieta, ale któżby poznał tę czterdziestokilkuletnią damę, która przed godziną wchodziła do tego tajemniczego przybytku? Cud jakiś przetworzył ją zupełnie. W komnacie tej zrzuciła z siebie starość jak wąż skórę i teraz wygląda jak trzydziestoletnia, młoda i piękna kobieta. Oko jej świeci nieudanym blaskiem, rumieńce naturalne wykwitnęły na twarzy, wiśniowe wargi oznaczają przepyszny owal ust, a chód gibki, elastyczny nie pokazuje żadnej ociężałości.

Swobodnie, lekko, z uśmiechem na twarzy, przeszła przez szereg komnat i nareszcie znalazła się w niewielkiej rotundzie bez okien, oświetlonej tylko blaskiem światła, przedzierającego się przez kopułę szklaną. Komnata owa stanowiła jakby tajemniczą świątynię nieznanego bóstwa. Cała posadzka, zasłana miękkim, grubym kobiercem zielonym, imitującym murawę, poprzerastaną kwiatkami polnemi. Na dębowych ścianach wiły się grube rzeźby drzew i roślin zamorskich, a na ziemi, wokoło ścian, rozmieszczone były nizkie sofy, jedwabnemi pokryte poduszkami, przy nich stały małe marmurowe stoliczki, na których w miniaturowych porcelanowych chińskich naczyniach rozmieszczone były sorbety i konfitury z różnych cudzoziemskich owoców sporządzone.

Na środku, wznosiła się w postaci obelisku, biała marmurowa fontanna, wyrzucająca z siebie strumienie

wody do basenu ze srebrnej grubej blachy, ozdobionego rzeźbami, po którym pluskały się drobne rybki, a bujna zieleń kwiatów wodnych okrywała brzegi.

W komnacie tej znajdował się tylko jeden człowiek... mężczyzna pięknego wzrostu w sile wieku. Ubiór jego cały z aksamitów i jedwabiu, błyszczał haftami ze złota i drogich kamieni, u pasa miał zawieszony mały wenecki sztylet, oprawny w złoto, a wysadzany rubinami; na piersi spadał mu bogaty, gruby, złoty łańcuch, ozdoba rycerska owych czasów. Rysy mężczyzny były piękne, ale niepomierna duma, odbijająca się w każdym rzucie oka, odpychała od niego; włosy w obfitych lokach spadały na ramiona i nadawały twarzy wyraz męski i stanowczy.

W chwili kiedy królowa wchodziła do owej rotundy, człowiek ten spoczywał swobodnie na jednej z sof, zasłanej poduszkami, i zdawał się być głęboko zamyślony.

Elżbieta uśmiechnięta zbliżyła się doń na palcach, ale kiedy szelest jej sukni odbił się o ucho mężczyzny, śpiesznie podniósł się z sofy i ruchem pełnym wdzięku złożył głęboki ukłon.

Kobieta z zachwytem spoglądała na pięknego mężczyznę, nareszcie wyciągnęła do niego rękę, dając mu ją do ucałowania. Ręka była mała i wypieszczona, ale niestety, jeden tylko palec duży trzymał się na niej, cztery palce mniejsze były zupełnie odrąbane, pozostały tylko po nich cztery kłyki, które sterczały jak sęki po obciętych gałęziach.

Elżbieta usiadła na sofie, wskazując stołek gościowi.

Na twarzy mężczyzny malował się prawdziwy czy udany zachwyt. Ucałowawszy jej rękę, teraz wzrok swój pełen czułości utopił w jej pięknej twarzy i głosem słodkim, melodyjnym wyszeptał:

— Widząc cię w tym majestacie pani, myślę, że bogini piękności zstąpiła z Olimpu na ziemię i sądzę, że w tej chwili Wenus z zazdrości chmurzy swój wzrok.

— Czy nie obawiasz się, panie kanclerzu, obrazić Wenus, porównywując ją z ziemianką? — zapytała śmiejąc się.

— Bo widzę ziemiankę, która zaćmiewa swoją pięknością wszystkie boginie Olimpu.

— Więc na prawdę nie wyglądam jeszcze tak źle?

— Co za pytanie, moja królowo? czyliż nie czytasz w oczach wszystkich tego uwielbienia, które tylko doskonałość wzbudzić może?

— A czy to dlatego starasz się w Awinjonie u Grzegorza XI o uwolnienie się od godności duchownej, żeby módz swobodnie wypowiadać swoje wrażenia?

Na chwilę twarz Zawiszy, gdyż to był on, pokryła się lekką chmurą.

— Skąd ona może wiedzieć o tem? — zapytywał sam siebie. — Rokowania były prowadzone w największym sekrecie, jeden tylko stary ojciec Dobiesław wiedział o tym śmiałym jego planie, a ten nie zdradziłby jego tajemnicy. Widząc jednak, że plany jego niedadzą się już ukryć, odpowiedział:

— Czy moja królowa miałaby mi to za złe, gdybym oblokłszy się bez powołania w sutannę, usiłował zamienić ją teraz na zbroję rycerza?

— Nie, ale w jakim celu tego pragniesz?

— Już odpowiedziałem na to pytanie, mówiąc: że więcej się czuję rycerzem, niż księdzem!

— I zapewne rycerz wkrótceby się ożenił?

— Tak, jeżeliby gwiazda na mojem niebie, do której się modlę, raczyła się zniżyć aż do mnie.

— Ależ ty jesteś niepoprawnym marzycielem, mój przyjacielu; gwiazda, na którąś obrócił oczy, może oświecać twoją drogę swoim blaskiem, ale nigdy nie

zejdzie z widnokręgu, ona ma inne przeznaczenie i temu ulegać musi.

Niedostrzegalny uśmiech przebiegł po licu Zawiszy. Ta kobieta sądziła się jedynym celem jego pragnień. Wszelako na twarzy jego niepodobna było doczytać się prawdziwej myśli. Ujął z uszanowaniem rękę królowej, złożył na niej pocałunek i mówił:

— Niestety, pani! jestem szaleńcem, jak to słusznie przed chwilą powiedziałaś. Pragnienia moje sięgają tak wysoko, że tylko nadludzka dobroć twoja może mi je przebaczyć.

To mówiąc, Zawisza spuścił smutnie głowę na piersi, i zaledwie dosłyszalnym szeptem dokończył:

— Ta sutanna pali mnie jak suknia Dejaniry, dopomóż mi pani zrzucić ją... Lepiej być dobrym rycerzem niż złym duchownym.

— Dobrze — odrzekła zamyślona królowa — dołożę starań, użyję mego wpływu na Ludwika i postaram się, że wyszle poselstwo do Awinjonu.

— Dzięki ci, pani, za twą niezwykłą dobroć! stokroć dzięki.

— A więc na teraz dajmy pokój tej materyi, a pomówmy o sprawach państwa. Czy wyrok córkom Kazimierza doręczony? Biedne dziewczyny, żal mi ich szczerze.

— Konieczność państwa wymaga tej ofiary; w tej chwili córki Kazimierza znajdują się w węgierskim zamku Vilmos i jestem pewny, że w tych dniach doręczono im już wyrok, który powstrzyma Anusię od szalonych nadziei zasiadania kiedykolwiek na tronie Piastów.

— Cóż dalej z niemi zrobimy?

— Annę wydamy za hrabiego Wilhelma Cylejskiego, pozyskamy w nim dzielnego stronnika, a człowiek to tępego umysłu, oddany tylko rozkoszom cielesnym; nigdy on nie sięgnie po koronę dla swojej żony.

— Ale jeżeli ta dumna kobieta nim owładnie i pokieruje nim?

— Możemy o to być spokojni. Wilhelm nigdy nie pozyska żadnych stronników w Polsce i pierwej zapije się, nim mu przyjdzie ochota wsiąść na koń i uganiać się za berłem, jak to czynił twój ojciec królowo. Anna, zostawszy hrabiną Cylejską, utraci wszelkie sympatye w kraju.

— A jeżeli się ona będzie stanowczo opierać temu małżeństwu?

— Złamiemy jej upór, lub ją złamiemy. To postanowione.

— Biedna Anusia... Ale zostaje jeszcze Jadzia...

— To dziecko jeszcze — odrzekł chytrze Zawisza.

— Wiecznie niem nie będzie. Czy i względem niej już coś postanowiono?

Zawisza zachłysnął się w odpowiedzi, ale nareszcie rzekł:

— Jeszcze nie. Czas najlepszy doradzca, on rozstrzygnie o jej losie.

— Sądzę, że jej ciche i łagodne usposobienie — rzekła Elżbieta — wymaga spokojnej egzystencyi. Dla niej klasztór będzie najwłaściwszem miejscem schronienia; dlatego więc pisałam do przełożonej klasztoru w Krakowie, ażeby ją przyjęła do nowicyatu i jak tylko będziemy mogli, najprędzej odeszlemy ją tam.

Lekki odcień niezadowolenia przebiegł po twarzy biskupa. Celem jego planów nie było zupełnie uczynić z Jadwigi mniszki, duma jego sięgała wyżej, niż być kanclerzem państwa. On marzył i w tym kierunku działał, że zrzuciwszy sutannę ożeni się z córką królewską i będzie mógł następnie pokusić się o koronę. Odrzekł więc:

— Pani, nie wiemy jeszcze czy Jadwiga ma powołanie do stanu duchownego.

— Módlmy się więc za nią, żeby go nabrała...

— Codziennie czynić to będę, ale modlitwy nasze nie zawsze zostają wysłuchane.

— Bóg natchnie jej serce i pociągnie ku sobie, skoro przywdzieje sukienkę zakonną.

— Oby nie tak jak mnie — odrzekł Zawisza.

— Jakże są usposobieni panowie polscy, co do przekazania korony jednej z córek mego syna?

— Mamy potężne stronnictwo, które popierać będzie zamiary króla. Oprócz ojca mojego, mamy za sobą domy Toporów, Leliwitów, Łodziów, Grzymałów, Domarata, kasztelana poznańskiego i jego brata Dersława ze Swidy.

— Bardzo to dużo, ale co powie na to drobna szlachta na sejmie w Budzyniu?

— Na nią mamy jako bicz poradlne, naznaczone po sześć groszy z łanu z dodatkiem korca owsa i żyta, to ją przeraża. Jeżeli więc król w danej chwili zmniejszy ten podatek na dwa grosze i opuści zboże, to drobna szlachta stanie po naszej stronie.

— A jeśli się nie podda?

— Gdy się zjadą na sejm, każemy bramy miasta pozamykać, puścimy pomiędzy nich straszaka i na wszystko zresztą przystaną.

— Ale czy sejm zwołany za granicą będzie prawny?

— Będą przeciwko temu huczki, nadto mamy jeszcze i inne trudności. Istnieje starosłowiański zwyczaj nie przypuszczania kobiet do tronu, znajdą się tacy, co się zechcą na niem opierać.

— Cóż z niemi zrobimy?

— Niechno tylko przyjadą do Węgier, a złamiemy opór i zmusimy do posłuszeństwa.

— Słuszne to, bo lud wtenczas tylko jest prawdziwie szczęśliwy, kiedy pokornie słucha swoich władców — rzekła z przekonaniem Elżbieta.

— Nagniemy go do tego groźbą i zachęcimy obietnicami przywilejów i złota.

— Czy czasem nie wyniknie z tego wojna domowa?

— Nie, szlachta wykrzyczy się, wyhałasuje, duchowieństwo będzie mruczeć, ale nakoniec wszyscy się zgodzą i sprawę tę możemy uważać za załatwioną. Jest wszakże inna, która jego królewską mość więcej niepokoi.

— Rozumiem cię, mój przyjacielu, idzie o odstąpienie Węgrom ziem ruskich, które Kazimierz niepolitycznie przyłączył do Polski; a przecież one słusznie należą się Węgrom, bo jeszcze syn Beli, Koloman odziedziczył je przez sukcesyę.

— Tak, ale teraz są własnością Polski i trudna to będzie sprawa wymódz na panach odstąpienie ich dobrowolne.

— Król Ludwik chce tylko zrobić zamianę. Prawdę powiedziawszy, to nie wiem nawet, czy bardzo dla siebie korzystną, bo za te puste prawie ziemie, wystawione na ciągłe napady rozmaitej dziczy, daje Polsce starostwo Spiskie, bogate, zagospodarowane i przyległe województwu krakowskiemu, czyż to jeszcze za mało?

— Podzielam zupełnie zdanie twoje, »moja królowo« i dlatego też w tym kierunku działać będziemy dalej. Użyjemy przedewszystkiem łagodnych środków, a gdyby te nie skutkowały, każemy załogom węgierskim zająć zamki Czerwono-Ruskie i zapieczętujemy wszystko.

— Więc koniec na dziś rozmowom politycznym, które mnie już śmiertelnie umęczyły. Godzina zabaw nadeszła. Słyszę muzykę w salach balowych... niecierpliwie tam na mnie czekają... tam spieszmy.

Zawisza skłonił się i ucałował podaną sobie rękę.

Królowa poruszyła dzwonek, a na ten znak dwanaście biało ubranych panien służebnych stanęło na progu, gotowych jej towarzyszyć.

Jedna z dziewic trzymała na aksamitnej purpurowej poduszce złoty, misternej roboty dyadem, błyszczący blaskiem brylantów. Zawisza postąpił parę kroków, odebrał go od służebnej, królowa zaś z wdziękiem zniżywszy głowę, pozwoliła mu tą ozdobą upiększyć się.

— Ukoronowałeś mnie biskupie — rzekła, uśmiechając się. — Pójdźmy więc.

Za Elżbietą o trzy kroki szedł Zawisza, a dalej kroczył fraucymer potężnej pani, złożony z kobiet i paziów strojnych.

W każdym salonie, który przebywała królowa, stało przy drzwiach po dwóch bogato ubranych lokajów, podnosząc kotary. Salony zdawały się nie mieć końca. Nareszcie odsłonięto ostatnią purpurową oponę i królowa znalazła się w ogromnej sali, rzęsiście oświetlonej, napełnionej kwiatem szlachty węgierskiej i polskiej.

Przepych strojów, szczególniej magnatów węgierskich, raził oczy i oślepiał.

W dalszej perspektywie ciągnął się nieprzerwany szereg sal, natłoczonych lśniącymi od złota gośćmi.

W chwili, kiedy Elżbieta ukazała się na progu, jednocześnie odezwały się trąby, bębny, waltornie, skrzypce i cała ta hałaśliwa orkiestra, powitała głośną wrzawą królowę.

Wszystkie czoła pochyliły się ku ziemi i jeden okrzyk na cześć królowej, wydany ze wszystkich piersi, rozdarł powietrze.

Elżbieta lekko skinęła głową na powitanie i dała znak ręką, żeby się uciszono.

W jednej chwili cisza zaległa te obszerne komnaty, goście rozstąpili się na dwie strony, formując dwa szpalery, jakby dwa rzędy pysznych, jaskrawymi kolorami błyszczących kwiatów. Wszystko, co tylko przepych stworzyć może, o co bogactwo ośmieli się poku-

sić i co myśl artysty wymarzyć zdoła, tu było nagromadzone w rozkosznym nieładzie.

Oświetlone tysiącem świateł brylanty, ciskały smugi promieni, które łamały się, drgały, poruszały i tworzyły czarodziejski obraz, pieszczący oko i zdumiewający wyobraźnię.

Królowa z dumnie podniesioną głową postępowała wśród tego szpaleru, przemawiając po parę słów łaskawych do bliżej stojących osób, każdy zaś, kogo zaszczyciła swoją rozmową, stawał się celem zazdrości innych. Któżby teraz, spojrzawszy na tę kobietę, tak swobodnie a majestatycznie postępującą, jaśniejącą krasą młodości, mógł uwierzyć, że to jest starość przebrana w szaty jutrzenki, wyłaniającej się dopiero z kolebki życia? Niezadługo miała ona wzbudzić większe jeszcze w przytomnych zadziwienie.

Zawisza postępował tuż za królową, baczny na każde jej słowo, na każde brzmienie jej głosu, na każdy gest.

Grupa Polaków, strojnych w narodowe ubiory, stała niedaleko od wejścia, nie ustępując swoim bogatym strojem Madziarom.

Ze ścisłego połączenia ich w jedną gromadę widoczne było, że ludzie ci wszyscy są jednych przekonań i że tworzą jedno stronnictwo. A grono to było poważne bardzo, złożone z ludzi potężnych, którzy sądzili, że losy krajów spoczywają w ich rękach.

Kiedy królowa zbliżyła się do tego świetnego towarzystwa, dojrzała w niem najpierwej potentatów duchownych, wszystkich świeżo mianowanych przez króla Ludwika dostojników.

Arcybiskup halicki Rzeszowski, oddawszy pokłon, przedstawił jej biskupa kamienieckiego Derszniaka i biskupa przemyskiego Filipa Konarskiego; wszyscy oni dostali te godności za sprzyjanie zamiarom króla. Elżbieta

wiedziała o tem, że ci już są kupieni, nie czuła więc potrzeby zadawać sobie trudu dla jednania ich. Lekkiem przeto tylko nachyleniem głowy odpowiedziawszy na ich ukłon, zatrzymała się w miejscu, gdzie stał wojewoda lubelski, Szczęsny Sieciech.

Ten »człowiek czarny«, jak go powszechnie nazywano z powodu jego śniadej cery i zawsze nachmurzonego oblicza, nawet tu, w tym przybytku rozkoszy, wspaniałości i zabawy, pomimo hucznej muzyki i tylu pięknych kobiet, pomimo, iż Elżbieta, zbliżyła się do niego z uśmiechem, nie rozchmurzył swojego oblicza. Złożył tylko głęboki pokłon i stał dumnie, czekając, czy królowa nie raczy do niego przemówić.

Nie zawiodły go oczekiwania.

— Czy waszmość, mości wojewodo lubelski, nie przyznacie mi, że piękne Węgierki, których tutaj tak doborowe okrąża nas grono, nie mają sobie nigdzie równych, że są ozdobą ziemi.

— Poważę się — odpowiedział Szczęsny, usiłując nadać twarzy swojej przyjemny wyraz — poważę się w tej materyi mieć inne zdanie, tem bardziej, że na poparcie mojego przekonania, widzę przed sobą córę lechickiej ziemi, przed której urodą gasną wszystkie gwiazdy, gdy się ukaże słońce.

Królowa wdzięcznie przyjęła ten piękny komplement, z uśmiechem wysłuchała wojewody i postępując dalej, wskazała mu miejsce obok siebie, dając znak, żeby jej towarzyszył.

Słaby uśmiech zadowolenia przemknął się po pochmurnem obliczu wojewody. Królowa ze Szczęsnym, postąpiwszy kilkanaście kroków, zmieniając nagle rozmowę, zapytała:

— Czy ziemie Ruskie są rzeczywiście tak piękne, jak powszechnie głoszą? wszak z tamtych stron ród wiedziecie, wojewodo?

— Niepodobieństwo wynaleźć nic, coby mówiło na ich niekorzyść.

— Chyba to, że są zanadto oddalone od Polski. Czy nie lepiej byłoby utworzyć z nich osobne królestwo, wojewodo, i powierzyć pieczę nad niemi człowiekowi, który zna ich potrzeby i umiałby ich w karbach posłuszeństwa utrzymać?

Na ponurej twarzy Szczęsnego odbił się wyraz nieposkromionej dumy; na pozór jednak obojętnie odrzekł:

— I gdzież jest człowiek godzien tego zaszczytu, kiedy nawet Władysław Opolski nie odpowiedni się okazał.

— Ja znam takiego — odpowiedziała Elżbieta. — któremu korona bardzo byłaby do twarzy, a wy wojewodo, jesteście niezawodnie wielkim jego przyjacielem.

— Ja, pani!

— Tak, wy wojewodo. Skromność tylko niepozwala wam go dopatrzeć; ale król i ja widzimy go i nie pozwolimy, żeby marnował swoje zdolności i cnoty na podrzędnem stanowisku wojewody lubelskiego.

— Pani! królowo!

— Cyt, kiedyindziej pomówimy o tem obszerniej, a teraz trzeba nam rozpocząć zabawę. Proszę was, miłościwy panie, powiedzcie wojewodzie bełzkiemu, że czekamy na niego, dla odtańczenia z nim drabanta.

Szczęsny, skłoniwszy się z twarzą rozjaśnioną, ale jeszcze więcej dumną, pośpieszył do Ksawerego Lasoty i oznajmił mu żądanie królowej.

Ten śledził z uwagą Elżbietę rozmawiającą ze Szczęsnym; wzrokiem swoim uprzedził jej spojrzenie i zanim wojewoda lubelski wyrzekł słowo, domyślił się łaski i natychmiast stanął przy boku królowej.

A trzeba przyznać, że swoją buńczuczną miną, swojem obcesowem wzięciem się nie raził, a przedstawiał typ pięknego mężczyzny.

Królowa podała mu rękę, którą przyklęknąwszy na jedno kolano, przyjął. Dano znak muzyce i wkrótce drabant, prowadzony przez królowę, zawirował po obszernej sali. Patrząc na ten przesuwający się wał złota, drogich kamieni, piór kosztownych, sądziłbyś, że to świetny wąż błyszczący swojemi łuskami przesuwa się po wspaniałej sali...

Królowa okazała się niezmęczoną, lekkość jej ruchów, szybkość obrotów, wprowadzały w podziw mężczyzn i wzbudzały zawiść w kobietach.

W czasie krótkiej przerwy pomiędzy tańcami, królowa spoczęła na wspaniałej sofie i pilno wodziła wzrokiem swoim po zgromadzeniu, jakby kogoś upatrywała. Zawisza dostrzegł ten wzrok, chociaż wówczas znajdował się dosyć daleko, i sądząc, że jego szuka Elżbieta, przecisnął się pomiędzy tłumem i stanął przed obliczem dostojnej monarchini.

Królowa mile się doń uśmiechnęła i swoim głosem metalicznym rzekła:

— Nie widzę kasztelana bieckiego, pragnęłabym, żeby mi towarzyszył do bufetu.

Zawisza nizko się skłonił i natychmiast znikł w tłumie, szukając Hieronima Szpisko.

Kasztelan biecki rozmawiał właśnie z Szafrańcem, gdy się zbliżył do niego *Vice-rex*.

— Wolą królowej jejmości jest, panie kasztelanie, żebyś zbliżył się do niej i poprowadził ją do bufetu, gdzie się uda za nią całe towarzystwo.

— *Apage satanas!* — zawołał kasztelan, zrywając się na równe nogi — wielki zaszczyt mnie spotyka, biegnę natychmiast.

I nie zważając na otaczające go tłumy, depcząc po nogach zarówno dam jak i mężczyzn, rozpychając łokciami zbite masy, utorował sobie drogę do miejsca, gdzie siedziała królowa.

— Tęskniłam za twojem towarzystwem, kasztelanie, bałamucisz mi się waszmość.

— *Apage satanas!* Miłościwa pani, żywy i umarły, zawsze będę na usługi waszej królewskiej mości.

— Dajże mi dowód tego teraz, podaj mi rękę i zaprowadź do bufetu.

Muzyka zagrała tryumfalny marsz, Elżbieta powstawszy, oparła się na ramieniu kasztelana i poważnym krokiem skierowała się do bufetów. Za nią postępowało kilkadziesiąt par gości.

Ogromne trzy komnaty przeznaczone były na bufety, liczna służba węgierska stała, czekając skinienia; bogate roztruchany i puhary złote błyszczały rozstawione na kilkunastu stołach, przy każdym stole stał podczaszy, mający do pomocy kilku hajduków. Potrawy rozstawione na złotych i srebrnych półmiskach formalnie uginały stoły pod swoim ciężarem.

Królowa zasiadła na pierwszem miejscu, rozkazawszy kasztelanowi bieckiemu usługiwać sobie. Wyróżnienie to było tak pochlebne, że Lasota z zawiścią niejaką spoglądał na swojego towarzysza, chociaż dotąd sam tylko miał zaszczyt tańczyć z królową.

Nalano puhary i pierwsze zdrowie wniosła królowa Elżbieta.

— Zdrowie najmiłościwszego naszego pana Ludwika, króla Węgier i Polski, niech nam panuje szczęśliwie setkę lat.

Zabrzęczały kielichy, rozległy się wtórujące głosy, a muzykanci uderzyli w bębny i trąby.

Zawisza, *Vice-rex*, teraz stanął przed królową z napełnionym winem puharem i przyklęknąwszy na jedno kolano, prosił o pozwolenie wypicia zdrowia jej królewskiej mości.

Elżbieta raczyła łaskawie pozwolić, ale gdy Zawisza, spełniwszy puhar, chciał go podać arcybiskupowi

halickiemu, skinęła nań nieznacznie i oczami wskazała na kasztelana Szpisko.

Zrozumiał ten gest dyplomatyczny Zawisza, wiedział ile duma magnata zostanie przez to wyróżnienie podniesiona... obracając się więc doń, przemówił:

— Jaśnie wielmożny kasztelanie biecki, z woli najjaśniejszej królowej, składam ten puhar w twoje ręce i mam nadzieję, że go równie ochoczo spełnisz, jak ja to uczyniłem.

Kasztelan uszczęśliwiony przyjął puhar.

— *Apage satanas!* gdyby to nie był nektar z winnej jagody, ale nawet cykuta Sokratesa, spełniłbym go ochoczo.

— Ten także już kupiony — pomyślał Zawisza, nieznacznie się uśmiechając.

Puhar przechodził z rąk do rąk, aż na znak Elżbiety muzykanci zagrali znowu marsza i towarzystwo udało się za królową na dalsze tańce; z mężczyzn jednak nie mało pozostało przy bufetach, a pomiędzy nimi Szpisko, zaklinając się ciągle, że nie ma na świecie lepszej, piękniejszej i szlachetniejszej królowej, nad Elżbietę.

— *Apage satanas!* porąbię każdego, kto się ośmieli zaprzeczyć.

Nie potrzebował jednak czynem udowadniać słów swoich, wszyscy dworacy przyznawali mu słuszność i widząc, jak był dzisiejszego wieczora wyróżniony, pochlebiali mu na wyścigi.

Ludwik nie był obecny zabawie wyprawianej przez matkę.

Monarcha ten, jeden z najzdolniejszych mężów swojego wieku, pozwalał jej rozporządzać zupełnie sprawami Polski; tysiące nadużyć, jakich się dopuszczali panowie pod jej zarządem, tysiące skarg na nich, małe robiły wrażenie na królu. Z niesmakiem wprawdzie patrzał na hulaszcze życie, jakie prowadziła Elżbieta, ale

był przekonany, że ona lepiej zna potrzeby kraju i przy pomocy Zawiszy wszystkie jego plany przeprowadzić potrafi.

Król siedział zamknięty w swoim gabinecie, przed nim leżała mapa Węgier i naznaczone były czerwonym ołówkiem miejsca, do których już sięgała potęga muzułmanów; potęga straszna, która miała niezadługo zburzyć cesarstwo wschodnie i zająć Konstantynopol, a Węgrom narzucić jarzmo niewoli.

Drzwi komnaty królewskiej pocichu się otworzyły i na progu jej stanął Zawisza; król obejrzał się i spostrzegłszy kanclerza, skinął przyjaźnie, żeby się zbliżył.

— Siadaj waszmość i powiedz mi, jak się tam toczą sprawy polskie?

— Jak najlepiej, najjaśniejszy panie... Będziemy mieli za sobą wszystkich, albo raczej prawie wszystkich magnatów, obecnych w Budzyniu.

— Cóż robi wojewoda lubelski?

— Cieszy się obiecaną koroną Rusi.

— A Lasota?

— Ten jest pewny, że którą z kopalń złota dostanie w zarząd, a tymczasem zdaje mu się, że jest najlepszym tancerzem na świecie.

Król uśmiechnął się.

— A kasztelan biecki, ten zelant wolności szlachty?

— Da się porąbać za ciebie, najjaśniejszy panie. Prowadził królowę do bufetu i z rąk moich przyjął puhar za twoje zdrowie. Królowa wyróżniając go nad innych, kupiła go.

— Więc podług tego zdawałoby się, iż nie mamy opozycyonistów.

— Nie, najjaśniejszy panie, są, i to nawet potężni. Biskup wrocławski Andrzej Lubrański stoi na ich czele, wspierany przez obydwóch Granowskich: Rafała i Wincentego, ale większość magnatów i duchownych mamy

już za sobą, a niedługo będziemy mieli wszystkich; tłumy szlachty, jak stada owiec, pójdą za swoimi przewodnikami.

— Mnie bo się nie zdaje — odpowiedział Ludwik — żeby to wszystko tak łatwo przeprowadzić się dało. Najpierwej protestują przeciwko legalności sejmu, odbywającego się za granicą, a ci nawet, co na nim się stawili, słuchaj, co do mnie piszą; oto jest pismo Lubrańskiego, jakie do mnie wystosował... Czytaj!

To mówiąc, król wskazał Zawiszy list, leżący na stole.

List był długi i nietylko powstawał przeciw sejmowi nielegalnie odbywającemu się w Budzyniu, ale silny robił nacisk na propozycyę od tronu odczytaną przez sekretarza królewskiego Jarockiego, proponującą przyłączenie do Węgier powiatów kamienieckiego, halickiego, przemyskiego i sanockiego, ofiarując w zamian starostwo spiskie.

»Nie natośmy się tu zjechali, żebyśmy mieli z królem stanowić takie frymarki ze szkodą Rzeczypospolitej, ale na to, żebyśmy króla jegomości o lepszy rząd w Polsce prosili, tak w obronie jak i w sprawiedliwości, której nie mamy, a do tego bez kolegów senatorów na tym sejmie niezwyczajnym, nic stanowić nie możemy«.

Zawisza przez chwilę namyślał się, nareszcie odpowiedział:

— Potrzeba nam pozyskać pojedynczo podpisy od każdego z senatorów, naszych stronników, iż zgadzają się na tę zamianę i widzą nawet korzyść w tem dla kraju, a inni pójdą za przykładem danym z góry.

— Kogo myślisz waszmość najłatwiej skłonić do tego?

— Wojewoda lubelski Szczęsny, mający na Rusi wpływy ogromne, jest filarem, na którym wybudujemy nasz gmach. Ksawery Lasota, wojewoda bełzki i Szpisko, kasztelan biecki poprowadzą innych, podskarbi ko-

ronny Swetecki dał nam już dowody swojego przywiązania, przywiózłszy cichaczem do Węgier korony polskie, nadto pewni są: Jan Służewski, wojewoda sieradzki, Stanisław Krzepicki, kasztelan sandomierski, Jan Dębiński.

Kanclerz przestał mówić i bacznie się wpatrywał w twarz króla.

— Czy tych wszystkich jesteś pewny?

— Jutro przyniosę waszej królewskiej mości ich podpisy, a spróbuję jeszcze przypuścić szturm do Lubrańskiego i kto wie, czy mi się nie uda.

Król pokręcił głową na znak, że się nie zgadza.

— To innego pokroju człowiek, cóż mu ty ofiarować możesz? zanadto bogaty, żeby pragnął pieniędzy, a jedną z najwyższych godności duchownych posiada już.

— Ale wzdycha do kapelusza kardynalskiego, a wie o tem, że wasza królewska mość dobrze jesteś położony u Ojca Świętego i że ten na żądanie twoje, najjaśniejszy panie, nie odpowie odmownie.

— Ha, próbój! ale ja nie bardzo wierzę w to pokuszenie i więcej rachuję na moich Węgrów i ich szable, jak na twoją intrygę.

— Niech cię Bóg zachowa, najjaśniejszy panie, żebyś się miał z orężem w ręku dopominać tych prowincyj; jak jeden mąż powstałaby cała szlachta, a Węgry niekoniecznie plecy od Turków mają zabezpieczone.

— Nie myślę, żeby przyszło do tego, zamki tylko ruskie obsadzę załogami węgierskiemi; jeżeli się podniosą wrzaski, puszczę odpowiedź w odwłokę. Ażeby Polaków zwyciężyć, trzeba tylko umieć wytrzymać ich pierwszy impet. Zapalni są jak sucha słoma, ale dosyć tylko uzbroić się w cierpliwość, a ogień jak prędko powstał, tak prędko zgaśnie.

— Może go sztucznie podtrzymywać Władysław Opolczyk.

— Nie, to mąż zanadto poważny; wszakże mu ofiarowałem koronę dobrowolnie.... nie przyjął jej.

— Bo był pewny, że się szlachta na niego nie zgodzi, ale wiem, że się pilnie interesuje losami kraju.

— Tem większy mam dla niego szacunek i dlatego tem więcej mu ufam, bo w piersi tej bije szlachetne serce.

— Dlatego też nie będzie obojętnie patrzał, jak najpiękniejsze prowincye Rzeczypospolitej usuwają się od niej.

— Na to nic nie poradzi, szlachta go nie lubi.

— Podzielam zdanie waszej królewskiej mości, ale dlatego właśnie nie możemy dawać powodu do starcia się zbrojnego, bo gdyby to w jednem miejscu nastąpiło, pożar rozszerzyłby się na cały kraj.

— Działaj więc jak uważasz za właściwe, kupuj senatorów, którzy się dadzą kupić... ale nic nie wspominasz mi o Römerze, to dzielny człowiek, gdzie on jest?

— Kasztelan sieradzki bawił u mnie w Wiślicy i w mojem towarzystwie miał razem przybyć do Budzynia. Nie był on wprawdzie wtajemniczony jeszcze w nasze plany, liczyłem jednak, że go do nas przeciągnąć potrafię. Ale niespodziewanie spotkał na drodze córki króla Kazimierza i nie tłomacząc się zupełnie z swojego postępowania, przyłączył się do nich, podejrzywam go, że ma jakieś plany daleko sięgające.

— A ja sądzę, że wpadła mu w oczy Anusia lub Jadzia, zapalna to sztuka, charakter na wskróś rycerski i poświęcił się na usługi pani swojego serca.

— Być może — odpowiedział zimno Zawisza — ale zuchwalstwo jego dosięgnęło granic niemożliwych; odebrałem wiadomość, że zamek Vilmos, własność Węgier, który był przeznaczony na rezydencyę księżniczek, zdobył, wyrzucił zeń węgierską załogę i sam ze swoim oddziałem trzyma w nim straż.

Król widocznie wiedział już o tem, bo nie zdawał się badzo zdziwiony tym czynem zuchwałym, który zresztą w owych czasach nie był czynem nadzwyczajnym.

— Czy to są wiadomości pewne?

— Przed chwilą przybył rycerz Micoli, który mi to opowiedział, a jest z nim i hrabia Moszczanyi, były dowódzca załogi Vilmos.

— Micoli? rozkażesz waszmość, żeby się stawił przedemną, chcę z ust jego usłyszeć relacyę o całem tem wydarzeniu, zaś hrabia Moszczanyi zostanie natychmiast aresztowany i jako niedbały dowódzca w obronie powierzonego mu zamku, zapłaci za to może swą głową.

— A co raczysz postanowić najjaśniejszy panie względem zuchwałego buntownika, który napada na twoje zamki?

— Nie pierwszy to przykład zuchwałości szlachty polskiej, ale na szczęście, jak na teraz, nie pociąga za sobą niebezpieczeństwa. Zameczek tak odosobniony, jak Vilmos, otoczony jak skała w morzu naokoło mojemi ziemiami, nie zagraża potędze państwa, chociażby się znalazł na chwilę w posiadaniu zuchwałego zdobywcy. Ale muszę ci powiedzieć, kanclerzu, że przesyłając tym biednym dziewczynom wyrok duchowieństwa, na którym i twój znajduje się podpis, odsądzający je od wszelkich praw, uczułem żal pewien, tak, że jednocześnie poselstwo, które im doręczyło ten upakarzający akt, obdarzyło, z mej woli, księżniczkę Jadwigę zamkiem Vilmos z należącemi doń ziemiami. Z wymierzeniem więc kary muszę się wstrzymać, dopóki do mnie nie dojdzie skarga teraźniejszej zamku właścicielki.

Król dał znak Zawiszy, że chce pozostać sam, biskup zaś nie dodawszy już ani jednego słowa, niezadowolony skłonił nizko głowę i wyszedł.

— Czyżby to być miała intryga Elżbiety? — mówił sam do siebie. — Skąd królowi przyszło to nagłe po-

stanowienie, ta niespodziewana litość? Dlaczego Vilmos darował Jadwidze, a nie Annie? Zdaje mi się — rozumował — że dostrzegam jakieś światełko w tej ciemnej sprawie... Tak jest bez wątpienia, nie mylę się. Los Anny już postanowiony, zostawszy hrabiną cyllejską, wyjedzie z kraju i nie będzie potrzebować nic, gdy tymczasem przeciwnie, młodsza, pozostając tutaj z niezdecydowaną jeszcze swoją przyszłością, wymaga jakiegoś punktu oparcia, jakiegoś własnego kąta. Król, który ją lubi, dał jej Vilmos. Nie pogorsza to zupełnie sprawy, a kto wie, czy nawet nie wyjdzie na lepsze. Potrzeba tylko usunąć tego nieproszonego opiekuna, kasztelana sieradzkiego. On rzucił mi wyzwanie, stając w poprzek moim planom... ha, zobaczymy, czy jest kto w kraju, kogo nie złamie Zawisza.

Tańce ciągnęły się bardzo długo na zamku królewskim, ale Zawisza mały już w nich tylko brał udział. Królowa była nieumęczona, nie opuściła żadnej kolei, ale teraz, kiedy już zbliżał się dzień, na twarzy jej pokazała się pewna zmiana: oczy ciskające przed chwilą płomienie, zaszły jakby mgłą, ta świetna cera policzków stawała się pomału marmurową, czas odzyskiwał widocznie swoje prawa. Królowa, przechodząc, spojrzała w lustro i dostrzegła zmianę, która się odbywała w jej postaci. Skinieniem ręki przerwała tańce, lekkiem pochyleniem głowy pożegnała gości i opuściła komnatę w towarzystwie swoich dam honorowych.

Teraz dopiero swoboda zapanowała zupełna, bufety napełniły się pijącymi, a liczne puhary dodawały ochoty śpiewom aż do rana i dopiero na znak mistrza ceremonii muzyka ustała, świece zagasły i goście zaczęli się rozjeżdżać.

Rozdział XI.

Biskup Lubrański.

W kilka dni po opisanym balu dworskim, w jednej z komnat obszernej kamienicy w Budzyniu, zajmowanej przez dwór biskupa wrocławskiego Andrzeja Lubrańskiego, skromnie bardzo przystrojonej, przechadzał się sam biskup głęboko zamyślony; był to mąż mogący mieć lat około sześćdziesięciu, wzrostu małego, suchy, zawiędły, ale ruchliwy i w każdem swojem poruszeniu gwałtowny. Twarz jego wyniszczona postami, wskazywała ascetę, może nawet fanatyka, gotowego zginąć dla idei; przy drzwiach stał znajomy nam już ze spotkania w Wiślicy Wojciech Chmura.... »Gradowa Chmura«, jak się sam nazywał, dworzanin biskupa wrocławskiego.

— Smutne mi wasendziej opowiadasz rzeczy — mówił biskup zwolna, zwracając się do stojącego szlachcica.— Więc do tego u nas już przyszło, że dzieci tej świętej ziemi, jak Judasze wyciągają dłonie po srebrniki, ażeby ją sprzedać! Więc mówisz mi, że wczoraj u kanclerza umowa już została podpisana, sporządzona na uszczerbek tej prześwietnej Rzeczypospolitej, którą ojcowie nasi piersiami swojemi zasłaniali od wrogów.

— Wasza ekscellencyo! — odpowiedział Chmura z głębokim pokłonem — bratanek mój jest dworzaninem kanclerza, od niego mam zawsze pewne wiadomości.

— Mój Boże! więc już do tego przyszło, że ci, którzy mają najświętszy obowiązek utrzymania całości tej prześwietnej Rzeczypospolitej, sami przykładają ręce do jej rozszarpania i to kierowani radami najwyższego urzędnika! Opowiedz mi — rzekł biskup żałośnie — mój synu, co ci wiadomo.

— Wiem tylko, że siedmiu panów dało już swoje zezwolenie, zaopatrzyli je własnymi podpisami i wycisnęli swoje pieczęcie, pozwalając na oderwanie od Rzeczypospolitej Halicza i innych powiatów, a na przyłączenie ich na wieczne czasy do Węgier.

— Zbrodniarze! — wyszeptał wielce oburzony biskup — Frymarczą całością swojej ziemi, członkują ją, dzielą jak gdyby swoją wioskę z poddanymi bez względu na dobro kraju. Tym paniątkom się zdaje, że oni są królami samowładnymi w Polsce i rozporządzają nią złudnemi obietnicami, pieniędzmi i pochlebstwem. Ale na szczęście są jeszcze mężowie zacni, którzy położą swoje *veto* i nie dopuszczą rozbioru kraju.

— A przy nich i na ich głos wasza ekscellencyo, stanie kraj cały, cała drobna szlachta, która nie ma udziału w tem świętokupstwie.

— I ja nie straciłem jeszcze wiary w cnoty narodu, bezczynnie siedzieć nie będę; tańczono i koło mnie, pokazując mi w dali czerwony kapelusz, ale Bóg ustrzegł mnie od pokusy, dlatego waszmość jutro wyjedziesz z listami mojemi do Granowa, do marszałka koronnego. Trzeba powiadomić braci o wszystkiem, co się tu za potrawa przyrządza w tym piekielnym tyglu; niech radzą dopóki czas, żeby żelazna ręka sprawiedliwości nie zaciążyła nad nimi.

— Jestem gotów na rozkazy waszej ekscellencyi w każdej chwili.

— Ale rozumiesz mój Wojciechu, że tu język trzeba trzymać za zębami, bo gdyby się domyślono, że cię wy-

syłam, albo zginąłbyś w drodze, alboby listy moje przepadły.

— Umiem milczeć jak ryba, a gdzie potrzeba, tam Gradowa Chmura wypuszcza gromy.

— Znam cię mój synu, dlatego też twojej roztropności i męstwu powierzam cały ten interes. Bądź roztropny jak wąż, milczący jak trup, a odważny jak lew.

— Nie zawiedzie się wasza ekscellencya na starym Wojciechu.

— Będziesz przejeżdżał około Barczy, tam są ukryte biedne sieroty po nieboszczyku królu, ba! prawie uwięzione, lecz czuwa tam nad niemi Jaśko z Żarnowa, zawieziesz mu moje błogosławieństwo. To jeszcze rycerz Łokietkowski, opowiedz z czem jedziesz do Granowskiego. Stary i sam się naczupurzy i pociągnie ze sobą szlachtę drobną, a jeżeli tam zastaniesz jeszcze kasztelana Sieradzkiego, bo podobno go tam okaleczyli, będzie i do niego odemnie list; dzielny to mąż i kocha szczerze swoją ziemię. Ten z pewnością nie wyciągnie ręki po złoto i nie stanie w szeregu zdrajców.

— W ile koni myślisz waszmość wyjechać? — zapytał biskup.

— Wezmę tylko luzaka, to mi wystarczy.

— Nie, Bóg wie co cię spotkać może w drodze, wiedzą, żeś mój dworzanin, mogą się domyśleć żeś waszmość wysłany przezemnie i ciekawi będą przeczytać epistoły. Weź więc Wojciechu odpowiedni poczet moich ludzi dobrze uzbrojonych, wpakuj na wozy kilkanaście beczek wina i eskortuj je aż do Granowa; na zbrojnych nie napadną siłą, a ja spokojny będę, że poselstwo moje spełnione.

— Stanie się jak rozkazuje wasza ekscellencya i jak tylko listy będą gotowe, wyruszę z nimi.

To mówiąc, Chmura przyklęknął pobożnie dla ucałowania ręki biskupa na pożegnanie.

— Listy dziś jeszcze odeszlę ci do twojej kwatery; jedź więc, mój synu, ważne wieziesz zlecenia. Niech Bóg czuwa nad Tobą.

Szlachetny biskup zrobił znak krzyża świętego nad schylonym szlachcicem i rękę swoją położył na jego głowie.

Rozdział XII.

Królewna Jadzia.

Powracamy do Vilmos, czyli do starożytnego Barczy, gdzieśmy zostawili walczącego pomiędzy życiem i śmiercią Römera; drugi miesiąc to już się kończył od czasu gdyśmy go opuścili.

Załoga polska, raz usadowiwszy się w nim, nie była do tej pory atakowana, zdawało się, że o niej zapomniano, a o ile wieści z Budzynia dochodziły, tam tak zajęci byli ważniejszemi sprawami, że Vilmos pozostawiono w zupełnym spokoju.

Pomimo tej ciszy panującej dokoła, stary Jaśko z Żarnowa, dowódzca zamkowy, nie zaniedbywał żadnych środków ostrożności; załoga trzymana była w takiej ryzie, jak gdyby co chwila spodziewany był napad. Na baszcie czuwała straż nieustannie, po murach przechadzali się łucznicy. Jaśko wiedział to dobrze, że podstępem zdobyty zamek, może być również tym samym sposobem odebrany.

Tymczasem ranny rycerz, któregośmy tak dawno, w chwili największego niebezpieczeństwa opuścili, pod troskliwą opieką przychodził pomału do zdrowia. Leki cyganki okazały się skutecznemi; rana się zamknęła i pomału zaczęła goić... niebezpieczeństwo utracenia życia minęło.

Przez cały czas choroby, dopóki walczył ze śmiercią, aż do chwili, w której pierwszy raz otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą anioła, zwilżającego mu rany, osoba Jadzi była dla niego świętością. Ale dziewica, jak tylko dostrzegała, że rycerz się budzi, wychodziła natychmiast, zostawiając na swoje miejsce Brygidę.

Często więc Römer uciekał się do podstępu, udawał śpiącego, przymykał lekko oczy, aby przez nieszczelnie zaciśnięte rzęsy widzieć białą postać wpatrującą się w niego, chłodzącą go powiewem gałązki zielonej, lub podającą mu napój, kiedy się budził.

Chciałby wiecznie pozostać w tym błogim stanie.

Czuł, że stała się ona dla niego całym światem, że dla niej gotów wszystko poświęcić; zdawało mu się niekiedy, ale prędko odrzucał te zuchwałe myśli, że i on dla niej nie jest obojętnym; tak, być może, ale to tylko litość siostry Miłosierdzia... nic więcej.

Czyliżby mogła ta gwiazda zejść z obłoków i zatrzymać promień swoich oczu nad jego czołem?

Czasami, kiedy już odzyskał przytomność, a nie powstawał jeszcze z łoża, odwiedzały go obydwie siostry razem i prowadziły z nim rozmowy, niekiedy Jadzia grała na cytrze i nuciła pieśni, niekiedy łza zakręciła się w jej oczach, czasem szczery śmiech dziecka zadźwięczał w powietrzu i rycerza porywał za sobą.

Niekiedy znów Jadzia przynosiła z sobą gruby rękopism jednego włoskiego wygnańca, niejakiego Danta, który niedawno zaczął słynąć na dworach ukształconych władców Europy, a dwór króla Kazimierza bynajmniej nie należał do zacofanych, i czytała z niego straszne opisy cierpień, jakie przechodzą w piekle potępieni. Pierwotne natury tych dwojga dorosłych dzieci cywilizacyi brały dosłownie wyrażenia wielkiego wieszcza, dreszcz zgrozy przechodził ich oboje i mimowolnie jedno drugiego zapytywało: »czy to być może?« Wiele

ustępów nie rozumieli, ale to jeszcze potęgowało ich zachwyt. Zgroza ich jednak dochodziła do najwyższego stopnia, kiedy poeta pomiędzy przestępcami pokazywał nietylko książąt i królów, ale biskupów, kardynałów i papieży.

— Czy to być może, czy to być może? — powtarzali zdumieni.

Römer, ten nieustraszony rycerz, zawsze pewny siebie, który w życiu swojem niezawodnie nie zadrżał jeszcze nigdy, stawał się teraz nieśmiały jak żak, jeżeli dziewica czytając, oderwała swoje oczy od rękopismu i zatopiła swój wzrok w jego twarzy.

Dni płynęły jeden za drugim, tak pełne dlań błogiego szczęścia, że zapominał, iż są inni ludzie na świecie, którzy cierpią, że są sprawy, o które się toczą krwawe boje i że jest inny raj, oprócz Vilmos.

Chciałby wiecznie pozostać w tym niewysłowionym obłoku szczęścia.

Zakochani sądzili, że ich uczucia są tajemnicą dla wszystkich, ale królewna Anna umiała trzeźwo spojrzeć na sprawę zaślepionych marzycieli. Dostrzegła we wzroku rycerza płomienie, które mogły rozniecić pożar, i przelękła się następstw. Ale o ileż zwiększyło się jej przerażenie, kiedy razu jednego, siedząc przy kołowrotku ze lnem, Jadwiga wypuściła wrzeciono z ręki zamyślona, a strumień łez bez żadnej przyczyny wypłynął z jej oczu.

— Jadziu! siostrzyczko moja, co tobie, dziecię ukochane!?

Jadwiga zadrżała na całem ciele, jakby się budząc ze snu głębokiego, spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na siostrę i odrzekła z całą szczerością niewinności:

— Myślałam, że nam się przyjdzie niedługo rozstać.

— Cóż znowu, moja najmilsza, jakież nam grozi rozłączenie?

Teraz twarz Jadzi oblała się cała purpurą rumieńca, ale nie odwracając od siostry swojego wzroku, odrzekła:

— Nie z tobą, Anusiu.

— Z kimże więc?

— Z nim... z tym, bez którego ja żyć nie potrafię! Ja umrę bez niego! — I to mówiąc rzuciła się na piersi Anny, objęła ją za szyję i twarz swoją ukryła na jej ramieniu.

— Nieszczęśliwe dziecko! czyliż nie wiesz, jaka dzieli was przepaść?

— Wiem i świadomość tego mnie zabija.

— Cóż ty mówisz biedaczko?

— Anusiu, ja temu nie jestem nic winna. Jeszcze dawno, w Krakowie na Wawelu, kiedy byłam dzieckiem, pokochałam go. Kiedym go widziała wjeżdżającego na podwórce zamkowe na swoim cisowym koniu, serce we mnie zamierało. Z okna wyciągałam do niego ręce niewidzialna... chciałam jak jaskółka wyfrunąć, zatoczyć kilka kręgów około niego, zajrzeć mu w oczy, zaświergotać około jego ucha; a potem przejmowała mnie trwoga nieznana, pragnęłam odlecieć gdzieś daleko z jaskółkami, schować się w tonie wód, jak one robią, gdy następuje zima; gdzieś pod kryształową taflą lodu spocząć na dnie rzeki, tam marzyć o nim i znowu z wiosną przebić błękitne tonie, wpłynąć na świat i śpiewać mu, krążąc około niego. Upływały długie dnie, w których rycerz nie bywał na zamku, a pierwej nie zwracał prawie na mnie uwagi... dzieciakiem byłam. Raz tylko spojrzał mi w oczy, ale tego spojrzenia nigdy nie zapomnę... a łudziłam się, że zapomnę... modliłam się o to do Boga, pościłam, uciemiężałam ciało... ale Bóg nie zlitował się nad mojem biednem sercem... on zawsze mi był przytomny, widziałam go nawet w czasie moich modlitw, nie opuszczał mnie, gdym rozmawiała z wami, czułam go wszędzie przy sobie, około siebie.

— Ależ to szaleństwo, Jadziusiu. Nie wiem nawet, czyś ty kiedykolwiek z nim mówiła? To szatan podsuwał ci te obrazy, ażeby cię zaprowadzić na błędne drogi.

— I ja tak myślałam, moja Anusiu; sto razy chciałam się rzucić do kolan matce naszej, żeby jej opowiedzieć moje obawy i nigdy nie starczyło mi na to odwagi, bo czułam, że chwila, w której będę musiała go się wyrzec, uwolni duszę moją z ciała i umrę z nazwiskiem jego na ustach.

— Czemuś się przedemną nie zwierzyła, Jadziusiu?

— Nie śmiałam, siostrzyczko moja, tyś taka zawsze poważna, traktowałaś mnie jak dziecko, ty mogłabyś się była roześmiać mi w oczy, a wówczas ja, Anusiu kochana, znienawidziłabym cię.

— Biedna siostruniu, więc tę straszliwą tajemnicę przed wszystkimi ukrywałaś w swojej piersi?

— O nie! wypowiedziałam ją.

— Komu?

— Ojcu Wawrzyńcowi, mojemu spowiednikowi.

— I jakież ci rady dał twój spowiednik?

— Rozkazał mi odmawiać po trzy litanie do Matki Boskiej, pościć cztery razy na tydzień i zapomnieć.

— A ty?

— Ja modliłam się... pościłam, ale nie zapomniałam; nie potrafiłam, nie chciałam.

— Nie chciałaś?!

— Tak, nie chciałam; buntowałam się... ja jestem zła dziewczyna. Anusiu, czy ja pójdę na potępienie?

— Grzech twój jest tylko myślą. Bóg miłosierny!

— On mi przebaczy! bo On kazał kochać wszystkich bliźnich. Zdawało mi się, że kiedy nas cios dotknął, gdyśmy straciły nasz skarb jedyny, ojca... gdy nas wypędzono z Wawelu, gdy nas matka opuściła, gdyśmy się ujrzały zupełnemi sierotami, zdawało mi się, że on przybędzie na ratunek, czekałam go, wyglą-

dałam, i widzisz, Bóg wysłuchał moich próśb. On się na mnie gniewać nie może, bo niespodzianie na drodze naszej w Wiślicy ujrzałam go znowu. Czy myślisz, że to traf, siostro? O nie, to wola Boża!

Rozmowa ta toczyła się między siostrami na drugi dzień po przyjęciu nieszczęśliwego a wstrętnego poselstwa, zawiadamiającego je o wyroku duchowieństwa, potwierdzonym przez króla Ludwika, w tak brutalny sposób miażdżącego je i obdzierającego nawet z nazwiska przodków.

Posłowie odjechali, pozostawiwszy za sobą ból straszny, upokorzoną dumę i utratę nadziei wspaniałej przyszłości, do której córy Piastów miały prawo pretendować.

Listy królowej Elżbiety, na pozór pełne współczucia i dalekich, mglistych obietnic, nie osładzały bynajmniej strasznego ciosu. Ale cios ten niejednakowo ugodził obydwa serca.

Anna była oburzona, czuła całą niegodziwość intrygi, dla której zwycięstwa nie wahano się poświęcić ich bytu, przyszłości, dobrej sławy i zepchnąć je do warstw ostatnich narodu.

Ale poselstwa wysłuchała milcząc, z zaciśniętemi ustami, tylko groźne spojrzenie, jakie rzuciła posłom, pokazywało, że była gotowa... jak jej nieśmiertelnej pamięci dziad Łokietek... przywdziać zbroję, dosiąść konia i na czele przyjaciół upomnieć się o swoje prawa, a że kwestya sukcesyi tronu pomimo wszelkich starań, nie była jeszcze stanowczo rozstrzygnięta, mogła zaświecić łuną pożarów i rozlać się potokami krwi.

Posłowie, pomimo najusilniejszych nalegań, nie potrafili wymódz na niej, ażeby rękę swoją przyłożyła do podpisania protokołu, uznając ten niesprawiedliwy wyrok.

Odwróciła się dumna, wyprostowana, i nie raczywszy nawet spojrzeć na posłów, wzięła królewnę Jadwigę

pod rękę i opuściła komnaty, pozostawiając zdziwionych panów bez odpowiedzi. Tylko wkrótce wyszedł do nich Jaśko z Żarnowa i oświadczył w jej imieniu, że królewna Anna przyjęła do wiadomości przyniesione przez nich zlecenie i że postąpi jak jej nakazuje honor i sumienie.

Była to odpowiedź bardzo dwuznaczna, miecz obosieczny, i poselstwo wyszło, nie wiedząc czego się trzymać.

Jeżeli Anna odebrała cios wymierzony w jej dumę, to Jadwiga została zraniona w swoich uczuciach przywiązania do matki. Jak to! więc ta kobieta, którą ona tak kochała, ten ojciec, którego czciła na równi ze świętymi, pozostawali w nieprawym związku i zostawili jej hańbę pochodzenia w spuściźnie? Czyliż oni tak lekceważyli przykazania Boskie, że tyle lat nie utrwalili swoich stosunków sakramentem!? Czyliż to być może!! Ale dlaczegóż, wzrastając na Wawelu, pod okiem rodziców, otoczona zawsze była czcią należną krwi królewskiej.... dlaczegóż ci sami biskupi, którzy teraz w tak surowych słowach wyrzekają nad nią swój wyrok, byli za życia Kazimierza pełni uszanowania i nigdy ani jednem słowem nie zdradzili wątpliwości co do pochodzenia i świętości związku ich rodziców?

Były to pytania, na które w niewinności swego ducha nie umiała odpowiedzieć.

Być może, że obawa przed potęgą prawicy króla nie pozwalała im ust otworzyć, że drżąc przed tym groźnym władcą, nie śmieli wystąpić przeciwko złemu.

Ale w takim razie cóż to są za kapłani, którzy drżą przed potęgą ziemską i nie naśladują śmiało wyznawców Chrystusa z pierwszych wieków chrześcijaństwa, co nie wahali się raczej zginąć męczeńską śmiercią, niż na włos zrobić ustępstwo od swoich powinności, którzy tak śmiało gromili potężnych władzców i upokarzali ich do stóp swoich?

Jak wytłomaczyć te sprzeczności?

Albo milczenie poprzednie biskupów było błędem, lub wystąpienie dzisiejsze jest występkiem. Któż jej to wytłomaczy?.... kto ją przekona i wskaże gdzie jest prawda?

Teraz przyszedł jej na myśl biskup Zawisza, ten potentat duchowny, ubrany zawsze tak wspaniale w szaty zupełnie świeckie i pędzący życie hulaszcze, wesołe, rozrzucający dowcipy jak i złoto naokoło i zbierający uśmiechy kobiet jako dań sobie należną. I to taki mąż ma wyrokować o świętości związków jej rodziców, który sam nie wie co to jest świętość?.... spychać obydwie w przepaść?

Biedna sierota biła się z myślami swemi, nie umiejąc stanowczo rozwikłać tej zagadki. Duszno jej było w komnatach zamkowych, wzrok ludzi ranił ją, zdawało jej się, że każdy urąga jej, że na każdej twarzy czyta szyderstwo; chciałaby uciec gdzieś daleko, pod ziemię się schować, ukryć swój wstyd w jakiejś niezgłębionej przepaści.

W obrębie zamkowym, otoczony murem wysokim, znajdował się niewielki ogród, zarośnięty, zaniedbany zupełnie, ale stare orzechy włoskie tak się porozrastały, że nawet wśród najjaskrawszych promieni słońca nie dopuszczały ich do ziemi i tworzyły zawsze cień nieprzenikniony. Kępy jaśminów, róż i bzu tworzyły gąszcze, w których słowiki wiosenną porą gnieżdżąc się swobodnie, przez nikogo nie płoszone, wygłaszały swoje pieśni.

Jadwiga złamana cierpieniem, bezwiednie skierowała swoje kroki w te strony. Szła nie widząc nic około siebie... Dwa strumienie łez spływały po jej twarzy, a długie włosy rozpuściły się w nieładzie na białą lnianą sukienkę, ściągniętą w pasie niebieską wstęgą.

Och, gdyby tak mogła iść... iść bez końca i zajść gdzieś na koniec świata, gdzie niema ludzi złych, któ-

remi, tak teraz zdawało jej się, pogardza i nienawidzi; ręce załamała, opuściła główkę na pierś i szła nie patrząc przed siebie. Gałązki jaśminu delikatnie zaczepiały ją, obsypując białem kwieciem, pyszny krzak róży, około którego się przesuwała, brutalnie uchwycił ją za suknię swojemi kolcami i zatrzymał jak niewolnicę, wziętą w jasyr. Smutnie nachyliła się, nie zważając na to, że rani ręce, odczepiła szatę od natręta i szła dalej.

Czemuż teraz tak raptownie się zatrzymała i stanęła jak marmurowy posąg bez ruchu, prawie bez oddechu; czyż widok, jaki ujrzała był tak straszny, iż mógł przerazić nawet córę Piastów? Zobaczymy, że nie.

Na dużym, obrosłym mchem kamieniu, spoczywał ten, którego najmniej spodziewała się w tej chwili spotkać, którego najmniej pragnęła teraz zobaczyć i najwięcej obawiała się, ażeby na twarzy jego nie wyczytała szyderstwa i pogardy, jaką, zdawało się, że cały świat jest teraz dla niej przejęty; dla niej, dziecięcia nieprawego pochodzenia, nie mającej nawet uczciwego nazwiska! Wszystkie cierpienia znieść potrafi, wszystkie upokorzenia, byle tylko nie jego! Byle nie spotkać się teraz z jego wzrokiem lekceważącym, w którym dotąd czytała uwielbienie dla siebie.

Römer, nie wiedząc nic o przybyciu złowrogiego poselstwa, gdyż ani Jaśko, ani jego zwykła opiekunka nie pokazywali się, przyciśnięty jakiemś złowrogiem przeczuciem, opuścił komnatę i pomału, posuwając się krok za krokiem, zagłębił się w gąszcz ogrodu, a znalazłszy odpowiedni kamień, spoczął na nim.

Myśli jego nie były wesołe. Teraz już znał stan swojego serca, ale i znał ogromny przedział, jaki istniał pomiędzy kasztelanem a krwią królów. Nie łudził się, że przedział ten przebyć potrafi. Co go czekało w przyszłości? Mógł być co najwyżej rycerzem pani swojego serca, mógł nosić jej barwy na turniejach, mógł życie

swoje setki razy na jej cześć ofiarować, ale wszystko to nie wystarczało mu. On czuł, że szalona zazdrość rozszarpie jego piersi, jeżeli kiedy zobaczy bóstwo swoje oddające rękę innemu, panującemu jakiemu księciu. Wszakże już ręką Anny rozporządzili, niedługo zapewne potrzeba będzie czekać, a grom zbierający się wśród chmur, wypadnie rzucony ręką przeznaczenia i zdruzgocze go.

Kiedy takie smutne obrazy snuły się przed jego oczami, niespodziewanie ujrzał widmo stojące przed sobą. Widmo wyśnione, wypieszczone a jednak żywe.

Słyszał oddech tłumiony, zdawało mu się, że słyszy głośne bicie jej serca, na oku dojrzał przeczystą łzę zastygłą.

Nie! widma nie płaczą, widma nie oddychają, to nie żadne zjawisko nadprzyrodzone, to rzeczywistość! rzeczywistość upostaciowana w tej istocie, która była dla niego całym światem.

Pierwszym ruchem instynktownym królewny było cofnąć się niespostrzeżoną, bo zdawało się, że rycerz jest tak zagłębiony w swoich myślach, iż nie dostrzega jej; ale są prądy tajemnicze pomiędzy istotami, które niewidomie falując, uderzają w nie, zbliżają, łączą, mówią o swojej obecności. Prąd taki utworzył się pomiędzy piersią rycerza a zjawioną kobietą, skuł ich z sobą i nie pozwolił, ażeby kobieta wykonała swoje postanowienie. Pragnęła uciekać, a wola jej była bezsilna, niemoc przykuwała ją do miejsca.

Blada, milcząca, stała wśród białego kwiecia jaśminu jak statua z kararyjskiego marmuru.

Pierwszy oprzytomniał Römer. Pomimo bolesnej rany podniósł się szybko i w kilku krokach zbliżył się do stojącej dziewicy.

Drżała na całem ciele, nie była zdolna słowa przemówić; rycerz z uszanowaniem ukląknął przed nią i wpa-

trywał się zachwycony w jej twarz udręczoną smutkiem, a jednak piękną w swej boleści.

Uroczysta cisza panowała w powietrzu, słychać tylko było bicie jej serca, które zdawało się, że rozsadzi piersi. Zwolna podniosła głowę i nieśmiałym, zaledwie dosłyszalnym głosem wyszeptała:

— Nie wiedziałam, wierzaj rycerzu, nie wiedziałam, że tu jesteś.

— A jednak ja wiedziałem, że tutaj przyjdziesz — odrzekł Römer pośpiesznie, lecz nieśmiało, zcicha.

— Kto ci to powiedział, rycerzu?

— Przeczucie moje, może Bóg.

— Bóg mówisz! czyż On nie potępił mnie jeszcze?

— Ciebie! za co? Czy za to, że ozdabiasz ziemię swoją istotą, za to, że śpieszysz z pomocą nieszczęśliwym?

— Nie, nie za to.

— Cóżeś więc popełniła za występek? Ty, której aniołowie zazdroszczą bieli!

— Powstań rycerzu i kiedy los nas niespodziewanie zbliżył, pomówmy z sobą.

Römer chciał usłuchać, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa, zbladł tylko, bo nie dobrze jeszcze zagojona rana paliła go.

Nie wahając się ani chwili, dziewica podała mu rękę i dopomogła powstać, następnie doprowadziła go do kamienia i przymusiła zająć na nim poprzednie miejsce. Z czułością matki, śledzącej twarz chorego dziecięcia, wpatrywała się w zmienione rysy rycerza.

Römer wzruszony czuł, że nowe życie przypływa mu do piersi, podnosi ją i dodaje sił.

— Czy wiesz, rycerzu, z czem przybyło poselstwo od króla Ludwika do nas?

— Poselstwo? od króla Ludwika do was? Nic nie wiem o tem.

— O! gdybyśmy i my obydwie nigdy się nie były dowiedziały! Jesteśmy zbezczeszczone, shańbione! Pozbawiono nas dawniej praw do tronu, majątku ojczystego, a teraz odebrano nam to, co stanowiło jedyne nasze skarby: pozbawiono nas prawa do nazwiska ojca.

Römer, któremu twarz napłynęła krwią, usiłował się zerwać z siedzenia, ale Jadwiga z lekka rękę swoją położyła na jego ramieniu i nie pozwoliła mu na ten wysiłek.

— Więc nie ma granic podłości ludzkiej! — zawołał gwałtownie rycerz — ale przysięgam ci na honor rycerski, pani, że zmusimy wrogów waszych do wyznania, że popełnili występek, że ich upokorzymy i przymusimy do oddania wam czci należnej.

— Mnie idzie — wyszeptała cicho dziewica — o pamięć matki mojej niesplamioną, o cześć ojca mojego, o cześć tego, którego za życia nikt nie śmiał zadrasnąć dwuznacznem spojrzeniem, a teraz pastwią się nad jego prochami.

— Olbrzym pozostanie jednak na wieki olbrzymem, nie potrafi w niczem ująć jego wielkości złość współczesnych, późna potomność potępi ich, a jemu odda należną sprawiedliwość.

— To zapóźno już będzie dla nas czekać, aż dzieje wymierzą sprawiedliwość, a teraz co nam biednym sierotom pozostaje czynić?

— W każdym razie nie poddawać się niesprawiedliwemu wyrokowi, śmiało zaprotestować, oprzeć się na swoich obrońcach.

— Gdzie oni są? Wszyscy nas opuścili.

— O, nie! na Boga! nie wszyscy! Czyż nie wiesz, królewno, że ja pierwszy jestem gotów zginąć, walcząc w twojej obronie.

— Ty, szlachetny rycerzu! Dlaczego chcesz wiązać swój los z losem potępionych? Ciebie czeka w przyszło-

ści sława, dostojeństwa, a nas zagrzebanie gdzieś za kratami klasztoru.

— Któż zdolny jest do tego cię przymusić, pani? A gdyby to nastąpiło mimo twej woli, nie ma tak silnych murów, którychbym nie rozwalił i nie uprowadził cię! Bo ja... bo ja cię pani kocham, jak nikt jeszcze nikogo nie kochał — wyrzekł drżącym głosem.

Zaledwie jednak wypowiedział te namiętne słowa, uczuł, że go coś ścisnęło w gardle, że go coś dławi, przeraził się, że może sam wyrzekł wyrok potępienia na siebie.

Dziewica stała, wpatrując się w jego rozpromienione oblicze i lubując się dźwiękiem jego głosu.

— A więc kiedym już raz tak nieoględnie przerwał tamę swej nieśmiałości, powiem ci: ty dziecko królów naszych, ty zrodzona na to, żeby panować na najpierwszym tronie świata, przyciągnęłaś do siebie wzrok zuchwałego poddanego. On ośmielił się myśl swoją wznieść aż do ciebie! pragnie potargać przeszkody, które go dzielą i marzyć o posiadaniu twojego serca. Ale nie znienawidź mnie, ja potrafię umrzeć milcząc u nóg twoich i nikt więcej nie posiądzie tej tajemnicy. Gdyby wszakże kiedyś choćby najsłabsza iskierka nadziei mogła się zatlić dla mnie, gdybym chociaż na chwilę mógł uwierzyć, że ty pokochasz mnie, że ty zejdziesz ze swojego majestatu i wyciągniesz do mnie rękę, duma moja podniosłaby mnie tak wysoko, że stałbym się chyba godnym ciebie. Och! gdybyś mnie ty mogła pokochać kiedy?

Królewna podniosła swoje zdziwione oczy, utopiła je w jego twarzy i położywszy ręce swoje na jego ramionach, z cicha wyrzekła tym słodkim naturalnym swoim głosem, który zadźwięczał mu jak anielska melodya:

— Więc ty wątpisz o tem!

— Czy ja wątpię!? Ależ ja oszaleję z radości! Powtórz to jeszcze raz, bo mi się zdaje, że mnie

zmysły moje łudzą, że nie zrozumiałem dobrze słów twoich!

— Czyliż ty nie wiedziałeś, że ja ciebie oddawna kocham? — odrzekła z całą prostotą niewinności dziewica. — Dawno, jeszcze w Krakowie na Wawelu ujrzałam cię, kiedy wjeżdżałeś na podwórze zamkowe na cisawym koniu. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale jakiś głos tajemniczy powiedział mi wówczas, że ty jesteś wybrany, że losy nasze kiedyś połączą się. Tęskniłam całe tygodnie, całe lata, ale nigdy nie traciłam wiary.

Teraz rycerz powstał, wyprostował się i podnosząc rękę do góry, rzekł uroczystym głosem:

— Przysięgam przed Tobą, Wielki Boże, że życie moje należy do tej dziewicy i pani i że po Tobie i po ojczyźnie, ona jest dla mnie najdroższą na świecie.

Kobieta nachyliła się jak gibka topolka pod powiewem wiatru, on otworzył ramiona i ona zwolna oparła się na jego nie zagojonej jeszcze piersi.

Nie czuł bólu; mogliby go teraz szarpać hakami, nikt by go już nie zdołał oderwać od tej istoty, która stała się jego skarbem nieocenionym.

Przez chwilę trwało milczenie... milczenie święte, tajemnicze, w którem dwa serca, zespolone prądem miłości, porozumiewały się z sobą, harmonijnie bijąc w dwóch piersiach i wygłaszały pieśń najświętszą z ziemskich.... miłość.

Dziewica po chwili oprzytomniała, zlekka się odsunęła od rycerza, nie wypuściła jednak rąk jego ze swoich dłoni, łagodnie jak gazela spojrzała mu w oczy i położywszy głowę na jego ramieniu załkała.

— Ty płaczesz ubóstwiona moja?

— Płaczę, bo nadmiar szczęścia nie może się pomieścić w mojem sercu; ja temi łzami dziękuję Bogu, że tak szczodrze nagradza mi cierpienia. Pójdźmy.

— Gdzie mnie prowadzić chcesz, najdroższa?

— Do Anny, niech i ona uraduje się mojem szczęściem.

— Do Anny — zawołał zdziwiony rycerz — czyliż jesteś pewna, iż wiadomość ta sprawi jej radość?

— Ona wie o wszystkich moich myślach, ja odkryłam jej stan mojego serca.

— Odkryłaś go!? A siostra twoja?

— Czyliż mogłam inaczej postąpić, czyż nie byłoby grzechem, gdybym przed tą, która mi zastępuje matkę, zachowywała tajemnice?

— Ależ ona nas potępi.

— Ona mnie kocha.

— Ale ona dąży wysoko.

— Powiadam ci: ona mnie kocha. Pójdźmy do niej.

— I z podniesionem czołem postąpiła naprzód, a podając mu swoją rękę, szeptała:

— Oprzyj się Zdzisławie na mojem ramieniu, ty jeszcze jesteś chory, bardzo osłabiony; mocno się opieraj, nie lękaj się, ja silna jestem, będę twoją podporą.

Römer posłuszny uchwycił podaną sobie rękę, przyłożył ją do ust, wycisnął gorący pocałunek i szedł, gdzie go prowadziło przeznaczenie.

Nie bardzo to była odpowiednia pora spotkania się teraz z Anną, która od chwili odprawienia poselstwa, zamknęła się w swojej komnacie; głęboko zamyślona, siedziała, oparłszy czoło na dłoni, a na wspomnienie doznanej zniewagi, cała jej natura wstrząsnęła się oburzeniem.

Och! cóżby za to dała, żeby mogła tych ludzi, którzy ją tak zranili, dostać teraz w swoje ręce i odpłacić im wszelkiemi mękami upokorzeń, których sama doznawała; domyślała się, że głównym sprawcą ich nieszczęść jest Zawisza, ten magnat, gotowy na wszelkiego rodzaju nadużycia, ten duchowny, dla którego święcenia kapłańskie nie miały żadnego znaczenia.

Chcieli jej odebrać wszelkie prawa do korony, mniejsza o nią, ale dlaczego ją bezcześcić? Dotąd, pomimo pokus, wahała się jawnie wystąpić jako pretendentka do tronu, wiedziała, że może znaleźć w kraju liczne stronnictwo, nie chciała się jednak przyczynić do wojny domowej; ale teraz, kiedy najdelikatniejsze jej uczucia brutalnie zostały podeptane, teraz nie ulęknie się niczego. Kto miał wzgląd na nią? kto się rachował z jej uczuciami? Postanowiła działać... działać natychmiast, a pierwszym krokiem do tego ma być zjednanie sobie jak największej liczby stronników. Wiedziała, że cała Wielkopolska może stanąć po jej stronie, a i między małopolanami znajdą się panowie, którzy staną przy jej boku. Wie ona, jakim jest malkontentem Przedpełko ze Starzewa, Stefan z Trląg, Wysota z Kurnika; drobna zaś szlachta i lud... ci przechowywali zawsze w swoich sercach cześć dla jej ojca i nieprzyjaźnem okiem spoglądali na rządy cudzoziemca. Miała przy boku swoim Jaśka z Żarnowa, o którego przywiązaniu nie wątpiła. Römer był chory jeszcze, ale czuła, że człowiek ten nic jej nie potrafi odmówić, jeżeli mu pokaże małe światełko nadziei, błyszczące gdzieś w oddali, zbliżenia się do Jadwigi. Postanowiła zagrać na tej strunie i uczynić z niego swego sprzymierzeńca.

Niespodziewanie usłyszała lekkie i ciche pukanie we drzwi.

— Czy to ty Jadziu? Czemuż nie wchodzisz?

Drzwi się otworzyły i na progu ich ukazała się Jadzia, prowadząca za rękę Römera.

Anna, nie domyślając się, jak daleko rzeczy zaszły pomiędzy nimi, a sądząc tylko, że chory używa przechadzki pod opieką siostry, rzekła uprzejmie:

— Szczęśliwa jestem, że już kasztelanie możecie chodzić o własnej sile. Siadajcie na tej ławie, nie nadużywajcie swoich sił.

Ale jakże została zdziwioną, gdy Jadwiga, nie puszczając ręki rycerza, zbliżyła się do siostry i przyklęknąwszy razem z nim, rzekła:

— Pobłogosław nam siostro, która mi zastępujesz matkę, to mój narzeczony, a przyszły mój mąż.

Gdyby nagle piorun padł z jasnego nieba u nóg jej, nie byłby jej tyle zadziwił i przeraził, ile te słowa jej siostry.

Ona wprawdzie chciała grać na strunach serca rycerza, pokazywać mu gdzieś w oddali brylant bezcenny, błyskać mu nim przed oczami i prowadzić drogą swoich planów, ale nie przypuszczała nigdy, że brylant ten sam bez jej udziału potoczy się do rąk szlachcica i stanie się jego własnością pierwej, zaczem ona przyłoży do tego rękę.

Gwałtownym ruchem podniosła się z siedzenia, wysoka jej postać dumnie się wyprostowała i mierząc groźnym wzrokiem klęczącą parę, zapytała:

— Co znaczy ta komedya, Jadziu?

— To nie komedya, siostro moja — odpowiedziała z całą powagą Jadwiga, nie wypuszczając ręki Römera ze swojej dłoni.— Przed chwilą zaprzysięgliśmy sobie miłość do śmierci, przyszliśmy więc do ciebie prosić, żebyś nam w imieniu matki udzieliła błogosławieństwa.

— Szalona! ależ to być nigdy nie może!

— Dlaczego, siostro moja ukochana?

— Czyż król Ludwik na to pozwoli?

— Co mnie obchodzi król Ludwik i cały świat przy nim?

— Ależ on jest naszym opiekunem!

— Opiekunem! prześlicznie wywiązuje się z opieki, więzi nas w swoim zamku i wyrzeka się z nami wszelkiego pokrewieństwa.

Na to przypomnienie wyrządzonej im krzywdy, oblicze Anny jeszcze więcej spochmurniało.

— Ale zapominasz, że mamy jeszcze matkę i że bez niej postanowień tak ważnych robić nie możemy.

— Matka jest również jak i my bezsilną ofiarą polityki. Wydalono ją z kraju, pozbawiono opieki nad nami; od jak dawna nie miałyśmy od niej jednego słowa!?

— A senatorowie co na to powiedzą?

— Senatorowie wyrzekli już na nas wyrok, jestem teraz osobą zupełnie prywatną, nie wiem nawet, czy szlachcianką, bo prawa krajowe podobno mi i tego odmawiają. Niech mnie senatorowie zostawią w pokoju i pozwolą spędzić życie pod strzechą szlachecką; nie jestem dumna, nie pragnę wielkości, a od postanowienia mego nie odstąpię.

Anna spojrzała zdumiona na młodszą siostrę. Więc ona jej dotąd nie znała zupełnie. Ta istota cicha, pokorna, dobra, raptem przeistacza się w kobietę z silną wolą, zdecydowaną nie cofnąć się przed niczem, ażeby bronić praw swoich.

— Powstańcie, nie w tej postawie powinniśmy się rozmówić. Serce moje dzieli wasze uczucia, ale cóż ja biedna mogę dla was uczynić. Czyż w rękach moich spoczywa jaka władza?... niestety! los wasz nie ódemnie zależy.

Römer był blady, jakby widmo wychodzące z grobu; wzruszenia jakie przechodził wyczerpały go, widoczne było, że tylko siłą woli utrzymuje się. Kiedy jednak powstał rzekł:

— Bóg mi świadkiem, że żadne uczucie pychy, ani wielkości ziemskiej, nie było kierownikiem moich czynów. Kiedym poznał nurtujące w piersiach moich uczucie chciałem uciekać. Bóg inaczej rozporządził i teraz, kiedy dowiedziałem się, że posiadam serce królewny Jadwigi, nie ma siły na świecie, któraby mnie potrafiła od niej odłączyć. Jestem tylko szlachcicem polskim, ale mam prawo wybierać królów i sam nim mogę być wy-

brany; brać szlachta słyszała trochę o Römerze, jeżeli mi ktokolwiek będzie chciał uczynić krzywdę, odwołam się do niej, a tysiące szabel zabłyśnie i biada tym, którzy mnie zmuszą, żebym rozlewał krew, ale rozleję ją, jeżeli będzie potrzeba i celu mojego dopnę.

Mowa ta pełna buty, mogła jednak zamienić się w owych czasach, pełnych zamieszek, w rzeczywistość, a trafiała właśnie na tajne myśli Anny; sam los dawał jej sprzymierzeńca jakiego potrzebowała. Wówczas właśnie wrzała walka szlachty z możnowładztwem i duchowieństwem, a całej społeczności z królem, walka, która przechodziła w anarchię i która dopiero po połączeniu Litwy z Polską na dwa wieki miała się zatrzymać i postawić kraj na szczycie potęgi.

Znała to Anna i postanowiła z tego skorzystać.

— Nie ja zaprawdę stanę się dla was skałą, o którą mogą się rozbić wasze pragnienia; ale nie łudźcie się oboje, iż łatwo pokonacie przeszkody. Przeszkody są poważne, ale mnie zawsze znajdziecie po swojej stronie.

To mówiąc, podała rękę Römerowi, który ją z uszanowaniem ucałował.

Jadwiga rzuciła się w objęcia siostry i położywszy głowę swoją na jej ramieniu, jak dziecko zapłakała.

— Teraz pożegnam was rycerzu — rzekła Anna — zostawcie nas same, a i wy potrzebujecie spoczynku, bo choroba wasza jeszcze nie pokonana zupełnie, a czekają was walki długie i uporczywe.

Römer wyszedł z sercem przepełnionem nadzieją. Powróciwszy do swojej komnaty, zastał w niej rycerza Jaśka.

Dziwny kontrast przedstawiały te dwa oblicza. Römer pod wpływem rozbudzonych nadziei zapomniał o wszystkich smutkach, Jaśko przeciwnie czuł się zgnębiony, oburzenie jego nie miało granic, a współczucie dla nieszczęśliwych sierót wzrastało z każdą chwilą.

— Czy wiesz waszmość o wszystkiem? — zapytał wchodzącego Römera.

— Czy chcecie mówić o tem niegodziwem poselstwie?

— A o czemżeby innem teraz można mówić?

Römer był innego zdania, zdawało mu się, że właśnie teraz ma o czem innem więcej do mówienia, ale nie odrzekł nic, tylko przygotował się do słuchania.

— To wszystko kabały tego eleganckiego kanclerza. Królowa matka dopomaga mu, Ludwik obojętnie się zapatruje na wszystko, co się odnosi do tej sprawy. Przyszło do tego, że biedne królewne zrobiono dziećmi nieprawego łoża, jak dzieci Estery... Cóż wy na to kasztelanie?

— Czyliż w tej sprawie mogą być dwa oddzielne zdania pomiędzy ludźmi uczciwymi? Oburzam się!

— To niedosyć! Potrzeba działać.

— Niezawodnie nie stanę ostatni do szeregu.

— Spodziewam się, ale jak się weźmiemy do dzieła?

— Gdyby nie ta utrapiona rana, która mi jeszcze nie pozwala wsiąść na konia, udałbym się zaraz do Budzynia, tam zgromadzeni są teraz nasi panowie, odwołałbym się do ich uczciwości, do ich honoru i jestem pewny, że głos mój nie pozostałby głosem wołającego na puszczy.

— Ale mnie nic nie przeszkadza udać się tam, spenetrować wszystko, wyświetlić całą kabałę i wezwać szlachtę do obrony krwi naszego nieodżałowanego króla.

— Musimy jednak pierwej porozumieć się z królewnemi, boć to ich sprawa. Pozwólcie mi szlachetny rycerzu Jaśku, niechaj cokolwiek nad tem pomyślę, ułożymy plan i zaczniemy działać.

— Myślcie więc za siebie i za mnie, bo ja więcej umiem władać szablą, niż językiem.

Rozdział XIII.

G r a n ó w.

Na drugi dzień po wyżej opisanych wypadkach, Römer zamiast dosiąść konia, jak to sobie obiecywał, popadł w silną gorączkę; rana się otworzyła i uniemożebniła spełnienie planów.

Czyż potrzebujemy dodawać, że opieka siostry miłosierdzia ani na chwilę go nie opuszczała?

Nareszcie po dwóch tygodniach cierpień, otrząsnął się stanowczo z choroby i zamierzał w dniu następnym opuścić Vilmos, żeby się udać do Budzynia, gdy niespodziewanie przybył umyślny posłaniec z listem od marszałka koronnego Granowskiego wzywający, ażeby o ile mu siły pozwolą przybywał jaknajprędzej do Granowa, rezydencyi marszałka.

— Coś tam ważnego jest na patelni — odpowiedział Jaśko, dowiedziawszy się o treści listu. — Pan marszałek napróżno nie lubi sobie zadawać trudu, znam go od lat bardzo dawnych; nie lubi on gęsią orać, a jeżeli się wziął do pióra, to sprawa pilna; a i mnie przywiózł ten sam goniec pismo od jego miłości biskupa Lubrańskiego, króciutkie, ale rozkazujące mi pod błogosławieństwem we wszystkiem słuchać pana marszałka. Jedź więc waszmość, panie kasztelanie i odbierz instrukcye dla siebie i dla mnie.

— Wschodzące słońce nie zastanie mnie już tutaj, idę pożegnać się z królewnemi, a jutro wyruszam do Granowa.

Kto zna dzisiejszy Granów, wiosczynę leżącą o kilkanaście stai od miasteczka Słomnik, wiosczynę pozbawioną wszelkiego piękna, ogołoconą z drzew, nie posiadającą bieżącej wody, a nędzne zabudowania sterczące w gołem polu, jak niekształtne mrowiska usypane na płaszczyźnie, ten nigdy nie przypuści, a nawet trudno mu będzie uwierzyć, że miejscowość ta przed pół tysiącem lat zupełnie inny przedstawiała widok. Kolebka starej i potężnej rodziny Granowskich, z którego domu Władysław Jagiełło nie wahał się wprowadzić na tron Piastów żonę, była wówczas w posiadaniu Rafała Granowskiego, marszałka koronnego. Miejscowość ta, położona wśród lekko falującego gruntu, zacieniona była olbrzymiemi staremi dębami i lipami, pośród nich rozciągał się ogromny modrzewiowy dworzec z setkami przybudowań, przystawek, stajni i stodół folwarcznych. Dom był tylko parterowy, ale modrzewiowe bale, stanowiące ściany jego, imponowały swoją szerokością i grubością, znać, że olbrzymie to były drzewa, z których je przysposobiono, jeżeli dosięgały dwułokciowej szerokości, a wyssana z nich na wierzch promieniami słońca żywica, stanowiła jakby lakier naturalny bursztynowego koloru. Dach pokryty był ciężką czerwoną dachówką, miejscowego wyrobu; okna miały szyby oprawne w ołów, ze szkła zielonego, którego dzisiaj powstydziłaby się ostatnia żydowska buda. Wszystkie jednak te zabudowania otoczone były silnym murem, który w razie napadu jazdy i tłumu uzbrojonego w łuki, mógł śmiało urągać napadowi. Potężna, ogromna dębowa brama, stanowiła jedyny wjazd, a dwóch łuczników, stojących przy niej na straży z przewieszonemi rogami do dawania sygnałów, gotowych było w każdej chwili ob

wieścić przyjazd gości, lub przybliżenie się wroga. Okolica, położona w sercu kraju, mało była narażona na napady postronnych, dlatego więc i fortyfikacye dworca nie były zbyt silne, a zresztą w owym czasie mieszkał w nim rycerz, którego nazwisko sława wojenna rozniosła w dalekie strony i nakazywała poszanowanie każdemu, ktoby się odważył go zaczepić.

Rafał Granowski, marszałek koronny, mąż nieustraszonej odwagi, doświadczony wojownik, był w owych czasach postrachem napadającej dziczy Litwinów, Jadźwingów i Tatarów. Nie dawne to były czasy, że chociaż już złamany latami, pod Białą siedm tysięcy Tatarów trupem położył. Przy nim zginęło w tej potrzebie dwa tysiące Polaków, sam Granowski trzy razy ugodzony strzałą; kiedy trzeci pocisk odebrał w twarz od uciekającego już nieprzyjaciela, nie pierwej pozwolił sobie opatrzyć ranę i wydobyć tkwiące ostrze strzały, aż się przekonał, że nieprzyjaciel zupełnie pierzchnął. Taki to mąż nieugięty, żelazny, który walczył jeszcze przy królu Władysławie, zamieszkiwał dworzec granowski, do którego się obecnie przenosimy.

Marszałek był bezżenny, nie miał nigdy czasu na odbycie tego aktu, bo albo robił przygotowania do wyprawy, albo walczył, albo leczył się z ran, a w każdej z tych sytuacyi podwika zupełnie niepotrzebna. Nie kochał się w okazałościach, dworzec jego nie lśnił od zamorskich ozdób, ale za to nigdzie nie można było napotkać tak pysznych zbroi, tak potężnych mieczów, tak pięknych koni, jak w Granowie. Nikt nie posiadał tak dzielnych żołnierzy, jak marszałek, i równie dostatnio uzbrojonych.

Majątki po nim wszystkie miały przejść na brata Wincentego, generała wielkopolskiego, który miał jednego tylko syna, Jana. Wdowa po nim, z domu Pilecka, została potem małżonką Władysława Jagiełły.

Na podworcach dworu jednak nie było pusto, właśnie w tej chwili odbywała się mustra licznego oddziału kawaleryi. Konie i ludzie każdy sygnał rogu wykonywali z taką dokładnością, że patrzącemu zdala mogło się zdawać, iż to nie jest tłum złożony z różnorodnych jednostek, ale jakieś potwornej wielkości zwierzę, którego wszystkie ruchy są zastosowane do jednej woli. A więc formował się klin, jakby żelazny trójkąt, który ostrym wierzchołkiem wrzynać się miał w szeregi nieprzyjaciół, to na dany znak, klin ten rozpryskiwał się w tysiączne iskry pojedynczych mieczy, uderzających samodzielnie w rozpierzchniętego wroga; to znowu na inny sygnał formował się w długie trzy szeregi, zwarte jak ściany murowane i posuwał się ławą niezachwiany; to znowu wszystkie trzy szeregi zsuwały się w jeden rząd długi i mogły w około otoczyć nieprzyjaciela.

Konie i ludzie im więcej wykonywali obrotów, tem stawali się ochotniejsi, tem więcej rozpalały się twarze jeźdźców, tem silniej buchały gorące kłęby pary z nozdrzy rumaków; widoczne było, że jeżeli oddział taki uderzy na wroga, nikt mu się oprzeć nie zdoła, zdepce wszystko, rozrąbie i przygwoździ do ziemi. Pokażcie im tylko nieprzyjaciela.... nie zapytają oni o jego liczbę, ale go ostrzami szabel porachują.

Sam Rafał Granowski, marszałek koronny, komenderował tym hufcem. Był to mąż olbrzymiego prawie wzrostu, koń meklemburskiej rasy, na którym siedział, musiał mieć żelazne kości i żyły jak postronki, żeby mógł udźwignąć takiego kolosa. Biała jak śnieg głowa i takież wąsy, osłaniały twarz dwa razy naznaczoną bliznami, na której, jak u Cyklopa, jedno tylko oko świeciło, drugie w bitwie pod Białą wyłupiła strzała tatarska. Miecz prosty, szeroki, stanowiła potężna sztaba okuta ze stali; miecz taki, podniesiony w górę obiema

rękami i opuszczony z pewną umiejętnością, mógł zarówno odciąć łeb turowi, jak i przepłatać na pół rumaka. Jeżeli dalej jeszcze poprowadzimy nasz przegląd, to okaże się, że tylko jedna noga rycerza tkwi w strzemieniu, druga, ucięta powyżej kostki, zagłębiona jest jakby w rodzaj futerału; pamiątka to walki z Narymuntowiczem. Przy oblężeniu Chełmu, olbrzymi kamień, zrzucony z murów, zdruzgotał nogę tak, że musiano odciąć zmiażdżoną stopę i zastąpić ją kawałkiem drzewa orzechowego.

Na boku, przypatrując się temu energicznemu starcowi i tym mistrzowskim obrotom oddziału, stało na koniach kilku rycerzy. Na ich czele widzimy księcia Władysława Opolskiego. Nie był to mąż dyszący wojną lub skłonny do popisywania się ze swojem męstwem, ale zawsze człowiek odważny, statysta, umiejący cenić męstwo innych i dobrze to rozumiejący, że w owych czasach siła pięści jest potęgą, z którą się zawsze trzeba liczyć.

Obok księcia stał Wincenty Granowski, starosta wielkopolski, młodszy brat Rafała, a dalej syn jego Jan, młodzieniec urodny, rokujący już swymi czynami, iż wstępować będzie w ślady swojego stryja Rafała. Obok nich spostrzegamy również Wojciecha Chmurę, który, minąwszy Vilmos, chociaż odwiedzenie go miał sobie zalecone przez biskupa Lubrańskiego, nie odpoczywając, dążył do Granowa, gdzie stanął szczęśliwie przed kilku dniami.

Tu zastał już starostę wielkopolskiego z synem i księcia Władysława Opolczyka; listy biskupa wrocławskiego oddał marszałkowi, który zamknął się zaraz na naradę z bratem i księciem Władysławem, a kiedy po długiej rozmowie wyszedł z komory, przywołał do siebie Chmurę i rzekł:

— Mój Wojciechu, stary towarzyszu nie jednej mojej wyprawy, musiały ci się kości dobrze roztrząść, kiedy

z Budzynia zdołałeś przejechać Tatry i przybyć do Granowa w dziesięć dni. Odpocznij teraz mój stary. Biskup Lubrański będzie kontent z twojego pośpiechu, napiszę mu o tem.

Chmura nie był jednak z siebie zadowolonym, niedokładnie wypełnił polecone sobie poselstwo, dlatego kłaniając się marszałkowi do kolan, odrzekł:

— Straszne mam zmartwienie na wątrobie i nie wiem, jak mi stanąć przed jego miłością, bo źle wypełniłem jego polecenia.

— Cóż znowu? przecież nie kosterzyłeś się po karczmach, a z Budzynia do Granowa niktby prędzej dotrzeć nie potrafił.

— Bogiem mi, że starałem się śpieszyć, ile mi sił starczyło, ale ksiądz biskup rozkazał mi jechać przez stare Barczy i doręczyć listy Jaśkowi z Żarnowa i Römerowi, kasztelanowi. Na drodze popasając, spotkałem szlachcica jakiegoś, mianował się Nałęczem, zaczęliśmy rozmawiać i od niego dowiedziałem się, że w Vilmos już są napowrót Węgrzy, a nasi wyjechali z królewnemi. Ja, baran, uwierzyłem szczekaczowi, a że do Vilmos jadąc, trzeba było nadłożyć kilkanaście mil, opuściłem je i przybyłem do Granowa, nie oddawszy poruczonych mi listów. Tymczasem przekonałem się już na tej stronie Tatrów, że ten pijany szlachcic nagadał mi bajek, bo nikt z Vilmos z naszych się nie ruszał... Co ją teraz biedny będę robił?

Marszałek na chwilę zamyślił się.

— Trochęć, co prawda, waszmość pokpiłeś głową, ale i koń ma cztery nogi a potknie się, toż i człowiekowi zdarzy się omylić. Zresztą nic się tak strasznego nie stało; listy, które wiozłeś waszmość, tyczyły się głównie mnie, a ja je odebrałem w czasie. Naprawimy to wszystko; waszmość trochę odpoczniesz i wysmarujesz kości, a ja natychmiast wyprawię umyślnego do

Barczy do starego Jaśka i Römera z wezwaniem, żeby tu z nich który przyjechał, a wtedy wszystko się załatwi jak Bóg przykazał, boć to tam jeden jest interes do nich i do mnie. Bądź waszmość spokojny.

Chmura powtórnie pokłonił się marszałkowi, oddał list biskupa Lubrańskiego, pisany do Jaśka z Żarnowa, i w godzinę widział umyślnego posłańca pędzącego na koniu w towarzystwie luzaka do Barczy. Wiemy już, że listy szczęśliwie tam doszły i że wskutek nich Römer miał wyjechać nawet bez pożegnania z Jadwigą, ażeby nie ranić jej czułości. Prosił tylko Jaśka, żeby oświadczył obydwom siostrom, iż w ich interesie udaje się do Polski, że ma nadzieję wkrótce powrócić i przywieźć dobre wiadomości.

Ale rano dnia następnego, kiedy już siedział na koniu i cicho starał się przejechać około okien królewien, niespodziewanie drzwi się uchyliły i na progu ich stanęła Jadwiga cała w bieli.

— Jedziesz Zdzisławie — wyrzekła szybko — jedziesz i nawet się ze mną nie pożegnasz?

Römer zeskoczył z konia i kornie pochylił się do kolan Jadzi.

Ta położyła rękę na jego głowie i wpatrując się w bladą jeszcze twarz rycerza, cicho wyszeptała:

— Na wojnę jedziesz?

— Nie, jadę tylko do marszałka Granowskiego, ażeby z nim i innymi panami oprzeć się niesprawiedliwości i stanąć w obronie prawdy.

— Więc nie grozi ci w tej wycieczce żadne niebezpieczeństwo?

— Żadne. Odebrałem listy od marszałka. Domyślam się, że one dotyczą ważnych spraw, jadę więc ofiarować swoje ramie dla dobrej sprawy.

— Jedź z Bogiem, gdzie cię wzywa obowiązek, ale pamiętaj, że tu zostaje ktoś, co tęskni za tobą i co-

dzień z wieży zamkowej wypatrywać będzie twego powrotu.

— Lotem ptaka do was powrócę.

— Weź ten obrazek odemnie, wizerunek mojej patronki i módl się codziennie do niej.

— Nie zaniedbam tego nigdy uczynić — przyrzekł rycerz uroczyście.

Poczem ucałował z uszanowaniem rączkę, która zsunąwszy się z jego włosów, zawisła przy ustach i zaczem miał czas coś jeszcze dodać, biała postać zniknęła, a drzwi pocichu zamknęły się za nią.

Wskoczył na swojego rumaka, schował starannie dany sobie obrazek i ruszył w drogę, ale obejrzawszy się dostrzegł, że okienko jest uchylone i biała chustka w niem powiewa.

— Bóg z tobą, poczciwe dziecię — wyszeptał i przejechał bramę zamkową, która ukryła przed jego oczami ukochaną postać.

Bez względu na stan swojego zdrowia spiesznie przebył Tatry, w kilka dni przeprawił się przez Wisłę i bez żadnego przypadku, dotarł do rezydencyi Rafała Granowskiego, właśnie w chwili, kiedy marszałek ekscercytował swoje wojsko, a rycerze, przypatrując mu się, podziwiali je.

Niespodzianie rozległ się róg strażnika stojącego na warcie, donosząc o zbliżeniu się gościa.

Marszałek zatrzymał konia i wszyscy zwrócili wzrok ku bramie wjazdowej, która w tej chwili się otworzyła, przepuszczając najpierwej rycerza, a za nim dwóch luzaków.

— Ktoś z daleka — przemówił marszałek; — szkapy pomęczone, ale dobre.

Tymczasem nowoprzybyły, spostrzegłszy oddział uszykowanych żołnierzy i niedaleko od nich gromadkę rycerzy, zsiadł z konia, widocznie z wielką trudnością

i pomału zbliżył się do oczekujących go osób, a widząc, że go nie poznają, rzekł:

— Jestem Römer, kasztelan sieradzki, gotowy na usługi waszej wysokości, panie marszałku. Czołem miłościwym dobrodziejom. — To mówiąc, pokłonił się stojącym panom.

— Ależ dobrze waszmość robisz, prezentując nam się, odezwał się gospodarz domu — bo chociaż się dawno znamy, ale widzę waszmości tak wyblichowanym, że z trudem bym mógł poznać dzielnego kasztelana sieradzkiego.

— Choróbsko to tak mnie wyblichowało.

— Samo z siebie?

— Ej gdzie tam — ostrze topora węgierskiego zagrzęzło mi w piersiach.

— Topora — powiadasz waszmość — topora! w batalii jakiej?

— Nie, w pojedynku.

— Na topory! to nie rycerska broń!

— Nie umiałem się też zasłonić i srogo za to odpokutowałem.

Marszałek dał znak, żeby zaprzestano dalszych obrotów, a zwracając się do Römera, rzekł:

— Proszę waszmości, panie kasztelanie pod moją strzechę. Jesteś waszmość bardzo zmęczony podróżą i raną, wydychaj się trochę.

We drzwiach wchodowych, pierwszy krok zostawiono Opolczykowi; pan ten nie robił ceremonii, przekroczył próg swobodnie, ale teraz marszałek zapraszał Römera, żeby naśladował księcia.

— Niegodzien jestem — odrzekł skromnie kasztelan — brać kroku przed tak zasłużonymi ojczyźnie mężami — i cofnął się.

Starosta wielkopolski także zatrzymał się, nie chcąc przestąpić pierwszy progu.

— Cóż to! — zawołał gospodarz. — Waszmość wyłamujesz się z pod subordynacyi wojskowej! Nie słuchać swojego wodza! Odkądże to marszałek koronny nie ma prawa wydać rozkazu swojemu pułkownikowi? — I na pozór groźnie zmarszczywszy czoło, zawołał:

— Kasztelan sieradzki Römer, naprzód marsz!

Nie było rady sprzeciwiać się staremu wodzowi, którego głos rozkazujący niejednokrotnie słyszał w bitwach. Römer więc jeszcze raz złożył ukłon do kolan marszałka, i krokiem wojskowym przestąpił próg komnaty. Za nim dopiero postępował gospodarz, a następnie młodszy brat Wincenty, Wojciech Chmura, a na ostatku Jan Granowski.

Ogromna sień, do której weszli, wyłożona wytartemi płytami piaskowca, cała zawieszona była orężem różnego rodzaju: stały przy ścianach zbroje żelazne, wisiały ogromne miecze, oszczepy i halabardy, łuki olbrzymich rozmiarów, których cięciwę mało ktoby dzisiaj naciągnąć zdołał. Na czterech kołkach siedziały cztery zakapturzone sokoły, a w dwóch kątach na skórach dzików spoczywały: na jednej smycza pysznych chartów wołoskich, na drugiej sfora ogarów ogromnych, czarnych, podpalonych.

Pacholik otworzył drzwi od komnaty obszernej. Umeblowanie jej mało się różniło od sieni; na ścianach wszędzie była rozwieszona broń, w jednym tylko rogu stało łóżko dębowe prostej roboty, okryte wyprawną łosiową skórą, a na niej, w miejsce poduszki, bogata kulbaka, wyszywana jedwabiami, ale mocno wytarta od ciągłego użycia. To było łoże starego wodza, nigdy na innem nie spoczywał, wyłączając rozumie się, czasy wypraw wojennych, w których częstokroć, miejsce łóżka, zastępowała brózda, za skórę łosiową starczyło rzysho lub mech, a poduszkę zastępował kamień polny lub pniak.

Kilkanaście ławek krótkich, dębowych, okrytych skórą czarną, obitych miedzianemi gwoździami, otaczało ogromny stół z tak grubemi nogami, że na nim mógłby bezpiecznie stanąć słoń.

W głowach, nad łożem marszałka zawieszony był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w bogatych srebrnych ramach, sukienka jej cała zasiana była drogiemi kamieniami, a wisząca przed obrazem na pozłoconym haku duża lampa srebrna, napełniona wonną oliwą, z trzema zapalonymi knotami, rzucała blaski naokoło. Obok wisiał z takimże wizerunkiem Matki Boskiej ryngraf miedziany złocony, gruby, silnie już wytarty od częstego użycia. Tarczy tej świętej nie zdejmował nigdy marszałek z piersi, jak tylko dosiadał konia, udając się na wyprawę. Nie jedna już strzała odbiła się od niej, czego dowodziły rysy głębokie na miedzi.

Marszałek, wszedłszy do komnaty, złożył pokłon w stronę obrazu i pobożnie przeżegnał się, uczynił to samo brat Wincenty, a i Römer z młodym Janem Granowskim i Chmurą oddali również cześć Matce Boskiej, sam tylko Opolczyk, niewiadomo, czy już, pierwej wszedłszy, tego dopełnił, czy też uważał to całkiem za zbyteczne.

— Siadajcie mili moi goście — rzekł Rafał, obracając się do przytomnych.

Książę Władysław Opolski zasiadł na prostej ławie obok stołu, na którym już pacholiki postawili dużą stągiew cynową pełną miodu i z takiegoż kruszcu puhary.

Marszałek, utykając na swojej drewnianej nodze, zabrał miejsce przy stole nie pierwej, aż Wincenty i Römer ulokowali się swobodnie.

— Waszmość odebrałeś moje listy? — zapytał marszałek zwracając się do Römera.

— Odebrałem i natychmiast pośpieszyłem na ordynans waszej miłości.

— Dobrześ waszmość zrobił, bo sprawy są ważne i nie cierpiące zwłoki.

— Spieszyłem dzień i noc, nie szczędząc zdrowia.

— Czy wiesz waszmość o co chodzi w tej chwili?

— Sądzę, że o niedopuszczenie wykonania niesprawiedliwego wyroku, wydanego przez Węgrów na nieszczęśliwe córki ś. p. króla Kazimierza.

— W części i to jest przyczyną naszego zjazdu i o tem będziemy mówić, ale na teraz mamy coś ważniejszego do rozstrzygnięcia.

— Ważniejszego!? — zawołał Römer.

— Tak jest, czy wiesz waszmość, co biskup Lubrański do mnie pisze?

— Skądże mógłbym wiedzieć?

— Nastały w tej biednej ziemi naszej czasy niesłychanego zgorszenia, jakich historya nie przedstawia przykładu; były i dawniej zamieszki, spory, najazdy domów, ale to wszystko odbywało się jako swawola, nie grożąca jeszcze zagładą imienia polskiego, a zawsze przez prawa krajowe potępiana. Dotąd nikt nie odważył się frymarczyć częściami ziemi, tej miłej naszej Rzeczypospolitej; dzisiaj znaleźli się wyrodni synowie, którzy znaczne części jej sprzedają Węgrom, jak gdyby swoje woły lub konie, targują się o nie, intrygują i pociągają innych, chcąc uszarpnąć Rzeczypospolitej ogromny szmat ziem ruskich. Już nawet podobno królowi dali swoje podpisy za przyobiecane gruszki na wierzbie.

— Więc to już do tego doszło — odezwał się smutnie Römer — chodziły takie wieści po kraju, sam je słyszałem, ale nie przywiązywałem do nich wiary.

— Wieści te zamieniły się w pewność; donosi nam o nich najzacniejszy mąż, jakiego w tych czasach zepsucia posiada Polska, biskup Lubrański.

— A czyż nie zapominacie, szanowny panie — odezwał się książę — że ja wam pierwej o tem donosiłem.

— Prawda, ale to nie były jeszcze fakta spełnione, a tylko przypuszczenia, oparte na wieściach.

— Domyślałem ja się zaraz — dodał starosta wielkopolski — jak tylko król Ludwik odebrał ziemie ruskie waszej książęcej mości, a obdarzył was innemi, że plany węgierskie głębiej sięgają i dążą do oderwania tych ziem od Polski. Sądziłem jednak, że żaden z senatorów nie przyłoży do tego ręki, a Zawisza osiądzie na lodzie z planami swymi.

— Tak by się zdawać powinno — odrzekł smutnie marszałek — ale okoliczności inaczej się ułożyły.

— My szlachta nigdy na to nie pozwolimy — odezwał się Römer — a i między panami niewielu zapewne znajdzie się zdrajców.

— Dotąd dopiero siedmiu udzieliło swoich podpisów, ale zły przykład jest zaraźliwy.

— Którzyż to są, jeżeli można zapytać waszej miłości?

— Dlaczego nie? Każdy znać ich powinien, żeby nie dotykać ich rąk splamionych.

To mówiąc kazał sobie podać sekretarzowi, który stał przy oddzielnym stoliku, list Lubrańskiego i zaczął czytać:

— Podpisali już: Wojciech Swetecki, podskarbi koronny, który poprzednio cichaczem wydał Elżbiecie do Węgier korony polskie i insygnia koronacyjne; Szczęsny Sieciech, wojewoda lubelski; wreszcie Jan Służewski, wojewoda sieradzki.

— Nasz wojewoda! — zawołał zdziwiony Römer.

— Tak, mości kasztelanie sieradzki.

— Nigdybym go o to nie posądził.

— To jest baran, który idzie za stadem.

— No! no!

— Czwarty jest Grzegórz Ksawery Lasota, wojewoda bełzki; piąty Stanisław Krzepicki, kasztelan san-

domierski; szósty Hieronim Szpisko, kasztelan biecki, a siódmy Jan z Dębian.

Römer wysłuchał ze zdziwieniem tych siedmiu nazwisk.

— Nie słyszymy o podpisie Zawiszy — odezwał się starosta wielkopolski.

— Ten zanadto ostrożny — odrzekł, uśmiechając się książę Władysław — ażeby miał się wysuwać naprzód; jest to dyrektor orkiestry, a ci muzykanci grają na nutę, którą on im wskaże.

— Miłościwi panowie — rzekł powstając Römer — jestem z pomiędzy was najmłodszy tak wiekiem jak i urzędem, nie wątpię, że obmyśliliście środki zaradcze; ja się na nie z góry piszę, jakiekolwiek będą.

— Nie mylisz się waszmość — odpowiedział starosta wielkopolski — obmyśliliśmy i do przeprowadzenia ich wezwaliśmy ciebie.

— Przedewszystkiem rozesłaliśmy wici do szlachty całego kraju, wzywając ją, żeby się zebrała zbrojnie na sejm konfederacki do Glinian za Lwowem; pod jej decyzyę oddamy projekt jego królewskiej mości odstąpienia tych ziem Węgrom. Co cała szlachta postanowi, to będzie świętem, to stanie się prawem — mówił marszałek.

— Ależ szlachta nigdy się na takie obcięcie Rzeczypospolitej nie zgodzi, jestem tego pewny! — zawołał Römer.

— I ja tak myślę — odpowiedział Granowski Wincenty — ale wtenczas głos naszego protestu nie będzie odosobniony, poparty on zostanie głosami całego narodu i strzedz go będą wszyscy jak ewangelii.

— Nadto na sejmie tym poruszymy nieprawność wyroku duchowieństwa, orzekającego o nieprawem pochodzeniu królewien i zażądamy przywrócenia im czci — zawołał Römer.

— Bezwątpienia to uczynimy — odezwał się poważnie Władysław Opolski — i ja, chociaż książę udzielny, ale z nadanych mi obecnie królewszczyzn mam też prawo głosu i użyję go.

— Zażądamy rozmaitych nowych przywilejów od króla — dodał starosta.

— A kara na zdrajców — zapytał Römer.

— Cyt! — zawołał marszałek, przykładając palec do ust — o tem teraz nie mówmy, będzie czas na wszystko, w rozesłanych przez nas wiciach do szlachty nie ma o tem wzmianki. Ażeby szlachtę skłonić do gromadnego zjazdu do Glinian położyliśmy nacisk na przywileje i poradlne; to ich poruszy i szlachta jak roje pszczół wysypie się ze wszystkich zaścianków.

— Nie wątpię o tem — odparł Römer — i wszystko, coście miłościwi panowie zdziałali, aplauduję.

— Jest tu i dla ciebie, kasztelanie, naznaczona rola.

— Słucham z uwagą waszej miłości.

— Pojedziesz waszmość jak najprędzej do Budzynia, do miłościwego króla naszego Ludwika, któremu nie służy powietrze polskie i dlatego nas oddaje w zarząd swoim kreaturom. Oznajmisz mu waszmość, że sejm do Glinian zwołany na św. Bartłomiej, że tam zadecydujemy o projektach jego królewskiej mości i że mamy nadzieję, iż naród przychyli się do jego żądań.

— Czyżby to być mogło? — zawołał Römer.

— Cyt! waszmość jesteś kąpany w gorącej wodzie, tak potrzeba, bo inaczej Ludwik nie przybyłby na sejm do Glinian i szedłby innemi drogami do osiągnięcia swego celu.

— Będziesz miał waszmość także listy do biskupa Lubrańskiego, a i do tego eleganta Zawiszy; wszystko trzeba tak ułożyć, żeby nie dać im żadnego podejrzenia, iż mamy myśl oponować, bo mogliby nam zamącić wodę, a że na sejmie tym będą rozbierane wielkie

i ważne sprawy, koniecznie potrzeba, żeby do skutku doszedł.

— Jestem gotów wypełnić rozkazy waszej miłości i jutro opuszczę Granów, udając się do Budzynia.

— Nie, waszmość parę dni wypocząć musisz w Granowie, wyglądasz jak Piotrowin wychodzący z grobu; za parę dni i my poodbieramy niektóre listy, treść ich chcemy przesłać Lubrańskiemu, waszmość to wszystko mu doręczysz i objaśnisz.

Marszałek byłby jeszcze dłużej rozmawiał, ale widząc, że Römer upada od znużenia i zaledwie jest w stanie utrzymać się na nogach, zakończył:

— Teraz, chociaż nam droga jest obecność waszmości, prosimy jednak, przez wzgląd na zdrowie jego, udać się do przeznaczonej sobie komory i wypocząć dobrze. Wszystko tam znajdziesz, co ci może być potrzebne, uboga chata moja, ale czem bogata, tem rada.

Kasztelan powstał, sam marszałek chciał go odprowadzić na spoczynek, ale on stanowczo się oparł temu honorowi, przez wzgląd na wiek sędziwy gospodarza i kalectwo. Młody więc Jan Granowski i Wojciech Chmura towarzyszyli mu do przeznaczonej dlań komory, do której wszedłszy, rycerz uczuł się tak znużonym długą, forsowną podróżą i raną, która go jeszcze piekła, że podziękowawszy towarzyszącym mu za zaszczyt, rzucił się na posłanie i wkrótce sen twardy pochwycił go w swoje sploty.

— Coś mi się zdaje — rzekł Chmura do młodego starościca — że kasztelan sieradzki więcej myśli o interesach królewien niż o wszystkiem innem.

— Alboż one tego nie warte?

— Bezwątpienia, ale mnie się zdaje, że kasztelan zaprzepaścił swoje serce u nóg królewny Jadzi.

— Czy tak myślicie?

— Prawie pewny tego jestem.

— A ona?

— A Bóg tam odgadnie, co siedzi w sercu podwiki.

— Za wysokie to progi na jego nogi.

— Szlachcic jest polski.

— Ha, to prawda.

— Ale skąd wam przyszły takie przypuszczenia?

— Jeszcze w Wiślicy kasztelan należał do stronnictwa Zawiszy, bawił i ucztował z nim razem, gdy w tem niespodziewanie napotkał orszak królewien, udających się do Węgier z małym bardzo pocztem Jaśka z Żarnowa. Kasztelan ujrzawszy królewny, porzucił biskupa na środku drogi i przyłączył się do orszaku królewien, odbył z niemi podróż do Węgier, tam podobno zdobył jakiś zamek dla nich, w ich obronie był ranny i teraz w ich interesie tu przybył.

— Wszystko to być może — odpowiedział starościc — ale mylicie się co do zakończenia; stryj mój i ojciec wysłali do niego listy, wzywając, żeby *pro publico bono* przyjeżdżał zaraz do Granowa i on, chociaż widocznie jeszcze nie wydobrzał po chorobie, nie zwłóczył ani chwili i stawił się.

— Na taki ordynans któżby się nie stawił? a zwłaszcza, że może trzeba będzie łba nadstawić, a kasztelan zapalony jest do szabelki.

— Wszyscy staniemy i piersiami swojemi zasłonimy całość naszej ziemi.

* * *

Dwa dni zaledwie Römer odpoczywał w Granowie. Marszałek i starosta wielkopolski wystosowali listy do króla Ludwika, oznajmiające mu, że sejm na św. Bartłomiej zwołany do Glinian, rozpatrzy i rozstrzygnie jego żądania, że i oni obydwa stawią się tam niezawodnie i proszą uniżenie jego królewską mość, aby obecnością swoją uszczęśliwił swoich wiernych poddanych.

Ustną instrukcyę odebrał Römer od senatorów taką: żeby dla wykrycia wszystkich zdrajców, nie okazywał się zbyt nieprzychylnym projektowi królewskiemu, ale nie obiecując nic stanowczo, nie odbierał nadziei, że szlachta na sejmie zgodzi się na zamiany.

Do biskupa Lubrańskiego wystosowane osobne listy donosiły, że stanie się wszystko podług jego rad, że w Glinianach zjazd będzie prawdopodobnie bardzo liczny, gdyż wszystka szlachta, szykuje się do wyjazdu i na sejmie tym będzie można uregulować wszystkie zawikłane kwestye. Wyrażenia jednak listów były tak zawiłe i dwuznaczne, że tylko biskup wrocławski, który zapewne posiadał klucz do ich odczytania, mógł je zrozumieć. Sam nawet Römer nie był wtajemniczony w ich ducha.

Załączone listy do kanclerza państwa Zawiszy, miały zupełnie inne brzmienie.

Wincenty Granowski, głowacz, jak go nazywali współcześni, wystosował długie rozumowanie o nielegalności sejmu, odbyć się mającego za granicą, w Budzyniu; dowodził, że wszelkie uchwały takiego sejmu, jako odprawionego wbrew staremu prawu, zostaną unieważnione i to może dać powód do strasznych niepokojów w kraju: donosił więc, że dla uniknienia tego, wici do szlachty na sejm do Glinian rozesłano na św. Bartłomiej; że tam brać i senatorowie wysłuchają wszelkich propozycyj królewskich i przełożą swoje żądania, i że oni wszystko uczynią, co tylko sejm uzna odpowiednie dla dobra kraju. Ton listu dawał niejako do zrozumienia, że oba bracia nie bardzo się opierać będą żądaniom króla i kanclerza, lecz nic nie przesądzał naprzód, nic nie obiecywał, ani odmawiał.

Römer odebrał listy, pożegnał się i kiedy już dosiadał konia, zobaczył, że i orszak księcia Władysława Opolskiego gotów do drogi.

— Zobaczymy się tam w Glinianach, rycerzu — rzekł książę — nie wspominajcie na dworze o mojej tutaj bytności; tam kotłuje się od intryg, nie chcę, żeby przedwcześnie wmięszano mnie w kabały.

Römer skłonił się z uszanowaniem i odrzekł:

— Wola wasza spełniona będzie, miłościwy panie.

Książę podał mu rękę, dosiadł konia i z orszakiem swoim pierwszy wyjechał za bramę; w kilka pacierzy potem Römer także puścił się w drogę.

Wszędzie, gdzie przejeżdżał, pomiędzy szlachtą widocznie były jakieś przygotowania; po wszystkich dworkach, w których popasał, mówiono tylko o sejmie w Glinianach, na którym szlachta obiecywała sobie zwalić poradlne na duchowieństwo i chłopów; nie pozwolić obciążać stanu szlacheckiego żadnemi podatkami i wyjednać rozmaite przywileje; inne kwestye prawie nie były poruszane.

Szlachtę interesowały tylko pieniądze, przywileje i podatki; miano się także upominać o lepszy wymiar sprawiedliwości sądowej, ale o głównym celu sejmu, zapobieżeniu frymarkom ziemiami, nikt nie wspomniał.

Rozdział XIV.

W i ę z i e n i e.

Spory to płat świata potrzeba było przebyć, ażeby z Granowa dojechać do Budzynia, ale Römera ożywiała gorąca chęć wzięcia udziału w wypadkach tak ważnych, jakie się gotowały i odegrania w nich pewnej roli. Nadto cieszył się mocno, że przejeżdżając przez Vilmos, będzie mógł zobaczyć Jadwigę i udzielić królewnom dobrych wiadomości.

Młodość zapanowała nad chorobą, rana przestała mu dokuczać, śpieszył więc, ile tylko konie mogły wydążyć, żeby jak najprędzej stanąć w obliczu pani swojego serca.

Nie myślał się nawet zatrzymywać w Krakowie, który teraz, gdy nie miał dworu i królowa Elżbieta go opuściła, pustym się wydawał. Popasł tylko konie i wysłuchawszy mszy świętej w kościele Panny Maryi, śpieszył do swoich ludzi, chcąc jechać dalej. Aż tu niespodzianie na rogu ulicy Floryańskiej zobaczył ogromnego jakiegoś chłopa, po wojskowemu ubranego, który śpieszył ku niemu.

Kasztelan zatrzymał się i bacznie się zaczął wpatrywać w tę figurę.

— W Imię Ojca i Syna — zawołał, żegnając się. — Ty tu, Mały! ciebież ja to widzę mój setniku?

Stary wyga wyprostował się i oddawszy ukłon wojskowy, odrzekł:

— Ja tu sam jestem do usług waszej miłości.

— Co tu porabiasz! — zawołał Römer pełen niepokoju.

— Gonię waszą miłość z listami od rycerza Jaśka.

— Co się tam stało, a królewny?

— Królewny wyjechały z Barczy.

— Dokąd? Kiedy?

— Do Budzynia, zaraz na trzeci dzień po wyjeździe waszej miłości.

— A rycerz Jaśko i moi ludzie?

— Asystują królewnom, stary zaś rycerz przesyła przezemnie listy.

— Któż został w zamku?

— Zamek Barczy podobno przeszedł na własność królewnej Jadwigi, tak donosił król, została więc w nim mała załoga nasza.

— Czy królewny były zmuszone do opuszczenia Vilmos?

— Myślę, że nie, bo nie było żadnego naporu; przybyły tylko umyślnym posłańcem listy królewskie i po ich odczytaniu, na drugi dzień, najjaśniejsze królewne wyjechały.

— Masz listy? dawaj je duchem.

Rycerz prowadził na ulicy ze swoim setnikiem tak głośną rozmowę, że przechodnie zaczynali stawać i przysłuchiwać się. Spostrzegł to sam i rzekł:

— Chodźmy do mojej gospody, niedaleko stąd na Floryańskiej, tam będę mógł swobodnie przeczytać.

Zaledwie obydwaj przestąpili próg gospody, rycerz szybko obrócił się do Małego i zawołał niecierpliwie o listy.

Mały rozpiął kaftan łosiowy, wydobył chustkę, którą był okręcony pakiet i podał go kasztelanowi.

Ten spiesznie rozciął sznurek jedwabny, którym listy były przewiązane, wydobył je i zaczął czytać. Jaśko donosił, że po wyjeździe kasztelana przybył umyślny posłaniec z własnoręcznymi listami króla i królowej matki, zapraszającymi obie siostry do Budzynia, gdzie zapadnie ostateczna decyzya o ich losie, i że same sobie przypiszą złe skutki, jeżeli dla jakichkolwiek przyczyn natychmiast nie wykonają woli króla. Nadto król miłościwie dodawał, że ponieważ zamek Vilmos, przeszedł na własność królewny Jadwigi, pozwala jej więc utrzymywać w nim swoją załogę polską.

Trudno sierotom było natychmiast się zdecydować, nic dziwnego, że zawahały się, lecz poseł przywiózł także list do nich od biskupa Lubrańskiego, zachęcający, żeby się nie opierały woli królewskiej. To je zdecydowało i na drugi dzień wybrały się w drogę, zostawiwszy w Vilmos kilkunastu tylko ludzi na załodze. Dalej Jaśko zapewniał kasztelana, że sierot nie opuści ani na chwilę i że tam, gdzie jest teraz zgromadzonych tylu znakomitych panów polskich, nie może im grozić żadne niebezpieczeństwo.

List mieścił w sobie pozdrowienie od obydwóch sióstr i prośbę od Jadwigi, żeby kasztelan jak tylko będzie mógł, najprędzej przybywał do Budzynia.

— Co się tam stało nowego? — myślał kasztelan. — Jakiś nowy wiatr zawiał, ale łaska Boska mnie tam zaprowadzi szczęśliwie.

Obracając się do Małego, zapytał:

— Ilu masz ludzi ze sobą?

— Jednego tylko.

— A reszta mego oddziału?

— Pod dowództwem rycerza Jaśka eskortuje księżniczki.

— To dobrze; pojedziesz ze mną. Czy konie wasze wysapały się już?

— Wydychały się dobrze. Gotowiśmy do drogi, chociażby natychmiast.

— Kiełznać konie.

Wkrótce wszyscy dosiedli koni i Römer w towarzystwie swojego małego hufca, forsownie śpieszył do Budzynia.

Różne myśli nasuwały mu się w drodze. Zaniepokoiła go mocno jedna z nich: bądź co bądź, zdobywając Vilmos i usuwając załogę węgierską, dopuścił się przestępstwa stanu. Jakkolwiek odbyło się to bez rozlewu krwi, jednakże fakt był faktem i zapewne trzeba się będzie z niego wytłómaczyć. Cóż więc go czekało za przybyciem do stolicy Węgier? czy rozsądnie było leźć wilkowi w rozwartą paszczę?

Wprawdzie wypadki podobnych najazdów były bardzo częste w owych czasach, ale to nie uspakajało go bynajmniej, bo często i łby spadały za to.

Wiedział z drugiej strony jednak, że król Ludwik obecnie potrzebuje szlachty, głaska ją, nie zechce więc zapewne poruszać sprawy, któraby narobiła dużo hałasu; a gdyby nawet tak było, że w Budzyniu pociągną go do tłumaczenia, to czyż ma się ukrywać? A przecież i Jaśko nie jest mniej winny od niego, a dlatego nie zawahał się i nie opuścił swojego stanowiska.

— Ha! — machnął ręką — mniejsza o to, nie tak to łatwo szlachcicowi polskiemu zdjąć głowę z karku; będzie, co Bóg da... nie opuszczę jej.

Po kilkunastodniowej podróży wśród łanów dojrzewającej kukurydzy i rozkosznych winnic, okrytych w tej porze właśnie dojrzewającemi gronami, zmęczony poczet Römera, znalazł się u bram Budzynia. Straż, widząc rycerza na czele tylko kilku ludzi, nie pytała go o nazwisko i nie zatrzymywała wcale; swobodnie więc przejechał bramę miejską i tutaj, na małym placyku rozciągającym się pod murami, przystanął namyślając się,

gdzie ma zajechać. Konie były bardzo zmęczone, rozkazał je rozkiełznać i nasypać w torby obroku, a obracając się do swojego setnika rzekł:

— Jedź Mały do miasta i dowiedz się, gdzie jest rezydencya jego miłości biskupa Lubrańskiego; przekonaj się, czy tam nie stoi kwaterą Jaśko z'moimi ludźmi, my tymczasem wytchniemy tu koniom, zrobimy porządek koło siebie i będziemy czekać twego powrotu.

Mały, nie zsiadając z konia, puścił się jedyną ulicą, stanowiącą jakby przedmieście i wkrótce zniknął z oczów.

Po upływie pewnego czasu Römer zaczął się niecierpliwić i wyglądać powrotu setnika, konie już podjadły i były pokiełznane. Mały nie powracał, ale w miejsce jego od strony miasta pokazał się oddział żołnierzy pieszych, uzbrojonych w halabardy i łuki. Oddział ten prowadził jakiś oficer i bacznie się przypatrywał spoczywającej pod murami garstce cudzoziemskich żołnierzy.

Kiedy zbrojni zbliżyli się na kilkanaście kroków, oficer zakomenderował:

— Stój!

Cały oddział stanął jak mur, a składał się z kilkudziesięciu ludzi; oficer zbliżył się do oddziału Römera i oddawszy ukłon wojskowy, zapytał:

— Szlachetny rycerzu, czy nie raczycie powiedzieć mi swej godności i nazwiska?

— Któż mnie o to zapytuje?

— Jestem dowódzca straży policyjnej i do mnie należy wiedzieć kto wjeżdża do stolicy.

Odpowiedź była racyonalna i wygłoszona tonem pełnym uprzejmości.

— Jestem Römer, kasztelan sieradzki, jadę z Polski z listami do jego królewskiej mości.

Na te słowa twarz oficera dziwnie się zachmurzyła, zdawało się, że wiadomość ta nie sprawia mu przy-

jemności, obrócił się do swoich żołnierzy i wydał rozkaz otoczenia Römera i jego kilku towarzyszy.

— Przykro mi bardzo — rzekł, przybliżywszy się — ale mam polecenie aresztować waszą miłość.

— Mnie! — zawołał Römer, kładąc rękę na szabli. — Mnie, szlachcica polskiego! Na czyjże rozkaz chcecie to uczynić panie?

— Na rozkaz jego królewskiej mości, pana naszego miłościwego.

— To nie może być!

— A jednak tak jest.

— A jeżeli będę się bronił?

— Wierzcie mi szlachetny panie, że pogorszycie tylko swoją sprawę; ot, obejrzyjcie się, brama, którą wjechaliście, już jest zamknięta i tym sposobem odwrót wam odcięty. Wy i waszych kilku ludzi, waleczny rycerzu, chociażbyście wszyscy byli olbrzymami, nie oprzecie się nam. Sto ludzi moich otacza was, a jeżeliby było potrzeba, dziesięć razy tyle zjawi się, skoro dam sygnał.

Römer obejrzał się, brama rzeczywiście była zamknięta, liczba otaczających węgrów stojących nieruchomie, w dziesięćkroć przewyższała jego oddział; przekonał się, że szaleństwem byłoby stawiać opór.

— Nie będę się sprzeciwiał woli jego królewskiej mości; czy tylko panie nie mylicie się co do mej osoby?

— Niestety, nie. Nazwisko wasze od chwili zdobycia Vilmos stało się u nas głośne, i niestety, mój krewny hrabia Moszczanyi przypłacił to swoją głową.

— Co! hrabia Moszczanyi został stracony? Za co?!

— Jeżeli nie za zdradę, której nie popełnił, to za niedołęstwo. Pozwolił wam odebrać sobie zamek bez żadnego oporu.

— Tam użyty był podstęp wojenny.

— Dowódzca twierdzy przygotowany być winien na wszelkie podstępy.

— I wyrok już wykonany?

— Sądy wojenne szybko działają u nas, wina była dowiedziona, zresztą sam hrabia nie zapierał się, wyrok wydano i wykonano go w ciągu jednej doby.

Zaiste, było się nad czem zamyśleć.

— Skądże wiedziano o mojem przybyciu do Budzynia?

— Wcale nie wiedziano, ale wydano wyrok zaoczny, nakazujący wszystkim władzom imać was i...

— I wyrok wykonać jak na hrabi Moszczanyi?

— Nie. Hrabia Moszczanyi był poddany węgierski, jego osądziły prawa krajowe, a zresztą wy dopiero będziecie sądzeni. Ale raczcie wsiąść na koń i postępować w mojem towarzystwie; rozkażcie swoim ludziom oddać broń i uważać się za jeńców, co zaś do waszej szabli, szlachetny panie, to wam ją pozostawię, gdy się uznacie moim jeńcem.

— Dziękuję ci bardzo rycerzu za twoją względność. Uznaję się za twego jeńca; prowadź mnie, gdzie ci rozkazano.

Oficer zrównał się swoim koniem z Römerem i skierował do miasta, gdy tymczasem jego ludzie zostali rozbrojeni, a ponieważ nie stawiali żadnego oporu, straż zachowała się względem nich spokojnie.

— Gdzie mnie zaprowadzicie, jeżeli wolno zapytać?

— Tymczasowo do ratusza, tam zdam was mojej władzy, a ona odniesie się do króla.

— Ja mam do niego listy od panów polskich.

— Tem lepiej dla was.

— Czy je będę mógł sam doręczyć?

— Nie wiem tego, to nie odemnie zależy.

Jakiś czas jechali milcząc, nareszcie wjechali w ulice szczelnie zabudowane. Przechodzące gromadki ludzi przystawały, przypatrując się, niektórzy szydzili, inni kłaniali się uprzejmie.

— Czy nie moglibyście mnie objaśnić panie, gdzie się znajdują córki króla nieboszczyka Kazimierza, które tu przybyły przed kilkoma dniami?

— Umieszczone są w zamku; unieważniono wyrok, jaki na nie wydał sąd duchowny.

— Skądże taka nagła zmiana? — zawołał uradowany Römer.

— Nie była już potrzebna ta komedya; następstwo tronu w Polsce przyznano stanowczo córce królewskiej, a i Ojciec święty nie chciał podobno potwierdzić wyroku.

— To chwała Bogu, przynajmniej jedną dobrą wiadomość odebrałem; dziękuję wam za to; ale czy jeszcze nie możecie mnie objaśnić gdzie się znajduje rycerz Jaśko z Żarnowa, który im towarzyszył?

— I na to wam mogę odpowiedzieć. Rycerz, który towarzyszył królewnom, znajduje się przy biskupie wrocławskim, w jego rezydencyi. On go wziął na swoją porękę.

— Więc nie pociągnęli go do żadnych tłumaczeń?

— Nie, on wszedł do Vilmos, kiedy już chorągiew polska powiewała na baszcie, a wychodząc oddał zamek podług woli królewskiej.

Pocieszyły te wiadomości Römera.

— Gdy wjechano w środek miasta, ulice pełne były przechodniów, oryginalne ubiory Węgrów mięszały się z serbskimi i bułgarskimi, a napotkać można było i nielicznych Turków w zawojach, przybyłych dla handlu.

Nareszcie wjechano na obszerny dziedziniec ponurego gmachu, z potężnymi grubymi murami. Był to ratusz.

Żołnierzy Römera uprowadzono gdzieś na bok, on zaś, postępując za oficerem, znalazł się w sklepionej komnacie, w której siedział jakiś jegomość, zajęty pisaniem.

Człowiek zagłębiony w papierach, na odgłos rozlegających się kroków, podniósł głowę schyloną nad

stolikiem, założył duże pióro gęsie za ucho i milcząc wpatrywał się w przybyłych.

— Panie burmistrzu — rzekł oficer eskortujący więźnia — jest rycerz Römer, który napadł zamek królewski Vilmos i którego kazano imać w razie pojawienia się w granicach państwa.

— Na te słowa twarz burmistrza wydłużyła się, uprzejmy uśmiech, jakim była z początku przyobleczona, znikł, a surowe spojrzenie niby ostrze sztyletu zdawało się sięgać do serca więźnia.

— Czy wy rzeczywiście, Panie, jesteście tym za kogo was przedemną przedstawia oficer straży?

— Tak, jestem Römer, kasztelan sieradzki, szlachcic polski i poseł do króla od marszałka koronnego i innych panów polskich.

— Poseł! — zawołał zdziwiony burmistrz — poseł z orężem w ręku, zdobywający zamki królewskie! rozlewający krew! niosący pożogę i zniszczenie!!

— Niczego podobnego nie dopuściłem się, krew nie płynęła i pożogi żadnej nie było, gdy stanę przed sądem polskim, wytłómaczę się z tego.

— Bezwątpienia, szlachetny panie, stawieni będziecie przed sądem, u nas nic się nie dzieje bez sądu i prawomocnego wyroku; daj Boże, żeby ten, jaki wypadnie dla was, był wam przychylny.

— Ale ja nie uznaję sądów węgierskich nad sobą, jestem szlachcicem polskim i mogę być sądzony tylko przez równych mi panów.

— Czy i najmiłościwszego króla naszego Ludwika, daj mu Boże najdłuższe życie, nie uznajecie za swego władzcę, mającego prawo życia i śmierci każdego z poddanych w swojej dłoni?

— Króla uznaję za króla i pierwszego rządzcę mojej ziemi, ale ja, jeżeli go sam nie wybierałem, to zgodziłem się na jego wybór i głos mój zarówno mogłem

dać za nim, jak inni mogli dać za mną. Tak dobrze na tronie polskim może zasiadać Ludwik, węgierski król, jak Römer, szlachcic polski; myśmy mu nadali prawa, myśmy je ograniczyli, ale nie przelaliśmy na niego prawa miecza bez sądu naszych senatorów.

Burmistrz uśmiechnął się dobrotliwie i składając ręce na piersi, rzekł:

— Tymczasem, zanim król o losie waszym postanowi, raczcie, szlachetny panie udać się do przeznaczonej wam komnaty; proszę jednak zostawić tutaj swój miecz.

Na te słowa twarz kasztelana pokryła się bladością oburzenia; groźnie położył rękę na rękojeści i zuchwale spoglądając w oczy urzędnikowi, odrzekł:

— Miecz ten i pas rycerski dostałem od cesarza Jana Paleologa pod Adryanopolem, gdym wraz z nim bronił miasta, niestety bezskutecznie, przed nawałą turecką. Z nim też odbyłem podróż do Rzymu, do Ojca świętego Grzegorza XI, a odbierając te oznaki rycerskie, poprzysiągłem na cześć swoją, że oddam je tylko razem z życiem.

Burmistrz na chwilę zamyślił się. Pozostawić więźniowi broń, nie zdawało mu się właściwem, ale z drugiej strony więzień ten odzywał się tak hardo i jak mówił, miał listy do króla. Widoczne było, że liczył na coś i dobrowolnie nie podda się, potrzebaby użyć przemocy, a wśród setki intryg, jakie krzyżowały się wówczas na dworze królewskim, postępując nierozważnie, można się było narazić potężnej jakiej osobistości i drogo przypłacić swoją śmiałość.

— A więc zatrzymajcie ten miecz, który jest tak drogocenną pamiątką waszą, zatrzymajcie go, i oby wam jeszcze długo służył przeciw nieprzyjaciołom; lecz proszę, powierzcie mi listy, jakie macie do króla jegomości.

— Dziękuję wam panie burmistrzu za waszą względność, lecz prośbie waszej zadość uczynić nie mogę; listy muszę doręczyć sam osobiście królowi, złożyć je na ręce biskupa wrocławskiego Lubrańskiego, którego proszę powiadomić o mojej kwaterze na waszym chlebie.

Burmistrz zamyślił się, ale po chwili, spełniając żądanie więźnia, rzekł:

— Stanie się jak sobie życzycie, panie, tymczasem proszę was, udajcie się do przeznaczonej wam komnaty.

Klasnął w ręce, a na ten znak weszło do izby czterech parobków uzbrojonych w halabardy i burgrabia z pękiem kluczy w ręku.

Burmistrz szepnął parę słów temu ostatniemu do ucha i... lekko skinąwszy głową Römerowi, na znak pożegnania, oswobodził ucho od potężnego pióra, poczem zasiadł nad stołem pokrytym papierami, zagłębiając się w ich czytaniu.

Burgrabia skłonił się przed rycerzem z uszanowaniem i rzekł:

— Proszę iść za mną.

Römer milcząc, postępował za swoim przewodnikiem, czterech pachołków nie odstępowało go ani na krok, przeszli długie, ciemne, sklepione korytarze, wśród których po obu stronach widzieć można było mnóstwo silnych dębowych drzwi z zawieszonemi przy nich olbrzymiemi kłódkami. W samym końcu korytarza burgrabia przystanął, wyjął z pęka kluczy jeden i otworzył nim podwoje.

Komnata sklepiona, do której weszli, była dosyć obszerna, dwa okna silnie zakratowane, przepuszczały słabo promienie słońca, drewniany tapczan z brudnym siennikiem, stół i dwa stołki dębowe stanowiły całe umeblowanie.

Po wyjściu burgrabiego, drzwi się natychmiast zamknęły i więzień pozostał sam ze swojemi myślami.

Odpasał miecz, zrzucił zbroję i zaczął szerokimi krokami przechadzać się po kamiennej posadzce swego więzienia.

Tragiczne położenie, w którem się znalazł, nie tyle go niepokoiło, ileby można przypuszczać; rozjaśniała go wiadomość szczęśliwa, iż królewne wolne od hańbiącego wyroku, że to, co uważał za najkosztowniejszy przywilej człowieka: dobre imię, pozostaje im bez skazy.

Ale jednocześnie nasuwała się uwaga: jeżeli im przywrócono stanowisko księżniczek krwi, jakież nadal wytknięto im przeznaczenie? Bezzawodnie wybiorą im jakichś panujących za małżonków, a one cnotami swemi i pięknością ozdobią dwa trony europejskie. Ale czy będą szczęśliwe?

Biedne sieroty! Jakkolwiek nad niemi nie cięży już hańba, ale wisi nieszczęście; a Jadwiga, ta słodka, anielska dziewica, która tak wspaniałym blaskiem rozjaśniała drogę jego życia, czy podda się tym wyrokom, czy też zostanie wierna swoim przyrzeczeniom? Bądź co bądź, życie jego ma wartość i bronić go powinien wszelkiemi siłami i wydobyć się z tej kaźni.

Długo chodził zadumany po swej komnacie, zestawiając wszystkie okoliczności, ale rezultat, do jakiego przychodził, zawsze wypadał niekorzystnie. Śmierć hrabiego Moszczanyi tak nagle i stanowczo spełniona, dawała mu poznać, że sprawę tę rząd uważa za ważną.

Tymczasem drzwi się otworzyły i wszedł dozorca, niosąc pod jedną pachą chleb z kukurydzy, w drugiej zaś cynowy dzban wody; milcząc, postawił te zapasy na stole i równie cicho jak wszedł oddalił się, zanim więzień miał czas zadać mu parę pytań.

Zmrok nareszcie zaczął zapadać, w komnacie zrobiło się zupełnie ciemno, nie podawano jednak żadnego światła. Wziął dzban z wodą i chciał ugasić pragnienie, ale woda była tak stęchła, że ze wstrętem odstawił ją

na bok. Spróbował chleba, ale i ten był jakiś cierpki i zupełnie mu nie smakował. Przez małe, zakratowane okienko we drzwiach przedzierał się słabo blask światła i słychać było kroki przechadzającego się szyldwacha. Rycerz zniecierpliwiony zaczął rękojeścią szabli uderzać we drzwi gwałtownie, starając się przywołać dozorcę; wkrótce też u zakratowanego okienka pokazała się jakaś twarz i głos chrapowaty zapytał czegoby sobie życzył.

— Ależ żądam jeść, pić i światła! — zawołał gwałtowniej jeszcze, uderzając rękojeścią szabli we drzwi.

— Światło zabronione jest więźniom, a żywność i napój już są wam dostawione, panie — odpowiedział dozorca.

— Ależ psy nie chciałyby jeść takiego chleba, a bawoły nie piłyby takiej cuchnącej wody.

— A jednak my ludzie jemy ten chleb i pijemy tę wodę.

— Czyliż za pieniądze nie będę mógł dostać innego pożywienia.

— Jeżeli na to burmistrz pozwoli.

— A bez jego pozwolenia?

— Nic się tu nie stanie bez jego woli.

— A więc idź do niego i powiedz mu, że potrzebuję przyzwoitego pożywienia, napoju i światła. Za wszystko zapłacę.

— Uczynię to jutro, szlachetny panie, dzisiaj już burmistrz udał się do mieszkania do swojej młodej żony, a tam nikt nie odważy się iść zakłócać jego spoczynku.

To powiedziawszy, dozorca oddalił się, życząc dobrej nocy rycerzowi, i pomimo wszelkich nawoływań i przekleństw nie powrócił już więcej.

Tymczasem rozgniewany rycerz zmiarkował pomimo swojego rozdrażnienia, że nic nie zdziałają jego pogróżki i rozbijanie krzeseł o ściany; przycichnął więc

i zmęczony rzucił się na twarde łoże, przeklinając Węgrów i życząc im, żeby w piekle równie gościnnie ich przyjmowano.

Noc przeszła pełna widziadeł rozgorączkowanej wyobraźni; kiedy otworzył oczy ze snu, na brudnej ścianie więziennej, której okno wychodziło na wschód, odbijał się już promień słońca, i oświetlając to ponure miejsce, tem przykrzejszą czynił samotność, pokazując, że tam, po za tymi grubymi murami jest inny świat pełen blasku, którego piękności nie umiemy cenić, dopóki go nie utracimy.

Zerwał się i przedewszystkiem przeżegnawszy się, jak przystało na rycerza, uklęknął pokornie i zaczął odmawiać poranne modlitwy, tem gorliwiej, że zapomniał odmówić wieczornych; pomału spokój owładnął jego wzburzoną naturą: »Cokolwiek się stanie, stanie się z woli Boga«, ta myśl uspokoiła go i natchnęła ufnością.

I znowu zjawił się dozorca z dzbanem wody i kromą chleba, milcząc postawił zapasy te na stole i oddalił się, nie odpowiadając na pytania więźnia.

Postanowił cierpliwie czekać, aż zostanie wezwany przed sąd i tam będzie bronił swojej sprawy. Głód przemógł wstręt do niesmacznego jadła i chleb nie był mu już dziś tak cierpki, a woda wydała się świeżą i smaczną. Niewymownie jednak dłużyły mu się godziny, zbliżał się już drugi wieczór, a nikt nie przybywał, żeby go wezwać do sądu.

Strażnik stał się zupełnie milczący, jakby głuchoniemy, nic nie odpowiadał na zadawane mu pytania, niby automat przynosił żywność, stawiał ją i z głębokim ukłonem oddalał się.

Zapadła nareszcie druga noc od chwili, gdy został uwięziony, a i teraz nie podano mu światła. Co to wszystko miało znaczyć? Mieliżby o nim zapomnieć tak wrogi jak i przyjaciele?

Noc zrobiła się ciemna i burzliwa, na dworze słychać było szum wiatru i potoki deszczu, spadające po czerwonych dachówkach. Kroki szyldwacha jednotonnie rozlegały się po korytarzu, w celi zrobiło się już zupełnie ciemno. Więzień usiadł na łóżku i w głęboką popadł zadumę.

Niespodziewanie wśród ciszy nocnej dały się słyszeć na korytarzu jakieś przyśpieszone kroki; przez małe okienko w drzwiach, słabo oświetlone, przedarł się promień jaskrawy światła, kroki umilkły przy drzwiach jego więzienia, klucz w zamku obrócił się i cała cela została oświetlona. Na progu pokazał się dozorca z dwoma pachołkami, trzymającymi pochodnie w rękach, następnie kroczył poważnie burmistrz w swojej delii karmazynowej z łańcuchem na szyi i małą srebrną buławką w rękach, za nim widać było postać rycerza, którego białe wąsy poważnie spadały na piersi, a uśmiechająca się twarz Jaśka napawała błogą nadzieją.

Römer powstał, czekając na przybyłych. Zanim jednak burmistrz miał czas otworzyć usta, twarda prawica Jaśka wyciągnęła się do więźnia, a ten, silnie ją uścisnął.

Burmistrz jednak ani na chwilę nie zapomniał swojej powagi. Rękę, w której trzymał buławkę, podniósł do góry, nakazując milczenie i donośnym głosem odczytał następujące słowa:

»Z woli najmiłościwszego króla i pana naszego Ludwika, na skutek poręczenia osób wysokiego dostojeństwa, jesteście tymczasowo kasztelanie sieradzki uwolnieni z pod aresztu, możecie się stąd wydalić, nie opuszczając jednak miasta, i macie oczekiwać na wolnej nodze wyroku w Budzyniu«.

— Wam to winien jestem wolność, szlachetny rycerzu — rzekł wzruszony więzień, zbliżając się szybko do Jaśka z Żarnowa.

— Nie, ja tylko jestem zwiastunem szczęśliwej wiadomości.

— Więc biskup wrocławski wpływami swymi skruszył rygle mojej niewoli?

— I to nie; jest ktoś inny, co się troszczył o wasz los i któremu król Ludwik odmówić nie mógł, owa osoba poręczyła za was i na jej odpowiedzialność jesteście wolni.

— Czyżby to była ona! — zawołał mocno wzruszony Römer.

— Nie mylicie się, kasztelanie, królewna Jadwiga udała się dziś do króla, rzuciła się przed nim na kolana i prosiła o waszą wolność.

— Królewna Jadwiga! — zawołał zdumiony Römer. — Boże mój, czemże ja zasłużyłem na taką łaskę?

Teraz burmistrz postąpił krok naprzód i znowu podnosząc swoją buławkę do góry rzekł:

— Królewna polska miała wszelkie prawo do wstawienia się za waszym losem, szlachetny panie, gdyż zamek Vilmos został jej darowany na własność przez miłościwego króla Ludwika. Oświadczyła ona, że weszliście do zamku za jej wiedzą i zajęli go w jej imieniu na jej rzecz. A że nie popełniliście żadnego czynu krwawego, nie dopuściliście się więc przestępstwa, bo zamek w chwili owej nie był już własnością króla.

— A więc za cóż Moszczanyi przypłacił głową swoją jego poddanie?

— Hrabia nie wiedział jeszcze wówczas o wyroku królewskim; obowiązkiem jego było bronić zamku, a że nie dopełnił tego... winien jest.

Römer smutnie spuścił głowę na piersi i wyrzekł cichym głosem:

— Biedny Moszczanyi! To ja mu się tak przysłużyłem.

— Nie wy, lecz prawo, a zresztą miał on tu nieprzyjaciół, którzy go najpierwej wyprawili do pustego

zamku jakby na wygnanie, a następnie skwapliwie skorzystali z jego błędu — odrzekł burmistrz.

— A więc, kasztelanie, bieda skończona, czego jeszcze będziemy oczekiwali w tej ciemnej norze? — odezwał się Jaśko. — Chodźmy stąd.

Uwolniony więzień nie dał sobie dwa razy powtórzyć podobnego wezwania, śpiesznie przypasał miecz do boku i gotowy był do wyjścia.

— Spodziewam się szlachetny panie — rzekł burmistrz, nizko się kłaniając — iż na niczem wam tu nie zbywało i że wszelkie możebne wygody, jakie są dozwolone w więzieniu, nie były wam odmówione.

Römer gniewnie spojrzał na mówiącego, chcąc się przekonać, czy on nie drwi z niego. Znajdował się w brudnej celi, spał na startej, starej słomie, jadł chleb niewypieczony, pił stęchłą wodę, i to wszystko ten bezczelny człowiek śmie nazywać możebnemi wygodami. Miał mu już surowo odpowiedzieć, ale przypatrzywszy się dobrodusznej twarzy burmistrza, nie spostrzegł w niej żadnego odcienia szyderstwa, wyraz jej był szczery i znać, że słowa płynęły z przekonania; odrzekł więc:

— Jeżeli ta brudna stancya, stęchła woda i cierpki niewypieczony chleb mogą się nazywać wygodami, to je miałem w obfitości.

— Cieszy mnie niewymownie, że przyznajecie to, szlachetny panie; nie dla każdego, kto dostawał się pod te sklepienia, los był tak życzliwy.

Römer roześmiał się na tę pochwałę wygód ratuszowych, wygłoszoną przez zacnego burmistrza.

— Chodźmy więc — odezwał się.

Dwóch pachołków oświetlało korytarze, za nimi postępował burmistrz, a dalej obadwaj rycerze, trzymając się za ręce.

Przy wyjściu z podziemi, cała świta zatrzymała się. Burmistrz złożył głęboki ukłon i oddalił się do swo-

jego mieszkania, obydwaj zaś Polacy wyszli swobodnie na ulicę.

Za bramą więzienną Römer dojrzał kilku jeźdźców, trzymających dwa luźne konie. Ci, gdy tylko spostrzegli wychodzących rycerzy, głośnym okrzykiem ich powitali, a olbrzymi chłop, w którym poznał swego setnika, postąpił ku niemu uradowany.

— A co Mały! ciebie więc nie spotkał los podobny mojemu, nie zaznajomiłeś się z norami Węgrów?

— On do nas pierwszy przybył — rzekł Jaśko — i dał nam znać, że przybyliście do Budzynia; wysłaliśmy po was naszych ludzi, ale na Zielonym Placu przy bramie nie znaleziono was i wkrótce dowiedzieliśmy się, jaki los was spotkał.

— A ludzie moi, których wraz ze mną uwięziono?

— Od wczoraj jeszcze są wolni i połączyli się z oddziałem.

Tymczasem zapalono pochodnie i obydwaj rycerze, dosiadłszy koni, poprzedzani przez służbę, niosącą światła, zwolna skierowali się w jednę z ulic poprzecznych.

— Gdzie mnie prowadzicie rycerzu Jaśku? — zapytał Römer. — Trzebaby wyszukać jaką gospodę i uplasować się w niej.

— Teraz oczekuje was w swojej rezydencyi biskup Lubrański i na tę jednę noc przyjmiecie jego gościnność, jutro zaś coś postanowimy.

Ulice Budzynia, przez które przejeżdżali, niebrukowane, po deszczu pokryte były kałużami, w których, jak w źwierciadłach, odbijały się promienie pochodni i wydłużone postacie jeźdźców i koni. Deszcz mżył jeszcze, a w niektórych tylko oknach słabe światełka migotały.

Przybyto nareszcie do ogromnej kamienicy, zajmowanej przez dwór biskupa wrocławskiego. Jeźdźcy, jadący na przodzie, zaczęli stukać w potężną bramę,

która spiesznie się otworzyła, a cały orszak znalazł się w obszernem podwórzu, słabo oświetlonem paroma tylko pochodniami; przy blasku ich jednak można było widzieć grube mury głównego domu, a na bokach podwórza obszerne stajnie i inne zabudowania. Rycerze zeskoczyli z koni i udali się wązką sienią do komnat biskupa.

Nie wyległy tu na przybycie ich tłumy służby, cisza poważna panowała w powietrzu, sień oświetlona jednym tylko kagańcem, przedstawiała długą sklepioną szyję. Na odgłos ich kroków, drzwi leżące na samym końcu otworzyły się i z komnaty buchnęło światło. Przybyli weszli do niej; tutaj zastali jednego tylko dworzanina.

— Czy możemy się widzieć z jego ekscellencyą księdzem biskupem?

— Jego ekscellencya niecierpliwie oczekuje was, szlachetni panowie — odpowiedział człowiek, ubrany na pół po świecku, na pół po klasztornemu, i jednocześnie otworzył im drzwi do przyległej komnaty.

Przy prostym dębowym stole, niepokrytym nawet kawałkiem sukna, na drewnianym zydlu siedział mały człowieczek w wyszarzanej starej sutannie, fioletowa czapeczka okrywała jego rzadkie siwe włosy, przed nim leżały stosy papierów, które z uwagą przeglądał. Chude, wyschnięte ręce pokryte były skórą żółtawą, jak pergamin, na środkowym tylko palcu błyszczał kosztowny pierścień, oznaka wysokiej godności.

Na szelest otwierających się drzwi, biskup zwolna podniósł pochyloną nad papierami głowę i obrócił ją ku wchodzącym; coś jakby uśmiech zadowolenia zaigrało na wyschniętej twarzy, ale sam nie ruszył się z siedzenia.

Römer postąpił parę kroków i pobożnie złożył pocałunek na ręce biskupa.

— Witaj nam, poczciwy kasztelanie — zawołał staruszek wesoło, ściskając jego głowę — więc nareszcie jesteś pomiędzy swoimi, wyszedłeś z niewoli babilońskiej.

— Dzięki wstawiennictwu potężnemu waszej ekscellencyi.

— Mylisz się mój synu, mylisz zupełnie; nie potrzeba tu było używać mojego wstawiennictwa; inne tam usta przemawiały za tobą i wyjednały ci wolność.

Römer lekko zarumienił się, usłyszawszy powtórnie tę wiadomość.

— Siadajcie moi przyjaciele — mówił dalej biskup, obracając się do swoich gości — pomówimy trochę o sprawach ogólnych.

Römer odpiął kaftan i wydobywszy z niego pakiet, owinięty w kawałek materyi, rzekł podając go biskupowi:

— Przedewszystkiem wypełnić muszę zlecenie marszałka koronnego do waszej ekscellencyi; oto listy od niego, które składam szczęśliwie do rąk waszej miłości.

Biskup wyciągnął rękę i przyjął podany pakiet, leżącym na stole nożem rozciął sznurki i wydobył pismo, ale zanim wziął się do czytania, zapytał:

— Cóż mi waszmość powiesz o zdrowiu naszego marszałka koronnego, jak tam stary przetrzymuje swój wiek i kalectwo?

— Marszałek cieszy się czerstwem zdrowiem; zastałem go na koniu na podwórzu, mustrującego zastęp dzielnych jak on żołnierzy.

— Żelazny to człowiek — mówił zamyślony biskup — żelazne zdrowie, tać on pokłuty na całem ciele jak rzeszoto, a i lata ma nie dzisiejsze, on był już mężem sławnym ze swoich czynów wojennych wtenczas, kiedy ja jeździłem jeszcze na drewnianym koniku.

— Nie życzyłbym sobie jeszcze dzisiaj spotkać się z jego mieczem — odrzekł skromnie Römer. — Wpraw-

dzie jedną nogą opiera się tylko w strzemieniu i jednym okiem spogląda na nieprzyjaciela, ale nic się nie schowa przed jego orlim wzrokiem i pomimo braku nogi żaden wróg mu nie dostoi.

— Wiem, wiem to wszystko, to towarzysz bojów jeszcze Łokietka, tacy to ludzie wówczas się rodzili i swojemi piersiami zastawiali ojczyznę. A generał wielkopolski Wincenty?

— Zastałem go w Granowie wraz z synem Janem w gościnie u marszałka.

— Tęga to głowa i charakter szczero-polski, kontent jestem, że i on wie już o wszystkich kabałach, jakie się tutaj układają.

— A i książę Władysław Opolski zaszczycał swoją obecnością Granów, lecz nie kazał o tem głosić.

— To do mnie się nie stosuje. I to dzielny mąż, chociaż nie wojenny człowiek, ale serce jego bije dla dobra kraju, a gospodarz nieporównany. Jakże on to pięknie urządził i zagospodarował te ziemie ruskie, które mu tak niepotrzebnie król jegomość odebrał. Kontent jestem — powtórzył jeszcze raz biskup — że oni tam już wspólną zrobili naradę; pozwólcie mi listy odczytać waszmościowie, a tymczasem rozgośćcie się pod moim dachem jak u siebie we własnym domu.

To mówiąc, biskup klasnął w ręce, a na ten znak drzwi pocichu się otworzyły i w progu ich stanął ten sam pachołek skromnie ubrany. Jakaż to była różnica w porównaniu ze strojną służbą Zawiszy, tak liczną.

— Mam także listy do króla i do Zawiszy — odezwał się Römer nie wychodząc jeszcze.

— Spodziewałem się tego; oddacie je sami królowi. Uprzedzę go jutro o tem i nie wątpię — rzekł chytrze się uśmiechając — że wam da niebawem posłuchanie.

Rycerze wyszedłszy z komnaty biskupiej, na korytarzu zastali czekającego na nich Wojciecha Chmurę.

— A wy skąd się tu wzięliście, panie Chmura? Wyjeżdżając, zostawiłem was w Granowie.

— Wczoraj jeszcze przybyłem i ja do Budzynia, nie gorzej więc jechałem od was kasztelanie; a teraz wstąpcie, szlachetni panowie, do mojej kwatery na chwilę. Ksiądz biskup zanadto zajęty jest sprawami duchownemi i polityką, żeby pomyślał o posiłku ciała, a wy kasztelanie, wychodząc z pod sklepień ratusza i z pod klucza burmistrza węgierskiego, zapewne nie pogardzicie kęsem mięsiwa i dzbanem wina.

— W to mi graj! — zawołał Römer — głodny jestem jak wilk zamknięty w klatce, śmierdzącą wodą odżywiali mnie i paśli stęchłym chlebem, przechwalając się jeszcze gościnnością.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się Wojciech — tak to u nich.

W izbie Chmury stał tylko stół dębowy, łóżko obozowe i kilka stołków; na ścianie rozwieszone były zbroje, łuki, miecze; w końcu na zydlu oparte siodło z bogatym czaprakiem.

— Hej, Walek! — huknął tak donośnym głosem Chmura, jak gdyby się znajdował wśród puszczy; drzwi z pośpiechem się otworzyły i wskoczył do izby pachołek, gotowy do wypełnienia rozkazów.

— Duchem skocz i przynieś pieczywa, mięsa, i co tam znajdziesz u szafarza, a nie skąpo.

Pachołek obrócił się chcąc wyjść, ale zawracając się jeszcze, zapytał:

— A wina albo miodu przynieść?

— Bydle jesteś, że się pytasz o takie rzeczy, gdzieżeś to widział, żeby prawi rycerze żuli jak wół strawę, nie przepłukując gardła winem? Przynieś nieskąpo i to, co piwniczny ma najlepszego!

— Nie uraczę ja tu waszmość panów bardzo, ksiądz biskup nie tęgą ma piwnicę, nie zna się na winie, a sam

czasem tylko przy obiedzie wypije szklaneczkę cienkuszu; ale zawsze znajdzie się tam coś, co będzie godne ust takich gości.

— Co do mnie — rzekł Jaśko nie siadając — to powierzywszy wam Wojciechu na dzisiaj w gościnę kasztelana, sam odejść muszę, żeby zdać sprawę przed królewnemi i uspokoić je, żeś już waszmość jest wolny, panie kasztelanie.

Tymczasem pachołkowie wnieśli już potężne cynowe misy, czubato nakładzione mięsiwami, wędlinami i pełne wina ogromne dzbany. Zapach, który rozszedł się po izbie, miło podziałał na zmysły wygłodniałego kasztelana, skwapliwie zabierał się zasiąść do uczty, lecz usłyszawszy słowa Jaśka, odsunął się od stołu, poprawił miecza u boku i rzekł:

— Czyż mi wypada ucztować, nie złożywszy pierwej podziękowań królewnom za opiekę, pójdę i ja z wami do zamku, rycerzu Jaśku.

— Pora to już spóźniona — odpowiedział rycerz — i ja sam nie jestem pewny, czy się będę mógł dziś widzieć z niemi, a zapewne tylko pannie respektowej opowiem wszystko, żeby powtórzyła swoim paniom.

— Siadajcie szlachetni panowie — rzekł Chmura — dziś są asamble u królowej matki, przed chwilą widziałem karocę dworską, a w niej obie księżniczki, udające się na zabawę; nie skończą się tam tańce aż przed wschodem słońca, nikogo więc na zamku nie znajdziecie.

— Prawda to jest — odrzekł Jaśko — a i panny Brygidy budzić po nocy nie wypada, wstrzymam się więc z raportem aż do rana. — To mówiąc odpasał nagle szablę i zasiadł na zydlu, a Römer musiał go naśladować.

Żołądek zgnębiony postem przymusowym, domagał się gwałtownie zaspokojenia, a zapach mięsiw i wina zaostrzał apetyt kasztelana.

Przez pierwszą chwilę panowało milczenie; potężne misy opróżniały się jedna za drugą, a pachołek śpiesznie podsuwał inne. Chmura z Jaśkiem, uśmiechając się, spoglądali z zadowoleniem na kasztelana, tak sumiennie spełniającego obowiązki gościa.

Nareszcie kasztelan odetchnął, położył nóż na stole, a w tej chwili pachołek nalał stojący przed nim puhar winem, które niesłusznie nazwał Chmura cienkoszem, bo było to wino wytrawne, a ciężkie i sporo zapewne miało lat życia.

— Chwała Najwyższemu Bogu — rzekł Jaśko — że się to nareszcie już raz skończyło, że jesteście wolni od wszelkiej odpowiedzialności, panie kasztelanie sieradzki.

— Ja jednak tego wszystkiego nie rozumiem; ten puszczyk w ratuszu mówił nam wyraźnie, że tylko na poręczenie czyjeś jestem wypuszczony, a więc sprawa jeszcze niezdecydowana.

— To tylko forma węgierskiej procedury — odpowiedział Chmura — musicie się zameldować królowi z listami i kiedy staniecie przed majestatem jako poseł, włos wam z głowy nie spadnie. Teraz tu podchlebiają Polakom na wszystkie sposoby; kanclerz Zawisza kieruje tem wszystkiem z ukrycia, a choć już jedna sprawa o sukcesyę tronu ubita, za którą królewnom cześć przywrócono, to jeszcze pozostaje ważniejsza i najtrudniejsza do załatwienia, odstąpienie ziem ruskich Węgrom, co mają nadzieję przeprowadzić szczęśliwie przy pomocy szlachty, o którą też bardzo dbać muszą. Droga jest teraz każda kreska, chociażby szaraczka, a cóż dopiero kasztelana sieradzkiego.

— Co do mnie — wtrącił Jaśko z Żarnowa — ja się tam nigdy dobrowolnie na takie paskudztwo nie podpiszę.

— Marszałek koronny Granowski zawezwał szlachtę na zjazd do Glinian na św. Bartłomiej — rzekł Römer —

właśnie z zawiadomieniem króla o tem przybyłem, a co ona tam postanowi, to stanie się prawem.

— Tak, ogół tylko decydować może takie sprawy — odrzekł Jaśko — ale tutaj, w Budzyniu, już niektórzy, nie czekając sejmu, zadecydowali, że matkę trzeba amputować i podpisy swoje królowi dali.

— To lekkoduchy! — zawołał Römer.

— Potężne to osoby bardzo, a działają pod wpływem Zawiszy, którego chociaż nie widać, z ukrycia wszystkimi kieruje i wszystkim dodaje animuszu.

— Ale cóż on ma za zamysły, do czego dąży i jakim sposobem w uszczupleniu kraju widzi jego dobro?

— Różnie to ludzie o tem mówią, na pozór ma to być nawet korzystne dla Rzeczypospolitej, której oddają Spiskie starostwo, ale wszyscy my tu wiemy jaka to zamiana i sprawdziłoby się przysłowie nasze: »pomieniał się stryjek, za siekierkę kijek«. Ale pan Zawisza wysoko mierzy, mówią, że chce zrzucić sutannę, że stara się o to u Ojca świętego i marzy o jakiejś koronie, ale może to tylko gadaniny. Nie ulega wszakże wątpliwości, że Zawiszy nigdy nie dosyć, że zawsze potrzebuje pieniędzy, chociaż piorunki wytłacza w Kurozwękach i że skarb węgierski nie żałuje dla niego złota.

— Tak źle jeszcze nie będzie; szlachta nigdy na to nie przystanie — rzekł Römer.

— Nie rozstrzygajmy przed czasem sprawy — rzekł Chmura — na szlachtę są różne wabiki i sposoby, a złoto rodzi węgierska ziemia.

— Zadużo będzie szlachty na zjeździe w Glinianach, ażeby wystarczyło węgierskiego złota na przekupstwo, a zresztą cnota polska tak jeszcze nizko nie upadła — rzekł Römer — ja tylko wiem, że ten orzech nie tak łatwo zgryzą i mogą sobie na nim zęby połamać.

Rozmowa przy dzbanie dłużej trwać nie mogła, bo szafarz spać się położył i wina zabrakło biskupiego.

Jaśko pożegnał gospodarza i kasztelana, udając się do swojej gospody, a ten ostatni w towarzystwie Małego, odprowadzony przez Chmurę, udał się do przeznaczonej dla siebie izby.

Chmura odprowadziwszy gościa, pożegnał go, kazawszy pachołkowi postawić dzbanek miodu, gdyż dobry trunek do poduszki nigdy nie zawadzi, a człowiekowi sprowadza sny rozkoszne.

— Cóż tam się dzieje z moim oddziałem? — zapytał Małego, kiedy zostali sami.

— Wszyscy byli mocno strapieni, dowiedziawszy się o karcerze waszej miłości, i wszyscy odżyli i nabrali ducha, kiedy dowiedzieli się o uwolnieniu.

— A konie i ludzie dobrze się trzymają?

— Jak nie można lepiej, chłop w chłopa zdrowi, a konie na węgierskiej strawie powybierały się.

— Dobrze to, bo niedługo trzeba nam będzie udać się do Glinian na zjazd, a nie chciałbym się wstydzić przed innymi moim hufcem.

— Nie spotka nas ta zniewaga; będą tam inni panowie, mający liczniejsze poczty, ale tak doborowych ludzi i koni żaden.

Kasztelan uśmiechnął się zadowolony, zrzucił z siebie spiesznie ubranie i pobożnie ukląknąwszy na kamiennej podłodze, jął odprawiać wieczorne modlitwy.

Rozdział XV.

Wobec króla.

Zaledwie Römer na drugi dzień rano ogarnął się, gdy na progu drzwi jego stanął Chmura.

— Spieszcie się, kasztelanie — rzekł stary, nie witając się. — Król przysłał posłańca i oczekuje was niecierpliwie z listami.

— Tak rano! czy król już powstał z łoża?

— Już całe podwórca pełne są służby myśliwskiej, koni, chartów i sokolniczych; król wyjeżdża dziś na łowy i przed wyjazdem chce się jeszcze z wami zobaczyć i wysłuchać waszego poselstwa.

Römer ogarnąwszy się spiesznie, dosiadł konia i w towarzystwie Chmury i posłańca królewskiego spieszył na zamek.

Rzeczywiście cały dziedziniec zastał już zatłoczony ludźmi bogato ubranymi i końmi, niecierpliwie żującymi wędzidła. Wielki łowczy w zielonym stroju bogato haftowanym złotem, robił przegląd psów, sokołów i ludzi.

Bogate stroje węgierskich panów błyszczały od złota, a kosztownemi spinkami przymocowane pióra na kapeluszach, chwiały się pod tchnieniem wiatru.

— Spieszmy się — mówił posłaniec do Römera — król musi się niecierpliwić, nie lubi, żeby czekało na niego myśliwstwo.

Spiesznie więc przebyto podwórce zatłoczone ludźmi. Prawie nikt nie zwracał na nich uwagi, weszli do zamku, przebyli kilka komnat napełnionych służbą i nareszcie Römer zatrzymał się w salce okrągłej. Nie miał jeszcze czasu rozejrzeć się, gdy wszedł król. Piękny to był mąż i majestatycznej postawy, za nim o kilkanaście kroków postępował kanclerz Zawisza, jak zwykle przybrany krótko, w jedwabie zielonej barwy, wyszyte złotem. Römer zgiął kolano i milcząc oddał królowi listy marszałka.

— Witaj mi kasztelanie — rzekł król łaskawie, uśmiechając się — przedewszystkiem przejrzymy pisanie pana marszałka koronnego i dowiemy się, o czem nam donosi.

To mówiąc, skinął na Zawiszę i kazawszy mu rozpieczętować listy, przeczytać je głośno polecił.

Zawisza z tym wdziękiem poruszeń, który go wyróżniał zawsze z pośród setek ówczesnej szlachty rubasznej, odebrał listy od kasztelana, król zasiadł i trzymając sokole rękawice w ręku z uwagą słuchał słów kanclerza.

Listy tak marszałka jak i brata jego wojewody były prawie jednoznaczne; donosiły w wyrazach pełnych uprzejmości: że panowie chcąc się przychylić do żądań najjaśniejszego pana w sprawie ustąpienia ziem ruskich, sami pojedyńczo o tem decydować nie mogą, rozesłali więc wici do szlachty całej Rzeczypospolitej, wzywając ją, żeby na św. Bartłomiej zjechała do Glinian dla zadecydowania propozycyj królewskich. Miejscowość Gliniany położoną niedaleko granicy węgierskiej, wybrano naumyślnie dlatego, żeby jego królewskiej mości ułatwić przybycie na to zebranie i stanowczo zdecydować sprawę pod okiem króla, senatorów i szlachty wszystkiej.

Im dłużej czytał Zawisza, tem więcej oblicze króla rozjaśniało się; listy takie obydwóch Granowskich, se-

natorów, rozporządzających licznymi wpływami w kraju, jakkolwiek nie były wyraźnem przyzwoleniem na podział, ale stanowiły już wielkie ustępstwo dla żądań króla, i jak sam król to uznawał, zwracały sprawę na drogę legalną, która dotąd traktowana była w cichości i stanowiła spisek króla z kilkoma tylko senatorami, którzy brali na siebie nieupoważnieni kompetencyą wobec narodu decydowania spraw jego. Król nie był zwolennikiem gwałtownych środków i w razie tylko ostatecznym gotów był uciec się do nich. Skierowanie więc sprawy do decyzyi narodu, zwołanie zjazdu w Glinianach, bardzo trafiały do jego przekonania; siedmiu już magnatów miał stojących po swojej stronie, oprócz Zawiszy, który, jak mistrz ceremonii, wszystkiem kierował i zarzucał sieci na innych. Król przy pomocy jego stronnictwa spodziewał się w Glinianach uzyskać zatwierdzenie swoich planów, Römera uważał prawie za pozyskanego dla swoich widoków, dlatego więc okazywał się dlań nadzwyczaj łaskawym.

Gdy Zawisza dokończył czytania listów, na twarzy kanclerza odmalowało się głębokie zamyślenie, znać nie podzielał we wszystkiem różowych poglądów króla; sejm w Glinianach niekoniecznie przypadał mu do smaku, zadziwiała go i przerażała jednocześnie ta bezopozycyjna zgoda Granowskich na projekty króla; co tak mogło wpłynąć na przychylne ich usposobienie? Bytność Władysława Opolczyka w Granowie, o której był tajnie powiadomiony, dawała mu wiele do myślenia, nie okazał jednak najmniejszym znakiem powątpiewania, bacznie tylko przypatrywał się kasztelanowi sieradzkiemu.

— Kontent jestem — rzekł nareszcie król — iż poglądy panów senatorów zgadzają się z mojemi; nie pragnę nic innego, jak tylko dobra kraju; zjedziemy się wszyscy do Glinian i tam wspólnie ułożymy sprawy. A teraz panie kasztelanie sieradzki, spełniwszy swoje

poselstwo, będziesz gościem naszym i zechcesz udać się z nami na łowy.

Römer ukłonił się nizko za okazaną sobie łaskę. Król poprzedzany przez dwóch łowczych w towarzystwie Zawiszy i Römera, wyszedł na podwórze zamkowe; wszystkie głowy odkryły się, wszystkie czoła pochyliły ku ziemi. Król lekkiem skinieniem ręki powitał zgromadzonych; głowę jego okrywała czapka okrągła, aksamitna, zielona, z białem strusiem piórem, u boku wisiał krótki mieczyk. Odebrał z rąk pazia sokoła i dosiadł konia.

W tej chwili z głównych schodów zamkowych wypłynął potok kobiet strojnych w bogate materye. Poprzedzała je królowa Elżbieta matka; krok jej pewny, wspaniale podniesiona głowa, włos czarny i policzki pełne świeżości, przedstawiały zdaleka jeszcze imponującą piękność, chociaż wszystkim było wiadomo, że dawno już przeszła wiek dojrzały.

Tuż za królową postępowały obie sieroty po królu Kazimierzu: Anna i Jadwiga, a za niemi tłoczyło się mnóstwo kobiet arystokracyi węgierskiej, pomiędzy któremi wiele było odznaczających się znakomitą pięknością.

W tej chwili podjechała pod same schody kolasa cała złocona, wybita purpurową, jedwabną materyą, zaprzężona w sześć tarantowatych klaczy; każdą przy munsztuku trzymał masztalerz bogato ubrany, a trzech forysiów siedzących na siodłach, kierowało szóstką rwących się z niecierpliwości koni.

Królowa na chwilę przystanęła na najwyższem wzniesieniu schodów, obwiodła okiem całe zgromadzenie, a widząc, że król już siedzi na koniu, posłała mu ręką pozdrowienie i zwinnie wsiadła do kolasy. Zdawało się, że zaprosi do powozu swojego sieroty królewskie, które za nią postępowały, ale Elżbieta, widząc zbliżającego się kanclerza, zwróciła się do królewien.

— Zapewne będziecie wolały konno używać łowów, niż siedzieć w tej ciasnej kolasie ze mną?

Królewne skłoniły głowy na znak zgody, ale Elżbieta nie czekając na ich przyzwolenie, skinęła już na Zawiszę i wskazała mu miejsce obok siebie.

— Wsiadaj panie kanclerzu, tobie nie przystoi konno harcować z młodzieżą; pomówimy o ważnych sprawach.

Po twarzach pięknych Madziarek, przemknął tu i owdzie nieznaczny uśmiech, ale tak lekki, że zaledwie najbystrzejsze oko mogło go dostrzedz.

Na wiele dam czekały także wspaniałe karoce, ale większość dosiadła koni i łączyła się z królewnemi.

Kolasa królowej Elżbiety, poprzedzana przez dwóch laufrów, pędzących piechotą przed końmi, wyruszyła naprzód, gdyż król skinął, żeby kawalkata nie czekając na niego postępowała. Za nią długim sznurem ciągnęły się ekwipaże pań węgierskich, za niemi dopiero prowadzono charty i niesiono sokoły. Oddział drabantów poprzedzał króla Ludwika, jadącego konno, otoczonego gronem pań i panów.

Na polowaniach takich mniej zwracano uwagi na etykietę, każdy za przykładem króla dobierał sobie sympatyczne towarzystwo i w niem się swobodnie zabawiał.

Römer prawie obcy był wśród tego świetnego tłumu, ale od pierwszej chwili, w której ujrzał wychodzące dostojne sieroty, nie widział już nikogo więcej, oprócz królewny Jadzi. Całe to świetne otoczenie: król, królowa Elżbieta ze swojemi orszakami, znikły dla niego, nie widział ich, nie pamiętał, że znajduje się wśród ich grona, a całe jestestwo jego stopiło się w uwielbieniu, we czci bezgranicznej dla dziewicy, bóstwa jego serca.

Znać że i królewna Jadwiga dostrzegła rycerza swego w orszaku króla, bo zatrzymała się na chwilę, mając już wsiadać na konia i twarz jej okryła się purpurą; oko zapłonęło rzewnem uczuciem i na głęboki

ukłon, który jej złożył kasztelan, odpowiedziała lekkiem skinieniem głowy, nie ukrywając wcale swego wzruszenia. Dostrzegła Römera i królewna Anna, ale na twarzy jej nie widać było zadowolenia. Blada, jakby dopiero powstała z choroby, przerażała swoim ponurym wzrokiem, nie pozostała jednak dłużna w ukłonie i również zaszczyciła Römera swojem przychylnem skinieniem głowy.

Król chcąc okazać swoje na teraz urzędowe sympatye, otoczony był samymi prawie panami polskimi; jechali obok niego: Szczęsny, wojewoda lubelski, Lasota, wojewoda bełzki, Swetecki, kasztelan biecki, Jarocki, sekretarz i Römer. Wszyscy, oprócz ostatniego, byli stanowczymi stronnikami króla i dali już podpisy swoje na jego żądania.

Panowie węgierscy czuli, że są poświęceni na teraz dla polityki króla, wiedzieli, że fawory te są tylko chwilowe, bo znali usposobienie Ludwika, który Polaków lekceważył; ufali więc i słusznie w mądrość swojego władzcy i nie okazywali żadnej zawiści, trzymając się na stronie.

Ludwik wesoło rozmawiał z wojewodą lubelskim, zawiadomił go, że Granowscy obydwaj przychylają się prawie do żądań jego, że zwołują sejm do Glinian i że tam poprą jego widoki.

— *Apage satanas!* niechnoby inaczej postąpili! mieliby z nami do czynienia — rzekł kasztelan biecki, który się pilnie przysłuchiwał rozmowie.

Król uśmiechnął się nieznacznie, skinął jednak głową na znak, że podziela poglądy kasztelana.

Tymczasem całe towarzystwo znalazło się już daleko za murami Budzynia.

Wkrótce wskazano królowi stado dropi żerujące zdaleka na wzgórku. Myśliwi zaczęli je objeżdżać ostrożnię, trzymając charty na smyczach.

Ptak ten ciężki, nie zaraz z miejsca jest zdolny poderwać się do lotu, pierwej musi kilkadziesiąt kroków biedz piechotą z rozpostartemi skrzydłami, zaczem uchwyci w swoje żagle wiatr; z tej to chwili skorzystać winien doświadczony myśliwy, wypuścić charty ze smyczy nie za prędko, ani za późno, które powinne dognać stado i uchwycić zrywające się już do lotu ptaki.

Drop, jak struś, napadnięty, broni się swemi potężnemi nogami i skrzydłami i niedoświadczony pies często wypuszcza już pochwyconą zdobycz, zarysowany szponami lub ogłuszony uderzeniami potężnych skrzydeł.

Król więcej lubił ten rodzaj polowania niż łowy na czaple, ale nie krępował nikogo swojemi upodobaniami, towarzystwo więc rozdzieliło się na dwie partye: jedni towarzyszyli królowi, polującemu na dropie, inni z sokołami na rękach, brodzili po zaroślach nadrzecznych, wyczekując, aż z nich się zerwie czapla; a wówczas wypuszczony sokół doganiał ją w powietrzu, staczał walkę i z martwym ptakiem spadał na ziemię; nierzadko jednak bywały wypadki, że życiem swojem opłacał pościg.

— No kasztelanie — rzekł król obracając się do Römera — nie przywitałeś się jeszcze ze swojemi damami, dla których tak umiejętnie zdobywasz zamki, a które zapewne z niecierpliwością czekają złożenia im hołdu; uwalniamy cię od naszego towarzystwa, jedź, pokłoń się królowej mojej matce i córkom twojego ostatniego króla.

Römer uradowany skłonił się głęboko królowi, i spiąwszy konia, już miał się oddalić, gdy ten, obracając się doń, zatrzymał go jeszcze.

— Czy wiesz kasztelanie, że nasz zamek Vilmos przeszedł na własność królewny Jadzi? Podobno coś tam nabroiłeś w tem miejscu, trzeba więc jego właścicielkę błagać o przebaczenie, bo sprawa to gardłowa

i nie wiem, czy ci będzie bezpiecznie stanąć przed jej zagniewanem obliczem. — Król, mówiąc to, uśmiechał się przyjaźnie.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Römer, spostrzegłszy dobrotliwy wyraz twarzy króla — na jakąkolwiek zasłużyłem karę, jedną mam tylko głowę do stracenia i tę z ochotą złożę u stóp mojej władczyni.

— A jeżeli będzie bardzo okrutna — mówił dalej król — i niczem nie potrafisz zmiękczyć jej gniewu, to przyrzekam ci wstawiennictwo moje. No, jedź!

Römer w uniesieniu radości byłby ucałował rękę królewską, ale że tego na koniu w czasie jazdy niepodobieństwem było dopełnić, podniósł tylko swoją czapkę do góry i całym głosem zawołał: »Niech żyje król!« — i pędem strzały udał się do orszaku dam.

— Oto najeźdźca zamków królewskich — rzekł Zawisza do królowej Elżbiety, wskazując Römera — oto człowiek, którego głowa pójść powinna była pod miecz kata za samowolę, a on swobodnie bawi się w orszaku jego królewskiej mości.

Królowa uśmiechnęła się, nieznacznie spoglądając z pod oka na kanclerza.

— Za surowym jesteś, mój przyjacielu dla tego pięknego, okrytego sławą rycerza. Ale królewna Jadzia, do której należy zamek Vilmos, może się nie okaże tak srogą, może nie zechce żądać jego głowy, a poprzestanie tylko na sercu.

Zawisza gwałtownie poruszył się na siedzeniu, przygryzł wargi i nic nie mówiąc, utkwił wzrok pełen nienawiści w twarzy kasztelana sieradzkiego, który właśnie w tej chwili podjechał do kolasy.

Królowa przyjaznym uśmiechem już z daleka powitała pięknego kasztelana i jakby na przekorę swojemu towarzyszowi skinęła ręką bez palców, żeby się przybliżył.

— Źle waszmość, panie kasztelanie, pełnisz służby swoje — rzekła uprzejmie. — Zaniedbujesz damy, którym się należą twoje usługi; z daleka widzę, jak Anna przygryza wargi z niecierpliwości, a Jadzia stroi marsa, który dla ciebie niebezpieczny być może.

— Za wiele łaski okazujesz mi, wasza królewska mość; sądzę, że najjaśniejsze królewne nie zwróciły nawet uwagi, czy tak nic nie znacząca osoba, jak ja, znajduje się w ich świetnym orszaku.

— Być może tak, być może nie — rzekła, dwuznacznie uśmiechając się Elżbieta. — Nie radzę ci jednak nadużywać ich cierpliwości. Masz tam jakieś grzeszki, z których wytłómaczyć się musisz. Spiesz się... nie zatrzymuję cię kasztelanie.

Römer złożył głęboki pokłon królowej i spiąwszy konia ostrogami, oddalił się.

Zawisza siedział zamyślony, milczący.

— Cóż kanclerzu, niezadowolony jesteś, że ja tak szczerze pracuję dla twoich widoków? — rzekła na pozór dobrodusznie Elżbieta.

— Moich widoków! — zawołał Zawisza zdziwiony. — Czyliż ja pragnę, żeby większe zbliżenie nastąpiło pomiędzy tym pyszałkowatym pankiem a księżniczkami?

Królowa znowu się uśmiechnęła, ale udając, że nie spostrzega wzruszenia swego towarzysza, odrzekła:

— Nie poznaję cię dzisiaj. Ty, dyplomata, powiernik króla, dopomagający mu do osiągnięcia jego celów; ty, wytrawny mąż stanu, dajesz się powodować jakiejś nienawiści osobistej do kasztelana.

— Nienawiści! Cóż taki podpanek może mnie obchodzić?

— Tak, nienawiści, bo jakaż może być inna przyczyna twojej niechęci i pragnienie wywarcia zemsty, kiedy nam potrzeba jednać szlachtę i kupować ją dla naszych planów wszelkimi sposobami? Gdybyś nie nosił

sutanny i nie był moim wiernym rycerzem, mogłabym cię posądzać, że zakochałeś się w Jadzi.

Zawisza zbladł. Miałażby ta kobieta odkryć jego najgłębszą tajemnicę? Miałażby odgadnąć cel starań zrzucenia sutanny? Cała potęga jego opierała się na protekcyi Elżbiety. Król znosił go, ale nie lubił i nie miał dla niego żadnego szacunku. Wiedział, że kobieta wszystko przebaczyć może, ale nigdy nie zniesie rywalki. W jednej chwili poznał błąd, jaki popełnił, zdradzając się z swoją niechęcią do Römera, i postanowił go naprawić.

— Czyż człowiek, na którego spływają promienie słońca, może pragnąć zamienić je dobrowolnie na mgliste światło księżyca? czyż nie byłby szaleńcem taki! Pragnę zrzucić, i tego nie taję, strój, który na mnie włożono wbrew mojej woli, kiedy jeszcze byłem prawie dzieckiem, bez żadnego powołania; ale dlatego tylko, żeby być wolnym chociaż na rok, na jeden dzień przed śmiercią i módz poświęcić usługi moje pani mojego serca.

Królowa smutnie się uśmiechnęła, wiedziała ona, że pomimo wszelkich cudownych środków, któremi tak umiejętnie rozporządzała, nielitościwy czas coraz gwałtowniej prowadzi wdzięki jej do ruiny; nie wierzyła ona w szczerość słów Zawiszy, podejrzywała go, że jest zakochany w królewnie Jadwidze.... ale kobieta chciała się łudzić... wszak szczęście nasze całe polega na złudzeniach.

— Zgoda więc między nami — rzekła, kładąc swoją rękę na jego dłoni.

Zawisza ucałował ją.

Rozdział XVI.

Na łowach.

Świetny orszak amazonek, otoczony również błyszczącym pocztem młodzieży węgierskich magnatów, rozciągnął się w długim szeregu po nadbrzeżu rzeki, porośniętej rokiciną. Towarzystwo rozdzieliło się na małe gromadki. Niekiedy wypłoszona czapla wyrywała się z zarośli, ciężkiemi skrzydłami wzbijając się w górę i zaraz można było widzieć wypuszczonego na nią sokoła, który szybkim lotem strzały unosił się w błękity, zataczał kilka kół coraz mniejszych i starał się wzbić wyżej ponad upatrzoną ofiarę. Czapla wówczas podnosiła szyję do góry, wyginała ją, opierając łeb na plecach, pomiędzy skrzydłami, i wystawiwszy ostry dziób w górę, sterczący jak bagnet, uniemożebniała napastnikowi natarcie. Doświadczony sokół dostrzegał zawsze ten manewr strategiczny, wznosił się znowu wyżej, coraz wyżej i czekał aż czapli omdleją skrzydła; wówczas dopiero z szybkością piorunu spadał z wysokości, uderzał piersiami w jej grzbiet, zaczem zdołała wystawić bagnet. Po takim ciosie czapla spadała ku ziemi, doganiał ją w powietrzu, jeszcze jedno błyskawicznej szybkości uderzenie zadawał i stawał się zwycięzcą.

Często jednakże niedoświadczony sokół, zbyt gorący, albo nie wytresowany doskonale, rzucał się w nie właściwej chwili na mniemaną swoją ofiarę, a wtedy

ostry dziób czapli nadziewał go na siebie, jak na rożen i obydwa ptaki spadały martwe na ziemię, bo sokół, mszcząc się, dzióbem w czasie spadania wydobywał mózg z głowy swojego wroga. Podobna właśnie scena odegrała się na brzegu rzeki. Römer widział spadające nieopodal obydwa ptaki i zbliżające się ku nim szybkim galopem dwie amazonki, w towarzystwie dwóch jeźdźców.

W nadjeżdżających damach poznał królewne, więc śpiesznie skierował swojego konia ku nim. Jadwiga poznała go także i dawała mu ręką znaki, ażeby się przybliżył; opodal jednak jeszcze będąc stał się świadkiem niespodziewanej sceny.

Jeden z jeźdźców, towarzyszących królewnom, przypadł pierwszy na miejsce, gdzie leżał wraz z czaplą martwy sokół, ciężko zgramolił się z konia i pochwyciwszy za głowę sokolniczego, który także zeskoczył ze swojego konia, przewrócił go na ziemię i zaczął okładać szpicrutą, kopiąc nogami; biedny człowiek nie bronił się zupełnie, a bezwładność ta jeszcze w większą wściekłość wprowadzała ciemiężcę.

— Ha łotrze! — wołał po niemiecku — zabiłeś mi swoją nieumiejętną nauką najpiękniejszego ptaka, jakiego posiadałem w mojem myśliwstwie.

— Jaśnie hrabio! wszakże ja nie chciałem go brać jeszcze na łowy, wiedziałem, że jest za młody i że nie podoła chytrości czapli, i tylko na wyraźny rozkaz jaśnie wielmożnego hrabiego użyłem go dzisiaj.

— Ty śmiesz mi przeczyć wisielcze! Dlaczegoś go jeszcze dotąd nie wytresował? Jutro każę cię powiesić niegodziwcze!

Wymyślając tak, hrabia nie przestawał bić sokolniczego, którego cała twarz opływała już we krwi. Królewna Anna ze wstrętem patrzała na tę scenę, odwróciła konia i skierowała go w inną stronę; ale Jadwiga nie była w stanie pohamować oburzenia, zwró-

ciła swojego wierzchowca wprost na tę nieestetyczną grupę i kiedy nozdrze jej konia prawie już opierało się na ramieniu bijącego, zawołała donośnym głosem.

— Panie hrabio Cylejski, czyliż godne to jest rycerza pastwić się tak nad biednym człowiekiem, który bardzo mało zawinił!?! Proszę cię, panie hrabio, poprzestań tej barbarzyńskiej zabawy.

Hrabia Cylejski na ten głos wypuścił z rąk swoich sokolniczego; twarz jego pod wpływem gniewu wstrętny przedstawiała widok. Był to człowiek mający lat około 45-ciu, krępy, nizki, barczysty; twarz miał czerwoną, porośniętą grubym, rudym włosem, oko siwe, chytre, zamglone, do tego nos czerwony, jak pomidor dojrzały sterczał na tej bezkształtnej fizyognomii.

— Pani mówisz, że ten człowiek mało zawinił — bełkotał, wściekle rzucając wzrokiem około siebie — pozbawił mnie najpiękniejszego sokoła, który kosztował pięćdziesiąt dukatów; mało zawinił! On jutro będzie wisiał na szubienicy!

Römer spojrzał na mówiącego i z łatwością spostrzegł, że ten człowiek jest pijany; wzgardliwie ruszył ramionami i zaczął się witać z Jadwigą.

Królewna podała mu rękę do pocałowania, uczuł uścisk jej dłoni i oko jego zapałało szczęściem bez granic.

Tymczasem hrabia Cylejski, sapiąc ze złości, spostrzegł, że księżniczka Anna znacznie się już oddaliła; z trudnością więc dosiadł konia i ciężkim kłusem puścił się za nią.

— Patrz! — powiedziała, załamując ręce Jadwiga, do Römera, i to ten człowiek, ten zwierz dziki, przeznaczony jest na męża mojej drogiej Anny.

— Czy to być może! — zawołał rycerz zdziwiony — czyż królewna Anna nie ma swojej woli, czyż nie oprze się podobnie wstrętnemu związkowi?

— Długo się opierała, bardzo długo, ale król dał słowo temu opojowi niebacznie i teraz cofnąć się nie może.

— Biedna królewna Anna!

— O bardzo biedna, a tak szlachetna, tak dobra i tak dumna! Co to za nieszczęście być połączoną na wieki z człowiekiem bez wartości i na każdym kroku widzieć się upokorzoną! A jednak sprawa ta już jest zdecydowana i ślub wkrótce nastąpić musi, gdyż w przeciwnym razie córka królewska Marya, nie miałaby pewności posiadania tronu polskiego.

— Ależ to oburzające, to wstrętne!

— Tego wymaga polityka i... i żona króla, spokrewniona z hrabiami Cylejskimi przez brata Wilhelma Hermana, który miał za żonę jej siostrę — odrzekła, gorzko się uśmiechając Jadzia. — Gdyby jednak los taki na mnie był przypadł, żadna siła ludzka nie zmusiłaby mnie do poddania się jemu.

Römer z uwielbieniem spojrzał na dziewicę, której łagodne, prawie dziecinne rysy, pokazywały jednak niezwykłą energię.

— Któż wie, czy ty, sierotko, nie będziesz wystawiona jeszcze na podobne próby?

— Nie sądzę, król jest na mnie nadzwyczaj łaskaw i jak gdyby chciał we mnie wynagrodzić niesprawiedliwość wyrządzoną mojej siostrze, powiedział mi wyraźnie, że w niczem woli mojej krępować nie będzie i że mi pozwoli zupełnie rozporządzać moim losem.

— A teraźniejsza władczyni Vilmos czy zawsze równie miło wspomina czas tam spędzony?

— Zamek ten dla mnie zdobywając, narażałeś głowę, za karę będziesz w nim przykuty na zawsze do mego boku.

Römerowi zabrakło słów na odpowiedź, pochwycił tylko rękę dziewicy i namiętny na niej wycisnął poca-

łunek; kilka pań węgierskich przejeżdżało właśnie w tej chwili i były świadkami odbywającej się sceny, lecz księżniczka bynajmniej nie starała się ukrywać swoich uczuć, wesoło spoglądała na świat, bo przy niej postępował ten, którego wyróżniła ze wszystkich.

Tymczasem hrabia Cylejski dogonił starszą królewnę, która z zaiskrzonym wzrokiem zwracając się doń, rzekła wzgardliwie:

— Piękne, panie hrabio Wilhelmie, wyprawiłeś igrzysko. Czy u was w Cylei uważają za dowód rycerskości, pastwienie się nad biednymi ludźmi?

— U nas ktokolwiek ośmieliłby się nie wypełnić natychmiast rozkazu swojego pana, karany jest śmiercią.

— Szkaradny kraj — zawołała Anna.

— Nie znasz go pani, jest to rozkoszny ogród Europy. Wasze Tatry wyglądają przy naszych Alpach styryjskich jak kretowiska wobec prawdziwych gór; nad rzeką Murem najpiękniejsze rosną zboża i pasą się stada bydła, których nam wszyscy zazdroszczą.

— Woły więc są najpiękniejszą ozdobą stron tamtych; nie dziwię się więc teraz twojemu postępowaniu, panie.

— Pokochasz pani tamte kraje, gdy się w nich znajdziesz, skoro zobaczysz rozkoszny Grac, a cząstka tej miłości może spłynie na wiernego ci sługę Wilhelma, pana tych ziem.

— Być może, że strony tamte polubię, lubo nigdy nie przestanę tęsknić za mojemi garbatemi równinami około Nidy i Wisły... ale ludzi tamtejszych, wątpię żebym kiedy potrafiła pokochać, bo ich szanować nie mogę, jeżeli wszyscy są podobni do ciebie, hrabio.

— Na świętego Wilhelma! patrona mego klnę się, że mi drogo pani zapłacisz za te słowa.

— Czy nie zechcesz pastwić się nademną, jak nad tym biednym sokolniczym?

— Nie pani, bić cię nie będę, bo to sprzeciwia się prawom rycerskim ale potrafię ujarzmić tego hardego ducha oporu i uczynić cię uległą żoną.

Anna dumnie podniosła głowę, zmierzyła tak pogardliwem spojrzeniem stojącego przed nią człowieka, że ten pomimowolnie oczy spuścił i wybełkotał:

— Nie chciałem pani obrazić, ale kiedy losy nas łączą ze sobą, lepiej żebyśmy się zawczasu poznali.

— Ja ciebie już znam, panie hrabio Cylejski, i potrafię godnie ocenić szczęście, jakie mnie spotyka, ale ty hrabio poznasz mnie dopiero z czasem. Powiedziałam ci otwarcie, przed zaręczynami jeszcze, że serce moje nigdy do ciebie należeć nie będzie, odwołałam się do twojej szlachetności, powiedziałam ci, że kocham innego, a ty na to roześmiałeś się, twierdząc, że ci to obojętne. Pamiętaj swoje słowa, bo ja ich nigdy nie zapomnę i nigdy, nigdy cię już nie pokocham.

— Jeżeli nie mylę się, to szczęśliwym śmiertelnikiem, któremuś pani ślubowała miłość, jest Deak? [1]).

— To powinno być dla pana obojętne.

— Jakże dziecinne są te białogłowy! i jakże śmieszne są te romantyczne wyobrażenia, któremi was karmią minstrele. Wam się zdaje, że kobieta ma podwójną własność siebie, że jednemu może oddać ciało, a drugiemu duszę; co do mnie poprzestaję na pierwszem, a drugą możesz pani rozporządzać jak ci się podoba. To ci tylko muszę nadmienić, że gdyby uczucia te dla twojego romansowego rycerza, przybrały kiedykolwiek wyraźniejsze kształty, gdyby kiedykolwiek cześć moja była narażona, biada ci!

Anna z pogardą odwróciła się, ale ani jeden wyraz oburzenia nie wyszedł z jej ust, tylko wargi zaci-

---

[1]) Anna po śmierci Wilhelma, hrabiego Cylejskiego, poszła za mąż za hrabiego Deaka.

śnięte pokazywały, jaką walkę stacza z sobą i jak nienawidzi tego, którego wkrótce uznać musi za swego pana i męża.

Spostrzegłszy niedaleko przejeżdżającą gromadkę dam wesoło rozmawiających ze swojem otoczeniem, ku nim skierowała swojego konia, zostawiając Wilhelma samego.

Rozdział XVII.

Uśmiech losu.

Tegoż samego dnia, w którym odbywało się polowanie, król, powróciwszy z łowów, siedział głęboko zamyślony w jednej ze swoich bogato przystrojonych komnat. Zmierzchało się już na dworze, ale światła jeszcze nie były pozapalane. Potężny ten monarcha, górujący rozumem nad innymi panującymi w Europie, nie był zadowolony ze stosunku swojego do Polski; wprawdzie przyjął jej koronę, ale bez wielkiej radości, i była chwila, że był gotów z ochotą zrzec się jej dla Władysława Opolczyka, lub Kazimierza Szczecińskiego.

Poprzednie rządy Kazimierza Wielkiego, dążące do ukrócenia buty szlachty i samowoli magnatów, z których każdemu zdawało się, że jest współwłaścicielem Rzeczypospolitej i że nią jak swoją dziedziczną wioską rozporządzać może, wspomnienia rządów tego znakomitego męża stanu, dążące do uczynienia z ludu wiejskiego i mieszczan potęgi państwowej, przerażały szlachtę, która też w królu Ludwiku, lekceważącym tron polski i zawsze skłonnym do ustępstw na korzyść magnatów i duchowieństwa, widziała narzędzie swej samowoli, ideał króla malowanego, nad wytworzeniem którego pracowali magnaci bez przerwy, aż do ostatnich dni Rzeczypospolitej, aż do jej mogiły i nareszcie uosobili go w Stanisławie Auguście.

Król dobrze rozumiał te dążności panów i przeczuwał, co czeka jego córkę, gdy zasiądzie na tym chwiejnym tronie, ale raz zdecydowawszy się utrwalić koronę w swoim domu, sprawę sukcesyi szczęśliwie przeprowadził. Teraz król Ludwik, który czuł się Węgrem, namiętnie kraj ten kochał i gotów był wszystko poświęcić dla jego dobra, zapragnął gorąco prowincye ruskie, które niegdyś chwilowo należały do Węgier, odłączyć od Polski i uczynić je częścią dziedzicznych państw swoich.

Niektórych magnatów miał już stanowczo zjednanych dla swoich planów, uzyskał nawet ich podpisy, lecz napotkał i poważny opór w braciach Granowskich i biskupie wrocławskim Lubrańskim, których silnie podtrzymywał Opolczyk, rozgniewany odebraniem sobie tych właśnie ziem, zagospodarowanych przez niego znakomicie.

Wszystkie więc króla nadzieje miał urzeczywistnić ów zjazd w Glinianach.

Gdy tak król rozmyślał o losach Rusi, do komnaty weszła królowa matka. Po cichu przesunąwszy się po dywanach, zaścielających posadzkę, zasiadła naprzeciw syna, bacznie mu się przypatrując.

— Czujesz się widać zmęczonym dzisiejszemi łowami, Ludwiku?

— Nie, matko, podobna wycieczka nie utrudza mnie zupełnie, ale męczą mnie te niewyklarowane interesy polskie i przewiduję wiele jeszcze kłopotów, zanim rzeczy przyjdą do równowagi.

— Cóż cię tak może niepokoić?

— Niepokoi mnie sama zasada czynu; bądź co bądź jestem królem Polski i niekoniecznie widzę jej dobro, wypływające z oderwania części posiadłości.

— Wszakże obie te korony podzielisz między swoje córki, nie skrzywdzisz jednej, gdy wzmocnisz drugą,

a skoro pewność sukcesyi już jest zabezpieczona w twoim rodzie, to cóż cię mogą obchodzić jakieś dodatki podziałowe pomiędzy siostrami.

— Mówisz matko, że tron już zabezpieczony dla mojej córki, ale jakiemiż to środkami doszliśmy do tego. Trzeba było wydrzeć sierotom Kazimierza ich własność, a biedną Anusię skazać na opłacenie tej kabały życiem całem i szczęściem. Przez związek z człowiekiem bez wartości, lecz nam potrzebnym, pozbawiam ją wszelkich nadziei do tronu i tym sposobem zabezpieczam spokojność mojej córce, ale matko, jeżeli mi przyjdzie podobny wyrzec wyrok o losie Jadzi, wierzaj mi, że na to zdobyć się już serce moje nie potrafi, nie odważę się poświęcić tego zacnego dziewczęcia polityce.

Królowa Elżbieta z zadowoleniem uśmiechnęła się i kładąc rękę na ramieniu syna, rzekła:

— Nie, mój synu, tej ofiary od ciebie polityka żądać nie będzie.

— A jednak trzeba i z nią coś decydującego postanowić i również uczynić dla niej drogę do tronu niemożliwą.

— Ależ dopełniając tego, nie koniecznie musimy unieszczęśliwiać ją; wydamy ją za jednego z panów polskich.

Król podniósł głowę ze zdziwienia do góry i odrzekł:

— Wiem, że te myśli płoche rodzą się w głowie Zawiszy, zdaje mu się, że z łatwością uzyska zdjęcie święceń i poślubi to rozkoszne dziewczę, w którem jest zakochany, ale to są mrzonki, które się nigdy nie spełnią i do których ja ręki nie przyłożę.

Po twarzy królowej przebiegł jakiś wyraz zaledwie dostrzegalny oburzenia, przygryzła wargi i odrzekła:

— I ja nie sprzyjam tak niecnym zamiarom i nigdy nie zgodziłabym się na takie zgorszenie i dlatego też

los Jadzi należy zdecydować natychmiast, żeby temu dumnemu człowiekowi odjąć wszelkie szalone nadzieje.

— A jednak on, stojąc na czele potężnego stronnictwa w Polsce, jest wielką potęgą, z którą się liczyć wypada.

— Gdy go upokorzymy, a jeżeli potrzeba będzie, ośmieszymy, wpływy jego zmaleją, a wyjście Jadwigi za mąż, położy tamę dumnym jego zachciankom.

— Nigdy bez jej woli — odrzekł poważnie król — przyrzekłem jej to.

— I nie będziesz zmuszony, najjaśniejszy panie, walczyć ze swojem przyrzeczeniem; na ten raz tak szczęśliwie ułożyły się okoliczności, że nie zadasz żadnego gwałtu jej sercu. Jadzia kocha najczystszą miłością człowieka, który dla niej zginąć jest gotów.

— Kogo? — zapytał zdziwiony król.

— Czyż nie domyśliłeś się tego, że Römer jest tym szczęśliwym wybrańcem? Dla niej on opuścił stronnictwo Zawiszy, dla niej, podkładając głowę swoją pod miecz, zdobył awanturniczo Vilmos, z nią dziś na łowach przepędził dzień cały; a dziecko to, nie umiejące nic ukrywać, któremu wszelka obłuda jest nieznana, przyznało mi się, iż w Vilmos jeszcze została z nim zaręczona, że życiem swojem przypłaciłaby rozerwanie tego związku i że pierwej gotowa tysiąc razy na śmierć się narazić, niżeli oddać swoją rękę komuś innemu.

Czoło króla rozjaśniło się.

— A cóż Anna na to?

— Anna, złamana swoją dolą, z ochotą zobaczy związek, który uszczęśliwi jej ukochaną siostrę.

— A przytem kupimy Römera dla naszych planów — rzekł król uradowany — wpływy jego na szlachtę są bardzo duże.

— A przytem wyrządzimy figla temu pysznemu klesze — rzekła z ironicznym uśmiechem Elżbieta — a bez-

wątpienia będzie on się starał stawiać rozmaite przeszkody, intrygując pomiędzy szlachtą.

— Nie trzeba mu na to zostawić czasu.

— Tak, ale zawsze akt taki musi przejść pewne formy, które ukryć się przed nim nie dadzą.

— A więc w zasadzie zgadzasz się wasza królewska mość na ten projekt?

— Czy ja się zgadzam? Jeżeli to tylko uszczęśliwi Jadzię, zgadzam się na to całem sercem.

— A więc pozwól mi działać w tym interesie, mój synu.

— Z całego serca.

— Czy nie zechcesz pozwolić Jadzi, wraz z swoim narzeczonym złożyć ci podziękowania i odebrać od ciebie błogosławieństwa?

— Nic nie mam przeciwko temu.

Królowa powstała, na chwilę wydaliła się z komnaty i wkrótce powróciła, prowadząc za rękę Jadzię, która, jak biała róża wśród poranku, opromieniona szczęściem, weszła i drżącym krokiem zbliżyła się do siedzącego króla. Za nią postępował Römer, blady od wzruszenia. Oboje rzucili się na kolana i w kornej postawie oczekiwali swojego wyroku.

Król Ludwik przez chwilę wodził wzrokiem po pięknem obliczu dziewicy; widocznem było, że rad jest, iż może kogoś uszczęśliwić, nie narażając na szwank interesów państwa.

Römer klęczał, ze spuszczoną głową, a był tak blady, że zdawał się być posągiem marmurowym.

Król dobrotliwie położył rękę na głowie pięknego dziewczęcia i z ojcowską czułością zapytał:

— Więc to tego zdobywcę moich zamków wybrałaś Jadziusiu; czyliż i serce twoje tak zdobył szturmem?

— Tak — odpowiedziała śmiało — zdobył je na wieki.

— Zła była obrona — rzekł król, uśmiechając się.

— Nie broniłam się wcale — odparła dziewica, rumieniąc się.

— A ty, rycerzu, czy nie zadrżałeś, podnosząc wzrok swój na krew twoich królów?

— Jedną mam tylko głowę i jedno serce, głowę za zuchwalstwo moje możesz zabrać panie, ale serce moje, dopóki żywe, będzie biło dla tej wybranej.

— Nie będę tak okrutny, panie kasztelanie — odrzekł król dobrotliwie — zuchwalstwo twoje, wiem, że nagrodzisz czynami godnemi istoty, dla której je popełniłeś, a łącząc się związkami krwi z nami, staniesz się podporą tronu i obrońcą praw naszych.

To mówiąc zdjął z siebie kosztowny łańcuch złoty i zawiesił go na szyi rycerza.

— Życie moje z ochotą położę za ciebie najjaśniejszy panie i wszystko spełnię, czego wymagać będzie dobro Rzeczypospolitej.

— Powstańcie z mojem błogosławieństwem — rzekł Ludwik — teraz nam tylko wypada ułożyć termin ślubu, którego zbytnio odkładać nie mam zamiaru.

Römer ucałował rękę królewską, a Jadzię król czule przycisnął do serca i szepnął do ucha.

— Przyrzekłem cię uszczęśliwić, dopełniam więc swego przyrzeczenia; kochaj mnie chociaż trochę Jadwisiu.

— Któżby cię nie kochał, mój królu! — zawołała Jadzia — och! czemuż tak nie postąpiłeś z Anusią, kochałybyśmy cię obie.

Twarz króla zamroczyła się na to przypomnienie.

— Dziecko moje — odrzekł smutnie — przeznaczeniem panujących jest często zadawać gwałt swojemu sercu; potem kiedy będziesz starsza zrozumiesz to.

Teraz powstała siedząca cicho na boku królowa Elżbieta, przed którą uklękli oboje narzeczeni, a pod

nosząc ręce swoje nad ich głowami, cichym głosem wyszeptała błogosławieństwo.

— Najjaśniejszy panie — odezwała się, obracając się do syna — pozwoliłeś mi rozporządzać się tym aktem, czy nic nie będziesz miał przeciwko temu, że ja wyznaczę termin ślubu?

— Nietylko nie, ale proszę cię o to uprzejmie, matko.

— A więc ksiądz czeka w kaplicy do przyjęcia waszych przysiąg. Będąc prawie pewną zezwolenia królewskiego, kazałam wszystko na dziś przygotować. Racz, najjaśniejszy synu, poprowadzić Jadzię do ołtarza, a ty panie kasztelanie podaj mi rękę.

— Co! — zawołał zdziwiony król — dziś, w tej chwili! czyliż to możebne?

— Wszystkie formy prawne zostały już dopełnione, oto jest zezwolenie biskupa Lubrańskiego. Wiesz najjaśniejszy panie, że *bis dat qui cito dat;* dlaczego odkładać ich uszczęśliwienie? Życie ludzkie tak krótkie, że szkoda każdej chwili skradzionej szczęściu, a zresztą kiedy fakt się już stanie, żadna siła ludzka go nie odrobi; nic nie pomogą żadne intrygi. To mówiąc, znacząco spoglądała na syna.

— Ha! — rzekł Ludwik, powstając z siedzenia — jeżeliś pani tak ułożyła i jeżeli państwo młodzi nie mają nic przeciw temu, dlaczegoż ja miałbym opóźniać chwilę ich szczęścia.

W miejsce odpowiedzi, narzeczeni rzucili się do kolan królewskich.

Ludwik uprzejmie podał rękę Jadwidze i skierował się ku drzwiom, za nimi postępował Römer, prowadząc sędziwą królowę.

Cicho, bez żadnej świty przeszli długi szereg pokojów słabo oświetlonych, na drodze swojej żadnej nie napotkali służby, która widocznie odebrała polecenie

trzymania się na uboczu, a przebywszy kurytarze, znaleźli się u drzwi zamkowej kaplicy.

Na szelest ich kroków, ciężka aksamitna kotara purpurowa podniosła się i król z osobami towarzyszącemi mu, wszedł do kaplicy. Tu przy ołtarzu stał ksiądz, ubrany już w szaty uroczyste, gotów do dopełnienia obrządku; na stopniach ołtarza klęczała kobieta i zdawała się być głęboko pogrążoną w modlitwie; na boku stał stary Jaśko z Żarnowa i hrabia Cylejski, a na drugiej stronie kleryk.

Na szelest sprawiony wejściem do kaplicy przybyłych osób, Anna podniosła się z przed ołtarza, wyciągnęła ręce do siostry i z płaczem rzuciła się w jej objęcia.

— Bądź szczęśliwa! bądź szczęśliwa Jadziusiu — powtarzała, łkając i namiętnie całując swoją ukochaną siostrę.

Król Ludwik wzruszony głęboko, przypatrywał się tej scenie. Być może, że teraz żałował zbyt pośpiesznego przyrzeczenia swojego hrabiemu Cylejskiemu; może teraz jasno uświadomiła mu się różnica pomiędzy losem tych dwóch sióstr tak godnych szacunku i kochania, a tak nierównomiernie obdarzonych łaskami szczęścia.

Jedna z nich szła za udzielnego władcę, prawie króla w swojem małem państewku, w rozkoszne okolice ziemi, a jednak cierpiała niewysłowione męczarnie, nie kochając go i zmuszając się do wstrętnego związku; druga zstępowała z wyżyn i poprzestawała na losie skromnej szlachcianki polskiej; miała gdzieś zakopać się w głuszy wsi, a jednak oko jej pałało szczęściem, na twarzy malował się zachwyt i za wszystkie trony świata nie pomieniałaby swojego losu.

Stary rycerz, Jaśko z Żarnowa, stał wyprostowany, opierając się na rękojeści szabli, pociągał co chwila wąs biały, nie chcąc okazać wzruszenia, które nim owład-

20*

nęło, a kiedy Jadziusia zbliżyła się do niego i staropolskim obyczajem chciała mu się pokłonić do kolan, na twarzy starca rozlało się takie rorzewnienie, że zaledwie był w stanie wymówić:

— Krwi panów moich, krwi dzielnego Łokietka, mądrego Kazimierza, krwi Piastów, błogosławię ci. Niech ród twój rozradza się w setne pokolenia i niech zawsze nazwisko Römerów będzie chlubą Polski i jedną z jej ozdób.

Hrabia Cylejski tymczasem oparty o róg ławki kościelnej, szyderczo uśmiechał się i bezmyślnie spoglądał na dopełniający się obrzęd. Był może tem dotknięty, że pokrewieństwem połączy się z prostym szlachcicem polskim, ale nie śmiał tego okazać widocznie wobec króla, którego był płaskim pochlebcą.

Państwo młodzi przyklęknęli przed ołtarzem, kapłan zaczął odmawiać błogosławieństwo, a król zdjąwszy z palców swoich dwa pierścienie, któremi ręka jego hojnie była upiększona, wręczył kapłanowi dla dopełnienia obrządku.

Bez żadnej przemowy, cicho, milcząco, odbył się akt łączący dwoje ludzi na całe życie. Państwo młodzi powstali od ołtarza, król jak poprzednio podał rękę Jadwidze, a Anna swoje ramię Römerowi.

— Obłudnik — wyszeptała cicho do siebie królowa Elżbieta, myśląc, że wyrządziła figla Zawiszy — będzie on palce kąsał ze złości, kiedy się dowie o tym żarcie. Chciał mnie wywieść w pole, prosząc, żebym mu dopomogła do zrzucenia święceń i marzył o zdobyciu tego pączka; niech teraz sobie stara się w Rzymie czy w Awinionie, nie będę mu już przeszkadzała.

Gdy król odprowadził napowrót do swoich komnat panią Römer, zastał tam już swojego sekretarza Jarockiego, któremu rozkazał sporządzić odpowiedni akt. Najpierwej podpisał się król Ludwik, potem królowa Elżbieta, hrabia Cylejski i Jaśko z Żarnowa.

W familijnem tylko kółku odbyła się uczta weselna, do której król łaskawie raczył zaprosić, oprócz hrabiego, Jaśka z Żarnowa.

— Jedźcie jutro do Vilmos — odezwał się król przy pożegnaniu — to miejsce było zaczątkiem waszego szczęścia, niechaj się stanie dla was rajem ziemi; o losie waszym nie zaniedbam pomyśleć; a mam nadzieję, że na sejm w Glinianach odbyć się mający, przybędziesz kasztelanie i poprzesz swoim głosem i wpływami nasze zamiary.

Römer głęboko się tylko skłonił i oświadczył, że zawsze jest gotów służyć królowi i dobru Rzeczypospolitej.

Teraz dwie siostry rzuciły się sobie w objęcia, słychać tylko było cichy płacz, ale jakże z różnych płynący powodów!

— Och muszę jak najprędzej zawiadomić o tym szczęśliwym wypadku swojego klechę — wyszeptała pocichu Elżbieta i wziąwszy wązki kawałek pergaminu, nakreśliła na nim słów kilka, przywołała giermka i rozkazała wręczyć Zawiszy owo pisanie. Zacierając ręce z radości przyjęła udział w pożegnaniu.

Król uścisnął nowo zaślubionych, a kolasa królewska zawiozła ich do przeznaczonych im apartamentów w jednym z zamków królewskich.

Rozdział XVIII.

G l i n i a n y.

Wszystkie gościńce, wszystkie dróżki wijące się w okolicach Lwowa, niziny i stoki gór, roiły się setkami, tysiącami podróżnych, najrozmaitszego stroju, postawy i zamożności.

Ukończono żniwa, posprzątano już z pól; wysokie rzyska pszeniczne bujnie porośnięte trawą, pokrywały gromady bydła, koni i ogromne stada owiec, po większej części czarnych; wszędzie kipiało życie, wszędzie w powietrzu unosił się gwar, stada bocianów gromadziły się już do odlotu, długie sznury żórawi płynęły powietrzem za swoimi wodzirejami na południe, siadały na chwilę na polach, rozstawiały placówki i żerując od czasu do czasu okrzykami swymi kłóciły powietrze, sprawiając wrzawę, którą powiększały niezliczone stada kwiczołów, szybko wirujące w powietrzu. Zataczając koła wysoko, to zniżając się do samej ziemi, to unosząc się znowu w górę, podobne były do tumanu liści unoszonych wiatrem jesiennym. Drogami prowadzącemi do Glinian, ze wszystkich stron przybliżały się orszaki magnatów na pysznych koniach; jeźdźcy pokryci zbrojami kosztownemi, świecili w promieniach jesiennego słońca, jak zwierciadła stalowe.

Każdy taki orszak poprzedzał chorąży, niosący godło rodowe w ręku; rzadko jednak pokazywały się ko-

lasy; starcy tylko zgrzybiali albo chorzy, decydowali się wsiadać do tych babskich kołysek, a jeżeli toczyła się bogata karoca, to niezawodnie siedział w niej albo duchowny potentat, albo żona lub matka którego z panów. Za to gromadki jeźdźców były nie do zliczenia, drobna szlachta nie trzymała się porządku ziem swoich, po kilku, po kilkunastu postępowało razem wesoło gwarząc, o mającym odbyć się sejmie w Glinianach.

Najsprzeczniejsze wieści krążyły pomiędzy tłumami o celu zgromadzenia: jedni utrzymywali, że król jegomość zwołał ich, żeby uderzyć na Tatarów, inni, że myśli prosić o zaprzysiężenie wierności jednej ze swoich córek jeszcze za życia, inni, że chce nakładać podatki samowolnie i dlatego marszałek koronny odwołał się do braci szlachty o pomoc. Byli tacy, którzy coś przebąkiwali o oderwaniu pewnych prowincyj od Polski i przyłączeniu ich do Węgier, ale idea ta była niepopularna i nikt nie ośmielił się głośno gardłować za nią.

Wspólną jednakże myślą, która ożywiała ich wszystkich, która im dodawała bodźca do odbycia dalekiej i kosztownej podróży, była nadzieja wytargowania na królu nowych przywilejów dla szlachty. Choroba ta jak gangrena zaraziła już prawie cały organizm szlachetczyzny, wessała się w żyły i miała stać się zarodem śmiertelnej choroby Rzeczypospolitej.

Wszyscy mówili tylko o prawach i przywilejach, jakie potrzeba wyjednać, nikt o obowiązkach, jakie spełnić należy.

Przyszła samowola szlachecka objawiła się już w czynach; szlachta, przejeżdżając przez wsie, ochraniała łany dworskie, ale bez żadnego skrupułu roztasowywała się na łąkach włościan i wypasała im trawy; zajeżdżała na noc do chat wieśniaczych i mieszczańskich, bez ceremonii wyrzucała właścicieli, a sama rozgospodarowywała się w ich mieszkaniach.

Konie, wprowadzone do stodół, karmione były bez żadnej różnicy snopami pszenicy czy owsa, a biedny kmiotek nie odważył się zaprotestować przeciw temu nadużyciu; z za węgła tylko spoglądał ze łzami albo z zemstą w oczach na marnowanie swego dobytku i łamiąc ręce, zanosił ciche skargi do Boga, prosząc o sprawiedliwość. Bywały wypadki, że podochocone szaraki wyprowadzały z obory najpiękniejszą jałowicę, zabijały ją i wyprawiały tany z młodemi kobietami, którym jeszcze oczy nie obeschły od łez, gdyż ciężkie pobicia a niekiedy i śmierć były odpowiedzią na opór.

Tego jednak wszystkiego szlachcie było za mało, robiło się to bezkarnie, ale jeszcze trzeba im było nadużycia zamienić w prawo, ująć w przepisy i usankcyonować przywilejami.

Po większej części tą myślą ożywiona szlachetczyzna śpieszyła do Glinian na sejm.

Jeżeli przejazd taki tłumny był ciężki dla mieszczan małomiasteczkowych i chłopstwa, to dla żydów, przeciw którym teraz wszędzie rozwielmożniła się reakcya, był prawdziwą plagą egipską. Chowali się po kątach, nie śmiejąc pokazać swego oblicza, a chudoba ich była zupełnie na łasce i niełasce pierwszego lepszego, co miał przypasaną do boku chociażby lipowem łykiem karabelę.

Jak okiem zasięgnąć około Glinian rozciągały się namioty. Samo miasteczko zajęli panowie ze swoimi dworami, drobiazg musiał się mieścić na przyległych polach, porozbijawszy płócienne namioty, lub budując sobie z desek lub chrustu szałasy. Piękna pora roku sprzyjała temu koczowaniu, rozkoszna jesień, jakiej nigdzie oprócz w Polsce nie napotka podróżny, roztaczała swoje nieprzeliczone bogactwa, sady okryte owocami uginały się pod ciężarem gruszek złotych, jabłek czerwonych, śliwek fioletowych, lub karmazynowych dereni, a nie-

rzadkie winnice przyciągały wzrok zawieszonymi szmaragdami, przelewającemi się w złote odblaski. Wszystko roiło się życiem, kipiało pieśnią, albo przechodziło w ten szum niewyraźny, jaki wydają tłumy, podobny do cichego szumu morza, lekko wzruszonego powiewem wiatru.

Zjazd szlachty przeszedł wszelkie oczekiwanie marszałka koronnego; rachowano, że stawi się co najwyżej kilkanaście tysięcy z poblizkich okolic Małopolski i ziem ruskich; tymczasem prowincye Wielkopolskie okazały się nie gorsze od Małopolan. Obozowisko, jakie zajęła szlachta, doświadczeni oceniali na pięćdziesiąt tysięcy chłopa, nie licząc ciurów i orszaków zbrojnych panów. Imponująca to była siła i pokazywała w całym blasku potęgę zjednoczonej Rzeczypospolitej, o której sami inicyatorowie zjazdu może nie wiedzieli.

Tu na dziarskim rumaku jakiś jeździec zataczał koła, pokazując dzielność konia i swoją wprawę, tu okazały poczet magnata, cały okryty w żelazo, odbywał ćwiczenia wojskowe; tu postępowali piesi łucznicy z potężnemi łukami na plecach, z kołczanami pełnemi strzał; gdzieniegdzie widać było arkabuźników z długiemi flintami i przygotowanemi do nich lontami.

Powbijane kołki i kopie w ziemię stanowiły uwiązania dla koni drobniejszej szlachty, które w długich szeregach, z pozakładanemi torbami płóciennemi na łbach, żuły wesoło, tanio nabyty owies chłopski.

Muzyki cygańskie swobodnie przechadzały się po obozie i tonami skrzypiec, bębenków i cymbałów napełniały powietrze, tu i ówdzie podpiły szlachetka wtórował im pieśnią niekoniecznie do taktu, dalej dymiły się pozapalane ogniska, przy których gromady służby piekły, gotowały i warzyły na co kogo stać było i czem grzeszne ciało można było pożywić.

Tymczasem w kościele gliniańskim odbywało się nabożeństwo, na którem celebrował biskup wrocławski

Lubrański w asystencyi licznego kleru. Po skończeniu nabożeństwa, zgromadzeni panowie, mając na swojem czele kulawego marszałka Rafała Granowskiego i brata jego starostę wielkopolskiego, wyszli na rynek i tu odebrali wiadomość, że król jegomość na czele tysiąca swojego węgierskiego rycerstwa zbliża się na sejm i już znajduje się w Gołogórach, o dwie mile odległych, gdzie odpocząwszy dzień jeden, pośpieszy do Glinian.

Natychmiast marszałek koronny Granowski, zebrawszy czterotysięczny poczet szlachty co najdzielniejszej i oddawszy komendę bratankowi swojemu Janowi Granowskiemu, synowi Wincentego, wyprawił go na spotkanie monarchy do Gołogór, wyprawiwszy jednocześnie przez niego listy do króla, z prośbą, żeby raczył wyprawić pierwej, przed swoim przybyciem do Glinian, wszystkich senatorów, będących przy jego boku, którzy zgodzili się już na odstąpienie ruskich ziem, dla łatwiejszego porozumienia się z nimi i zadecydowania stanowczego o tych żądaniach króla.

Kiedy oddział czterotysięczny rycerzy polskich pod dowództwem Jana Granowskiego przybył do Gołogór, mały oddziałek króla, złożony z tysiąca Węgrów, zniknął prawie pośród błyszczących zbroi wyborowego hufca Polaków.

Węgrzy z zawiścią spoglądali na tych rycerzy wypróbowanych w bojach, świetnie okrytych żelazem, na dzielnych polskiej rasy koniach, przybyłych towarzyszyć swemu królowi, przy których przepych Węgrów wydał się szychem wobec złota.

Król niezmiernie zadowolony był z przybycia tego pysznego pocztu, a radość jego zdwoiła się po przeczytaniu listów senatorów z Glinian, zdawało mu się bowiem, że dostrzega w nich milczące przyzwolenie na jego plany. Senatorowie obecni przy królu, ci, co już pierwsi dali swoje podpisy, czuli się zadowoleni tą rolą pierw-

szeństwa, którą teraz odgrywali; kiedy więc król wezwał ich do siebie, a było ich siedmiu, i oświadczył im, że zgromadzeni senatorowie nic nie chcą radzić bez nich i zapraszają ich do wspólnej rady, żadnemu przez myśl nawet nie przeszło, że to może być jakaś pułapka i natychmiast zaczęli się gotować do drogi.

Król, pragnąc jednak być jeszcze pewniejszym głosów sejmujących i pragnąc tym, którzy się już podpisali, zagrodzić drogę do cofnięcia swojego zdania, wezwał do siebie młodego Granowskiego i tak się odezwał:

— Żeby dać mojej wiernej radzie, złożonej z senatorów najpierwszych Rzeczypospolitej dowód mojego zaufania i przekonać senatorów przy boku naszym będących, powierzam ci podpisy tych siedmiu panów, którzy się już zgodzili na podział ziemi; wyszlij je umyślnym do sejmu, żeby wręczył te dokumenty senatorom w Glinianach.

Młodzieniec ze zdumieniem spojrzał na króla, który mu doręczał tak nieoględnie dowody zdrady. Przyjął je napozór spokojnie i rzekł:

— Stanie się, jak wasza królewska mość raczyłeś rozkazać. Pewny posłaniec zawiezie natychmiast listy mojemu ojcu i innym panom.

Jakoż niebawem listy zostały wyprawione, a siedmiu magnatów gotowało się do drogi, zadowoleni z roli, jaką im przyjdzie odgrywać w Radzie.

Gdy Ludwik pozostał sam, drzwi się otworzyły i wszedł kanclerz Zawisza.

Na twarzy jego nie znać było tego zadowolenia, jakie rozlane było na dostojnem obliczu królewskiem; przeciwnie, przejawiał się jakiś wyraz niespokojności i wahania.

Król uśmiechnięty zwrócił się do wchodzącego Zawiszy i rzekł:

— Wysłałem panom senatorom do Glinian podpisy tych panów, którzy najpierwsi zgodzili się na podział.

Na te słowa Zawisza drgnął jakby oparzony gorącą wodą.

— Czy wasza królewska mość, naprawdę to uczyniłeś?

— Tak, to innych skłoni do spiesznej a przychylnej decyzyi.

— Lub też popchnie do opozycyi, oraz podda odpowiedzialności tych, którzy podpisali. — A jednocześnie pomyślał: — jakże dobrze, że mego podpisu tam nie ma.

— Cóż znowu, czyliżby miała jeszcze istnieć jaka opozycya?

— Gdzież jej niema, najjaśniejszy panie? Zbyt wielka cisza nigdy mnie nie zachęcała do podróży morskiej... Nie podoba mi się to milczenie uporczywe, które panuje w obozie szlachty.

Król roześmiał się.

— Tchórzysz widać, mości kanclerzu.

— A i ten tak liczny orszak szlachty, przysłany na spotkanie waszej królewskiej mości, także mi się podobać nie może.

— Zapewne dlatego, że w nim nie powiewa chorągiew z godłami Porajów.

— Dlatego, że orszak twój osobisty, węgierski, miłościwy królu, roztopił się w nim, jak kropla wina w szklance wody.

Król spojrzał badawczo w oczy kanclerza i zapytał:

— Miałżebyś mieć waszmość, jakie niepokojące wiadomości o zamiarach szlachty względem mojej osoby?

— Broń Boże! Nic podobnego nie doszło do moich uszów, ale zawsze pragnę, żeby król był w położeniu, z którego może rozkazywać, a nie prosić.

Król na chwilę głęboko się zamyślił, ale chwila ta trwała bardzo krótko, przypuszczał bowiem, że Za-

wisza, zawsze chciwy i umiejący korzystać z każdej okazyi, okazując swój zły humor, chce coś wytargować, odrzekł więc, żartując dość swobodnie:

— Jeśli szlachta chce mnie doprowadzić do Polski z takim konwojem, to pojedziemy tam, mości kanclerzu, rozpatrzymy się w tych skargach nieustających i przepędzimy jakiś czas wśród wiernych naszych poddanych polskich.

Zawisza poczuł pocisk. Skargi, które dochodziły do króla, wszystkie prawie wymierzone były przeciw niemu, a było tam wiele czynów samowoli, najazdów, przekupstw w sądownictwie, spełnionych pod jego okiem, których wyprowadzać z cienia Zawisza nie życzył sobie. Widział on, że się coś psuje około niego, że od jakiegoś czasu traci ufność królewską, i że tylko jeszcze wpływami Elżbiety utrzymuje się w równowadze; obmyślał więc sposoby powrócenia do łask królewskich, a znając doskonale charakter Ludwika i wiedząc, że wszelkie uwagi przyjmuje niechętnie, za najlepsze uznał w sprawie Gliniańskiej milczeć, aż sama dostatecznie się rozświetli.

Stu tylko jeźdźców stanowiło świetny orszak siedmiu senatorów, udających się na wezwanie panów zgromadzonych do Glinian. Liczba ta, w porównaniu z potęgą, jaką reprezentowali, była bardzo skromna. Każdy z nich mógł oddzielnie rozporządzać nierównie znaczniejszemi siłami, ale powracając z Węgier, gdzie samowolnie nie można było z włościan wybierać prowiantów i widząc, że sam król Ludwik wziął sobie tylko na eskortę tysiąc koni, nie chcieli i oni imponować szlachcie swoim blaskiem.

Przebycie dwóch mil drogi, oddzielających Gołogóry od Glinian, wśród rozkosznej pory roku było dla ówczesnych ludzi nietylko nieutrudzającą przejażdżką, ale miłą rozrywką; panowie więc nie powsiadali na

swoje kolasy, które postępowały za nimi, lecz dosiedli koni i zwolna zbliżali się do Glinian. Prześcignął ich tylko na nieszczęście, goniec młodego Jana Granowskiego, wiozący Radzie listy królewskie i ich podpisy.

Król na drugi dzień dopiero miał zaszczycić osobą swoją zjazd Gliniański.

Na przodzie jechał Szczęsny Sieciech, wojewoda lubelski, chmurny jak zawsze; na nim tryumfy, których się spodziewali jego towarzysze, nie robiły wrażenia i nie potrafiły rozjaśnić jego zasępionej twarzy. Ksawery Lasota, wojewoda bełzki, po wypiciu kilkunastu puharów wina, twarz miał rozpromienioną zadowolnieniem i sypał tłustymi naokoło dowcipami, z których jego klienci śmiali się na całe gardło, podziwiając zarazem dowcip i rycerską postawę wojewody. Spisko Hieronim, kasztelan biecki sapał, jadąc zadowolniony i od czasu do czasu powtarzał:

— *Apage satanas* — damy królowi ten kawałek ziem ruskich, ale potwierdzić musi nasze przywileje stare i nowemi nas hojnie obdarzyć. *Apage satanas*, inaczej... z tej mąki chleba nie napiecze.

Jan z Dębian, Swetecki Wojciech, podskarbi koronny, Służewski Jan, wojewoda sieradzki i Krzepicki Stanisław, kasztelan sandomierski, jadąc około siebie, układali mowy, jakiemi zagają posiedzenie zgromadzonej Rady.

Na pół mili, nie dojeżdżając do Glinian, roztoczył się przed nimi pyszny widok polskiego obozu.

Spodziewali się przybywający, że panowie Rada wyszlą naprzeciw nim poczet honorowy, lub sami wyjadą na spotkanie. Nic jednak podobnego nie nastąpiło, a natomiast spotykali gromadki po kilku i kilkunastu szlachty, stojące po bokach drogi i przypatrujące się złowrogo ich wjazdowi. A kiedy panowie już przejechali obok nich, gromadki te łączyły się z sobą i zajmując

im tyły, postępowały zwolna za nimi, zamykając tym sposobem odwrót.

— *Apage satanas!* — mruczał kasztelan biecki — coś szlachta nie w wesołem usposobieniu, zapewne im zabrakło polewki na śniadanie.

Tymczasem senatorowie zgromadzeni w Glinianach pod marszałkiem koronnym Granowskim, odebrawszy listy, przesłane przez króla Ludwika i przekonawszy się z nich o jawnej zdradzie, zasiedli dla narady; nie nad tem, czy odstąpić żądane powiaty Węgrom, ale jak ukarać i jaki wydać wyrok na zdrajców.

A więc najpierw biskup Drzewiecki odczytał głośno list biskupa wrocławskiego Lubrańskiego z Budzynia, pisany do marszałka Granowskiego, oznajmiający o frymarkach.

Po przeczytaniu listu, zapytał arcybiskup gnieznieński biskupa Lubrańskiego, który zasiadał na jednej z pierwszych ław, czy przyznaje się do autorstwa tego listu i czy potwierdzi w nim zawarte zarzuty?

Ksiądz biskup wrocławski powstał i rzekł uroczyście, podnosząc rękę do góry:

— Com pisał, sprawiedliwie swą ręką pisałem, anim zawiódł w tem sumienia mego i gotów jestem stwierdzić przysięgą na świętą ewangielię!...

Wówczas senatorowie wydali polecenie, żeby wjeżdżającym senatorom, powracającym z Budzynia, nie czyniono żadnych honorów. Im więc panowie ci zbliżali się bardziej, tem cięższa atmosfera zaczęła ich otaczać; nigdzie nie odezwał się okrzyk na ich cześć, nigdzie nie oddano pokłonu; przeciwnie, zgromadzona szlachta ciskała na nich złowrogie spojrzenia i zaczęły się rozlegać słowa: »zdrajcy! przekupczyki! jurgieltniki węgierskie!«

Tu i owdzie jakiś szlachcic, wydobywszy z pochwy szablę, wygrażał nią wjeżdżającym.

— *Apage satanas!* — zawołał zdziwiony Spisko. — Co to jest? Czy szlachta ta od samego rana już pijana, że nie umie uczcić wjazdu senatorów?

Nie dokończył jednak, kiedy rzucona bryła twardej ziemi uderzyła go w twarz.

Kasztelan porwał się za szablę, ale w tej chwili stanowczej wojewoda lubelski położył rękę na jego dłoni i swoim smutnym, przyciszonym głosem, rzekł:

— Daj pokój kasztelanie, wszystko to niedługo się wyjaśni; wszak zbliżamy się do miejsca obrad.

Ksawery Lasota, wojewoda bełzki, zbladł, widząc to powszechne wzburzenie wokoło siebie. Był on odważny, tego niktby mu zaprzeczyć nie mógł; gotów był rzucić się w szeregi nieprzyjaciół... ale walka z motłochem (jak w myśli nazywał szlachtę), koniec życia w błocie, przerażały go.

Tymczasem okrzyki coraz groźniej, coraz liczniej się odzywały: Zdrajcy! przekupczyki! śmierć im! śmierć kanaliom!

I kamienie świstały około głów, jeden z nich nawet uderzył kasztelana sandomirskiego.

Wyprawiona straż marszałkowska zasłoniła ich od dalszych obelg i wprowadziła do szopy, w której obradowało zgromadzenie.

Widok, jaki im się przedstawił, był imponujący swoją uroczystością.

Na wszystkich ławach zasiadali senatorowie; ale wbrew panującym zwyczajom, ubiory ich tego dnia nie odznaczały się świetnością kolorów. Wszystkie były czarne lub ciemne, coś, jakby żałoba ogólna przedstawiała się wchodzącym.

Na miejscu prezydującem zasiadł marszałek koronny Rafał Granowski, smutny, poważny, z groźnie namarszczoną twarzą; tuż obok niego biskupi; dalej panowie senatorowie: Wincenty Granowski, starosta wielko-

polski, Kmita, starosta krakowski, Mławski, Sędziwój Rytwiański, Lanckoroński i bardzo wielu innych.

Całe zgromadzenie składało się z paruset osób; gdy tymczasem tłumy nieprzeliczone drobnej szlachty jednowioskowej i zagonowej zapełniły szeroko i daleko pole około szopy radnej.

Przed chwilą cały ten obóz burzliwy, pełen wrzawy, ucichł nagle i grobowa cisza zapanowała naokoło, kiedy siedmiu senatorów, powracających z Budzynia, przestępowało próg izby radnej.

Nikt nie powstał na ich przyjęcie, nikt przychylnem nawet kiwnięciem głowy nie powitał nowoprzybyłych; a przecież liczyli pomiędzy zgromadzonymi wielu dawnych przyjaciół, znajomych, a nawet koligatów.

Nowoprzybyli zdziwionym wzrokiem potoczyli po zgromadzeniu, nie znajdując dla siebie zostawionych miejsc wolnych.

Pierwszy wojewoda lubelski Szczęsny, odezwał się głosem jednotonnym, cichym, tocząc jednocześnie dumnym wzrokiem po zgromadzeniu.

— Przybywamy, panowie bracia, na wasze wezwanie, ażeby razem z wami radzić o sprawach Rzeczypospolitej. I *apage satanas* zostajemy powitani przez zgromadzony plebs obelgami. Oto na szatach moich znaki błota, którem na nas ciskano!

— Gdybyście tylko błota nie mieli na sercach waszych, to rzucona grudka ziemi nie splamiłaby was — odezwał się poważnie biskup Lubrański.

— Co to ma znaczyć u miliona dyabłów?! — zawołał Ksawery Lasota — widocznie omyliliśmy się. Myśleliśmy, że wchodzimy do sali obrad jako równi do równych, a my znajdujemy się wśród burzycieli! Toż nam pozostaje tylko zaprostować i wyjść, a od wszystkich waszmości panów zażądać zadośćczynienia rycerskiego za obelgę.

To mówiąc, dumnie nakrył głowę i skierował się ku wyjściu, a sześciu jego towarzyszów naśladowało go. Ale jakież było ich zadziwienie, gdy straż stojąca we wrotach szopy skrzyżowała swoje berdysze i nie dopuściła im przestąpić progu.

Nie wiele zresztą byliby na tem skorzystali, bo te ściśnięte tłumy szlachty, które nieprzebytą tamą zagradzały im wyjście, miały oblicza tak groźne, spojrzenia tak nienawistne i usta tak pełne obelg, że z łatwością można było przewidzieć, iż rozniosłyby ich na swoich szablach, gdyby jeszcze krok postąpili.

— Gdzież się więc znajdujemy? — zapytał dumnie — zwracając się do zgromadzenia Szczęsny.

— Znajdujecie się przed sądem — odpowiedział z powagą marszałek.

— Przed sądem! — jednocześnie zawołali prawie wszyscy. — Kto śmie sądzić senatora polskiego? Gdyby to uczynił nawet król Ludwik, zadrżećby musiał.

— Ale naród polski nie zadrży; sejm reprezentuje naród, jemu musicie dać tłumaczenie.

Zdrajcy spojrzeli po sobie, a kasztelan sandomirski Krzepicki zapytał:

— O cóż więc jesteśmy obwinieni?

— O zdradę przeciwko własnemu krajowi, o frymarki jego ziemiami.

— Ależ, *apage satanas*, czy ja rozporządzałem własnością cesarza jegomości, czyż mojej Wólki nie wolno mi sprzedać albo darować? a przecież Polska cała to nasza Wólka, którąśmy krwią naszą bronili i którą, jak nam się podoba, możemy zamienić na inną; gdzież tu, *apage satanas*, przestępstwo, gdzie tu rozum, gdzie wolność szlachecka?

— Złe to pojęcie, panie wojewodo — rzekł biskup wrocławski. — Ojczyzna nasza, ta święta Polska, to nie wioska, którą możemy dzielić na kawały.

— Tak nieraz robili królowie nasi — odpowiedział Szczęsny — to prawo przysługuje nietylko im, ale każdemu z nas.

— Nie przysługuje nikomu, nawet królom, a ci, którzy to zrobili, ściągnęli na kraj tysiące nieszczęść — odpowiedział Lubrański.

Zdawało się zanosić na spory, które nie prowadziły do niczego; marszałek, chcąc tego uniknąć i sprawę zakończyć bez odwłoki, przerwał huczki, odzywając się donośnym głosem:

— Jesteście waszmość panowie: wy, Szczęsny Sieciechu, wojewodo lubelski, wy, Ksawery Lasoto, wojewodo bełzki i wy Hieronimie Szpisko, kasztelanie biecki, jako i wy, Janie z Dębian, Wojciechu Swetecki, podskarbi koronny, Służewski Janie, wojewodo sieradzki i wy Stanisławie Krzepicki, kasztelanie sandomierski, oskarżeni o zaprzedawanie niegodne ziem polskich królowi węgierskiemu, o frymarczenie niemi. Czy się do tego przyznajecie?

— Mieliśmy do tego wszelkie prawo, bo uważaliśmy to korzystne dla Rzeczypospolitej. Król Ludwik w zamian pustych ziem ruskich, dawał nam starostwo spiskie, przyległe województwu krakowskiemu ze wszystkiemi grodami — odrzekł Szczęsny.

— Nie mieliście żadnego prawa prowadzić sekretnie tego handlu; cały tylko naród jednozgodnie może decydować podobne sprawy.

— Ja jestem całym narodem! — odparł dumnie Szpisko, pan na Biecku.

Oburzenie odmalowało się na twarzach senatorów.

— Więc nie zapieracie się tego? — zapytał marszałek.

Milczenie ogólne zapanowało w sali.

Wówczas marszałek Granowski, obracając się do jednego z sekretarzy, rzekł:

— Pokażcie podpisy tych zdrajców na podział kraju.

Sekretarz, milcząc, zebrał leżące przed nim papiery z wyciśniętemi pieczęciami i podał Granowskiemu Rafałowi.

— Czy to wasze podpisy i pieczęcie, któremi bez woli sejmu decydujecie o losach ojczyzny?

— Nie będziemy się zapierać... nasze — rzekł pochmurno Szczęsny — ale daliśmy je na żądanie naszego króla; kiedy sobie przywłaszczacie władzę i nas samowolnie sądzić chcecie, czemuż on tu nie staje przed wami w roli obwinionego razem z nami?

— Uczynimy, naradziwszy się, jak uznamy za właściwe dla dobra naszej ziemi; a wy, panowie, skoro nie zapieracie się ani czynów waszych, ani podpisów i pieczęci waszych, usłyszycie swój wyrok z ust całego narodu.

To mówiąc, obrócił się do Zgromadzenia i donośnym głosem zapytał:

— Na co zasługują ludzie, którzy przyswajają sobie prawo frymarczenia swoją ziemią, decydowania o losach narodu?

— Na śmierć! — odezwał się jakby jeden potężny okrzyk z setek piersi, który na podobieństwo gromu, wypadającego z obłoków, rozległ się pod sklepieniami sali, przedarł się na zewnątrz, a tam powtórzyło go chórem pięćdziesiąt tysięcy szlachty.

Teraz bladość okryła zarówno oblicza obwinionych jak i sędziów; ale u pierwszych bladość ta przedstawiała przerażenie, rozpacz, upokorzenie, gdy tymczasem sędziowie ulegli tylko silnemu wzruszeniu.

— A więc — rzekł marszałek koronny, obracając się do zgromadzenia — wyrzekliście jednozgodnie wyrok potępienia czynu niecnego i zarazem oznaczyliście karę na zdrajców; taką jednozgodność natchnął tylko w piersi wasze Duch święty. Głos ludu jest głosem Boga; wno-

szę więc, iż odtąd wszystkie postanowienia sejmów stanowić się będą jednomyślnością. Czy zgoda?

— Zupełna zgoda — odpowiedział chór głosów.

— Wpiszemy to w nasze prawa; a teraz, bracia moi, na jaki rodzaj śmierci skazujecie przestępców?

— Na ścięcie łbów przez kata! — odpowiedział okrzyk jednozgodny, straszny, jak brzmienie trąby anioła mściciela.

Rafał Granowski obrócił się smutny, ale stanowczy do oskarżonych i rzekł:

— Bóg widzi, że nie powoduje nami prywata, ani zawiść, ani złość, ale obawa o zdrowie i całość tej żałosnej naszej rzeczypospolitej; usłyszeliście wyrok narodu shańbieni ludzie, niegodni synowie ojczyzny; śmierć wasza niechaj będzie przykładem innym pokoleniom, które po nas się narodzą, niech będzie przestrogą, że każdy zuchwały obywatel, targający się na całość ojczyzny, dozna podobnego jak wy losu. Dwie godziny pozostawiamy wam do pojednania się z Bogiem, a potem mistrz w więzieniu utnie wam łby przewrotne i występne.

— Apelujemy do króla — odezwał się hardo Lasota.

— On sam stanie przed sądem naszym — odparł marszałek.

Procedura ta sądowa była prędka, bezapelacyjna, stanowcza; ale w owej epoce ludzie ówcześni inne mieli pojęcia o wymiarze sprawiedliwości niż my, którzy gubimy się w formach, spuszczając z oczów istotę czynu.

Ani jeden głos z ław zapełnionych przez senatorów nie zaprotestował przeciw tej krwawej decyzyi, ani jedno słowo współczucia nie odezwało się w ich obronie.

Wiadomość o treści wyroku rozeszła się natychmiast pomiędzy zgromadzonemi tłumami za radną szopą i ten tłum, przed chwilą jeszcze pełen wrzawy i wściekłości, który gotów był, zdawało się, rozszarpać zdrajców, te-

raz, usłyszawszy wyrok śmierci na nich wydany, zachował poważne milczenie.

— Ustąpcie nieszczęśliwi z pomiędzy nas i przygotujcie się na śmierć — rzekł marszałek.

Skazani, milcząc, opuścili szopę radną, otoczeni strażą. Kiedy przeprowadzano ich do budynku, przeznaczonego im na przepędzenie ostatnich chwil życia i dopełnienie spowiedzi, pośród cisnącej się szlachty nikt nie odezwał się z szyderstwem, nikt nie rzucał już na nich błotem. Wezwano kapłanów, których nie brakowało w obozie, ażeby śpiesznie udali się do kaźni, dla niesienia słów pociechy nieszczęśliwym.

Ludzie ci, na których już padł stanowczy wyrok, teraz dopiero uczuli całą potworność swego czynu, teraz dopiero pojęli jakiej się dopuścili zbrodni; teraz dopiero zasłona spadła im z oczów i ujrzeli wstrętny obraz, który miał służyć za przykład innym czasom i ludziom.

Jeden tylko Ksawery Lasota nie pokazywał najmniejszego żalu, zażądał, żeby mu przyniesiono wina, gdy tymczasem inni, skupiwszy ducha w sobie, głęboko rozpamiętywali swój czyn.

— *Apage satanas* — powtarzał uporczywie pan na Biecku — oni wszyscy powaryowali, niech im to Bóg przebaczy; gdzież tu występek? gdzie zbrodnia?

Wojewoda lubelski, którego przyzwyczailiśmy się widzieć zawsze pochmurnym, najniespodziewaniej twarz teraz miał rozjaśnioną, pobożnie pierwszy ukląknął w rogu izby i zanurzył się w modlitwie, inni, oprócz Lasoty, naśladowali go.

Poważnie weszli kapłani, wezwani dla udzielenia skazanym ostatniej pociechy; wszyscy przyjęli ich z całą pokorą poddania się wyrokowi, jeden tylko Ksawery Lasota powtarzał, trzymając puhar w ręku:

— Gdybym tak miał przy boku moim wierne mi hufce, sprawiłbym ja tu szatkowaną kapustę z tych cno-

tliwych głupców. Hej, wina! trzeba wesoło pożegnać ziemię, a nie mazgaić się jak białogłowa.

— *Apage satanas* — mówił pan na Biecku — dać głowę pod miecz, mniejsza o to; śmierć, to koniec każdego człowieka, raz kozie śmierć, ale ginąć niewinnie zamordowanym przez obłąkanych braci, to *apage satanas*, jest nie do pojęcia. Co za świat! co za ludzie!

Modły skazanych trwały dosyć długo: pierwszy powstał wojewoda lubelski Szczęsny Sieciech i obracając się do współtowarzyszów, rzekł:

— Bracia moi, człowiek jaśniej widzi, gdy przychodzi do progu wieczności; Bóg w miłosierdziu swojem pozwolił, że otworzyły się oczy moje i spadła z nich zasłona i ujrzałem niespodzianie całą ohydę postępku, którymy dopełnić chcieli. Myśmy frymarczyli krwią braci naszych, myśmy, jak Judasz, sprzedawali panią naszą; kara mająca nas spotkać, słuszna jest, ona nas oczyści i aby była przykładem dla innych czasów i innych pokoleń; niech ją przekaże historya naszym następcom, a my dziękujmy Najwyższemu, że nam pozwolił odpokutować tu na ziemi naszą zbrodnię.

Jan z Dębian, Swetecki Wojciech, Jaśko Służewski i Stanisław Krzepicki w cichej zadumie bili się w piersi i powtarzali: Dobrze mówi wojewoda lubelski, zawiniliśmy; biada nam! trzeba, żeby sprawiedliwość ludzka nad nami się wypełniła, aby tylko Bóg Najwyższy przebaczył nam w przyszłości... *Mea culpa, mea maxima culpa.*

— Och! gdybym tak miał pod ręką konia, szablę i moje oddziały zbrojne, bez których tak niebacznie wlazłem w to gniazdo szerszeni! — powtarzał wojewoda bełzki — sprawiłbym ja im rozgrzeszenie i przeżegnał mojem kropidłem tak po łbach, że we krwi ich mój białonóżka, aż po pęciny swoje brodziłby. Gdybym tak mógł dopaść króla Ludwika i wziąć od niego kilka puł-

ków węgierskich, rozpędziłbym tę chałastrę na cztery wiatry, a wioski ich i dobytek w Polsce puściłbym z dymem, lub zabrawszy, oddał tym, którzy na to zasługują.

— *Apage satanas* — powtarzał Hieronim Szpisko, kasztelan biecki, uderzając w stół pięścią — oni wszyscy, jak Boga kocham, powaryowali, nie wyłączając wojewody lubelskiego, chociaż to mruk i głowacz. Gdzież tu dobry sens, żeby wymierzać jakąś karę za to, żeśmy chcieli zadość uczynić woli króla jegomości?

— I kanclerza państwa — odezwał się pierwszy raz Jaśko z Dębian.

— Gdzież on jest? czemu go tutaj niema pośród nas? — zapytał obracając się w koło Szpisko.

Lasota roześmiał się i odrzekł:

— Zawisza wie gdzie raki zimują, nie taki on naiwny jak nie przymierzając my; nie dał swojego podpisu, a to co nam radził na słowa wiatr uniósł; siedzi on teraz spokojnie przy starej królowej, układając nowe plany i wyszukując nowych narzędzi.

Drzwi otworzyły się na rozcież i weszło siedmiu mistrzów sprawiedliwości czerwono ubranych, z gołemi mieczami w dłoni, za niemi wsunął się oddział łuczników z halabardami.

Na ten widok ze wszystkich piersi rozległo się ciężkie westchnienie, głowy się pochyliły i wyszeptały każde usta:

— Boże bądź miłościw mnie grzesznemu.

Wywieszono czarną chorągiew nad miejscem kaźni, na znak, że w tej chwili spełni się akt ludzkiej sprawiedliwości; na ten widok grobowa cisza zapanowała wśród tych tłumów przed chwilą jeszcze tak burzliwych; wszyscy senatorowie wyszli z izby radnej i razem ze zgromadzoną szlachtą odkryli głowy a pokornie przyklęknąwszy zanosili modły za dusze obłąkanych współ-

braci; wielki, tajemniczy akt śmierci, miał się w ich oczach dopełnić.

Otworzono drzwi kaźni na rozcież: na środku izby widać było ustawiony gruby pień, przy nim czerwono ubranych katów wiążących ręce skazanych; żaden z nich nie stawiał najmniejszego oporu; jeden tylko Ksawery Lasota odepchnął zbliżającego się doń z postronkiem mistrza, pierwszy ukląknął przy pniu, nachylił głowę i zawołał donośnym głosem:

— Rąb śmiało! od jednego zamachu!

Niedokończył jeszcze tych słów, gdy miecz błysnął w powietrzu i głowa potoczyła się po podłodze.

— *Apage satanas!* — mówił, żegnając się Szpisko — za taką bagatelę dawać głowę! gdzie tu sens? gdzie tu sprawiedliwość! — Ukląknął jednak, ale gdy chciał rozprawiać jeszcze przy pniaku, dwóch oprawców pochwyciło go za głowę, nagięli ją do pnia a mistrz dopełnił swojego dzieła.

— Sprawiedliwie umieram — mówił, klękając wojewoda lubelski — Boże bądź miłosierny mojej duszy.

Siedm razy miecz podniósł się do góry i za każdym razem głowa oddzielała się od ciała; struga krwi wypływała z drgającego kadłuba, oprawcy usuwali go na bok, robiąc miejsce dla następnego delikwenta.

Każda z twarzy zachowała swój wyraz uczuć, któremi była przejęta w ostatniej chwili: w Szczęsnego oku zaskrzepła łza, na twarzy pana na Biecku widać było oburzenie, a głowa Ksawerego Lasoty, ustawiona na ziemi, przerażała twarzą szyderczo uśmiechniętą.

Inne twarze miały wyraz pokory i poddania się losowi.

Drzwi szopy zamknięto. Zgromadzona szlachta powstała z kolan i odezwały się głosy:

— Sprawiedliwie tak postąpiono.

Rozdział XIX.

Siedmio-głowa hydra.

Następnego dnia, po wykonaniu krwawego wyroku, dano znać zgromadzonym senatorom, że król jegomość w asystencyi tysiąca Węgrów i czterotysiącznej świty polskiego rycerstwa, zbliża się od Gołogór ku Glinianom.

Senatorowie natychmiast zasiedli w Izbie Radnej, ale pierwej z pośród siebie wyprawili liczny poczet na powitanie króla.

Wszyscy wydelegowani przybrali się w najkosztowniejsze szaty i w otoczeniu świetnych orszaków, wyjechali na spotkanie swego monarchy.

Orszak króla Ludwika, złożony z Węgrów, zniknął zalany falami polskiej szlachty; cichość poważna panowała w powietrzu; nie słychać było żadnych okrzyków na cześć pana, nigdzie nie objawił się ten entuzyazm, do którego Ludwik przywykł na Węgrzech; kilka zaledwie Eljen! rozdarło powietrze, ale samo brzmienie tego słowa dowodziło, że wydały go piersi nie polskie.

Senatorowie wysłani do czynienia honorów, zbliżywszy się do Ludwika, obnażyli na krótko głowy i wygłosili mowę, zapraszającą króla jegomości, żeby raczył przybyć do koła senatorskiego do Glinian, dla obrady wspólnej nad sprawami Rzeczypospolitej.

Ton mowy był uprzejmy, ale suchy i przemowa wbrew zwyczajom ówczesnym krótka. Król był widocznie zdziwiony i teraz zaczął przypuszczać, że sprawa oddania Węgrom ziem ruskich na sejmie, nie pójdzie tak gładko, jak dotąd sądził.

Nie okazał jednak żadnego niezadowolenia z tego zimnego przyjęcia i najłaskawiej przyrzekł zaszczycić koło senatorskie królewskim swoim majestatem.

Połączone orszaki węgierskie z polskiemi wspólnie wyruszyły do Glinian, zaledwie przeciskając się pomiędzy tłumami nagromadzonej pochmurnej szlachty.

Król jechał zamyślony, gdy jeden z magnatów węgierskich, jadących obok niego, nachylił się ku niemu i cichym głosem wyszeptał:

— Najjaśniejszy panie, tu coś niezwykłego się knuje; z senatorów, którzy byli w Budzyniu, przy boku waszej królewskiej mości, a na których najwięcej można było liczyć, nie widzę ani jednego. Co to wszystko znaczy?

Król Ludwik zatoczył wzrokiem naokoło; niespokojność odbiła się na jego twarzy; rzeczywiście nie dostrzegł ani jednego z panów, przychylnych sobie, którzy mu dali swoje podpisy.

— Gdzie są senatorowie, których do was wczoraj wyprawiłem? — zapytał, zwracając się do jadącego niedaleko niego starosty wielkopolskiego Wincentego Granowskiego.

— Zobaczysz ich wasza królewska mość w Glinianach.

Król milczeniem pokrył tę odpowiedź, lecz obracając się do towarzyszącego sobie magnata węgierskiego, który pierwszy swojem podejrzeniem zaniepokoił go, rzekł:

— Nie widzę także kanclerza Zawiszy, co się z nim dzieje?

— Kanclerz dzisiaj najniespodziewaniej zachorował w Gołogórach i tam pozostał ze swoim orszakiem, ma jednak pośpieszyć za waszą królewską mością, skoro tylko wydobrzeje.

Król Ludwik spojrzał zdziwiony na mówiącego, jakby pragnął przeniknąć prawdziwą myśl, ukrywającą się w tych słowach.

— Mów wyraźnie; co to wszystko znaczy? — zawołał niecierpliwie.

— Ja myślę, że kanclerz nie jest pewny przeprowadzenia swoich planów i że po prostu obawia się szlachty.

Król nic nie odrzekł, zmarszczył tylko czoło jeszcze groźniej i skierował konia w dalszą drogę.

Wyciągnięte szpalery szlachty, ze wszystkich obszernych okolic Rzeczypospolitej, stojąc na koniach po obydwóch stronach głównej drogi, witały go odkryciem głowy; ale okrzyki tak były rzadkie, że nie można teraz już było wątpić, iż szlachta jest nieprzyjaźnie usposobiona i twardy z nią będzie orzech do zgryzienia.

Ta udana choroba Zawiszy, który widocznie nie miał odwagi spotkać się z radą sejmującą, zaniepokoiła króla i teraz dopiero zaczął przekonywać się, że tych kilkunastu panów polskich, których udało mu się przeciągnąć na swoją stronę, nie poprowadzą innych swoim przykładem i nie stanowią potężnego stronnictwa, lecz działali tylko na własną rękę. Dostrzegł on, że żelazo nie jest dosyć rozgrzane i nie da się kuć podług woli. Żałował teraz, że udał się na ten sejm tak niespodzianie zwołany do Glinian, a nadewszystko niezadowolony był z siebie, że wybrał się z tak małym pocztem rycerstwa węgierskiego, widział bowiem, że utonął ze swoją eskortą pośród pięćdziesięciu tysięcy szlachty, jak motyl w mrowisku, w które wpadnie, ale nie czas już było się cofać.

Teraz nawet zaczął przypuszczać, że powołana na sejm szlachta stawi silny opór odłączeniu ziem ruskich,

że zechce się uporczywie targować o przywileje i tym sposobem będzie chciała uzyskać hojną zapłatę za to ustępstwo. Do ustępstw był gotów, nic go one nie kosztowały, byle nie były zbyt wielkie; zaczął jednak wątpić, że tanim sposobem okupi spełnienie swoich celów.

Tak rozmyślając, znalazł się nareszcie w Glinianach przed Izbą Radną.

Niechętnie zsiadł z konia i dumnie przekroczył próg szopy, od której drzwi wielkie jak u stodoły, czekały go otwarte.

Naprzeciw wejścia, na wzniesieniu, przygotowany był tron, okryty purpurą, dla króla; nieopodal tronu osłonięta czerwoną oponą jakaś niewyraźna grupa stanowiła tajemniczą zagadkę.

Król Ludwik przeszedł obojętnie koło niej, zaledwie rzuciwszy na nią okiem i zasiadł na przygotowanym tronie.

Izbę radną zastał już zatłoczoną senatorami, w poważnym nastroju; wszyscy powstali za jego wejściem.

Wówczas chrobry marszałek Granowski, opierając się na swojej drewnianej nodze, zbliżył się do tronu. Złożył nizki pokłon królowi i odezwał się w te słowa, wśród grobowej ciszy, jaka zapanowała w zgromadzeniu:

»Miłościwy królu i panie nasz! Naród polski wierny był zawsze i jest panom swoim, po Bożej łasce i po dusznem zbawieniu swojem, niczego więcej nie pragnął, prócz wolności miłej i pożytku dobra Rzeczypospolitej.

»Z bólem serca teraz widzimy niełaskę waszej królewskiej mości i odłączenie swoich interesów od dobra tej żałosnej Rzeczypospolitej naszej, a żeśmy żadnej przyczyny nie dali do grzechu, tylko pragnęliśmy wiernie stać przy prawach naszych od wieków uchwalonych, przypomnieć więc musimy, żeś nam je, królu, zaprzysiągł na świętą ewangelię, bo tu w Polsce matka waszej królewskiej mości żywot swój wzięła, a w tobie płynie

prześwietna krew starych naszych panów Chrobrych i Sprawiedliwych. Słuszna więc, abyś nam, wiernym poddanym swoim, narodu polskiego ludziom, miłościwym panem i dobrodziejem zostawać raczył, gdyżeś jest *os de ossibus nostris*. Otóż za takiem powinowactwem związku, już cała Rzeczpospolita nie pomału wielkim jest strapiona żalem, że wasza królewska mość wzgardzasz imieniem polskiem i obsadzasz urzędy cudzoziemcami. Jednak my w tej żałości naszej i uciśnieniu, mając wielką miłość dla krwi panów swoich i pragnąc łaski waszej królewskiej mości pana swego miłościwego, aż do tego czasu cierpimy cudzoziemców, których wasza królewska mość z ujmą naszych godności, wolności i dobra Rzeczypospolitej nam zostawił był.

»Uniżenie więc prosimy o oddalenie cudzoziemców z urzędu, o powrócenie nam korony naszej i berła wywiezionych do Węgier, niemniej o wymierzanie sprawiedliwości i poszanowanie praw i statutów polskich, które są filarami tej Rzeczypospolitej, aby w całości zachowane i do egzekucyi swojej przychodzić mogły, albowiem prawa krajowe przedewszystkiem i całość królestwa w nierozdzielności swojej utrzymane być winny.

»Uskarżamy się też żałośnie na bracią naszą, którzy nad wolę i radę wszechstanów koronnych do Budzynia zjechali się byli i tam z waszą królewską mością o państwach koronnych jakieś kontrakta *nomine omnium* stanowili, co już się stało było przeciwko sumieniu i na szkodę Rzeczypospolitej, w czem sobie pozwolili.

»Za tę samowolę słuszną też odnieśli zapłatę od rycerstwa polskiego, dla przykładu na przyszłe wieki.

»Oto cielska ich leżą pod nogami waszej królewskiej mości, aby się potem nie ważył żaden z nas frymarków dobrem Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego *privata autoritate* odprawić«.

Bladość rozlała się po twarzy króla.

Marszałek, przerwawszy mowę, skinął na pachołków, którzy w tej chwili podnieśli zasłonę czerwoną, okrywającą grupę ustawioną naprzeciw tronu.

Co za straszny widok przedstawił się oczom króla i senatorów!

Siedm głów odciętych od kadłubów, białych śmiertelną bladością, z sinemi usty, z krasnemi obrębkami krwi na szyjach wychyliło się z pod zasłony. Trupy te zdawały się, szeroko otworzonemi oczami, z wyrazem przerażenia, jaki zastygł na nich w ostatniej chwili życia, spoglądać z wyrzutem na króla, sprawcę ich niedoli.

Król Ludwik, jakkolwiek z natury śmiały, zadrżał i położył rękę na szabli. Obrzucił wzrokiem po całem zgromadzeniu, na wszystkich twarzach wyczytał powagę niesłychaną, smutek przejmujący duszę, ale i niezłomne przekonanie, że to, co się stało, stać się musiało.

Grobowe milczenie panowało dokoła.

Marszałek podniósł rękę do góry na znak, że chce dalej mówić; król przystroił twarz w wyraz obojętności, a Rafał Granowski tak kończył:

»Więc gdy wasza królewska mość obiecałeś Respublice opiekę swoją, prosimy tedy pokornie, abyś nam tego nie brał, czegoś Polsce nigdy nie dał, a co biegunowie nasi i prywatnicy w Budzyniu podpisali i przypłacili za to żywotami, my przeciw takim kontraktom protestujemy i nic o nich wiedzieć nie chcemy.

»Postanawiamy także i prosimy waszą królewską mość o aprobatę, iż odtąd na wszelkich sejmach krajowych, jednomyślnością tylko wszystkich decydowane będą wszelkie sprawy, a każdemu z nas, chociażby najnędzniejszemu, służyć będzie *liberum veto*, jeżeli co uzna za szkodliwe dla dobra Rzeczypospolitej.

»Dalej żądamy, żebyś wasza królewska mość, przywileje wszystkie nasze szlacheckie potwierdził i nowemi nas obdarzył, a także, żeby każdy szlachcic u siebie

w domu stanowił prawa swoim poddanym, bez mięszania się kogokolwiek do tych domowych spraw, wówczas będzie zgoda pomiędzy wszystkiemi dziatkami tej ziemi«.

Marszałek, dokończywszy tej mowy, złożył głęboki ukłon królowi i zasiadł na swojem miejscu.

Król ze zdumieniem wysłuchał tej całej mowy; do podobnych głosów w Węgrzech nie był wcale przyzwyczajony, był przygotowany na to, że szlachta zażąda rozmaitych przywilejów, ale sądził, że to będzie tylko zapłatą z jego strony, za ich aprobatę na odłączenie ziem ruskich od korony. Tymczasem sprawy przybrały zupełnie inny kierunek, o cesyach nikt nie wspomniał ani słowa; przeciwnie potępiono je, krwawo ukarano idei tej propagatorów i naigrawając się, rzucono ich łby pod nogi królowi; a zjazd z najoddaleńszych ziem do Glinian pięćdziesięciu tysięcy szlachty, nie mógł być lekceważony.

Król zawiesił na chwilę posiedzenie i wyszedł ze swoim sekretarzem, Jarockim, do przyległej izby, w której dosyć długo zastanawiając się i naradzając, taką przez usta jego dał odpowiedź senatorom, sam nie pokazując się już w Izbie Radnej.

»Jakkolwiek najjaśniejszy król węgierski i polski Ludwik (oby Bóg dał mu jak najdłuższe życie i zdrowie) niepomału żałośny jest z pobicia tych senatorów polskich, którzy służyli jego królewskiej mości i z nim z Budzynia do Polski, ojczyzny swojej przyjechali; jednakże, kiedy źle uczynili, traktując na własną rękę o sprawach państwa i przez senat potępieni zostali, snać, że nie mogło być inaczej i król jegomość nie ma tego za złe radzie zgromadzonych senatorów.

»Co się tyczy frymarków węgierskich z Polską, to król jegomość sądził, że one wyjdą na pożytek obu narodów, któremi z woli najwyższego Boga włada, ale

kiedy panowie rada na to się nie godzą, to król jegomość przez przywiązanie swoje do narodu polskiego od nich odstępuje i nie chce wiedzieć o nich.

»Cudzoziemców i zarządców z sądów i administracyi kraju oddalić deklaruje się i oddać sprawy kraju w ręce szlachty polskiej, dobrze zasłużonej, przyrzeka.

»A co się tyczy sprawiedliwości w sądach, na wymiar której obywatele polscy narzekają, to król obiecuje przyjechać do Krakowa i cały miesiąc tam pozostanie, żeby ją każdemu wymierzyć, warując sobie, aby panowie szlachta, co raz przyrzekli, nie cofali tego i córkę jego, Maryę, na tron polski posadzili, powołali i opatrunek jej przyzwoity obmyślili. Ona zaś przybywszy do Polski, przywiezie z sobą koronę i berło i inne insygnia królewskie, które dla bezpieczniejszego przechowania wywieziono do Węgier. Gdyby jednak taż córka jego Marya za mąż, za Zygmunta, syna cesarza wyszła, wtedy na młodszą jej siostrę te wszystkie prawa by przeszły.

»W nagrodę za wierność, przywiązanie i przychylność do jego osoby, uwalnia król szlachtę od wszelkich danin, od wszelkich posług, z wyjątkiem dwóch groszy monety krajowej z łanu, którą co rok na święty Marcin, w znak uznania zwierzchnictwa królowi i następcom jego płacić są obowiązani.

»Król, podróżując przez kraje polskie, obiecuje nie uciążać przejazdem swoim szlachty, ale o własnym koszcie siebie i świtę swoją utrzymywać.

»Na uchwalone przywileje szlachty względem poddanych chłopów i stanowienie im powinności, król zgadza się i pozwala, oddając ich ojcowskiej opiece dolę ludu wiejskiego, podług sumienia.

»Nadto jego królewska mość nie ma nic przeciwko temu, żeby wszelkie uchwały na sejmach decydowane były jednomyślnością, a każdemu ze szlachty sejmują-

cej, chociażby najbiedniejszemu, służy prawo *liberum veto* przeciw uchwale, którą uważa za złą i szkodliwą przywilejom szlachty«.

Po wysłuchaniu tej decyzyi królewskiej, panowie senatorowie i rycerstwo udali się gromadnie do ucałowania ręki pańskiej na znak miłości i pokoju.

Król głęboko zamyślony opuścił Gliniany tego samego dnia i udał się do Węgier z powrotem, obsypawszy panów i szlachtę tyloma przywilejami, że były dostateczne do wykopania mogiły dla Rzeczypospolitej.

* * *

Kilka słów wypada tutaj dodać o losach córek Kazimierza. Smutne dzieje Anny znane nam są na dworze hrabiego Cylejskiego, człowieka ohydnych obyczajów, brutala i pijaka. Była ona męczennicą dopóki śmierć jego nie wyzwoliła jej z tego przybytku zbrodni i rozpusty i nie pozwoliła jej pójść za skłonnością serca, które wraz z ręką oddała hrabiemu Deakowi. — Lecz za to losy Jadwigi historya pokrywa zupełnem milczeniem, w starym jednak rękopiśmie z XVII wieku, z któregom czerpał wiele szczegółów, jest wzmianka, że Römer wkrótce po zaślubieniu Jadwigi zginął w jakiejś potrzebie, zostawiając małoletniego syna, od którego miał się rozrodzić zacny dom Römerów, dotąd żyjący na Litwie, w którego potomkach ma płynąć po kądzieli krew Piastów. Być to może, ale dowodów nie mam — może familia ta, odznaczająca się zawsze wysokiemi cnotami, posiada jakie dane, mogące rozjaśnić tę sprawę?

KONIEC.

TREŚĆ.

Rozdział		Strony
I.	— Sieroty królewskie	5
II.	— Zawisza	32
III.	— Römer	53
IV.	— Strzelce. — Kurozwęki. — Kotuszów	62
V.	— Władysław Opolczyk	87
VI.	— Na wierzchołku Tatr	106
VII.	— Poseł królewski	125
VIII.	— Vilmos	146
IX.	— Pod murami zamku	173
X.	— W komnatach królowej Elżbiety	191
XI.	— Biskup Lubrański	214
XII.	— Królewna Jadzia	218
XIII.	— Granów	238
XIV.	— Więzienie	257
XV.	— Wobec króla	283
XVI.	— Na łowach	293
XVII.	— Uśmiech losu	300
XVIII.	— Gliniany	310
XIX.	— Siedmiogłowa hydra	330

TRAGEDYA GLINIANACH